

EDWARD LEE POTWORNOSC

18+



EDWARD LEE
POTWORNOSC



Wroclaw 2023

Tytuł oryginału: Monstrosity

Tytuł: *Potworność*

Autor: Edward Lee

Copyright © Wydawnictwo Dom Horroru, 2023

Copyright © Edward Lee, 2002

Dom Horroru,
ul. Gorlicka 66/26
51-314 Wrocław

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Przekład: Katarzyna Dyrzc

Redakcja i korekta: Paweł Kosztyło

Projekt okładki: Matt Seff Barnes Design

Skład i łamanie: Krzysztof Biliński

Wydanie I

Wrocław 2023

ISBN 978-83-67342-48-3

www.domhorroru.pl

facebook.com/domhorroru

instagram.com/domhorroru

Dla Dave'a Barnetta

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze autor ma dług wobec wielu, ale szczególne podziękowania należą się dla: Don D'Auria, Doug Clegg, Rich Chizmar, Tim McGinnis. i Tom Piccirilli. Muszę też podziękować niektórym pracownikom Bay Pines VA Med Center za to, że dopilnowali, bym żył, by napisać jeszcze więcej powieści grozy: Dr Durr, Kent Bown, Steve na ostrym dyżurze, Dr Lopez i Dr Nash. Więcej podziękowań dla Stephanie (za jezioro i za stratyfikacje esoterii); Susan (za interesujące imiona strzelców) i R.J. (za to, że nie lubi Boston Red Sox tak samo jak ja); Julie (za to, że nadal się do mnie odzywa po przeczytaniu CREEKERS); Jill; Amy i Scotta (za zjedzenie kilku moich książek); Mikey'a i innych fajnych ludzi z Philthy Phil's. Dziękuję również Tony'emu i Kim z Camelotu, a także, jak zawsze, Bobowi Straussowi oraz Robowi Stevensowi i Bruce'owi Thomasowi.

PROLOG

FEDERALNA SIEĆ ŁĄDOWA S27-0078
ŚRODKOWA FLORYDA
CZERWIEC 1995

Ciała leżały w kawałkach. Zostały fachowo rozczłonkowane i miały ponad 10 000 lat.

Zespół profesora Fredricka godzinę temu otworzył w końcu skarbiec. To sam Fredrick zlecił skanowanie MMD; krąg kamiennych ław, który początkowo wykopał, był typowym układem zgromadzenia Ponoye. Indianie Ponoye byli ostatnio modni w kręgach archeologicznych, a Fredrick był tym, który ich odkrył. Ten wykop powinien uczynić go sławnym.

Mam już prawie siedemdziesiąt lat, pomyślał. Zasłużyłem na to by być sławnym, do cholery. Tak, odkrył to nieznanne dotąd plemię indiańskie, ale nikt jeszcze nie odkrył ani jednego z ich miejsc kultu. Fredrick już dawno nauczył się, że tajemnice starożytnych plemion zawsze odkrywane są poprzez analizę ich systemu religijnego. Czuł, jak puls mu wariuje z podniecenia.

– Niżej – powiedział do mikrofonu. – Jeszcze trzy metry i będę na ziemi.

Czekał, wisząc w uprzęży, aż jego polecenie zostanie wykonane. Światło latarki obracało się wokół niego, odsłaniając kolejne fragmenty cudowności. Fredrick nie mógł się doczekać, by przed nimi uklęknąć, by się nimi zachwycić jak dziecko u stóp choinki. Podniecenie było przytłaczające, a jego serce waliło pod zakurzoną koszulą. *Byłbym nie dostał zawału serca, ostrzegął sam siebie. Mogę dostać dopiero jutro. Ale najpierw muszę zobaczyć, co jest w tym skarbcu...*

Zawisł w powietrzu, zaledwie kilka metrów nad tym, co prawdopodobnie okaże się najważniejszym znaleziskiem w jego życiu.

Nagle zaczął się unosić. Wciągali go z powrotem na górę.

– Cholera, co wy robicie? – krzyknął do mikrofonu. – Na dół! Na dół!

Został jednak wyrwany z tego nowo odkrytego serca ciemności. Zanim jednak całkowicie opuścił sklepienie, światło latarki na ostatnią chwilę powróciło do tego, co zobaczył:

Ciała. Rozczłonkowane ciała, zakonserwowane przez czas i przypadek niemal do perfekcji...

* * *

– Przepraszam, profesorze – powiedział Dales. Dales był starszym asystentem Fredricka: młody, zuchwały, ale bardzo profesjonalny w swoim fachu. To było trzecie wykopalisko, w którym towarzyszył Fredrickowi, chłopak znał się na rzeczy. Miał zły nawyk żucia żelków niczym tytoniu, ale był przy tym niezwykle zwinny. Fredrick mógł go uważać niemalże za syna i miał nadzieję, że chłopak pójdzie w jego ślady.

Dales kontynuował swoje pospieszne wyjaśnienia, dlaczego tak szybko wyciągnął Fredricka z brzucha cenoty.

– To przez sprzęt. Pochodzi z zapasów uczelni. Federalni mogą zapłacić za to wykopalisko, ale nie kupią nam nowego sprzętu do badań.

– O czym ty mówisz?! – Fredrick nerwowo tupnął nogą.
– Sonda powietrza.
– Co z nią?!

– To pierwsza seria Becton-Dystał, profesorze. Jest praktycznie tak stara jak...
– Jesteś zarozumiałym młodym gnojkiem, wiesz o tym? – zmrużył oczy Fredrick. – Chciałes powiedzieć, że to jest praktycznie tak stare jak ja.

Dales uśmiechnął się ustami pełnymi żelków.

– Nie, psorze, chodziło mi o to, że jest tak stara jak wzgórze i spojrzmy prawdzie w oczy. To prawie to samo. I zanim dostaniesz czwarte odznaczenie w swojej karierze, pozwól, że ci to wyjaśnię. Kiedy po raz pierwszy zrzuciliśmy sondę, wróciła zielona, więc wtedy zrzuciliśmy i ciebie. Gdy już tam byłeś, sonda zabarwiła się na czerwono. Ta cholerna rzecz jest tak stara i zardzewiała, że dawała nam fałszywy wynik pozytywny, a pięć minut zajęło zapisanie prawdziwego odczytu w chromatografie. Kiedy byłeś tam na dole, wdychałeś kilka tysięcy cząstek metanu, CO₂ i radonu. Jeszcze pięć minut w tej dziurze i byłbyś martwy... i nie obchodzi mnie, co mówi reszta wydziału, profesorze. Świat ma się lepiej z tobą niż bez ciebie.

Fredrick wykonał odwzajemniający gest środkowym palcem, ale po kilku pomrukach i szybkim kaszlu odparł. – Dobra robota, synu. Dziękuję.

– Więc teraz dostanę szóstkę z pracy magisterskiej? – roześmiał się Dales.

– Nie przeginaj. – Fredrick w końcu zrzucił z siebie resztę niezgrabnej upręży. Podniósł się raban, gdy kilku innych rozentuzjasmowanych uczniów wrzuciło biały wąż wentylacyjny do dziury. Dales udał zaniepokojenie, chwycił Fredricka za ramiona i odwrócił go od tego widoku. – Proszę nie patrzeć, profesorze. To przywoła traumatyczne wspomnienia – ostatnią kolonoskopię!

– Jesteś dziś przezabawny, Dales. To, co powinniśmy zrobić, to wrzucić cię do tej dziury. Po prostu usiądź tam i mów o sobie przez pięć minut, całe to gorące powietrze z pewnością wydmucha wszelkie toksyczne opary.

– Ajć, szefie! To jest prawdziwy strzał w kolano!

Fredrick zmarszczył brwi oślepiiony słońcem. Cała ta aktywność na placu budowy zaczynała go denerwować: klekot silników pogłębiarek, ciężarówki wjeżdżające i wyjeżdżające z zagłębienia, niekończący się stukot łopat wgrzających się w kamienistą ziemię.

– Jak długo potrwa odpowietrzanie?

Dales usiadł na odkopanym kawałku czarnego granitu, który prawdopodobnie był kiedyś używany jako miejsce kaźni.

– Tam na dole może być wiele jardów sześciennych przestrzeni – zauważył. – Znasz zasady. Jak duża jest ta dziura?

– Trudno to określić. Zdążyłem tylko rzucić okiem, zanim zostałem wciągnięty z powrotem. Nie mogłem nawet oszacować, jaki jest obwód wnętrza.

– To może potrwać godzinę, a może potrwać miesiąc. – wzruszył ramionami Dales.

Ta wizja wstrząsnęła nim. Chciał tam wrócić. Teraz. Natychmiast.

– I jesteś pewien, że widziałeś ciała? – zapytał Dales.

– Rozczłonkowane ciała – odpowiedział Fredrick. – Na wysokości bioder i ramion.

– Hmm. – Dales zastanowił się nad tym. – Masz na myśli kości?

– Kończyny, niewiarygodnie dobrze zachowane. Zasadniczo, nienaruszone.

– Po 10,000 lat? – kontynuował Dales. – Gówno prawda, to jest jakiś zbieg okoliczności. Wysoki poziom azotu, nieskażony termiczny strumień metanu i

dwutlenku węgla, a ponieważ cenota była tak dobrze uszczelniona, cały gaz radonitowy, który wydobywał się z łupków, nigdy się nie ulotnił. Dla każdego archeologa to ostateczne wyzwanie.

Mniej techniczna terminologia Dalesa okazała się jednak trafna. Niesamowity przypadek stworzył absolutnie najlepsze warunki środowiskowe dla ochrony archeologicznej. Zwyczajny łut szczęścia sprawił, że ciała zostały doskonale z mumifikowane.

Dziesięć tysięcy lat, uświadomił sobie Fredrick. I wciąż nienaruszone...

– Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę miny tych głupków, którzy śmiali się z ciebie przez cały ten czas. – Roześmiał się Dales. – Chryste, to nie jest jakieś torfowisko w Andach czy roztopiony piedmont w Nepalu. To jest Floryda, szefie. Odkryłeś, że plemię indiańskie praktykowało usystematyzowany kult religijny, zanim jeszcze istniała jakakolwiek religia. Wymiatasz, wiesz o tym? Jesteś zajebisty!

Choć Fredrick docenił zachęcające uwagi – jakkolwiek grubo ciosane – wiedział, że żadne z jego odkryć nie zostanie uznane za wiarygodne, jeśli to, co wydawało mu się, że zobaczył w skarbcu, okaże się jakimś złudzeniem optycznym. Niższa zawartość tlenu mogła bardzo łatwo spowodować takie halucynacje. A w wieku Fredricka, jak przypuszczał, także myślenie życzeniowe. Ale on czuł się taki pewny. Był pewien, że widział ciała i był pewien, że widział...

– A co z głowami? – zapytał Dales, jakby przechwytyjąc jego myśl. Ale co za dziwna rzecz, by o to pytać. – Czy to były tylko ręce i nogi oddzielone od tułowia, czy także głowy?

– Głowy też – odparł Fredrick.

– A więc miałeś rację przez cały czas. Przez cały ten czas mówiłeś, że Ponoye byli rytualnym plemieniem ofiarnym.

Fredrick od razu zauważył, o co mu chodzi, po czym szybko sprostował:

– O nie, nie sądzę, że te ciała były ofiarami. Leżały na podłodze skarbcu na wznak. Żadnego wzoru, żadnego porządku. I byli to kapłani.

– Chyba sobie żartujesz.

Fredrick potrząsnął głową tak energicznie, że posypało się z niej trochę pyłu.

– Ich rytualny strój oczywiście wystarczająco się utlenił, ale wciąż mogłem bardzo dobrze rozpoznać jego pozostałości. Ci mężczyźni mieli na sobie alby i stuły, wymyślne sutanny. Były cztery ciała, Dales, i widziałem, że na ziemi leżały także cztery nakrycia głowy.

– I tu cię mam. Głupi ja – mrugnął Dales – Nakrycie głowy zazwyczaj nie pozostaje na głowie, gdy głowa jest odcięta.

– Zgadza się, bo nie sądzę, że zostały odcięte.

Dales spoważniał.

– Masz na myśli, że w jakiś sposób oderwały się po mumifikacji? Jakiś wstrząs, trzęsienie ziemi?

– Nie, nie, nie – upierał się Fredrick. – Nie mówię o wyglądzie głów przed śmiercią, tylko po śmierci, o tym, jak wyglądały ich szyje. Głowy nie zostały odcięte, Dales. Zostały oderwane.

Dales wypluł pośpiesznie żelki i spojrzał z powrotem na Fredricka.

– Teraz zaczynasz mnie przerażać. Zazwyczaj to kapłani składają ofiary. A ty chcesz mi powiedzieć, że 10 000 lat temu ktoś szedł tam i złożył w ofierze kapłanów?

Pomimo ostrego słońca, drżał stojąc w zaduchu. Miejsce to przywodziło mu na myśl gwałt i przemoc. Grupa gorliwych studentów rozdzierała ścianę zbocza dwudziestokilogramowymi kilofami. Inni obracali łopatami wokół amorficznych kształtów znalezisk, które ostatnie sześć dni wykopalisk podniosło z niepamięci wieków. W powietrzu unosiły się kłęby kurzu. Gorączkowy dźwięk metalu uderzającego o skałę rozbrzmiewał jak znajoma pieśń. Fredrick spędził całe życie na wydobywaniu zaginionych cywilizacji z grubej skorupy ziemi. Jednak nigdy wcześniej nie czuł się jak intruz.

Spojrzał w dół na swoje skórzane buty pokryte plamami gliny, takie same, jakie nosił na niezliczonych wykopaliskach. Od Galii do Niniwy, od Jerycha do Troi i Knossos. Myślał o sobie jako o widmie przyszłości. Wszystkie te miasta, niegdyś wielkie, zostały przeznaczone do tego, by tysiąc lat później rozdeptały je znoszone buty Fredricka. Czas je pogrzebał. Całe cywilizacje zamknięte w warstwach gliny. Deptał po ukrytych światach, zdając sobie sprawę, z tego że ktoś taki jak on będzie deptał po nim.

Ale nie dzisiaj...

Dzisiaj Fredrick miał być łącznikiem między teraźniejszością a najciemniejszą przeszłością.

Samotny, wpatrywał się teraz w wejście do wykopalisk.

Cenota, pomyślał. Tak, to, co każdy inny nazwałby po prostu dziurą w ziemi, ludzie tacy jak Fredrick nazywali cenotą. Cenoty i zigguraty. Wieża i tunel. W górę i w dół. Wszystkie starożytne cywilizacje podporządkowały się jakiejś podobnej duchowej ideologii.

Niebo było w górze. Piekło było na dole.

Wieża Babel, na przykład, była zigguratem, uświęconą strukturą, której wysokość miała przybliżyć kapłanów do nieba.

Fredrick, w tej odizolowanej, tropikalnej dolinie, znalazł odpowiednik – ceremonialną cenotę – której głębokość miała zbliżyć kapłanów do świata podziemnego.

Blżej diabłów.

Ponoyowie. Starożytne tablice tego nieznanego indiańskiego plemienia mówiły o świętej cenocie – *cennana* – i wyglądało na to, że Fredrick ją znalazł. Taką samą jak starożytne cenoty w Mezopotamii, z tą różnicą, że...

Ta cenota musiała zostać wykopana 5000 lat wcześniej niż najstarsza mezopotamska cenota, pomyślał Fredrick.

Dowód na istnienie ascetycznego systemu religijnego osiem tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa?

W Ameryce Północnej?

To wywróci do góry nogami współczesną społeczność archeologów...

Fredrick był pewien, że ciała w krypcie to kapłani Ponoye. Nieprawdopodobne warunki panujące w cenocie doskonale zachowały ich stroje: ozdoby na piersi. Bransolety i opaski na rękach. Nakrycia głowy – bardziej przypominające szpiczaste mitry asyryjskich kapłanów niż cokolwiek, co można by uznać za typowy strój ceremonialny rdzennych Amerykanów. Ponoyowie byli wyjątkowi pod wieloma względami: po pierwsze, mieli ekskluzywny, skomplikowany język pisany i przepisywali pismo religijne mniej więcej w tym samym czasie, kiedy egipska

arystokracja pisała na papirusie. Po drugie, pisali hieratycznie: tylko duchowni mogli uczestniczyć w pisaniu. Po trzecie, nie byli czcicielami przyrody. Byli teologami pochodzenia.

Innymi słowy, Ponoyowie nie czcili boga na wysokościach. Czcili „niższych” Bogów.

Fredrickiem wstrząsnęły tłumione emocje. Jego stare stawy zaczęły boleć już od samego chodzenia tam i z powrotem przed barierką zabezpieczającą wejście do pieczary. Po chwili zdał sobie sprawę, że słońce zaczęło zachodzić, a on nawet tego nie zauważył. Jeden ze studentów przechodząc przywołał go gestem ręki:

– Przyjechało jedzenie, profesorze. – I wtedy reszta ekipy wykopaliskowej zaczęła się rozchodzić. Nagle na placu budowy zapadła cisza, z wyjątkiem miarowego chrobotu małego wentylatora, napędzanego silnikiem. Dopiero, gdy został zupełnie sam, Fredrick zauważył panel wyświetlacza starej sondy.

Świecił się na zielono.

Minęło już wiele godzin; z pewnością powietrze w cenocie zdążyło się już oczyścić. Dales'a nigdzie nie było widać, bez wątpienia stał w kolejce po posiłek.

Cholera, pomyślał Fredrick. Nie mógł dłużej czekać. Zaczął przypinać się do uprząży zjazdowej.

– Do diabła z wyciągarką – mrucał do siebie. – Zrobię to w stary, sprawdzony sposób... Środki ostrożności i zwykły zdrowy rozsądek opuściły go; skończył się wpinać. Kilkadziesiąt metrów pod jego stopami, czekała na niego z otwartymi ramionami tajemnica sprzed 10 tysięcy lat.

Nie będzie dłużej zwlekać.

Trzymając linę mocno na piersi, Fredrick zaczął opuszczać się w dół do dziury. Metalowe wypustki na czubkach butów pomogły mu utrzymać tempo i po kilku chwilach z wprawą eksperta schodził w dół wąskiej gardzieli. *Uważaj na krawędź*, przypominał sobie, gdy zniżał się już jakiś czas. Wkrótce powinna pojawić się „górną ścianą” – strop sklepienia.

Czubek jego buta szurał w dół, badając czy to już koniec. *Nie spieprz tego teraz, ty stary krętaczu!* ostrzegł sam siebie. To prawda, że w przeszłości zjeżdżał po linie setki razy, ale teraz miał siedemdziesiąt lat. Nawet swobodny zjazd z wysokości zaledwie kilku stóp mógł złamać mu biodro lub rozwalić kolano.

Ostrożnie, ostrożnie...

Teraz opuszczał cały swój ciężar ciała tylko dzięki sile ramion. Absolutna ciemność sklepienia zdawała się pochłaniać go w całości.

Niżej...

Gdzie jest to cholerne dno!

...i jeszcze niżej. Całkowita czerń pozbawiła go wszelkiego poczucia wymiaru; dla jakiejś pierwotnej części jego psychiki stopy mogły dyndać nad głębokim na kilometr szybem. Ten mentalny obraz, spotęgowany przez ciemność, która teraz wydawała się coraz ciemniejsza, sprawił, że serce zaczęło walić. Wiedział, że nie jest wystarczająco silny, by wciągnąć się z powrotem w głąb zapadliska, gdzie przynajmniej mógłby się usztywnić. Teraz jego ramiona drżały i zdał sobie sprawę, że jego jedynym wyjściem jest puścić się i swobodnie opaść.

Nie musiał wydawać polecenia swoim rękóm, aby puściły linę. Cała siła w jego rękawiczkach ustąpiła, a on ...

Proszę, Boże! Uratuj mnie! ... upadł może osiem cali przed tym, jak jego stopy wylądowały na dnie jaskini.

Idiota. Stary, szalony głupiec.

Ale mimo wszystko dziękował Bogu.

Stał nieruchomo w ciemności, pozwalając sercu trochę zwolnić, odzyskując prawdziwe zmysły. Jestem tutaj. Wreszcie. W końcu dotarło do niego, jak wielki wymiar ma ten fakt:

Jestem pierwszą ludzką istotą, która postawiła stopę w tym miejscu... od dziesięciu tysięcy lat...

Sięgnął w dół, wyszukał linkę, do której przywiązał latarkę, po czym chwycił obiema rękoma. Odczekał chwilę, po czym – z jakimś tandetnym poczuciem dramatyzmu – latarka zawisła, wciąż wyłączona. *Kiedy ją włączę, zobaczę fragment tego, co może być najbardziej tajemniczą historią, jaką kiedykolwiek odkryto w Ameryce Północnej...*

– Dość melodramatu – powiedział na głos. – Zamiast stać tu jak jakiś siedemdziesięcioletni emeryt, włącz tę cholerną latarkę.

Minęło jeszcze kilka sekund, a on tego nie zrobił.

Mógł się tylko domyślać. Historycznie ludzką naturą jest bać się ciemności, ale w tej chwili, jak się wydawało, Fredrick bał się światła.

Dlaczego?

Na podłodze leżą rozczłonkowane ciała, pomyślał. Hierarchicznych kapłanów Indian Ponoye. Jak to się stało, że zostali rozczłonkowani?

Bał się.

Jaki horror rozegrał się tutaj, gdy kończyła się ostatnia epoka lodowcowa?

Nie były to typowe lęki naukowca zajmującego się historią. Ludzie tacy jak Fredrick myśleli w kategoriach datowania węglem, stratyfikacji gleby, wag, pomiarów i próbek rdzeni. Jego świat istniał w kategoriach obiektywnych cech, a nie...

Nie emocjonalnych, nielogicznych pojęć, takich jak strach.

W końcu, czego miałyby się bać?

Cokolwiek dopuściło się makabrycznego okrucieństwa, które miało tu miejsce, z pewnością już dawno odeszło. W zimnym, rozsądnym, naukowym świecie Fredricka nie było duchów. Nie było diabłów. Ponoye czcili niższe demony z tej samej mechaniki przesądów formacyjnych, które wpłynęły na wszystkie gatunki wczesnego człowieka. Wierzyli w nie, owszem.

Ale demony nie istniały.

Kiedy profesor Fredrick włączył latarkę, zobaczył, że wyraźnie się mylił.

Demony istniały.

I jeden z nich sięgał teraz po niego....

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

(I)

Zawsze było jasno. Zawsze było tak cicho.

Zawsze było tak samo.

Clare wiedziała, że to sen, ale jakoś nigdy nie przyszło jej to do głowy, gdy go przeżywała, co czyniło go jeszcze bardziej okrutnym. Bycie zgwałconą było jak przypominanie sobie własnego morderstwa po reanimacji. Czy nie dość rzeczy w jej życiu poszło nie tak? Dlaczego los uznał za stosowne przekląć ją tym koszmarnym snem już trzeci raz w tym tygodniu?

W tym koszmarze była tak samo sparaliżowana, jak wtedy, gdy to się wydarzyło: on jej coś wstrzyknął. Nie mogła się poruszyć, ale wszystko czuła. Najbardziej mrozące krew w żyłach słowa, jakie kiedykolwiek słyszała, rozbrzmiewały teraz jak w horrorze:

– Nie-nie-nie martw się, Clare. Nie skrzywdzę cię, dopóki nie skończę. – Chwyił drapak swoją dziwacznie zdeformowaną prawą ręką, wyposażoną tylko kciuk i palec wskazujący – wada wrodzona, jak jej powiedziano. Lewa ręka była normalna. Z jakiegoś powodu szczegóły tego wydarzenia – we wspomnieniach – nigdy nie były tak niepokojące, jak ten jeden obraz – zdeformowana dłoń.

Potem ta ręka robiła z nią różne rzeczy: pieściła, głaskała w różnych miejscach. Chciała podskoczyć i krzyczeć, walczyć tak zaciekle, jak tylko kobieta potrafi, zabić go, ale oczywiście nic takiego się nie stało. Narkotyk sparaliżował ją tak skutecznie, jak złamany kręgosłup.

Nie mogła się wzdrygnąć. Nie mogła się nawet poruszyć.

Wszystko, co mogła zrobić, to leżeć i patrzeć, widzieć wszystko, czuć... wszystko.

Postanowił zgwałcić ją w sali autopsji w bazie, gdzie jaskrawe światło oślepiło ją, a skóra pleców kurczyła się od zimna stalowego stołu. Wokół panowała... przesywająca, okrutna cisza. Jediną rzeczą, którą mogła usłyszeć, było mlaskanie jego warg i bicie jej serca. Ugryzł ją kilka razy, a każde zaciśnięcie zębów przesywało jej ciało.

Została potraktowana jak kawałek mięsa, jej cenne życie i ciało zostało zdewastowane dla rozrywki tego zbrojnego. Nieważne, że jej nie zranił – ugryzienia ledwie naruszyły skórę – i nieważne, że zanim zaczął pracować nad nią szpikulcem, przerwał mu strażnik. To, co zszokowało Clare, to postawa Wojskowego Biura Śledczego, wyraz ich twarzy mówiący: „Sama się o to prosiła”. Reszta oburzenia rozgrywała się przez upokarzające miesiące, z cotygodniowymi nagłówkami w gazetce bazy, takimi jak: „Zeznanie w procesie sugeruje, że „zgwałcona” porucznik kłamała”, albo „Sędzia powiedział, że nie będzie procesu o gwałt dla porucznik Prentiss; zamiast tego sąd wojenny”. Sprawca miał alibi, strażnik został opłacony, badanie nasienia dało wynik negatywny, a ona oblewała każdy test wykrywaczem kłamstw.

To wszystko było ukartowane.

Po „Tailhook”, skandalu seksualnym w Aberdeen Proving Grounds, „sierżantach-gwałcicielach” z Fort Letterwood, itd., Wujek Sam nie tolerował już więcej obciążających nagłówków.

Nie tolerowałby więcej tego w kraju, podobnie jak pułkownik Harold T. Winster, dowódca korpusu badawczego... ponieważ sprawcą był syn Winstera.

Zamiast tego stara, dobra korupcja i seksizm rzuciły Clare z wagi sprawiedliwości.

Usiadła ociężała na wąskim łóżku. Przez pogieęte żaluzje okienne wdzierały się ślady świtu. *Kolejny dzień, kolejne rozdanie*, pomyślała. Pokój, w którym się obudziła, nie pachniał zbyt dobrze; schroniska dla bezdomnych nigdy nie pachniały. Z innych prycz dochodziło jednostajne, lekkie chrapanie. Clare budziła się tak każdego ranka: w szoku, z niedowierzaniem. I wściekła jak diabli.

To nie ja! – myślała, patrząc na inne kobiety śpiące na swoich pryczach. *To nie ja! Ja tu NIE PASUJĘ!*

Nie pasowała. Ale i tak tu była, i to już od kilku miesięcy.

Niebotycznie wysokie wyniki SAT i wykształcenie wyższe ze średnią ocen 3,9 nie miały żadnego znaczenia, podobnie jak wojskowa klauzula tajności Secret-SI. Na jej zwolnieniu z Sił Powietrznych USA, wypisanym fantazyjnym gotyckim pismem, widniał na samej górze napis *ZWOLNIONA DYSCYPLINARNIE*. Każdy pracodawca, który sprawdził jej podstawowe dane o karalności i zdolności kredytowej, natychmiast dowiadywał się o jej statusie. Jej dyplom z prawa karnego był teraz wart mniej niż rolka papieru toaletowego; żaden wydział policji ani żadna firma ochroniarska w kraju nie chciała jej tknąć. Jej wybitne osiągnięcia w służbie przed sądem wojennym były nieważne, podobnie jak pochwały i medal za męstwo. W każdym aspekcie, kształcie i formie nazwisko Clare Prentiss było gównem warte.

Nawet najbardziej podstawowe prace za minimalną płacę nie były dla niej dostępne; gospodarka turystyczno-dolarowa w rejonie Tampa Bay była bardzo konkurencyjna. Każda praca wymagała złożenia podania i odbycia rozmowy kwalifikacyjnej, która w końcu ujawniłaby jej niehonorową przeszłość z wojska. To było niedorzeczne. Stanowiska dozorczy, zmywanie naczyń, usuwanie śmieci – te miejsca pracy były wszędzie, ale nikt nie chciał jej zatrudnić. Złożyła podanie o pracę w firmie, która czyściła śmietniki.

– Zatrudnienie cię to proszenie się o kłopoty – powiedział – Dlaczego miałbym cię zatrudnić, skoro następna osoba w kolejce nie ma zwolnienia dyscyplinarnego?

Nie można było zaprzeczyć racji pracodawcy, ale... *Śmietniki, na litość boską! Nie chcą mnie zatrudnić nawet do czyszczenia śmietników!* Podobnie wypadła rozmowa o pracę przy wyławianiu ostryg.

– To jest praca dla kretynów, kochanie, ale ja potrzebuję uczciwych kretynów. Przykro mi, ale jesteś zbyt dużym ryzykiem – powiedział szef. Clare była bliska załamania.

– Jakie jest ryzyko? – odparła. – Boisz się, że co zrobię? Ukradnę ostrygi? Wsadzę kilka do kieszeni każdej nocy i wyjdę z nimi? Sprzedawać je na ulicy, żeby mieć na crack? Jezu Chryste, zostawcie mnie w końcu w pokoju!

Właściciel tylko wzruszył ramionami:

– Jestem człowiekiem interesu. Nie mam obowiązku dawać ci spokoju. Faktem jest, że masz gównianą przeszłość, więc cię nie zatrudnię. Jasne, to do bani, że dziewczyna z twoim wykształceniem nie może dostać pracy przy ostrygach... ale powinnaś była o tym pomyśleć, zanim spieprzyłaś sobie życie. – Clare chciała go załatwić od razu i trzykrotnie rzucić nim o podłogę, aż zacząłby wyć. Zamiast tego wyszła.

– Nie spieprzyłam swojego życia – szeptwała do siebie, w zniszczonym łóżku w schronisku dla bezdomnych. – Zostałam wrobiona i zerwano ze mną umowę.

Ale nikt nie chciał tego słuchać. To była historia każdej kobiety, która miała pecha. To była wina kogoś innego. Wierzyli w to tak samo, jak w to, że każdy skazaniec, którego zapytasz, jest naprawdę niewinny.

Tak właśnie mówił do niej teraz świat: *Powodzenia, kochanie.*

Pot na jej skórze był jak śluz ślimaka. W słabym świetle poranka zmrużyła oczy i spojrziała na zegarek: 04:57. Piękny zegarek chromatyczny przypominał jej tylko, że wkrótce będzie musiała z niego zrezygnować. Czterysta dolarów w sprzedaży detalicznej, ale miałaby szczęście, gdyby dostała za niego 1/3 ceny od lombardów w St. Pete. Dostała go, gdy została I Oficerem Lotnictwa... wtedy, gdy była kimś, gdy była szanowana i lubiana. Wtedy, gdy miała swoje życie.

Pracownicy schroniska przyjdą za godzinę, by ich obudzić. Koszmar zaprzepścił wszelkie szanse na porządną nocny odpoczynek i nie było sensu próbować zasnąć teraz – zdeformowana ręka jej gwałciciela będzie na nią czekać, wiedziała o tym. Po co dawać mu satysfakcję? *Czas opuścić to miejsce*, pomyślała. Autobusy zaczną odjeżdżać z Williams Park dopiero za godzinę, a jeśli będzie miała szczęście, uda jej się złapać ciężarówkę Misjonarek Miłosierdzia na Czwartej Ulicy i dostać darmową kanapkę. Chwyciła swoje ubrania z metalowego składanego krzesła przy łóżku i cicho pomknęła do latryny. Upał na Florydzie dokuczał wystarczająco, a schronisko nie miało klimatyzacji. Clare czuła się obrzydliwie, jej stanik i majtki przyklejały się do ciała. Przyjemny chłodny prysznic był tym, czego potrzebowała. Może to poprawiłoby jej nastrój.

Albo i nie.

Aaaaaaaaaaaaaaaw, cholera! pomyślała. *Tester dezodorantów!*

To prawda, że była teraz nieudacznikiem według wszelkich standardów, ale nie będąc uzależnioną od narkotyków czy alkoholu, przynajmniej kwalifikowała się do testowania prywatnych produktów. Pieniądze nie były duże, ale lepsze to niż nic. Dziś, ze wszystkich rzeczy, testowała nowy dezodorant roll-on, z dziwnym zastrzeżeniem: nie wolno jej wziąć prysznica przez dwadzieścia cztery godziny. Czarujące. Dziś będzie bardzo gorąco. Kolejny kopniak w tyłek.

Nie będę biadolić, postanowiła.

Próbowała umyć włosy w zlewie, ale kran był za krótki, a umywalka za płytka. Musiała się zadowolić tylko umyciem rąk i twarzy; potem wciągnęła na siebie ubrania i pośpiesznie wyszła ze schroniska na ulicę.

Centrum Saint Petersburga było piękne o poranku... jeśli patrzyło się na wschód, w stronę wody. Na zachód znajdowało się mnóstwo poplamionych, murowanych moteli, lombardów i barów z alkoholem. Zaciśnęła mocno pięści, zobaczyła tych wszystkich włóczęgów i meneli siedzących spokojnie na trawie i jedzących kanapki. Ciężarówka z kanapkami odjeżdżała.

Stała na rogu, powtarzając w duchu: *Nie będę płakać. Nie będę krzyczeć. Nie stracę tego. Na świecie jest mnóstwo kobiet, którym wiedzie się sto razy gorzej niż tobie, więc... pogódź się z tym, CLARE! Tak się po prostu składa, że z jakiegoś cholernego powodu masz zły dzień. Po prostu... pogódź się z tym.*

Czasami naprawdę wierzyła, że to może być jakiś defekt w jej duchowości, że jakieś bóstwo – Bóg, Budda, Ktokolwiek – karze ją za zmarnowanie życia, które kiedyś było pełne możliwości, za to, że po prostu nie postanowiła być dobrym człowiekiem.

Tak, czasami rzeczywiście brała pod uwagę taką możliwość.

– Niech to szlag – wyszeptwała na głos. – Jestem dobrą osobą. Nie ma we mnie nic złego. Stań na nogi i naprawię swoje życie.

W kieszeni miała dokładnie pięć ćwiercdolarówek. To pozwoliłoby jej wsiąść do autobusu nr 35 jadącego na 66 ulicę. Nie było tu przesiadek, więc musiałaby przejść

pieszo te trzydzieści przecznic do budynku Hillover Products Testing.

Dobrze. To będzie trudne, ale zamierzała to zrobić.

Po prostu to zrób i przestań się mazać.

Zadygotała, gdy na przystanku zobaczyła stojącą wychudzoną, pozbawioną środków do życia kobietę z zaniedbanymi blond włosami i zapadniętymi oczami. Podarte buty, pogniecione wojskowe spodnie o kilka rozmiarów za duże i zabrudzony oliwkowy T-shirt z napisem U.S. AIR FORCE TOP PISTOL TEAM – MACDILL AFB. Tą kobietą była oczywiście ona sama, jej odbicie w wiacie przystanku.

Dolna warga Clare zadrżała, na myśl o tym, co naprawdę się z nią działo. Umierała z głodu, była wycieńczona. Całe jej życie szło na dno.

W oku pojawiła się łza.

W koszu na śmieci zauważyła brązową papierową torbę z chińskim jedzeniem na wynos. Na wpół zjedzona bułka z jajkiem w otwartym białym pojemniku wyglądała bardzo kusząco. Były w niej mrówki. *Nie będę jadła śmieci*, pomyślała z przekonaniem.

Czekaj, co jest...

Sięgnęła na dno torby i prawie pisnęła, gdy znalazła kilka plastikowych opakowań z sosem do kaczki i ostrą musztardą. I, co lepsze, jedno ciasteczko z wróżką zawinięte w celofan.

Poczula się zawstydzona, że inni widzą ją w takim stanie; mimo to opakowania z dodatkami smakowały wyśmienicie. Schrupała ciasteczko z wróżką. Przepyszne.

Potem przeczytała swoją wróżbę:

PRZYTRAFI CI SIĘ DZIŚ COŚ BARDZO DOBREGO

(II)

Kolejna faza szczytowania Kari Ann zdawała się ją przygniatać. Tak, była tłamszona przez swoją pasję, była ponaglana przez swoją potrzebę. Kari Ann Wells, która przerwała naukę w czwartej klasie, nie była specjalnie wyedukowana, by zrozumieć, dlaczego tak się dzieje... i nie obchodziło jej to. Na przykład nigdy by jej nie przyszło do głowy, że uzależnienie od metamfetaminy może mieć z tym coś wspólnego. Zamiast tego wołała myśleć o sobie jako o namiętnej kobiecie, która realizuje swoje fizyczne pragnienia w kobiecy, naturalny sposób, a nie jako o społecznym wyrzutku beznadziejnie uzależnionym od mety, a następnie oddającym się szalonym seksualnym ekscesom z powodu środowiska, w którym żyje i związanego z nim uzależnienia od nienaturalnej stymulacji pewnych chemicznych receptorów w jej wkrótce – jeśli nie już – uszkodzonym mózgu.

Kari Ann była menelara z przyczepy, innymi słowy ćpunką i dziwką, której możliwość wolnej woli już dawno została oddana w ręce tragedii nadużywania substancji. W swoim własnym umyśle była jednak pełną życia, szczęśliwą kobietą, która kochała być kochaną.

A w tej chwili Jory Kane dawał jej naprawdę wielką miłość.

W drzewach panowała istna kakofonia, a odgłosy nocy były niemal dotykalne, gdy Jory wbijał się w nią. Caleb wysłał ich z powrotem do łodzi po więcej sprzętu, ale nie uszli ścieżką dwóch minut, gdy ręka Jory'ego znalazła drogę w dół jej spodni. Reakcja była niemal automatyczna, była w niej zakorzeniona. Natychmiast ściągnęła z siebie top i pociągnęła go do najbliższego miejsca wśród palm.

– Cokolwiek zrobisz – wyszeptala – nie mów Calebowi....

– Pieprzyć Caleba – mruknął i zdarł z niej szorty. Równie szybko opuścił swoje dżinsy, po czym wepchnął jej kolana z powrotem na twarz.

Kari była gotowa; zawsze była gotowa. Ale...

– Nie zamierzasz założyć....

Ummph!

Nie, odpowiedział jej na to kolejnym gestem. Nie zamierzał.

– Caleb nie daje ci tego co ja teraz....

Kari Ann westchnęła.

Nie. Caleb tego nie robił.

Boże, on jest ogromny, było wszystkim, o czym miała czas pomyśleć, po czym wszedł w nią. Początkowy dyskomfort był przepyszny, gwałtowna penetracja sięgająca prosto w nią i włączająca wszystkie seksualne zmysły naraz. Jak włącznik światła – pstryk! – i już była włączona, gorące, tykające urządzenie, gotowe do użycia. Jory dobrze ją wykorzystał.

Przez chwilę straszna myśl przeszła przez jej umysł: Caleb chrześzczący na ścieżce, zastanawiający się, co zajęło im tyle czasu, który... ich znajduje.

Nie chodziło o to, że Kari Ann obawiała się przemocy fizycznej – Caleb był raczej grubaskiem, który nigdy w życiu nie brał udziału w bójkach i którego pomysł na przemoc polegał pewnie na zamachnięciu się na komara – po prostu nie chciała stracić tego korzystnego układu. Caleb miał własną przyczepę o wymiarach 24 na 52 metry w Pelican Park, którą kupili mu rodzice. Przyczepa była naprawdę ładnie urządzona: okna w każdym pokoju, duży japoński telewizor, magnetowid, DVD i jedna z tych anten satelitarnych. Nigdy nie musiał pracować, bo miał jakąś dziwną chorobę kości, przez którą trochę dziwnie chodził, więc dostawał 795 dolarów miesięcznie zasiłku, plus kilka tysięcy miesięcznie od rodziców. Widzisz, Caleb był białasem z górnej półki, typem mężczyzny, z którym wszystkie kobiety z rasy Kari Ann chciały się ustatkować. Nie ćpał, tylko pił piwo i żuł tytoń, i był szczęśliwy, mogąc przekazać swojej kochającej „dziewczynie” sporą część tej miesięcznej gotówki. Caleb utrzymywał Kari Ann w kryształowej metamfetaminie, a Kari Ann utrzymywała Caleba w zafałszowanym stanie poczucia własnej wartości.

Idealny związek.

Caleb był „skarbem” Kari Ann i ona na pewno nie zamierzała go stracić przez nieostrożność. Jasne, zdradzała go przy każdej rozsądnej okazji, ale wiedziała, że z Jory’em będzie musiała być naprawdę ostrożna. Byli dalekimi kuzynami, czy jakoś tak, i kiedy Jory wyszedł z więzienia ostatnim razem, zaczął podlizywać się Calebowi. Caleb, przy całej swojej niepewności, lubił być widziany publicznie z wielkim, twardym kumplem, takim jak Jory. To sprawiało, że czuł się dobrze. Więc Jory też miał swoją grę do rozegrania. I tak samo dużo do stracenia.

Jej pot przesiąknął leśną ściółkę. Jory pieprzył ją dalej. Gdyby jej kobiecość była rabatką, Jory wykopałby ją z korzeniami, chwastami i wszystkim innym. Ekstaza ją pożerała, a pierwszy orgazm eksplodował. Seksualne możliwości Jory’ego zredukowały ją do małej, ciepłej, mokrej rzeczy, której jedynym celem na świecie było wicie się w rządy i odczuwać przyjemność.

Niechętnie szepnęła między pchnięciami: – Kochanie, musisz się pospieszyć! Caleb będzie nas szukał...

Jory, jak zawsze romantyczny, natychmiast przycisnął swoją dłoń do jej ust. Mocno.

– Cicho, suko. Próbuje dojść.

Teraz Kari Ann mogła oddychać tylko przez nos. To szorstkie i chamskie traktowanie uraziło ją... na jakieś pięć sekund, a potem jej rozkosz wydawała się tylko spotęgowana tym gestem obraźliwego lekceważenia. Spojrzała w niebo. Przez rozłożyste głowy palm nad głową mogła dostrzec księżyc, a ten zdawał się patrzeć na nią równie intensywnie, jakby ją obserwował, milczący podglądacz, który zadowalał się obserwowaniem jej rozkoszy.

Wiła się i wiła, gdy kolejne orgazmy wybuchają głęboko w jej wnętrzu.

W swojej błogości zdołała pomyśleć:

– Biedny, mały, gruby Caleb. Mam nadzieję, że dobrze się bawi ze swoją wędką.

* * *

Caleb cierpiał z powodu lekkiego bólu pleców, zarzucając wędkę. Próbował dopasować swój brzuch do ostrego nurtu jeziora, ale to przynosiło tylko kolejne pajęczyny bólu. Osteopenia była dokuczliwa, ale poza tym nie mógł narzekać. Miał szczęście, że jego rodzice są bogaci i mają ładną kawalerkę. *Dziękuję Bogu za wspaniałą, kochającą dziewczynę, pomyślał. I za mojego nowego wspaniałego najlepszego przyjaciela, Jory'ego.* Caleb był skromnym facetem i nie brał niczego za pewnik.

Zastanawiam się, co im tak długo zajmuje...

Wszystko, co zrobił, to wysłał ich z powrotem do łodzi po więcej przynęt i większe ciężarki. Okazało się, że jezioro było bardziej grząskie niż się spodziewał; Caleb chciał złowić słynnego węgorza, a to jezioro podobno go skrywało, ale potrzebował głębszego ciężarka. Miał już dość łowienia w słonej wodzie – potrafił łapać morskiczki i okonie we śnie – i obłowił większość jezior w całym rejonie zatoki. Caleb potrzebował nowego miejsca i dlatego zdecydował się zaryzykować i przyjechać tutaj, nad jezioro Stephanie, które jest chronionym jeziorem w federalnym rezerwacie ryb i zwierzyny.

Jory pomógł mu z ekwipunkiem, a także szybko rozprawił się z ogrodzeniem za pomocą śrubokrętów. Taka forma wtargnięcia była przestępstwem federalnym i było bardzo prawdopodobne, że wszystko, co Caleb złapie, będzie gatunkiem chronionym.

Ale Caleb był wielkim, odważnym wsiórem. Twardym facetem, którego nie powstrzymałby żaden znak zakazu wstępu. Był mężczyzną i na Boga, jeśli chciał łowić ryby w tym jeziorze, to na pewno będzie łowił w tym jeziorze. Caleb był pewien, że to właśnie jego męskość i brak szacunku dla prawa były tym, co podniecało Kari Ann. Aha, no i jego krzepka sylwetka też miała znaczenie. Pod tym piwnym brzuszkiem kryło się mnóstwo mięśni.

Kari Ann i Jory dobrze się z nim dogadywali; nie przepadali za wędkowaniem i Caleb to rozumiał. Łowienie ryb przypominało grę w kręgle, skomplikowany sport, hobby dla ludzi myślących. To naprawdę miłe, że zawsze byli tacy chętni, by pomóc mu w jego niepełnosprawności. Byli prawdziwymi przyjaciółmi. Caleb wiedział, że wkrótce poprosi Kari Ann o rękę, a Jory będzie oczywiście drużbą.

Nie ma nic cenniejszego niż dobra kobieta i dobry przyjaciel.

Światło księżycy unosiło się na falach wody. Kołysało Caleba i sprawiało, że stawał się senny. Ośiem puszek Keystone Light też trochę pomagało, ale to nie miało znaczenia. Cholera, pomyślał i rozejrzał się dookoła. Nadal nie wrócili? Gdybym nie wiedział lepiej, mógłbym ich podejrzewać o...

Nie ma potrzeby nawet kończyć tak perwersyjnej myśli. Caleb wiedział, że szanse na to, że Kari Ann go zdradzi, są tak duże, jak to, że jutro słońce zapomni wstać.

Ale jego przynęty po prostu tam nie schodziły; nie trzymały. Węgorz Crackjaw, sum Graysby, pstrąg Scamp – wszystkie one czekały na niego w tym jeziorze, a on na pewno nie przebył całej tej drogi, by odejść z pustą lodówką. *Potrzebuję mocniejszych wędek w tej kotlinie!*

Chyba będą musiał podnieść swój wielki tyłek i sam wrócić do łodzi, pomyślał. Kari Ann i Jory musieli się zgubić.

Caleb już miał wstać, gdy coś go pociągnęło. Zaciął haczyk i zaczął zwijać. *Półtora kilo, dwa, może dwa i pół, ocenił po szarpnięciu. Pstrąg? Nie wyglądał na takiego. Prawie w ogóle nie było widać walki. Zwinął go i...*

– Cóż, czyż to nie jest najbardziej przerażająca rzecz...

To, co zwisało z jego wędkę, żywe i pełne życia, było homarem.

Caleb uwielbiał homary, a ten miał naprawdę spore rozmiary. Istniał jednak duży problem. Homary były słonowodnymi dziesięcionogami, a jezioro Stephanie było jeziorem słodkowodnym, tak pewnym jak to, że pomarańcze na Florydzie są pomarańczowe.

– Hmm, czyż to nie bije wszystkiego na głowę?

Nie będąc człowiekiem skłonny do głębokich przemyśleń, Caleb odrzucił szczęśliwy traf i włożył rozbrykane, klaszczące ogonem stworzenie do chłodni. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że to, co złowił, nie było tak naprawdę homarem, ale langustą – dwadzieścia do trzydziestu razy większą niż normalnie.

– Ding!

Kolejne mocne uderzenie, zaraz po tym jak zarzucił wędkę – Podwójny dong! – Wędka wygięła się, jakby wciągał cegłę. *To coś dużego! Najwyższy czas!* Nie zważając na osiem piw i osteopenię, wstał, by zwinąć swoją nagrodę. Wtedy jego „nagroda” odbiła się od dna tak mocno, że wędka została mu wyrwana z rąk. Caleb nie mógł w to uwierzyć.

Wędka poleciała do tyłu i wylądowała w wodzie. *Co to do cholery mogło być?* Caleb bardzo chciał wiedzieć, ale chciał też odzyskać swoją wędkę. Widział, że unosi się ona na wodzie kilka metrów dalej, dzięki pływakowi na rękojeści. Z trudem więc wszedł do wody, po kolana, potem po biodra. *Ta wędka kosztowała dobre cztery stowy. Nie dam jej na zatracenie. A co to mogła być za ryba? W słodkiej wodzie?*

– To musiało być coś naprawdę dużego...

Caleb nagle zatrzymał się w wodzie. Coś naprawdę dużego rzuciło się na niego.

Nie panikuj. Stał nieruchomo z założonymi rękami. Za nim znowu coś wielkiego – coś długiego na pięć, może osiem stóp – rzuciło się na niego.

Pieprzyć wędkę i kołowrotek. Wynoszę się stąd... Obrócił się bardzo powoli, by nie wzburzyć wody, podniósł jedną stopę, by zrobić pierwszy krok do przodu w stronę brzegu i...

CAP!

Woda wezbrała. Szczęki o szerokości trzydziści centymetrów uderzyły Caleba prosto w krocze i zacisnęły się. Przewrócił się, krzycząc, rozpryskując wodę, zataczając w niej szaleńcze kręgi, gdy drapieznik kręcił się razem z nim: węgorz – tak – długi dziesięć stóp i szeroki na stopę. Wielkie szczęki zacisnęły się mocniej; Caleb był sparaliżowany, niezdolny do reakcji, niezdolny nawet do wydania z siebie ostatniego krzyku, zanim sama waga i zwierzęca siła tego stworzenia wciągnęła go pod wodę, do...

Cisza. Czerni. Przerazenie.

Impulsy w mózgu Caleba wciąż jeszcze się przemieszczały, choć wszelki ludzki rozsądek zniknął. Po prostu utonąłby w tym zimnym, frenetycznym horrorze, z tym czymś, co gryzło go w pachwinę. Nigdy więcej nie będzie łowił ryb. Już nigdy nie będzie się kochał z Kari Ann i nie przybije piątki ze swoim dobrym przyjacielem Jorym.

I wtedy, tuż przed śmiercią... Jakaś ręka złapała go za kołnierz i wyciągnęła z wody.

– Jory, dzięki Bogu! Zdejmij to cholerstwo ze mnie!

W końcu węgorz puścił, ból ustąpił, a Caleb odetchnął z niemal bezmyślną ulgą.

Zostałem uratowany! Zostałem uratowany!

Po powrocie na brzeg padł z wyczerpania, spojrzał na Jory'ego i...

To nie był Jory.

Gdy Caleb spojrzał na twarz tego, co go wyciągnęło, uświadomił sobie, że dużo bardziej wolałby zostać w wodzie z węgorzem.

* * *

Kari Ann leżała naga i błogo wyczerpana na miękkim dywanie z opadłych liści palmowych i mchu. Była małym duszkiem lasu, tropikalną Wenus wylegającą się w swojej pluszowej domenie. Włosy miała zmierzwiłone, skórę pokrytą potem. Wdychała ciepłe nocne powietrze, wpatrując się z rozmarzeniem w gwiazdy. Taka spokojna, taka naturalna, taka piękna...

Jory oddał głośno mocz kilka metrów dalej, a w trakcie tego całego procesu puścił długiego bąka.

Aby przypieczętować tę romantyczną chwilę, Kari Ann powiedziała:

– Kochanie, dostaję apopleksji, jestem tak kurewsko zła. Weź faje; popalimy sobie.

– Sikałem, dziewczyno! – odparł. Z tego, co słyszał, zaczynał nowe ujście. Widziała go z boku, między palmami, z rękami na biodrach i plecami wygiętymi w łuk. *Co za mężczyzna... Taki przystojny... Szkoda, że Caleb ma tyle pieniędzy, bo ja bym...* Ta myśl ją zgniotła. *Cholera! Jak mogłam zapomnieć?*

– Mieliśmy wyciągnąć te wędkę z łodzi, Jory! Caleb będzie tu lada chwila!

Jory wciągnął na siebie dżinsy.

– Ten gruby pudding? On łowi ryby. Pieprzyć go.

– Ale, Jory...

Słabe pomarańczowe światło na krótko zmieniło surową twarz Jory'ego w migoczącą maskę. Odpalał swoją fajkę!

– Jory! Podzielisz się tym ze mną, prawda?

Jory wydał z siebie ostry pomruk.

– Czy ja wyglądam na Świętego Mikołaja? Chcesz ćpać, pieprz diler. – Zaciągnął się mocno. – Weź trochę od swojego grubego kochanka.

Kari Ann zmarszczyła brwi. *Mężczyźni. Co za banda drani. Gdy już dasz im to, czego chcą, srają na ciebie.* To była smutna refleksja, do której jednak zdążyła już przywyknąć. Położyła się z powrotem na plecach, z dłońmi ułożonymi za głową, wpatrując się w niebo. Nawet chamstwo Jory'ego nie mogło zniszczyć tej chwili piękna dla niej...

Pac...

To był cichy dźwięk, ale... dziwny. Coś uderzyło o ziemię. Kokos czy coś innego? To pewnie Jory rzucił w nią swoim ubraniem, niegrzeczny kutas. Usiadła, spojrzała w dół – i głośno wrzasnęła. Caleb z rozbieganymi oczami i wysuniętym językiem wpatrywał się

w nią – to znaczy odcięta głowa Caleba. Głowa upadła pomiędzy rozłożonymi nogami Kari Ann.

Zdrętwiała z przerażenia, wydała z siebie jeszcze kilka krzyków, tak wysokich i głośnych, że ptaki poderwały się z drzew, a jaszczurki pomknęły w poszukiwaniu schronienia. Jory szedł w jej kierunku i w swoim przeważnie spowolnionym umyśle sądziła, że idzie jej pomóc.

Ale szedł jakoś dziwnie, powłócząc nogami, i wyglądało to tak, jakby coś przynosił, niósł coś w rękach, a teraz stał tuż przed nią upuszczając to, co niósł. Upuścił to prosto na kolana Kari Ann. Garść swoich własnych wnętrzności. Gorące flaki uderzyły prosto w nią, rozpryskując się, a Kari Ann krzyknęła wyżej i głośniej. Jory przewrócił się z rozcięciem w brzuchu, z którego wylała się reszta wnętrzności. Kari Ann kopała i krzyczała, gdy wielka, niewidzialna ręka ciągnęła ją za włosy powoli i wytrwale w stronę lasu.

Ten wieczór miał dla niej jeszcze wiele do zaoferowania.

(III)

– Nie myłaś się, prawda? – zapytała zuchwała gruba kobieta dość obelżywym tonem.

– Nie, proszę pani – odpowiedziała Clare.

Wygląda na to, że pani od razu uspokoiła prowadzącą panel. Właściwie to trzy kobiety z nadwagą siedziały przed nią przy stole, a Clare była zdumiona, gdy zauważyła małą tabliczkę z napisem OFICJALNY PANEL WĄCHAJĄCY.

– Powodem, dla którego pytam, jest to – i nie obraź się, moja droga – że ludzie tacy jak ty mają tendencję do lekceważenia instrukcji. Inna gruba kobieta jakby się roześmiała.

– Z drugiej strony, ludzie tacy jak ty i tak nie myją się zbyt często.

Ludzie tacy jak ja, uświadomiła sobie Clare. *Bezdomni, ludzie na bezrobociu. Bumelanci.*

– Nie słuchaj jej, kochanie. Rozumiemy waszą trudną sytuację; dlatego pozwalamy kilku z was skorzystać z możliwości wzięcia udziału w naszych testach. Wiecie, żeby wam trochę pomóc.

Clare zacisnęła zęby i przyjęła to do wiadomości.

– Bardzo to doceniam, proszę pani.

– Dobrze. Teraz proszę zdejmij koszulę i podnieś prawą rękę.

Clare zrobiła to, świadoma, że jej zła dieta zmniejszyła jej piersi do tego stopnia, że stanik zwisał. Każda z kobiet przechodziła obok i wachała jej pachę, po czym siadała z powrotem. *Nie mogę uwierzyć, że to robię. Pozwalam grubym kobietom wachać moją pachę za pieniądze.*

– Bardzo dobrze, moja droga. A teraz załóż z powrotem swoją koszulkę.

– To wszystko?

– Na razie tak. – Potrójny podbródek liderki lekko zadrgał, gdy szybko spojrziała na zegarek. – Jest już dziesiąta. Następne wachanie masz w południe, a następne o drugiej.

– Co powinnam zrobić w międzyczasie, proszę pani? Zostać w holu?

– Nie, nie, kochanie. Idź na spacer w słońcu.

– I nie myj się! – dodała inna.

– Po wachaniu o drugiej dostaniesz swoje dwadzieścia dolarów.

– Tak jest, proszę pani. Dziękuję, proszę pani. – Clare zatrzymała się zamyślona. *Właśnie podziękowałam kobiecie... za to, że mnie obwąchała. Jezu.*

– Jesteś dobrą, pełną szacunku młodą dziewczyną, a ponieważ twoje testy krwi są negatywne na alkohol i narkotyki – w przeciwieństwie do większości podobnych ci osób – zapiszę cię do regularnego testowania. Będą to głównie mydła, dezodoranty i szampony. Jeśli będziesz dotrzymywać terminów, zarobisz sześćdziesiąt dolarów tygodniowo.

– Jestem pani bardzo wdzięczna, proszę pani.

– Dobrze. A teraz rusz się. Musimy zacząć naszą pracę.

Clare wyszła z biura, zostawiając kobiety, aby – co oczywiste – spisywały opis zapachu pachy Clare. Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Dla niej sześćdziesiąt dolarów tygodniowo to było dużo pieniędzy. Testowali te nowe produkty pod kątem wysypek skórnych, reakcji alergicznych itp., ale ona chętnie podjęłaby to niewielkie ryzyko. A gdy zacznie dostawać więcej jedzenia, będzie mogła podnieść poziom białka i zacząć sprzedawać osocze. Wtedy naprawdę by się rozkręciła. Na zewnątrz, w blasku porannego słońca, naprawdę się uśmiechnęła. Nieświadomie jej ręka wsunęła się do kieszeni, wyczuła maleńką wróżbę z ciasteczka, które znalazła w śmietniku. Zapowiadała dobre rzeczy dla niej. I choć wydawało się to dziwne, właśnie się spełniała.

Nie bierz niczego za pewnik – ostrzegła samą siebie i ruszyła w stronę parkingu. *Jasne, będzie dziś gorąco jak w piekle, ale będę w tym chodzić i LUBIĆ to. To drobnostka.* W służbie zawsze osiągała maksimum w każdym teście. Robiła długie marsze w terenie z pełnym plecakiem i ledwo się pociła. Dziś faktycznie miała dostać za to pieniądze.

Tak, to był dobry początek, a kto wie? Może będzie jeszcze lepiej.

– Clare Prentiss?

Mężczyzna wydawał się pojawić znikąd, z blasku słońca odbijającego się od dachów samochodów. Wysoki, po trzydziestce, niezłe wyglądający w jasnym, dobrze skrojonym garniturze. Wyglądało na to, że wyszedł z lśniącego, nowego mercedesa.

Natychmiast pomyślała: Gliniarz. Z narkotykowej, prawdopodobnie. Na Florydzie wszyscy oni jeździli drogimi, nieoznakowanymi mercedesami; były to samochody do przechwytywania narkotyków.

– Nie – powiedziała Clare i spróbowała przejść obok. Nie miała nic do ukrycia, ale po prostu nie podobało jej się to.

– Numer ubezpieczenia społecznego 220-75-2516?

Cholera! Kim jest ten facet?

– To, kim jestem, to moja sprawa. Miłego dnia.

Ruszyła dalej.

– Po prostu sprawdziliśmy pani numer SS w bazie danych hrabstwa; stąd wiedzieliśmy, że pani tu będzie, pani Prentiss – prawie bełkotał, próbując nadążyć. – To jest całkowicie legalne. Mam na imię Dellin.

– Czego chcesz, Dellin? – zapytała, nie zatrzymując się.

– Cóż, jak już mówiłem, chcę wiedzieć czy jesteś Clare P. Prentiss, była pierwszą porucznik w Służbie Bezpieczeństwa Sił Powietrznych, 31 Pułk, 1 Jednostka Bezpieczeństwa, Baza Sił Powietrznych MacDill.

Clare zatrzymała się, rozwścieczona.

– Tak!

Dellin przyglądał się jej długo, porównując ze zdjęciem.

– Wow, chyba... wpadłaś w jakieś tarapaty, co?

– Nie, ja zawsze się tak ubieram!

Znowu ruszyła przed siebie. To wszystko śmierdziało; musiała się stamtąd wydostać. Na Florydzie wciąż istniało prawo włóczęgostwa. Tutejsi gliniarze byli znani z tego, że kierowali ciężarówkę do granicy z Georgią i wyrzucali ich na zbity pysk, a było tylko jedno miejsce gorsze od Florydy dla włóczęgi i była to Georgią.

– Czekaj!

– Nie zrobiłam nic złego! Nie, nie mam adresu, nie mam pracy, nie mam żadnych środków utrzymania, ale nie jestem przestępcą, więc zostaw mnie w spokoju, panie władzo!

– Myślisz, że jestem policjantem? – zaśmiał się. – Czy ja wyglądam jak policjant?

– Nie odpowiedziała, tylko szła dalej.

– Jezu, nie jestem gliną, jestem mitoehtonologiem korowym!

Nawet Clare, w swojej pilności i złości, musiała się na tym zatrzymać. Zmarszczyła brwi, mrużąc na niego oczy.

– Czym?

– Jestem... – Machnęła ręką. – Długa historia. Jestem naukowcem, to wszystko.

– Czego do cholery, chcesz ode mnie!

– Proszę się odprężyć, pani Prentiss.

Krótki bieg za nią sprawił, że nabrał wiatru w żagle.

– Chcę ci tylko zaoferować pracę.

ROZDZIAŁ DRUGI

(I)

Wyspa w kształcie litery V, była ostatnią z szeregu barier, które zaczynały się tuż przy Clearwater na Florydzie i ciągnęły się w dół jakieś czterdzieści pięć kilometrów wzdłuż Zatoki Meksykańskiej. W rzeczywistości była to najbardziej wysunięta na południe wyspa w tym regionie, połączona z pozostałymi wyspami mostem, jedynym dostępem do jakichkolwiek obszarów zamieszkałych przez ludzi. Podstawa „V” wskazywała na ujście Zatoki Tampa – stąd jego pierwotne przeznaczenie jako garnizonu marynarki wojennej.

Fort Alachua Park został zbudowany w 1898 roku, aby chronić zatokę przed najnowszym wrogiem Stanów Zjednoczonych: Hiszpanią. Ale hiszpańskie „imperium” nigdy nie zdobyło się na śmiałość, by przypuścić jakikolwiek atak; gdyby tak się stało, 12-calowe moździerze nadbrzeżne i szybkostrzelne karabiny przeciwokrętowe fortu natychmiast przeniosłyby wszystkie ofensywne okręty na dno dziewiczych wód, gdzie i tak wylądowała większość hiszpańskiej floty. Budowa fortu została ostatecznie skrytykowana przez niektórych członków Kongresu jako kolosalne marnotrawstwo pieniędzy Departamentu Wojny USA, ponieważ po tym wydarzeniu stał on praktycznie nieużywany aż do 1942 roku, kiedy to Army Air Corp przekształciła go w poligon do ćwiczeń lotów bombowych.

Może więc nie było to takie marnotrawstwo; Tibbets i Ferebee nauczyli się zrzucać bomby w Forcie Alachua. Chociaż ci dwaj mężczyźni zrzucili razem tylko jedną bombę w walce, okazali się groźną drużyną. Tibbets był pilotem, a Ferebee bombardierem samolotu zwanego Enola Gay.

W 1960 roku fort został oficjalnie wpisany na listę National Register of Historic Places, nie tylko ze względu na swoją przeszłość jako posterunku wojskowego, ale także ze względu na swoje istnienie jako kompletne subtropikalne siedlisko. W długich, kanciastych granicach 900 akrów znajdowało się zasilane źródłami jezioro, namorzyny, bagna, lasy liściaste i siedem mil nietkniętej, białej, piaszczystej plaży. Dziś pozostała tam imponująca artyleria, oryginalne kamienne koszary, posterunki obserwacyjne i bastion dowodzenia, który teraz pełni funkcję muzeum – wszystko to stanowiło niesamowitą atrakcję dla turystów. Dla entuzjastów przyrody było to jeszcze lepsze miejsce; najbardziej unikalna flora i fauna Florydy znajdowała się w parku Fort Alachua, a jego wyjątkowa geografia sprawiała, że był to jeden z najlepszych parków nad Zatoką Perską do biwakowania, pływania łódką, wędkowania i wędrówek na łonie natury.

W połowie lat dziewięćdziesiątych całe wschodnie skrzydło parku zostało zamknięte dla zwiedzających.

(II)

Jaki miała wybór? Cóż, bardziej pragmatycznym wyborem mogło być raczej odejście, niż wsiadanie do samochodu z zupełnie obcym człowiekiem. Instynkt podpowiadał jej, że ten przystojny, dobrze ubrany mężczyzna o imieniu Dellin prawdopodobnie nie jest mordercą ani seryjnym gwałcicielem, chociaż Theodore

Bundy też był przystojny i dobrze ubrany. Desperacja wzięła tu górę nad zdrowym rozsądkiem. Była bezdomna od prawie roku, a tu nagle ten wysoki, sympatyczny facet w eleganckim samochodzie oferuje jej to, czego potrzebowała bardziej niż czeokolwiek innego na świecie – pracę. Clare wiedziała, że ma tylko jeden wybór. Wsiadła do samochodu. Wciąż pamiętała techniki walki wręcz. Jeśli on spróbuje czegoś dziwnego, pomyślała, skopię mu tyłek. Proste.

Powiedział, że jest kimś w rodzaju naukowca, a gdy już wyruszyli w drogę, był na tyle szczerzy, że bez pytania pokazał dokument tożsamości. DANIELS, DELLIN, NARODOWY INSTYTUT ZDROWIA: TRANSFEKCJA I UKIERUNKOWANIE MOLEKULARNE. Clare nie wiedziała, co to wszystko znaczy, ale legitymacja była wyraźnie oficjalna.

– Więc... co z tą pracą? – zapytała.

– To samo, co robiłaś wcześniej. Praca w ochronie.

Clare lubiła myśleć o swojej pracy jako dowódcy plutonu wojskowo-policyjnego w Służbie Ochrony Sił Powietrznych jako o czymś nieco bardziej znaczącym niż „praca ochroniarska”. Nie pilnowała sklepu ze słodyczami; była odpowiedzialna za ochronę ściśle tajnych baz danych dla Korpusu Badań Klinicznych Sił Powietrznych. Mimo to nie mogła narzekać. Zgadywała, że to pewnie płaca minimalna, ale na pewno lepsze to niż dwadzieścia dolarów za podstawienie pachy pod twarz grubej babie.

– Słyszałaś o parku Fort Alachua? – zapytał Dellin. Zjechał z autostrady i teraz skręcał przed Don Cesar – przypominającym różowy zamek, najszynniejszym hotelem na wybrzeżu. Chwilę później kierował się na południe. *Jedziemy na plażę?* zastanawiała się Clare.

– Kierunek Fort... co? – zapytała.

– Park Fort Alachua. Tam właśnie jedziemy.

– Urodziłam się i wychowałam w Maryland. Spędziłam cztery lata na Florydzie, w MacDill, ale prawdę mówiąc, zawsze byłam tak zajęta moim plutonem, że nigdy nie miałam okazji zobaczyć niczego poza centrum Tampy. Nigdy nawet nie poszłam na plażę. Więc nie wiem zbyt wiele o tej okolicy. Słyszałam o Parku Alachua, ale nigdy tam nie byłam. To jakieś wielkie pole namiotowe czy coś takiego, prawda?

– Wszystko to i o wiele więcej. – Dellin jechał dalej główną ulicą. Luksusowe hotele przy plaży zmieniły się w spokojniejszą dzielnicę mieszkalną. – Zimą to duży ośrodek turystyczny, świetny na wycieczki przyrodnicze, spływy kajakowe, wędkowanie. To prawdopodobnie najbardziej zróżnicowany kemping na Florydzie, bo jest tu wszystkiego po trochu. Jest tu jezioro źródlane, gaje palmowe, prawdziwa polana i prawdziwe Bayou. Maniacy natury uwielbiają to miejsce – zwłaszcza zimą. Latem jest tu tak nieznośnie gorąco, wilgotno i roi się od komarów, że nikt nie zbliża się do tego miejsca.

– Brzmi jak raj – powiedziała Clare. – Nie mogę się doczekać.

– Nie martw się, klinika jest klimatyzowana.

– Klinika?

– Przepraszam, zaczynam się zapędzać. – Dellin potrząsnął głową. – Zapomniałem o najważniejszym. Chcemy, abyś była odpowiedzialna za ochronę w naszej klinice onkologicznej.

– Klinice nowotworowej? – Clare nie mogła się powstrzymać, wyglądała na zaskoczoną. – Zbudowaliście klinikę onkologiczną w środku tropikalnego kempingu?

– Wiem, brzmi to dziwnie, ale to wszystko z powodu cięć budżetowych. Fort Alachua jest technicznie własnością U.S. Park Service – innymi słowy, jest ramieniem rządu federalnego. Rząd federalny nie może sobie pozwolić na zakup nowych terenów pod nowe projekty, więc po prostu zredukował park Fort Alachua o połowę. Zachodnia połowa jest nadal parkiem publicznym. Wschodnia połowa jest teraz prywatną własnością Departamentu Spraw Wewnętrznych, a Departament, w pewnym sensie, pozwała Siłom Powietrznym z niego korzystać.

– Rozumiem. Chcesz, żebym znowu pracowała dla Sił Powietrznych – wykrztusiła Clare.

– Nie, będziesz pełniła taką samą funkcję jak ja – odpowiedział Dellin. – Jestem wypożyczony do tego projektu z Narodowego Instytutu Zdrowia. Nie pracuję dla Sił Powietrznych, po prostu zostałem podwykonawcą. Podobnie z tobą; będziesz cywilnym podwykonawcą. Wiem, że po tym, co ci się przytrafiło, nie jesteś zbyt dobrze nastawiona do Sił Powietrznych, ale nie martw się. To wszystko jest prowadzone przez cywilów. Żadnego personelu Sił Powietrznych na tym terenie, nigdy. Siły Powietrzne finansują ten projekt, ponieważ posiadają patent na leki.

– Jakie leki? – zapytała z irytacją w głosie.

– Jezu, przepraszam. Właśnie przyszło mi do głowy, że nawet nie wiesz, co się stało. Twoja ostatnia służba, Ośrodek Badań Klinicznych, znalazła lekarstwo na jedną z absolutnie najgorszych form raka.

– Naprawdę?

– Tak. To było około rok temu, mniej więcej w czasie, gdy zostałam zwolniona. Wynaleziono lek, który celuje w komórki nowotworowe i niszczy je w typie raka zwanym rakiem stromatycznym. Zawsze był on nieuleczalny, ponieważ rozprzestrzenia się bardzo szybko; jest to najszybciej rosnący nowotwór, jaki istnieje. Siły Powietrzne znalazły środek immunologiczny, który zatrzymuje go i leczy czasami nawet w ciągu miesiąca. To spory przełom.

– Tak, to brzmi jak wielki przełom – zgodziła się Clare, ale nie mogła do końca stłumić swojego cynizmu. – Więc jak to się stało, że nie słyszałam o tym w wiadomościach?

– Ponieważ nie jest to jeszcze zatwierdzone przez FDA. Dlatego właśnie zbudowali klinikę – testy na ludziach zatwierdzone przez FDA rozpoczęły się kilka tygodni temu.

Brzmiało to ekscytująco, ale... Siły Powietrzne? Kliniki? Aneksje ziemi? *Nic z tego nie rozumiem*, pomyślała Clare.

– Słuchaj, wiem, że szczegóły są zagmatwane – kontynuował Dellin. – Powodem, dla którego zaanektowanie połowy parku przez wojsko było legalne, jest to, że zgodzili się oficjalnie przekwalifikować wschodni sektor na Rezerwat Siedlisk Naturalnych. W ten sposób żadne z nowych praw środowiskowych nie zostałoby złamane. Zazwyczaj, gdy badania wojskowe prowadzą do odkrycia, które poprawiłoby zdrowie publiczne, badania te są następnie przejmowane przez Departament Zdrowia USA. Powód, dla którego tak się nie stało w tym przypadku, jest czysto polityczny. Jeśli z badań Sił Powietrznych pochodzi znacząca terapia raka, Siły Powietrzne otrzymują większy przydział budżetowy na przyszłe badania. Zazwyczaj wojsko tnie takie rzeczy tak szybko, jak tylko może, bo nie chce zawracać sobie nimi głowy. Spójrzmy prawdzie w oczy, badania wojskowe mają prowadzić do lepszych sposobów zabijania ludzi, a nie ratowania ich.

– Ale ponieważ jest to tak znaczące – wydedukowała Clare – główna metoda leczenia raka, Siły Powietrzne nie chcą oddać zasług cywilom i stracić potencjalnej dojrzałej krowy.

– Dokładnie tak – powiedział Dellin. – Bezpieczeństwo nie jest oczywiście wielkim problemem w klinice onkologicznej, ale musisz wziąć pod uwagę mentalność wojskowych. Szpiedzy w Siłach Powietrznych nie chcą, by ktoś inny wykradał ich badania.

– Szpiedzy przemysłowi – zauważyła Clare.

– Racja. Oboje wiemy, że nic takiego się nie stanie, ale Siły Powietrzne są w tej kwestii bardzo skrupulatne. I istnieje uzasadnione zagrożenie kradzieżą po prostu dlatego, że....

– W klinikach onkologicznych używa się wszelkiego rodzaju środków przeciwbólowych, głównie pochodnych morfiny – tłumaczyła Clare. – Potrzebna jest ochrona, żeby ćpuni nie zwinęli towaru.

– Trafiłaś w samo sedno.

Teraz, gdy знаła więcej szczegółów, poczuła się pewniej. Jedna część wciąż jednak nie pasowała i nie dawała jej spokoju. *Dlaczego ja?*

– Wygląda na to, że zadałeś sobie wiele trudu, by mnie znaleźć – zauważyła – Wiesz, że jestem przegrana, jeśli chodzi o Siły Powietrzne?

– A, twój status zdegradowanej? Jasne, nie martw się o to.

Jego nonszalancja w tej sprawie była zachęcająca.

– Dla takiej pracy jak ta, regularnej pracy w ochronie, dlaczego po prostu nie dać ogłoszenia w gazecie?

– Nie możemy po prostu zatrudnić kogoś z ulicy do tej pracy – wyjaśnił, śmiejąc się. – To, co powiedziałaś wcześniej, jest całkiem słuszne; w klinice onkologicznej jest dużo morfiny. Z tego samego powodu nie możemy zatrudnić ludzi z firmy ochroniarskiej. Potrzebujemy ludzi, którzy mają federalne świadectwo bezpieczeństwa. Wiesz, ile kosztuje zrobienie glejtu komuś nowemu? Więcej niż kilka takich samochodów. A ty już go masz. Inni pracownicy ochrony też są byłymi wojskowymi, posłami. Już sprawdzeni i przeszkoleni.

– Tak, ale mój przypadek jest trochę inny. Mam dyscyplinarne zwolnienie za krzywoprzysięstwo – przypomniała mu. – Mówią, że skłamałam przed sądem wojskowym, że ja....

– Zmyśliłaś historię o tym, że zostałaś zgwałcona. Wiem. Nie przejmuj się tym.

Klarze jednak coś nie dawało spokoju. *Nadal brzmi to trochę podejrzenie*, pomyślała.

– Zakładam, że to praca za minimalną stawkę?

– O nie, nie zrozum mnie źle – Dellin rzucił jej wymowne spojrzenie. – Będziesz szefem ochrony w klinice, a nie jakimś strażnikiem odliczającym godziny na zegarze. Jestem upoważniony do zaoferowania ci na początek pensji w wysokości 52 000 dolarów rocznie, plus darmowe ubezpieczenie zdrowotne i dentystyczne. W dzisiejszych czasach zdają sobie sprawę, że to nie jest dużo pieniędzy dla kogoś z twoim doświadczeniem, ale...

– Pięćdziesiąt dwa tysiące? – Clare była zdumiona.

– Mhmm, plus coroczna podwyżka, dziesięcioprocentowa premia, jeśli zostaniesz na dwanaście miesięcy, potem roczny kontrakt, który możesz negocjować. – Odparł Dellin z irytacją w głosie – Wow, naprawdę mi przykro, jeśli jesteś urażona tą ofertą.

On mówi poważnie!

– Przyjmuję ją – odpowiedziała Clare. – Kiedy zaczynam?

– No cóż, natychmiast.

Clare wiedziała, że może się tym zająć, ale od razu zaczęły jej się pojawiać inne problemy. *Cholera. Jestem bezdomna. Muszę zdobyć ubrania, muszę znaleźć miejsce do życia. Czy ten cholerny park jest w ogóle na linii autobusowej?*

– Mam kilka rzeczy, którymi muszę się zająć – przyznała zażenowana. – Czy myślisz, że byłoby możliwe otrzymanie małej zaliczki z mojej pierwszej wypłaty?

– Och, zapomniałem – przepraszam – Dellin wręczył jej kopertę. Dziwnie grubą kopertę.

– Nie jesteśmy całkowitymi sknerami – powiedział. – Tu jest trochę gotówki na pokrycie kosztów przeprowadzki. Clare zaskoczona liczyła pieniądze: 7500 dolarów w banknotach 100-dolarowych.

– To jest... Jezu! To jest dużo pieniędzy.

– To tylko standardowy przydział na przeprowadzkę.

– Mogę kupić ubrania, używany samochód i jeszcze zostanie mi wystarczająco dużo na przedpłatę na mieszkanie! – wyliczała podekscytowana.

– Kup sobie wszystkie ubrania, jakie chcesz – powiedział – ale samochód nie będzie ci potrzebny. Umowa o pracę zapewnia szefowi ochrony nowego SUV-a za darmo. My płacimy za paliwo, ubezpieczenie, wszystko. Aha, i dostaniesz też darmowe mieszkanie.

Clare prawie zapadła się w fotelu.

– To ładny domek z jedną sypialnią, tuż przy plaży nad zatoką, i też jest całkiem nowy, nie jakiś tam barak. Zbudowaliśmy mały kompleks domków blisko kliniki, dla wygody. Ja tam mieszkam, podobnie jak inni członkowie ekipy. Możecie mieszkać w mieście, jeśli chcecie, ale czynsze są niebotyczne.

Domek. Na plaży. Wolny.

– Myślę, że to wystarczy – powiedziała Clare, wciąż zdumiona.

– I spodoba ci się ta okolica. Jasne, o tej porze roku jest tu gorąco jak w piekle, ale gdy tylko zobaczysz park, zrozumiesz, o czym mówię. To naprawdę jest tropikalny raj.

Przed nimi długa, prosta droga przecinała wyspę. Po obu stronach rozciągały się piaszczyste wydmy, za którymi rosły samotne palmy, a potem pojawiła się plaża. Przez drzewa woda wyglądała na świetlistą, limonkową zieleń. Niebo było bezchmurne, nieskazitelnie niebieskie. W ostatnim roku nędzy zapomniała, jak piękne jest wybrzeże Florydy. *A teraz tu mieszkam*, pomyślała. Albo miała taką nadzieję.

– Domyślam się, że będziesz chciał, abym zrobiła jakiś test umiejętności? A co z moją rozmową kwalifikacyjną?

– Właśnie odbyłaś swoją rozmowę kwalifikacyjną – powiedział Dellin i mrugnął porozumiewawczo. – Zdałaś. Jestem dyrektorem administracyjnym; to ja zajmuję się zatrudnianiem. Twoje pochwały Sił Powietrznych i to wyróżnienie za wybitną służbę pokrywają test umiejętności. Jesteś zatrudniona.

– Wygląda na to, że nie muszę zarabiać w południe na węszeniu – roześmiała się.

– Hę?

– Nic, nieważne. Więc jesteś moim szefem?

– Zgadza się. Teraz idziemy na spotkanie z szefem.

* * *

ZAKAZ PRZECHODZENIA
PARK ZAMKNIĘTY

WSCHODNIA PLAŻA ZAMKNIĘTA
WSCHODNIE MOŁO ZAMKNIĘTE
WSZYSTKIE POLA NAMIOTOWE, SZLAKI TURYSTYCZNE
I SIEDLISKA PRZYRODNICZE ZAMKNIĘTE!

Znak na końcu głównej drogi był wielki jak brama garażowa. Jasnoniebieski z białymi literami.

– Ojej, chyba to miejsce jest zamknięte – zauważyła Clare. Był to spory kontrast w stosunku do poprzedniego, bardziej przyjaznego znaku WITAMY W PARKU ALACHUA, co oznaczało, że do celu pozostały trzy kilometry.

– Tędy... – Dellin wskazał w prawo. – To główna część parku. To tam są wszystkie kempingi i szlaki turystyczne. I, jak widzisz...

Wjechali w ostry zakręt, punkt łączący wyspę w wyraźny kształt litery „V”. Tutaj, z widokiem na ujście Zatoki Tampa, stały prawdziwe budowle fortu z ciosanego kamienia. Wiele z wałów wyglądało tak, jakby zostały zbudowane niedawno, a armaty były w pogotowiu, z łufami w górze. Kilku turystów weszło do zadaszonego rotundą centrum dla zwiedzających.

Wtedy Dellin wskazał w lewo.

– To my.

Kolejne sto metrów idealnie prostej drogi doprowadziło ich do bezobsługowego posterunku przy bramie.

– To dopiero cios w oko – skomentowała Clare.

– Tak, brzydkie, zgadzam się.

Wysoki, dwuwarstwowy płot lśnił dzięki zwojom nowiutkiego drutu kolczastego ze stali nierdzewnej. Bardziej tradycyjny drut kolczasty wypełniał szczelinę między dwoma warstwami ogrodzenia. Ostatnie cztery kilometry jazdy pokazały Clare niewyobrażalne bogactwo naturalnego piękna, które nagle zostało przerwane przez ten nieestetyczny słupek bramy.

– Tylko pracownicy i pacjenci mają dostęp do bramy, a na tym wczesnym etapie nie mamy jeszcze zbyt wielu pacjentów, którzy do nas przychodzą. W sumie jest to mniej niż dwadzieścia osób. Brama to tylko pozory – powiedział Dellin, otwierając bramę pilotem. – Płoty nie sięgają zbyt daleko w głąb lasu.

– Wygląd to dziewięćdziesiąt procent skutecznego zabezpieczenia... a ta brama wygląda całkiem niezłe – skomentowała Clare. – Wiele osób spojrzaloby na to ogrodzenie i odwróciłoby się na pięcie. Ten drut ogrodzeniowy to wysokowytrzymała stal konstrukcyjna; większość śrubokrętów nie przejdzie przez niego, a nawet gdyby udało im się wyciąć dziurę, nigdy nie przebiją się przez cały ten drut kolczasty.

– Mamy nadzieję, że to będzie skutecznie odstraszać – brama wydawała charakterystyczny dźwięk, gdy szybko się za nimi zamykała. Clare z łatwością zauważyła też kamery wideo, wpatrujące się w nich z wysokich wsporników na drzewach. Następny znak nie mógł być bardziej wyraźny.

TEREN ZAMKNIĘTY
UŻYCIE ŚMIERCIONOŚNEJ SIŁY AUTORYZOWANE PRZEZ SEKCJĘ 21,
(Ustawa o bezpieczeństwie państwa 1950 – 50 797)
INTRUZI ZOSTANĄ OSTRZELANI.

– Wow. To wygląda poważnie. Macie tu uzbrojonych wartowników?

– Tak. Ciebie. I dwóch innych. Jak już mówiłem, głównie szczekaczki – budżet nie przewiduje żadnych dodatkowych strażników. Jest jeden strażnik z amerykańskiej służby parkowej, ale jego jurysdykcja kończy się na bramie.

– Dlaczego? Przecież to wszystko ziemia federalna?

– Tak, ale nie jest już otwarta dla użytku publicznego. Z prawnego punktu widzenia jest różnica między parkiem amerykańskim a rezerwatem siedliskowym. Za bezpieczeństwo rezerwatu odpowiada „podmiot zatwierdzający” – w tym przypadku Siły Powietrzne. Departament Zasobów Naturalnych Florydy również nie ma żadnej władzy. Jeśli chodzi o pracownika służby parkowej, to przychodzi on do nas tylko raz w tygodniu, aby złożyć raport o potencjalnych naruszeniach, albo od czasu do czasu możesz go zobaczyć, jak obstawia jedno z ulubionych miejsc kłusowniczych. Zgłaszamy mu wszelkie wykroczenia przeciwko ziemi, ale zawsze są to drobne sprawy.

– Jakież przykłady?

– Wyrte inicjały dziewczyny na zagrożonym gatunku palmy, albo dewastacja tropikalnego wzgórza, które zostało niedawno zasadzone, takie rzeczy. Aha, i wędkarstwo. Wkrótce się zorientujesz, ale wschodni kraniec wyspy składa się z trzech odnóg, które odgałęziają się od głównego odcinka. Na środkowej części znajduje się całkiem spore słodkowodne jezioro, które jest zarybiane zagrożonymi rybami. Dlatego co jakiś czas wymykają się tam czerwonoskórzy z południowego St. Pete i próbują nas okraść. Jezioro jest jednym z miejsc poza związkiem, na które musisz mieć oko.

Jak na razie brzmi to dobrze, pomyślała Clare. Ale nie była zarozumiała; Dellin wyraźnie chciał ją do tej pracy, ale musiała jeszcze spotkać się z kierownikiem kliniki, a niezależnie od wpływów Dellina wiedziała, że złe wrażenie może zaprzepaścić całą sprawę. Spojrzała na siebie z góry i zdała sobie sprawę, że wygląda jak kupa gówna. Ubrania są brudne i pogniecione, a ona śmierdzi. Jeśli szef tego miejsca zobaczy mnie w takim stanie, wyrzuci mnie z powrotem za drzwi, prawdopodobnie z klamerką na nosie.

– Naprawdę muszę się doprowadzić do porządku przed spotkaniem z szefem. Chcę, żebyś wiedział, że nie zawsze tak wyglądam.

– Nie przejmuj się tym – powiedział Dellin po raz kolejny. – W klinice jest prysznic i szatnia. Możesz się umyć i założyć mundur ochroniarza. To w zupełności wystarczy.

Westchnęła z ulgą. Wciąż miała mnóstwo pytań, ale teraz sceneria zakłócała jej skupienie. Główna część wyspy zdawała się istnieć w idealnej symetrii: idealnie prosta droga, idealnie proste wąwozy spływowe, a potem idealnie proste rzędy palm.

– A teraz zobacz to – powiedział Dellin i uśmiechnął się do niej. Skręcił w lewo, w dobrze wypoziomowaną pełną drogę i zatrzymał się.

Clare złapała oddech. Droga – znów idealnie prosta – zdawała się wwiercać w las, była wirtualnym tunelem prowadzącym przez gęsty tropikalny las złożony z wysokich na ponad sto stóp plam i sosen australijskich. Dwa drzewa wyznaczające wejście były połączone na samych szczytach przez rozłożyste liściaste pnącza i hiszpański mech, niczym naturalny łuk. W jednej chwili słońce biło w nich mocno, ale zaraz potem... samochód powoli wjechał w chłodną, cichą ciemność, w krajobraz nieskalanej natury, niepodobny do niczego, co Clare kiedykolwiek widziała.

– Niezły widok, co?

– Tak – zgodziła się Clare. – Tylko trochę ładniejszy niż park w centrum St. Petersburga.

- W tym parku znajduje się mały skrawek każdego naturalnego przypadku geograficznego w stanie Floryda i prawie każdy rodzaj fauny i flory. Praca tutaj jest prawie jak bycie na wakacjach przez siedem dni w tygodniu.

- Rozumiem, co masz na myśli, ale... - powiedziała. Nie mogła stłumić nagłego zastrzyku pesymizmu. Wszystkie te miesiące spędzone w schronisku, spanie pod mostami i czekanie na wygraną na loterii wżarły się w nią jak plama, która nie chce zejść.

- Muszę ci coś powiedzieć, Dellin. Nie jestem osobą, która patrzy darowanemu koniowi w zęby, ale to wszystko jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

- A może po prostu zasługujesz na coś dobrego dla odmiany? - uśmiechnął się Dellin.

Clare usiadła z powrotem. *Tak. Może naprawdę zasługuję...*

ROZDZIAŁ TRZECI

(I)

W zasadzie Kari Ann nie posiadała już umysłu człowieka. Wszystko, czym się teraz kierowała, to nerwy, adrenalina i podstawowy instynkt tubylczy. Od czasu do czasu pojawiały się w niej strzępki pamięci, ale tylko na kilka sekund, odtwarzając horror ostatniej nocy: dekapitacja Caleba, wypatroszenie Jory'ego i... to, co nastąpiło potem. Coś jeszcze ją prześladowało – wysoki, kołyszący hałas, jak kot w ogniu, ale wtedy Kari Ann zdała sobie sprawę, że po prostu pamięta swoje własne krzyki.

Szesnaście godzin później, naga i okaleczona, leżała całkowicie zakopana w leśnym runie, z odsłoniętym nosem i jednym okiem. Ostatniej nocy mężczyzna, który zabił Caleba i Jory'ego, włókł ją przez las przez wiele godzin, ale co piętnaście minut robił sobie przerwę, by ją zgwałcić.

Tak właśnie minęła noc – cała noc.

Nigdy nie widziała swojego napastnika – wołał ją na brzuchu, w brudzie – czuła tylko jego wyczerpujące i niemal perfidne gwałcenie jej ciała. Nigdy nie powiedział ani słowa. Opór był jednak bezużyteczny, a nawet niemądry, o czym przekonała się dość szybko. Miał ramiona twarde jak wyschnięty cement, a uścisk jak imadło. Raz go kopnęła, celując w pachwinę, ale nie trafiła. Zareagował na to tylko chwytając ją za nadgarstek, który ścisnął aż ... trzask! ... jej nadgarstek pękł.

Później znów zaczęła krzyczeć i najwyraźniej zaczęło go to denerwować. Szarpnął ją za włosy, dłonią zakrył usta. Drugą ręką zacisnął jej nozdrza. Pozwolił jej powoli się dusić, drzeć, a na chwilę lub dwie przed tym, jak miała umrzeć, uwolnił – po to, by sekundę później kontynuować duszenie, gdy zdążyła wydusić z siebie jeden oddech. Robił tak przez jakiś czas, dusił i puszczał, dusił i puszczał, aż dotarło do niej, co chce jej powiedzieć: “Nie krzycz”. Miała okazję sprawdzić swoje postanowienie właśnie wtedy i tam; czynność doprowadzania jej na przemian do stanu bliskiego śmierci przez uduszenie spowodowała, że znów się podniecił i zgwałcił ją po raz kolejny.

Tym razem Kari Ann nie krzyczała.

Zrobiła w swoim życiu kilka złych rzeczy i w tych krótkich przebłyaskach świadomości, zdawała sobie z tego sprawę. Zdradzanie Caleba, i zdzieranie z niego przy każdej możliwej okazji, to jeszcze nic. Było coś jeszcze – przejażdżka samochodem trzy lata temu. To było na długo przed tym, jak związała się z Calebem. Jej ówczesny chłopak kupił jakieś kiepskie zioło, które okazało się być oregano bez PCP! Wrócili więc w to samo miejsce i jej facet oddał do handlarza czternaście strzałów. Trafił też małego chłopca, jadącego na rowerze na sąsiedniej ulicy. Kari nie strzelała, tylko prowadziła samochód, więc teoretycznie to nie była jej wina.

Co jeszcze zrobiła naprawdę złego? W swoim czasie zaliczyła sporo numerków, a kiedy złapała syfa nie zwracała sobie głowy mówieniem o tym facetowi. Uznała, że to nie jej obowiązek informować go. Parała się handlem narkotykami, ale takie było życie. Kiedy jeszcze dilowała, nie miała żadnych zastrzeżeń, by werbować dzieciaki na szkolnym podwórku. Dzieciaki były najłatwiejsze, jeden lub dwa machy i już były uzależnione. Pierwsze, co robiły, to biegły prosto do domu, kradły wszystkie pieniądze z torebki mamusi i wracały po więcej. Łatwy szmal.

Tak naprawdę miała jeszcze wiele innych grzechów, ale zastanawianie się nad nimi teraz nie przyniosłoby jej nic dobrego. Tak, to była prawda. Zrobiła w swoim życiu kilka złych rzeczy. Ale czy były one na tyle złe, by usprawiedliwić taką śmierć?

Ostatniej nocy straciła rachubę, ile razy jej napastnik ją wyruchał. Była nieprzytomna, na wpół sparaliżowana z powodu szoku. Nie czuła już nawet bólu, za każdym razem, gdy chwycił ją za włosy, by ciągnąć ją dalej, jak torbę.

Czy naprawdę umarła i trafiła do piekła? Czy to było to?

Czy to była jej kara za wszystkie złe rzeczy, które zrobiła w swoim życiu: być gwałconą bez końca przez tego faceta bez twarzy? Być wleczoną nago przez bagna, błoto, trawy i zarośla? W nieskończoność? Nie.

Nie wiedziała, jak to się stało, że miała tyle szczęścia. Ciągnął ją dalej przez las, ale nagle rozległ się wielki łoskot i upuścił ją. Przez ostatnią godzinę była nieprzytomna, a jej mózg pracował tylko na pół gwizdka, ale kiedy ją upuścił, zmysły zaczęły działać na tyle szybko, że zdała sobie sprawę, że coś się stało. Przewróciła się w błocie – właśnie weszli na słone bagno podczas odpływu – i otworzyła oczy.

Chmury się rozstały i wielki księżyc w pełni świecił na bagno. Nastąpiło kolejne uderzenie, potem głośnie trzaśnięcie, a po nim jeszcze głośniejsze uderzenia! I wtedy oczy Kari Ann zdołały zarejestrować, co się dzieje. Jej napastnik trzymał długą, mocną gałąź jak broń, wbijając ją w ziemię i próbując uderzyć... Serce Kari Ann jakby zamarło w jej piersi – długiego na dziesięć stóp aligatora!

Zwierzę rzuciło się do przodu, kłapiąc potwornymi szczękami.

– Zjedz go! – Kari Ann krzyknęła do aligatora. – Odgryź skurwysynowi łeb! – a potem rzuciła się przed siebie w głąb lasu, szybka jak zwierzę. Jej napastnik przez cały czas był odwrócony do niej plecami; nie widziała jego twarzy ani żadnych innych szczegółów, jedynie to, że był nagi i umięśniony. Ale Kari Ann nie obchodziło, jak wyglądał. Po prostu biegła.

Do tego czasu prawie każdy centymetr kwadratowy jej skóry był już ubrudzony błotem z potoku i bagiennymi szumowinami – idealny kamuflaż. Jej największą nadzieją było to, że aligator zrobi z jej napastnika mielonkę, ale wiedziała, że lepiej na to nie liczyć. Gdyby przeżył i przyszedł po nią, znalezienie jej nie zajęłoby mu dużo czasu. Jej sprint przez las brzmiał jak lawina, a im bardziej się zagłębiała, tym bardziej drzewa zasłaniały światło księżyca. Nie miała pojęcia, dokąd biegnie, nie miała pojęcia, jak najlepiej wydostać się z tej przeklętej wyspy. Więc zamiast tego zakopała się.

Padła na ziemię i całkowicie przykryła się liśćmi i leśną ściółką. *Będę tu leżeć i nie ruszać się aż do świtu. Jeśli schowam się na całą noc, to może on odejdzie i uzna, że mnie zgubił. A nawet jeśli skurwysyn nie odejdzie, to będę miała o wiele większe szanse na odnalezienie któregoś z obozowych szlaków, gdy wzejdzie słońce...*

I tak leżała przez całą noc.

Było to zresztą najmądrzejsze posunięcie dla każdego, kto znalazł się w takiej sytuacji. Nie liczyła jednak na to, jak wielkie będzie jej wyczerpanie i szok. Natychmiast zasnęła... i spała jeszcze długo po świcie.

Obudziła się zgrzana w swoim kokonie z sitowia. Słońce przebijające się przez korony drzew wydawało się być wysoko na niebie – przed południem. Nadal nie mogła normalnie funkcjonować; była odwodniona, a pusty od wczoraj żołądek i odstawienie amfetaminy nie pomagały. Przynajmniej miała kilka zmysłów razem – na tyle, by zdać sobie sprawę, że ostatnia noc nie była snem.

Caleb, bez głowy, pomyślała. Jory. Wypatroszony. Przez tego gościa. Musi się, kurwa, wynieść. Natychmiast. Teraz.

Musiała znaleźć jakąś główną drogę, albo to, albo... Łódka! Przyłynęli tu na łodzi Caleba! Teraz gdyby tylko mogła się dowiedzieć, gdzie jest... Ale wtedy przyszła jej do głowy inna myśl, kluczowa. *Facet. Gwałcił mnie przez całą noc.* Gdzie był ten facet? Czy zrezygnował z szukania jej? Czy dopadł go aligator? Nawet w swoim obniżonym stanie psychicznym rozkoszowała się fantazją: aligator rozbierający jej napastnika kawałek po kawałku. Głowa oczywiście zostałaby zachowana na koniec; te ogromne szczęki rozbiłyby ją jak styropianową kulę, pozwoliłyby mózgowi rozlać się na gadzim języku...

Ale teraz nie było czasu na fantazjowanie. Gdy wróciła jej świadomość, usiadła z impetem rozrywając okrycie z liści. FUUU! Wszędzie wokół niej były robaki. Spanikowana, zmiotła kilka z piersi naraz, potem szybko sięgnęła dookoła i wyjęła jednego spomiędzy pośladek... o mało nie wrzasnęła widząc jego rozmiar. To był jeden z tych karaluchów, długi i szeroki jak kieliszek do shotów i prawie tak samo okrągły. Czują więcej, pełzających niżej, ale wtedy...

chrup-chrup-chrup-

Kroki. Powracające przerażenie sprawiło, że naczynia krwionośne w jej mózgu nabrzmiały prawie eksplodując. *To on!*

Wślizgnęła się z powrotem pod stertę liści, zakryła się tak szybko, jak mogła, ale też tak delikatnie, by nie narobić zbyt wiele hałasu. W ciągu zaledwie kilku sekund Kari Ann znów była zakopana.

Powolne, miarowe odgłosy kroków zbliżały się i stawały się coraz głośniejsze. Kari Ann nasłuchiwała głosów, rozmów – jakiegokolwiek wskazówki, że to mogą być obozowicze lub wędrowcy, którzy przechodzą. Ale nic nie było i wyraźnie była to tylko jedna osoba.

To musiał być on.

Leżała nieruchomo jak trup, dobrze zdając sobie sprawę, że tym właśnie będzie – trupem – jeśli będzie zbyt głośno oddychać, kaszleć, wzdrygać się lub wyda choćby najmniejszy dźwięk lub się poruszy.

Mimo to kroki były coraz głośniejsze.

Wilgotny muł z leśnego podłoża leżał na jej ciele jak gorący, wilgotny dywan z ciężkim włosiem, ale przez najmniejszą szczelinę między liśćmi na twarzy mogła trochę widzieć. Widziała przestrzeń po swojej prawej stronie i sądząc po odgłosie kroków, jej napastnik szedł tuż obok niej.

Chrup-chrup-chrup-chrup-chrup-

Głośniej. Bliżej.

Wtedy Kari Ann stłumiła najostrzejszą chęć wzdrygnięcia się, a nawet pisku. Zapomniała o czymś, prawda?

O karaluchach.

Wciąż tam były, oczywiście – teraz było ich więcej – gromadziły się na jej skórze, głównie w okolicach pośladek, wewnętrznych części ud i łona. To była odwrotna tortura: chęć pozbycia się ich, ale świadomość, że jeśli to zrobi, znajdzie się z powrotem w szponach gwałciciela i zimnokrwistego mordercy. Wysiłek, by się nie poruszyć, był jak powolne porażenie prądem pod jej ciężkim okryciem. A te karaluchy...

Karaluchy wędrowały teraz po jej włosach łonowych, kierując się niżej, w stronę najbliższego źródła wilgoci.

Jej wstręt osiągnął szczyt... właśnie wtedy, gdy jej napastnik...

Chrup.

Zatrzymał się.

Zatrzymał się w bezruchu, tuż obok niej.

Czy słyszała, jak węszył? Co to za dźwięk, który nastąpił potem, coś jak niskie, gardłowe chrząknięcie?

Przez te maleńkie szczeliny w liściach na twarzy mogła zobaczyć nogi, od kostek do wysokości ud. Jego skóra była cętkowana i wydawała się szarawa w blasku słońca, i tak jak jej, była pokryta wszelkiego rodzaju brudem z bagien i lasów. I...

Co to było, kołyszące się u jego boku? Wiadro? Tak, widziała to całkiem wyraźnie. Niósł długie, szerokie na pół metra plastikowe wiadro. Wydawałoby się to dość dziwnym faktem do rozważania, gdyby nie kilka innych faktów, które w tym czasie miały miejsce. Po pierwsze, Kari Ann była już na wpół obłąkana i... Po drugie, karaluchy znalazły teraz drogę do jej pochwy. Jej tętno z pewnością wzrosło trzykrotnie. Czy on mógł to usłyszeć? Czy jęczała pod mułem i nie zdawała sobie z tego sprawy? Czy mógł wyczuć jej strach?

W momencie, gdy jej naćpany, naznaczony torturami i gwałtem umysł był przekonany, że on sięga teraz w dół, by zmyć jej z twarzy muł, wyciągnąć ją i skrócić jej kark, gdy zgwałcił ją po raz ostatni... Oddalił się. Kari Ann czekała całe dwadzieścia minut, leżąc zakopana jak martwa, zanim się odkopła i uciekła w przeciwnym kierunku. Jej płuca świszczały w tej nowej wolności, a brudne stopy i umazane brudem nogi pędziły ją przez las. Biegając, strząsała obrzydliwe karaluchy, nie wiedząc dokąd biegnie, ale najważniejsze, że z dała od niego.

Las wydawał się ciemnieć, palmy i sosny nad głową były tak gęste, że zasłaniały prawie całe światło słoneczne; mimo to po swojej lewej stronie widziała światło, które było oślepiająco intensywne, i wtedy w końcu się zorientowała: *Woda!*

Czy to było jezioro Stephanie? Czy to jeden z przesmyków między ostrogami wyspy, a może sama Zatoka? Zwolniła, zerkając przez ramię, po czym rzuciła się na drzewa tuż przed brzegiem. Być może po raz pierwszy w życiu szczęście sprzyjało Kari Ann Wells. Akwen mienił się w blasku słońca, długi na milę odcinek pomiędzy dwoma gęsto zalesionymi obszarami wyspy. To był przesmyk od zatoki. A zaledwie sto metrów za najbliższą ostrogą widziała łódź Caleba, dokładnie tam, gdzie zostawili ją zeszłej nocy.

(II)

Gdy się zbliżali, na strzałkach widniał napis: KLINIKA. Na samym budynku nie było żadnego znaku i, podobnie jak pierwsza brama, przez którą musieli przejść, klinika nie mogła wydawać się brzydszym budynkiem. Clare spodziewała się czegoś bardziej odpowiedniego, może motywu chaty z bali, albo czegoś w stylu Isby z bejcowanymi deskami i cedrowym gontem.

Nie, pomyślała, rzucając pierwsze spojrzenie na to miejsce przez przednią szybę Mercedesa. Typowe Siły Powietrzne. Mogą wydać 800 dolarów na deski klozetowe i po dwadzieścia pięć dolców na nity za pięć centów, ale nie mogą kupić porządnego projektu architektonicznego.

Spadzisty dach został zbudowany pod nieestetycznie wysokim kątem, jak się domyśliła, na wypadek huraganów, a reszta ciągnęła się jako długi, jednopiętrowy budynek z nijakimi, dziwnie wąskimi oknami i ogólną strukturą czegoś, co wyglądało jak emaliowana kostka brukowa. Kolorystyka? Błada szarość.

– Przychodzi mi na myśl słowo „instytucjonalny” – powiedziała Clare, gdy wysiadali z samochodu na małym asfaltowym parkingu.

– To rzuca się w oczy, biorąc pod uwagę otoczenie – skomentował Dellin. – Ale znasz wojsko: wszystko musi być funkcjonalne, żadnego stylu. Siły Powietrzne nie przejmują się tym, jak wyglądają rzeczy, dopóki spełniają swoje zadanie... a skoro mowa o spełnianiu zadań, widzisz tego starszego faceta?

Chudy, starszy mężczyzna z laską powoli przechodził przez parking do czekającego samochodu. Łysiejący, pochylony, ze śnieżnobiałymi włosami. Zatrzymał się, by pomachać Dellinowi, a potem poszedł dalej.

– To jest pan Hanklin. Powinien być martwy już miesiąc temu. Rak jelita rozprzestrzenia się tak szybko, że nie uwierzyłabyś...

– Nigdy nie słyszałam o takim rodzaju raka – powiedziała Clare.

– Stroma to rodzaj tkanki łącznej otaczającej narządy w dolnej części jamy brzusznej. Nie jest już nawet tak rzadki, ale powodem, dla którego przeciętny człowiek nie jest z nim zaznajomiony, jest to, że nie znajduje się w pierwszej dziesiątce. Nowotwory płuc, wątroby, prostaty, piersi i jajników są wiodącymi zabójcami. Rak stromy nie jest zbyt daleko w tyle. Jest on wyjątkowy, ponieważ jest praktycznie nieuleczalny. Chemioterapia, naświetlania, operacje – żadna z tych metod nie działa, ponieważ nowotwór powiększa się zbyt szybko. Zanim zostanie zdiagnozowany, zdąży się już rozprzestrzenić po całym ciele, a kiedy się rozprzestrzenia, przyspiesza rozwój złośliwości w każdym miejscu, w którym się znajduje. Innymi słowy, kiedy rozprzestrzenia się na płuca, rak również tam staje się nieuleczalny. Sprawia, że rak w każdym miejscu, do którego się rozprzestrzenił jest tak samo wyjątkowy, ponieważ mutuje markery wzrostu w komórkach rakowych. Mówimy tu o matce wszystkich raków.

– Ale teraz możesz go leczyć, dzięki jakiemuś lekowi, który wynalazły Siły Powietrzne? – Clare podążyła za nim przez dobrze zacieniony parking.

– Tak. Jest to przeciwciało monoklonalne, podobne do starszych metod leczenia raka, tyle że to zostało stworzone genetycznie. Nazywamy je Interthiolate. To badania Sił Powietrznych zidentyfikowały dokładny marker genowy, który inicjuje wzrost każdej komórki rakowej. Identyfikując ten marker genowy, byliśmy w stanie genetycznie wyprodukować przeciwciało, które molekularnie celuje w ten marker i niszczy go. To zatrzymuje raka. Wtedy do akcji wkraczają komórki odpornościowe i usuwają wszelkie jego ślady. – Dellin chichotał, gdy zbliżali się do wejścia do kliniki. – Do tej pory w badaniu wzięło udział ośmiu pacjentów i ośmiu zostało wyleczonych. Jeśli utrzymamy takie wyniki przez kolejne sześć miesięcy, FDA przyspieszy procedurę wprowadzania naszego leku na rynek w ciągu roku. Uratujemy mnóstwo ludzi przed jednym z najbardziej bolesnych rodzajów raka, jaki istnieje.

Clare była zdumiona i doceniła wysiłek Dellina, by wyjaśnić tę bardzo skomplikowaną sprawę w słowach laika. Dla Clare brzmiało to tak, jakby pracowała w placówce, która już wkrótce może stać się bardzo popularna.

Ale to, co działo się z nią w tej chwili, na razie przeceniało potencjalne znaczenie kliniki. Jej życie miało się zmienić; ktoś w końcu dał jej drugą szansę. Wiedziała, że nie może zmarnować takiej okazji.

Wnętrze kliniki wyglądało tak, jak mogła się spodziewać. Sterylny wystrój, jasne światło. Na ścianach wisiały schematy anatomiczne, a nie senne grafiki, oraz małe, przyjazne hasła w stylu: CZY SPRAWDZIŁEŚ DZIŚ SWOJE CIŚNIENIE KRWI? Nie dowied

się, dlaczego nazywają je cichym zabójcą! i PO PIĘĆDZIESIĄTCE BADAJ SWOJĄ PROSTATĘ CO ROKU! To był rodzaj rzeczy, które zawsze można znaleźć w wojskowej placówce medycznej: jawne i bez stylu, ale skuteczne. Najwyraźniej urządzono je zgodnie z protokołem wystroju wewnątrz Sił Powietrznych, co nie zdziwiło Clare.

– Spodoba ci się to, to kolejny wielki atut dla pracowników – powiedział Dellin i otworzył drzwi z napisem POKÓJ PERSONELU. – Tylko ochrona i personel medyczny wyższego szczebla dostają klucz do tego miejsca. W budynku jest publiczny automat z kawą i przekąskami, ale to nic wielkiego i trzeba za nie zapłacić. Ale tutaj jest za darmo i jest to naprawdę towar najwyższej jakości. – Była tu długa kanapa, wysoki do kolana stolik z jakimiś czasopismami i telewizor. Jedna mała ściana była całkowicie zajęta przez automatyczny ekspres do kawy klasy komercyjnej, który oferował różne rodzaje kawy.

– Może o tym nie wiesz, ale darmowa kawa to marzenie każdego ochroniarza – Clare od razu zrozumiała, o co mu chodzi. – I to jest naprawdę wysokiej klasy kawa dla smakoszy, a nie takie świństwo, jakie zwykle można znaleźć w automatach. – Wskazał na koniec jednostki. – Tam jest ulubiony ekspres strażników – zrobi nawet mrożoną kawę, jaką tylko chcesz. Strażnicy ją uwielbiają, bo podczas obchodu często przebywają w upale.

– To kosztowny dodatek – zauważyła Clare – ale tak naprawdę ma to wielki sens biznesowy. Placówki ochrony w Siłach Powietrznych robią to samo. Kiedy twoi strażnicy popijają darmową kawę przez całą zmianę, nie zasypiają na posterunku.

– Nigdy nie myślałem o tym z tego punktu widzenia, ale tak, świetny pomysł. Często się. Ja pójdę po wodę. Darmowa woda butelkowana i napoje gazowane też są w lodówce.

Clare w pełni skorzystała z tego dobrodziejstwa, wzięła duży kubek mrożonej kawy i napełniła go śmietanką i cukrem, co miało być świetnym zastrzykiem energii, zważywszy, że nie zjadła dziś żadnych kalorii poza ciasteczkami z wróżbą. Dobry Boże, jakie to dobre! pomyślała po pierwszym łyku. Chciała wypić wszystko od razu, ale nie mogła wyjść na żarłoczną przy Dellinie.

– Dam ci później twój klucz – powiedział Dellin, wyprowadzając ją z powrotem na zewnątrz. – Otwiera to, biuro ochrony, wszystkie drzwi wewnętrzne i stacje monitorujące. Każdy klucz jest indywidualnie kodowany – to postanowienie głównie dla ciebie, jako szefa ochrony.

– Zakodowany? – zapytała Clare. – Och, masz na myśli jakiś rodzaj indywidualnej identyfikacji?

– Tak. Dzięki temu komputer bezpieczeństwa może rejestrować, kto gdzie wchodzi i kiedy. Na przykład, kiedy odblokowałem drzwi do kawiarni, komputer to zarejestrował, więc teraz w pliku wejściowym jest zapisane, że to mój klucz otworzył drzwi.

– To wspaniały system – zachwyciła się Clare. – Używaliśmy podobnego sprzętu w Siłach Powietrznych. Czyli wszystkie drzwi w budynku są monitorowane?

– Całkiem sporo. Zewnętrzne drzwi i okna mają aktywne alarmy, ale prawie każde drzwi z kluczem są podłączone do komputera.

– Cóż, to bardzo ułatwia mi pracę.

– Prawdę mówiąc, ten system alarmowy jest tak skomplikowany, że nawet ja nie znam wszystkich jego funkcji – powiedział. – A to ja go zamówiłem.

– To tylko kolejna rzecz, o którą nie musisz się martwić. Mogę uruchamiać takie systemy z zamkniętymi oczami.

Dellin zabrał ją w głąb budynku i pokazał żeńską stronę szatni pracowniczej. – Moje biuro jest na końcu korytarza – powiedział. – Po prostu wpadnij, gdy już się umyjesz. Tam, w pomieszczeniu z zaopatrzeniem, jest kilka mundurów.

– Dzięki. To nie potrwa długo.

Dellin wyszedł i nagle Clare została sama w długim, nieskazitelnie czystym pokoju. Zdjęła swoje stare ubranie, chwyciła ręcznik i pośpiesznie weszła pod prysznic.

– Ups! Przepraszam!

W momencie, gdy Clare wchodziła do kabiny prysznicowej, wpadła prosto na inną kobietę, która właśnie wychodziła.

– Mój błąd – bąknęła Clare. – Nie sądziłam, że jest tu ktoś jeszcze poza mną. Miała nadzieję, że błysk zakłopotania nie sprawił, że się zarumieniła; tak szybko, jak tylko mogła, owinęła wokół siebie ręcznik.

– Jest tak cholernie gorąco podczas tych dziennych zmian, że zawsze biorę szybki prysznic podczas przerwy – powiedziała kobieta. Była naga, ociekająca wodą i nie miała w tej chwili ręcznika, a mimo to nie wydawała się ani trochę skrępowana, stojąc przed zupełnie obcą osobą. W poprzednim życiu Clare też by się nie krępowała – podczas służby wojskowej praktycznie mieszkała z innymi kobietami i razem z nimi ubierała się i brała prysznic. Ale w tym momencie jej zakłopotanie nie mogło być bardziej oczywiste.

Ta druga kobieta była krzepka, mocno zbudowana, tryskała zdrowiem, podczas gdy Clare wiedziała, że w porównaniu z nią wyglądała okropnie – koścista, z widocznymi żebrami i malutkimi piersiami.

– Jestem Joyce – przedstawiła się i uściśniła dłoń Clare.

– Clare.

– Miłe kąpiele! – Joyce chwyciła ręcznik, zawinęła w niego swoje długie, kasztanowe włosy. Postawiła jedną nogę na ławce i zaczęła się suszyć drugim ręcznikiem. Gdy pochyliła się, by wysuszyć opaloną nogę, zza szyi, zsunął się klucz. – Muszę wracać do pracy.

Odrobina zazdrości mieszała się teraz z zażenowaniem Clare. Joyce była piękna, jej niska, zwarta sylwetka podkreślała krągłości, talię i szerokie biodra. Pełna, bardzo głęboka opalenizna dawała jasno do zrozumienia, że opalała się nago.

– Czym zajmujesz się w klinice? – zapytała Clare. – Jesteś lekarzem, badaczem czy kimś innym?

– Ochroniarzem. – Teraz wkładała parę spodni khaki z czarnym paskiem u dołu nogawki. – I muszę dziś naprawdę mieć się na baczności, bo wprowadzają nowego szefa ochrony.

– Uh, to właśnie ja – powiedziała Clare.

– Oh, nieee! Przepraszam, myślałam, że jesteś, eeee... nie miałam pojęcia!

Jestem taka chuda, pomyślała Clare, że pewnie pomyślała, że jestem pacjentką. – Tak, za kilka minut Dellin mnie wprowadzi. Byłam dowódcą plutonu w Siłach Powietrznych przez cztery lata.

– Wow. Oh, za chwilę zejdziesz z drogi. – Joyce pośpiesznie kończyła ubieranie; teraz, gdy wiedziała, że Clare jest jej szefową, wydawała się trochę skromniejsza, szybko zapinając koszulkę na obfitych piersiach.

Wzdłuż jednej ściany Clare zauważyła szafkę na broń, w której znajdowało się kilka strzelb, a w innej kamizelki kuloodporne. – Dellin mówił mi wcześniej, że na miejscu nie ma zbyt wielu problemów – Wskazała na szafki. – Ale to są kamizelki policyjne i

późne serie Remingtonów. Czy kiedykolwiek naprawdę potrzebowaliście tego rodzaju sprzętu?

Joyce podciągnęła spodnie i zawiązywała buty. – Nie bardzo, ale mamy go na wszelki wypadek – ze względu na kłusowników. Ale jeśli byłaś oficerem SP w Siłach Powietrznych, to znasz już historię kamizelek kuloodpornych. Ja czasem noszę swoją w nocy, ale podczas dziennych zmian? Zapomnij o tym. Jest o wiele za gorąco.

Clare dokładnie wiedziała, o co jej chodzi, zwłaszcza w tym środowisku. Kamizelki balistyczne i tropikalny upał nie pasują do siebie. – Tak, w MacDill moja skóra zawsze pękała od tych cholernych rzeczy, więc nosiłam je tylko podczas krytycznych zadań związanych z bezpieczeństwem.

– U nas jest tak samo – powiedziała Joyce. – Prawie nigdy ich nie nosimy i nigdy też nie bierzemy broni maszynowej. Dla takiego miejsca jak to, to naprawdę przesada.

Clare wiedziała, o co jej chodzi. Ale nie mogła powstrzymać swojej ciekawości co do terenu i jego potencjału. – Są tu jakieś zabójstwa?

– Och, nic takiego – chichotała Joyce.

– A co z aresztowaniami? Musieliście kiedyś kogoś zamknąć?

– Od czasu do czasu zatrzymujemy intruzów, ale przekazujemy ich policji lub Służbie Parku. Ale z tego, co mi powiedziano, to kolejna rzecz, która prawie nigdy się nie zdarza.

Ton Dellina był podobny i to właśnie ją zaniepokoiło. Wydaje się, że są trochę zbyt pewni siebie, że nic naprawdę poważnego nie może się tu wydarzyć... Joyce była już ubrana. – Muszę wracać na swój obchód. Wspaniale było cię poznać!

– Mnie również. Możesz mnie później oprowadzić po obiekcie.

– Świetnie! Pa!

– Czekaj, Joyce? – zawołała Clare do wychodzącej kobiety – Czy nie zapomniałaś o czymś?

Młodsza kobieta odwróciła się, po czym zarumieniła się, gdy zobaczyła, że Clare wskazuje na jej pas z bronią wiszącą na otwartej szafce.

– Och, cudownie! Co za wspaniałe pierwsze wrażenie! Przepraszam.

– Nic nie szkodzi.

– Do zobaczenia później. – Joyce w pośpiechu chwyciła pas. – Nie mogę się doczekać współpracy z tobą. – Mówiąc to, zniknęła za drzwiami.

Clare roześmiała się. Jest trochę młoda, ale wydaje się dość miła. Clare nie miała wątpliwości, że przy odpowiednim treningu Joyce może stać się świetnym ochroniarzem. Wyglądała na zmotywowaną i pełną entuzjazmu.

Chłodny prysznic sprawił, że poczuła się błogo; chciałaby móc spędzić godzinę pod rześkim strumieniem, ale dziś nie będzie takiego luksusu. Wysuszyła się i szybko ubrała. Choć nawet najmniejszy mundur był na nią za duży, dała z siebie wszystko i dziękowała losowi za suszarkę do włosów na ścianie. Jej blond włosy sięgały tylko do połowy szyi, ale były potargane, nie przycinane od dłuższego czasu. W zasadzie wyglądało to tak, jakby sama je ścięła – co było prawdą, bo salony fryzjerskie zwykle nie mieszczą się w budżecie bezdomnego. Ale suszarka pozwoliła jej je upiąć, aż była z nich w miarę zadowolona. I już. *Teraz nie wyglądam już tak bardzo jak pijaczyna, który właśnie wyczołgał się z rynsztoka.* Wyszła z szatni w pośpiechu i poszła prosto do biura Dellina. Pierwszy dzień w pracy to nie czas na spóźnienia.

– Przepraszam za te mundury wyglądające jak Afrika Korp, ale dostaliśmy na nie najlepszą ofertę – powiedział Dellin. Jego małe, ciasne biuro było jeszcze ciasniejsze

przez dwa duże ekrany komputerowe i trzy ściany wysokich jak sufit regałów z książkami.

– Kolor będzie całkiem dobrze odbijał ciepło – odparła Clare. – Tak naprawdę nie ma znaczenia, jak wygląda mundur, dopóki identyfikuje osobę, która go nosi, jako kogoś na wysokim stanowisku.

– Słuszna uwaga. – Odłożył na bok karty pacjentów, które czytał. – Wydaje mi się, że mówiłem wcześniej, że mamy tylko dwóch innych strażników, Ricka i...

– Joyce – dokończyła Clare. – Właśnie ją poznałam.

– To dobrze. Więc nie muszę ci mówić, że musimy iść na skróty w planowaniu. Nie dostaniemy zwiększenia budżetu aż do następnej jesieni, więc do tego czasu będziemy musieli działać z waszą trójką. – Obdarzył ją uśmiechem. – Plan zajęć to teraz twój problem. Joyce ma pracować od ósmej rano do czwartej po południu, a Rick od czwartej do północy. Od północy do ósmej nie pilnujemy i polegamy na systemie alarmowym.

To był najgorszy z możliwych harmonogramów. Clare dobrze się nauczyła, że same systemy alarmowe w czasie największej przestępczości nigdy nie są wystarczające.

– W takim razie ja zajmę się harmonogramem. I zajmę się północą do południa.

– Nie oczekujemy, że będziesz pracować na tak długich zmianach. – Dellin spojrział na nią.

– To bułka z masłem i to najlepszy sposób – powiedziała Clare z lekkim niepokojem. – Jestem do tego przyzwyczajona z Sił Powietrznych, a ponieważ odpowiadam za bezpieczeństwo, nie mam nic przeciwko utracie odrobiny snu, aby zapobiec włamaniom. Nie chcę stracić pracy w tydzień po tym, jak zostanę zatrudniona. Jakikolwiek są twoje problemy z bezpieczeństwem, ja się nimi zajmę.

– Podoba mi się twoje nastawienie. Chciałbym być tak entuzjastyczny. Szybko się przekonaasz – tutaj wszystko staje się cholernie nudne.

– Dobrze, a moim zadaniem jest upewnić się, że będzie jeszcze nudniej.

–T o niewyobrażalne, ale nie krępuj się udowodnić mi, że się mylę. – Jej stwierdzenie rozbawiło go. – W każdym razie, skoro już mówimy o planowaniu, to są jeszcze dobre i złe wieści. Dobra wiadomość jest taka, że w soboty i niedziele klinika jest zamknięta. Nikt nie musi się zgłaszać, włącznie z ochroną.

– Wszyscy dostają wolne weekendy?

– Dokładnie – Dellin uśmiechnął się złośliwie. – Wszyscy oprócz szefa ochrony. Przez cały weekend będziesz na dyżurze. Jeśli włączy się alarm, dostaniesz sygnał dźwiękowy. Jeśli przychodzi dostawa, otwierasz dok załadunkowy i wpisujesz dostawę. Jeśli czujnik ruchu zostanie uruchomiony na stanowisku kasownika, dostaniesz sygnał dźwiękowy. To jest zła wiadomość. Jeśli masz problem, dzwonisz do strażnika, a jeśli jest to poważny problem, dzwonisz na policję, a potem do mnie. Brzmi to jak duży kłopot, ale to naprawdę nie jest aż tak duży problem. Jak już mówiłem, wieje tu nuda. Uwierz w to. Niewiele się tu dzieje, a to, że jesteś na dyżurze, nie oznacza, że musisz być na miejscu. Możesz iść do centrum miasta, albo siedzieć w swoim domku i oglądać telewizję przez cały weekend – tak długo, jak masz swój pager. Możesz leżeć na plaży w bikini od wschodu do zachodu słońca – ale jeśli twój pager się włączy, musisz zareagować.

Clare wzruszyła ramionami. To wcale nie była zła wiadomość, zwłaszcza gdy pomyślała o wynagrodzeniu i świadczeniach.

– W Siłach Powietrznych przez cztery lata byłam na wezwanie prawie w każdy weekend. To nie będzie problem.

– W mig wszystko ogarniesz – wyprowadził ją z zatłoczonego biura i poszedł korytarzem. – A teraz pozwól, że cię oprowadzę.

Placówka okazała się niczym szczególnym – w zasadzie tym, czego Clare się spodziewała. Pokoje badań, gabinety lekarskie i centralna sala zabiegowa wyposażona w sprzęt chirurgiczny. Był tam tomograf komputerowy i rezonans magnetyczny, USG i typowe inne diagnostyczne sprzęty.

– Zobacz to – powiedział dalej. – Doskonały przykład pobłażliwości Sił Powietrznych. – Otworzył drzwi oznaczone IRMT, które ukazały im pomieszczenie zawierające bank komputerów, stół do badań i kilka dużych głowic przypominających dysze, zwisających z sufitu na zawiasowych szelkach. – Ponieważ jest to klinika onkologiczna, Siły Powietrzne automatycznie zaopatrzyły ją w tę maszynę. Jest to modulator intensywnego promieniowania – zabójca nowotworów, najnowocześniejsza technologia walki z rakiem. Wielokrotne matryce niskodawkowych wiązek radioaktywnych w zasadzie stawiają krzyżyk na złośliwym guzie. To może zniszczyć guz sporej wielkości bez szkody dla otaczających go zdrowych tkanek.

– To brzmi niesamowicie.

– Tak jest. – Roześmiał się Dellin. – Ale nie jest nam to potrzebne. Ta maszyna jest bezużyteczna wobec tego rodzaju raka, z którym mamy do czynienia. Powiedzieliśmy im, że nie potrzebujemy jej, ale oni i tak ją przysłali; powiedzieli, że dostarczenie jej jest „protokołem inwentaryzacyjnym Sił Powietrznych”. Niedorzeczne! Ta rzecz kosztuje pół miliona dolarów.

Kolejne marnotrawstwo i nierozważne wydatki, ale dla Clare to nic nowego.

Wewnątrz klinika wydawała się większa, niż to wynikało z zewnątrz. Obok automatu znajdowała się mała kafeeteria i jadalnia, obsługiwana przez dwóch cywilów.

– Wierz lub nie, ale jedzenie jest tu całkiem dobre i jest nieprzystojnie tanie – poinformował ją Dellin. – Nawet jeśli nie ma tu personelu Sił Powietrznych, klinika jest nadal uważana za wojskowe koszary.

– Więc jedzenie jest tanie, jak w służbowej stołówce – skwitowała Clare.

– Zgadza się. Stek z kością za dwa dolary. Świeża ryba z grilla, kurczak pieczony na rożnie, wszystko, co dobre. Wszyscy, którzy pracują w klinice, jedzą tu codziennie. W każdą środę mają nawet żeberka, które możesz zjeść w całości. Zrób sobie przysługę i skorzystaj z tych przywilejów. Bez urazy, ale...

– Nie omieszkać – przyznała. – Jestem dość szczupła. Ważąca sto funtów w ubraniu szefowa ochrony nie jest zbyt cenionym autorytetem.

Clare poczuła zapach grillowanej cebuli i steku. Te soczyste aromaty przypomniały jej, jak bardzo jest głodna i jak dawno nie jadła niczego dobrego.

Pierwsza rzecz na liście rzeczy do zrobienia, pomyślała. Zjedzenie świni.

– Tak, zawsze najlepiej jest wyglądać tak, jak się chce. Jakie zaufanie mieliby do mnie moi pacjenci, gdybym ważył trzysta kilo i palił nałogowo? To samo. A skoro już jesteśmy przy tym temacie – powiedział, przerywając.

– Tak?

Dellin wydawał się teraz lekko zakłopotany, spuścił wzrok.

– Hmm, tak. To oczywiście twoja sprawa, a ja nie sugeruję, że masz się czego wstydzić; zdaję sobie sprawę, że w Siłach Powietrznych dostałaś naganę i w ogóle. Chcę tylko zasugerować, że prawdopodobnie byłoby dla ciebie korzystne, gdybyś zachowała to wszystko dla siebie, zwłaszcza przy tym marnym szczęściu, jakie miałaś od czasu zwolnienia. To może, wiesz...

Okrutna prawda.

– To mnie zdyskredytuje w oczach personelu, którym kieruję – zrozumiała w pełni. – Trudno będzie komukolwiek traktować poważnie szefową ochrony, jeśli będzie wiedział, że spędziła ostatni rok stojąc w kolejkach do schroniska.

– To dobrze, że potrafisz na to spojrzeć w ten sposób.

– Nie wstydzę się tego, co mi się przytrafiło, bo nie zrobiłam nic złego. Ale to wszystko jest już za mną – dzięki tobie. Wykonam dla ciebie świetną robotę.

– Jestem pewien, że tak będzie – powiedział Dellin.

Następnie przedstawił ją niektórym członkom personelu medycznego: radiologom, pielęgniarkom, technikom, z których wszyscy wydawali się kompetentni i sympatyczni. Jej wzrok powędrował jednak trochę w stronę samego Dellina. *Nieży z niego lis*, pomyślała, choć nie była do końca pewna, dlaczego poczyniła takie spostrzeżenie. Starła się skupić na swojej pracy. Ale teraz, gdy zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i podwinął rękawy, Dellin wydał jej się jeszcze bardziej atrakcyjny niż wcześniej. Pod dopasowaną koszulą był wyraźnie w formie, miał silne i dobrze zarysowane ramiona, szerokie barki. *Odsuń od siebie takie myśli!* Krzyknęła w myślach. *Skoncentruj się! Wykonuj swoją pracę!* Ale to zdecydowanie nie było w jej stylu, by tak oceniać mężczyznę. *Bądźmy realistami. On pewnie ma powalającą żonę i gromadkę dzieci.*

Wróciła myślami do sprawy: zapoznawania się z terenem.

– Tu jest twoje biuro – powiedział Dellin i pokazał jej mały kącik ochrony. Dość sterylnie. Biurko, komputer, szafka na akta, sejf na klucze. W jednym znajdowała się radiostacja, a rząd małych czarno-białych monitorów pokazywał klinikę wewnątrz i na zewnątrz.

– Świetnie – powiedziała. – Kamery wideo z zamkniętym obwodem.

– Na miejscu jest dziesięć kamer, pięć wewnątrz, pięć na zewnątrz. – Wyjaśnił pokazując przyciski na konsoli. – Masz sześć monitorów, od A do F. Naciskasz przyciski, aby wyświetlić to, co chcesz. Prawdopodobnie są to wydatki ponadplanowe.

– Jasne, ale lepiej więcej sprzętu niż za mało.

– Tu są twoje klucze – kontynuował i wydobyl z biurka mały breloczek. – Masz klucz główny do każdego zamka w tym miejscu – to jest ten osobisty klucz bezpieczeństwa, o którym wspomniałem wcześniej. Każdy z pozostałych strażników też ma swój główny klucz. Poza tym masz ten pierścień z kluczami służbowymi, a także drugi zestaw dla strażnika będącego na służbie.

Clare wzięła klucze, po czym założyła klucz główny na szyję i pozwoliła mu zatopić się w tunikę. Zimny, łaskotał pomiędzy jej piersiami.

– Nie martw się, nie będziemy mieć żadnych problemów z kontrolą kluczy.

– Obawiam się, że to samo dotyczy tego – wręczył jej mały pager. – Podobnie jak klucz, musisz mieć go cały czas przy sobie. Ale nie czuj się gorsza... Wskazał na identyczny beeper na swoim pasku. – Ja też muszę go mieć.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała Clare.

Następnie Dellin poprowadził ją w dół kolejnego korytarza. Gdy mijali kolejne wnęki i sale egzaminacyjne, wyuczony instynkt bezpieczeństwa Clare sprawił, że zwróciła uwagę na zamki w drzwiach: były to typowe domowe zamki na klucz.

– Mam nadzieję, że twoja apteka nie ma takich zamków – powiedziała od razu.

– No tak, ma. – Dellin wyglądał na zaskoczonego. – Co jest nie tak z tymi zamkami?

– Są kiepskie, ot co. Mogłabym je otworzyć za pomocą wygiętego haczyka na ryby i małego płaskiego śrubokrętu. Jeśli masz tu silne środki przeciwbólowe, potrzebujesz

przynajmniej zamka do drzwi klasy militarnej.

– Tutaj jest. – Zaraz za następnym rogiem Dellin zatrzymał się.

Na drzwiach widniał wielki napis MAGAZYN: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY!

– Żartujesz sobie ze mnie, prawda? – Clare roześmiała się.

– Co? – Dellin podrapał się po głowie.

– Pierwsze, co zrobimy, to pozbędziemy się szyldu. W przeciwnym razie, jeśli ktoś się tu włamie, mówisz mu dokładnie, gdzie są smakołyki.

– Ach. Dlaczego o tym nie pomyślałem? – Dellin zamrugał zmieszany.

Weszli do środka, by Clare mogła się rozejrzeć. – Wow, macie tu wystarczająco dużo prochów, by wskrzesić Elvisa – powiedziała.

– Prawie wszystkie pochodne morfiny. Wszyscy nasi pacjenci muszą je mieć podczas pierwszych etapów leczenia.

Oczy Clare przeskanowały zamknięte półki. MS-CONTIN, DURA-MORPH, DILAUDID i wiele innych. Nie była ekspertem od nadużywania narkotyków w regionie, ale pamiętała swoje kilka bloków szkoleniowych na ten temat i wiedziała, że kradzione leki na receptę były największym biznesem po stronie Zatoki Florydzkiej, zaraz obok krystalicznej metamfetaminy. Cały crack, kokaina i heroina trafiały do Miami i miast wschodniego wybrzeża.

– To jest raj dla ćpunów. Dura-Morphs i wszelkie inne uwalniane w czasie formy siarczanu morfiny sprzedają się na ulicy po sto dolarów za tabletkę.

– Naprawdę? – Dellin wyglądał na zszokowanego. – My kupujemy je hurtowo po pięć doliców za sztukę.

– Na ulicy jedna z tych pigułek zostaje przecięta dziesięć razy. Nie chciałabym myśleć o wartości ulicznej tego wszystkiego. Kontrola kluczy jest bardzo ważna dla tego pokoju.

Wyszli z powrotem na zewnątrz, Dellin ponownie zamknął drzwi.

– Te drzwi mogą być otwarte tylko naszymi osobistymi kluczami, a w placówce jest tylko pięć osób, które je mają: ty, pozostali dwaj strażnicy, ja i dyrektor.

Brzmiało to rozważnie, ale sama kontrola kluczy nigdy nie była wystarczająca. Clare dobrze o tym wiedziała z własnego doświadczenia zawodowego.

– Czy sprawdziłeś wszystkich, którzy tu pracują pod kątem przeszłości i narkotyków?

– Jasne, wszyscy są nieskazitelnie czysti, nawet dozorczy i kucharze.

– Kontrahenci? Ludzie, którzy zbudowali to miejsce? Nierzadko zdarza się, że nieuczciwy wykonawca lub robotnik kopiuje klucz.

– Kontrahenci, którzy tu pracowali, zostali najpierw sprawdzeni przez Służbę śledczą ds. Obrony.

– Dobrze, to jest to, co chciałam wiedzieć. – Clare cieszyła się, że wszystko wydaje się układać w całość. – A więc pierwsza rzecz, którą zrobimy, to zdejmujemy ten znak; zrobię to sama, gdy skończysz mnie oprowadzać. Druga rzecz – naprawdę musimy założyć solidny zamek na te drzwi, taki jak.... – Wtedy coś przykuło jej uwagę. – Taki zamek jak ten – dokończyła.

Na najdalszym końcu korytarza znajdowały się kolejne drzwi z napisem BLOK B, a na drzwiach nie było zamka na klucz, ale wysokiej klasy zamek z przyciskiem.

– Co to jest Blok B?

– To miejsce, gdzie trzymamy nasze akta pacjentów i główny środek farmaceutyczny do leczenia, ten, o którym mówiłem ci wcześniej – Interthiolate. Harry jest jedyną osobą mającą dostęp do skrzydła B.

– Harry?

– Dyrektor kliniki. Z naszego punktu widzenia, Interthiolate jest nawet bardziej wrażliwy niż te wszystkie środki przeciwbólowe w magazynku apteki, a Harry ma na tym punkcie wielką obsesję, ale nie mogę powiedzieć, że go winię. Jeśli ktoś ukradłby wystarczającą ilość naszego Interthiolatu do syntezy, patent Sił Powietrznych na ten lek byłby bezużyteczny na arenie międzynarodowej. To dlatego Harry nie chce nikogo innego w Bloku B. Czasami jest trochę typem aferzysty, ale to miły facet. Dziś ma symposium w Sarasocie, ale powinien wrócić przed piątą. Wtedy będziesz mogła go poznać.

Przynajmniej to wyjaśniało skrzydło z zakazem wstępu, choć Clare nie była pewna, czy to taki dobry pomysł, by odmawiać dostępu nawet ochronie. To jest ich koncert; mogą go grać tak, jak chcą.

– Dobra, Blok B jest zabezpieczony. Ale naprawdę potrzebujemy wojskowego zamka w aptece.

– Porozmawiam z Harrym, gdy wróci. Przekonanie go do wysłania zlecenia pracy jest jak wrywanie zębów, ale jestem pewien, że wysłucha twoich argumentów.

Dellin zerknął na zegarek, po czym wymamrotał niesłyszalne przekleństwo.

– Mam teraz pacjenta, ale złapię cię później. Może wywołasz Joyce przez radio i poprosisz ją, by oprowadziła cię po terenie?

– Tak zrobię. Do zobaczenia później.

Dellin uśmiechnął się i odszedł, ale gdy to robił, Clara znów przyłapała się na wpatrywaniu się w niego, zastanawiając się nad jego prawdziwą sylwetką pod ubraniem.

Cholera, dziewczyno, znowu to samo! Co jest z tobą nie tak, do cholery? Jesteś w pracy krócej niż godzinę, a już pożądasz swojego szefa! Nie, to w ogóle nie było w jej stylu i zastanawiała się dlaczego. Nie lubiła tajemnic, zwłaszcza gdy dotyczyły jej samej. Ale może niektóre z bardziej pierwotnych aspektów jej psychiki kompensowały się teraz, gdy nagle znalazła się w pozycji społecznej normalności. *Nie martwię się już o jedzenie i schronienie, analizowała, więc teraz włączają się inne instynkty, instynkty, które były pozbawione priorytetu, gdy byłam bezdomna.* Oczywiście od czasu gwałtu jej seksualność umarła, a wcześniej przez kilka lat była nieaktywna, zawsze przedkładając pracę nad swoje osobiste priorytety. Chciała, by jej kariera była ugruntowana i solidna jak skała, zanim rozpocznie jakiegokolwiek poważne poszukiwania kogoś, z kim mogłaby się związać. To zawsze wydawało się najrozsądniejszym planem, ale teraz, gdy o tym pomyślała, może to był błąd. Istniało coś takiego jak bycie zbyt poważnym, zbyt rozsądnym. Miała już prawie dwadzieścia dziewięć lat i większość swojego romantycznego okresu świetności miała za sobą. *Gdybym podczas gwałtu i procesu sądowego miała męża lub poważnego chłopaka, przynajmniej ktoś by przy mnie był, a ja nie zostałabym bezdomna po zwolnieniu.*

Rozegrałam to wszystko w zły sposób, uświadomiła sobie teraz.

Ale to nie był czas na takie rozważania. *Samoanalizuj się później, pomyślała. Teraz masz zadanie do wykonania. Nie rób tego wszystkiego pierwszego dnia i nie szalej za swoim cholernym szefem.*

Wróciła do biura ochrony, uśmiechając się po drodze do jednego lub dwóch pacjentów. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było chwycenie śrubokręta krzyżakowego, po czym natychmiast wróciła do apteki i usunęła z drzwi rzucający się w oczy znak. Chciała zawołać Joyce i rozejrzeć się po okolicy.

Ale kolejny znak rzucił jej się w oczy akurat w momencie, gdy odwracała się od apteki.

SKRZYDŁO – B

I to tam trzymając ściśle tajny lek na raka, przypomniała sobie. Interthiolate. Clare musiała się z tym zgodzić; im mniej osób ma dostęp, tym lepiej, ale zastanawiała się, czy Dellin i dyrektor kliniki nie popadają w lekką paranoję na myśl o szpiegostwie przemysłowym i kradzieży. Clare wiedziała, że prawdziwym celem kradzieży jest skarbiec apteki. *Muszę dowiedzieć się czegoś o systemie alarmowym, dowiedzieć się, ile z tych drzwi jest okablowanych*, zanotowała sobie w myślach.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na drzwi skrzydła B, po czym wróciła do swojego biura.

Na biurku leżał dziennik operacyjny; Clare widziała, że Joyce już go zaczęła, wpisując swój pierwszy obchód. Wpisała się sama i zanotowała swoją odprawę z Dellinem. Jej wzrok przykuły szafki po drugiej stronie biura. Na jednej z szafek widniał napis SZEF OCHRONY.

To ja, więc... Nie miej mi tego za złe.

Wyciągnęła swój klucz i pewnie otworzyła szafkę.

No dobra! To rozumiem!

Na haczyku wisiał w pełni dopasowany skórzany pas na broń, z kaburą na kciuk i sześciocalowym Coltem Trooperem Mark III .357 magnum.

– Dla mnie w sam raz – powiedziała pod nosem. Musiała przesunąć pas o kilka dziurek, by pasował na jej talię i wtedy zauważyła, że pas, choć stosunkowo nowy, był już kiedyś używany. Dziurki w pasie były przetarte. Na dnie szafki błyszczała złota plakietka. Clare podniosła ją i od razu przypięła. Ale potem...

Coś jeszcze tam jest.

Pochyliła się i podniosła małą mosiężną tabliczkę. Była to tabliczka z nazwiskiem. FLETCHER, G. SZEF OCHRONY

Co do diabła? Myślałam, że to ja jestem szefem ochrony, ale wtedy dotarło do niej, że musi patrzeć na tabliczkę osoby, którą zastępuje.

Dellin właściwie nie wspomniał, że kogoś zastępuje, ale dlaczego miałoby to mieć jakiegokolwiek znaczenie? Poszperała teraz w szufladach biurka. Wystarczyło kilka minut przeglądania niektórych dzienników operacyjnych z przeszłości, by się zorientować.

G. Fletcher? Teraz zobaczyła nazwisko na pierwszym arkuszu dziennika. Grace Fletcher. Szefowa ochrony. Dellin powiedział jej, że klinika działa dopiero od około miesiąca, ale Clare widziała po dziennikach, że jeszcze zanim oficjalnie rozpoczęły się badania kliniczne, prowadzono tu operację bezpieczeństwa. Oczywiście. Teraz to miało sens. Kontrakt na ochronę rozpoczął się prawie rok temu, gdy placówka była już w budowie.

A ta kobieta tutaj – Grace Fletcher – była szefem ochrony przede mną.

Clare siedziała teraz spokojnie przy biurku, stukając palcem w blat. Nie mogła oprzeć się oczywistej ciekawości.

Ciekawe, co się z nią stało. To chyba dobry moment, by się tego dowiedzieć. I tak muszę teraz poprosić Joyce, by pokazała mi to miejsce. Poproszę ją.

Obróciła się na krzesło w kierunku radia. Była to standardowa stacja bazowa ze skanerem, trzema pasmami częstotliwości dla wielu jednostek i kanałem prywatnym. Już miała ją włączyć i zadzwonić do Joyce, gdy...

Co to do cholery jest?

Najmniejszy ruch przykuł jej uwagę, gdy podniosła mikrofon.

Ruch na jednym z ekranów monitoringu.

Ekranów było kilka, ale nie były zbyt duże – tylko trzynastocalowe wyświetlacze. Jeden pokazywał bramę na głównej drodze, jeden wejście do kliniki, a kilka kolejnych pokazywało różne punkty obiektu, które znajdowały się głębiej na zewnątrz.

Na ostatnim ekranie zobaczyła, że coś się porusza.

Kamera pokazywała rozszerzony widok na coś, co wydawało się być tylnym wejściem do kliniki; na ekranie widziała rampę załadunkową budynku, jej pojedyncze, uchylone drzwi i długą, gruntową drogę prowadzącą od niej. Ruch, który wykryła, był tak odległy, że miała szczęście, że w ogóle go zauważyła. To, co ją zaskoczyło, to krótkie mrugnięcie, jak metaliczny błysk z drzewka palmowego i kilku przysadzistych krzewów palmy. I...

Znowu to samo – błysk.

Clare wpatrywała się w ekran, ale szczegóły były zbyt odległe.

– Gdzie jest zoom w tym czymś? – powiedziała na głos. – Ach, mam szczęście... – Na konsoli znalazła przyciski sterujące kamerami. Każdy z nich i odpowiadający mu ekran były oznaczone literami. Uderzyła w strzałkę przybliżającą kamerę F i przybliżyła kadr.

– Nie mówcie mi, że mam intruza w pierwszym dniu służby... .

Obiekt wrobił niezwykle zbliżenie, a potem przesunęła się, by wyśrodkować swojego „intruza” w kadrze.

To była osoba, no dobra, właściwie dwie osoby.

Oh, nie, jęknęła Clare w myślach. Wygląda na to, że mój pierwszy oficjalny wpis będzie dotyczył mojego własnego sztabu.

Błysk, który zobaczyła, to była odznaka, odznaka ochrony, a osobą w kadrze była Joyce. Odznaka mrugała w słońcu, gdy rozchyliła koszulę, by odsłonić piersi.

W tej chwili była w objęciach z innym strażnikiem, wysokim, ciemnowłosym mężczyzną.

– Wspaniale. To jest po prostu świetne.

Męskim strażnikiem był oczywiście Rick, o którym zarówno Joyce, jak i Dellin wspominali wcześniej, i równie oczywiste było, że Joyce i Rick byli niezbyt dyskretnymi kochankami. Clare była wściekła, nie tyle dlatego, że ich przyłapała, ale dlatego, że teraz miała obowiązek coś z tym zrobić.

Niech to szlag!

Czy powinna o tym napisać? Donieść na nich do Dellina? Zwolnić ich na miejscu? Westchnęła i oparła podbródek na dłoni.

– To nie jest mi potrzebne. Nie w moim pierwszym dniu. – Jej oczy powędrowały z powrotem na ekran.

Para kochanków obejmowała się, wymieniając głębokie, drapieżne pocałunki. Joyce przyciskała Ricka do drzewa, a gdy jej nagie piersi ocierały się o jego klatkę piersiową, jej ręka nie traciła czasu, by zsunąć się w dół do spodni. Ich gesty wydawały się szaleńcze, zdesperowane, gdy w tej małej zatoczce w zaroślach nawzajem się obmacywali. Głowa Joyce opadła do tyłu; usta Ricka lizały mokrą linię od jej warg aż do sterczących piersi, a potem przysysały się mocno do sutka. Gdy odsunął usta, sutek

sterczał jak różowy świek, a całe ciało Joyce zdrząło, gdy mocno potrząsnął go palcami. Potem polizał drugą pierś, powtórzył tę samą czynność, podczas gdy ręka bezczelnie spoczęła na kroczu spodni Joyce i zaczęła pocierać.

Człowieku! Pomyślała Clare. *To jest niezłe przedstawienie, a teraz lepiej pomyślę, jak je zakończyć...* Sięgnęła ponownie po mikrofon radiowy, ale nie mogła oderwać się od małego ekranu. Nigdy nie była voyerystką, ale to... To... To było zbyt kuszące, by nie patrzeć.

Teraz Joyce była na kolanach, Rick ciężko oddychał, stojąc oparty o drzewo. Kąt kamery nie pozwalał Clare dostrzec drobnych szczegółów, ale nie trzeba było jej mówić, co się dzieje. Jakaś jej część czuła się zakłopotana, oglądając to.

Ale inna jej część?

Następnie Rick pociągnął Joyce z powrotem na nogi, ponownie objął ją energicznie i odwrócił. Teraz to Joyce była oparta o drzewo, z zamkniętymi w rozkoszy oczami, gdy Rick całował ją namiętnie zanurzając w niej język. Nagi, płaski brzuch Joyce wydawał się wciągać i wypychać w podnieceniu, a duże piersi wydawały się jeszcze większe, sutki sterczały jak szpilki.

W porządku, Clare, wystarczy! To jest biuro ochrony, a nie kino erotyczne! I gdy powtórzyła swój rozkaz, by przestała oglądać te dziwactwa na ekranie i podjęła jakieś działania kierownicze...

Och, nie ma mowy! Nie mają chyba na tyle śmiałości, by... Wpatrywała się dalej.

Nie, proszę! Nie w biały dzień!

Rick nadal mocno całował Joyce, ale teraz jego duże dłonie były zajęte jej talią. Odpiął jej pasek, rozpiął spodnie kilkoma miarowymi, brutalnymi ruchami. Potem ściągnął je w dół, tuż przy drzewie.

Nie mogę w to uwierzyć! pomyślała Clare.

Wyraz twarzy Joyce był jak pożądliwe uniesienie, miała przymknięte z rozkoszy oczy. Ręka Ricka natarczywie wędrowała pod jej majtki, by potem zaczął je zsuwać.

Clare mogła tylko potrząsnąć głową z niedowierzaniem, ale właśnie wtedy, gdy wydawało się, że Rick i Joyce zamierzają posunąć swoje działania do najdalszych granic...

Och, dzięki Bogu, pomyślała Clare.

W jednej chwili zwykły zdrowy rozsądek zawładnął wyrazem twarzy Joyce, która z uśmiechem odepchnęła go i potrząsnęła głową. Clare widziała, jak jej usta bezgłośnie mówią „Nie, nie, nie, nie!”, gdy podciągnęła z powrotem swoje spodnie i ponownie je zapięła. Potem wybiegła z kadru z cichym, przekornym chichotem na ustach. Rick skrzywił się z frustracji i wyszedł za nią.

Pewnie myśleli, że kamera jest zbyt daleko, by ich wyłapać, domyśliła się Clare. Ale złapanie ich nie sprawiło, że poczuła się szczególnie mądra czy spostrzegawcza. I pewnie nawet za milion lat nie zgadliby, że nowy szef włączy maksymalne zbliżenie i będzie ich obserwować.

Co powinna zrobić?

Oczywiście Rick i Joyce musieliby utrzymać swój gorący romans w tajemnicy, bo inaczej straciliby pracę. Clare łatwo było potępić ich nieodpowiedzialność z czysto obiektywnych powodów. Jakkolwiek by na to nie spojrzeć, fizyczne okazywanie uczuć podczas służby nie mogło być tolerowane. A jawna aktywność seksualna? To jest przestępstwo podlegające zwolnieniu, proste i oczywiste. Nie, nie odbyli stosunku tam

w lesie, ale to nie miało znaczenia. Byli strasznie blisko i nie można było zaprzeczyć ich intencjom.

Powinnam donieść na nich Dellinowi i polecić, by ich zwolniono.

Ale wtedy przypomniała sobie swoją dzisiejszą małą słabość: ile razy przyłapała się na tym, że z rozmarzeniem wpatrywała się w Dellina? Chyba nie jestem osobą, która powinna mówić o moralnych nadużyciach w miejscu pracy.

Włączyła mikrofon.

– Joyce? Tu Clare. Jaka jest twoja lokalizacja?

– Jestem w SP-6. – Natychmiast odpowiedziała.

Clare nie miała pojęcia, co to znaczy, ale szybki rzut oka na mapę terenu wyjaśnił: SP – STACJA POMIAROWA, a za nimi numery do dwudziestu czterech.

– Dobrze, musisz mnie teraz oprowadzić po terenie. Spotkajmy się na parkingu od frontu.

– Już idę.

Idziesz, w porządku... prawdopodobnie do kolejki dla bezrobotnych, pomyślała Clare, zamykając biuro i wychodząc. Na parkingu, mimo wystarczającej ilości cienia od wysokich drzew nad głową, upał stał się absolutnie uciążliwy. *Przyzwyczaj się do tego,* powiedziała do siebie. Podczas gdy czekała, kilku innych pacjentów zajęchało na parking i weszło do kliniki. Wszyscy byli starsi i wszyscy uśmiechnięci, nawet pomimo ponurej diagnozy raka. *Oczywiście, że się uśmiechają. Zostali wyleczeni, podczas gdy jeszcze miesiąc temu ich prywatni lekarze mówili im pewnie, że są w stanie terminalnym.* Mimo że była tylko strażniczką, dla Clare było to niezwykle ekscytujące być związaną z placówką, która znalazła lekarstwo na raka. Kiedy próby dobiegną końca – i miejmy nadzieję, że zakończą się sukcesem – Clare nie mogła się doczekać, kiedy wiadomość o tym trafi na pierwsze strony gazet.

W odległym rogu parkingu zauważyła dwa miejsca, na których jaskrawożółta farba na nowym asfalcie głosiła PARKING OCHRONY. Jedno miejsce było puste, ale na drugim stał zaparkowany nowy, lśniący, biały Chevy Blazer. Clare powoli obeszała duży, w pełni wyposażony samochód z napędem na cztery koła, myśląc: *Czy to może być...*

Tak!

Dellin powiedział, że otrzyma samochód za darmo; Clare od razu zobaczyła, że to musi być ten. Na drzwiach widniał czarny napis SZEFEW OCHRONY. Kluczyki na jej breloczku otworzyły go; nie mogła się powstrzymać, by nie przyjrzeć się bliżej. Wnętrze wciąż pachniało nowością, a tapicerka wyglądała nieskazitelnie. Klimatyzacja, elektryczne szyby, odtwarzacz CD, a także skaner i radio.

– To na pewno się przyda – powiedziała do siebie.

Rozległ się ryk silnika, po czym na parking wjechał mniejszy samochód z podobnymi oznaczeniami. Joyce uśmiechnęła się i pomachała z otwartego okna kierowcy.

Ojej, Joyce, pomyślała Clare z cynizmem. Czy to moja wyobraźnia, czy wyglądasz na lekko zarumienioną?

– Sprawdzasz swoją nową furę? – powiedziała Joyce, gdy podjechała. – To jest samochód zmianowy, ale ten jest twój. Jest świetny, prawda?

– Wypasiony. Podoba mi się.

– Tak, tak samo jak pierwszej szefowej ochrony Grace Fletcher – stwierdziła Clare. Wsiadła do suwa Joyce po stronie pasażera. – Znałaś ją dobrze?

– Nie, nie bardzo – w zasadzie to był tylko jeden dzień. Wprowadziła mnie na teren, pokazała, co i jak i to wszystko. Odeszła następnego dnia. Ale była całkiem miła.

– Dlaczego zrezygnowała?

– Nie mogła sobie poradzić z klimatem, tak mi powiedziała, ale potem jeden z innych strażników powiedział mi, że ich zdaniem teren był dla niej zbyt niebezpieczny – Joyce wyjechała z parkingu i skierowała się w dół głównej drogi prowadzącej do kliniki. – Pokażę ci najpierw wschodnią część wyspy – to jest najdalsza granica terenu – a potem środkową, żebyś mogła zobaczyć bagno i ruchome piaski.

– Ruchome piaski? Chyba sobie żartujesz – ta wzmianka trochę wstrząsnęła Clare.

– Nie. Bagna, zapadliska, kamieniste doły – mamy to wszystko, razem z węzami, nie wspominając o rekinach, a nawet aligatorach.

– Więc Grace Fletcher nie przesadzała: teren jest dość niebezpieczny.

– Chodzenie nocą po centrum Tampy – to jest niebezpieczne. – Joyce zaśmiała się. – Żaden z węży nie jest jadowity, rekiny przypływają do środkowej zatoki tylko w szczycie lata, aligatory boją się ciebie bardziej niż ty ich, a pole z zapadliskami jest całkowicie ogrodzone. Jeśli jesteś naprawdę ostrożna, to miejsce nie jest wcale niebezpieczne.

Clare postanowiła zachować swoje własne osądy na później. Droga zwężyła się, gdy przejechały przez wschodnią część wyspy; nagle gęsty tunel drzew otworzył się na zupełnie niezagospodarowaną plażę i zachwycający widok na zatokę.

– Niezła sceneria – skomentowała Clare. – I jaka piękna, odizolowana plaża.

– Nikt tam nie chodzi, bo z jakiegoś powodu płaszczki upodobały sobie ten punkt jako miejsce lęgowe.

Fantastycznie, pomyślała Clare. *Węże, rekiny, aligatory, a teraz płaszczki.*

– A, tak, i meduzy też – dodała Joyce. – W niektórych porach roku tysiące z nich przypływają w to miejsce. Niektóre z nich mają macki z żądłami, które mają metr długości. Jeśli jedna z nich owinie się wokół twojej nogi, będziesz to czuła przez tydzień.

– Cóż, wygląda na to, że nie będę wchodzić do wody. Nigdy. – Odparła zdumiona Clare.

– Och, nie, to byłby błąd. Nie ma nic takiego w środkowej zatoce, gdzie znajdują się domki. Będziesz mieszkać na wyspie, prawda?

– Tak. Dellin powiedział, że mogę, jeśli chcę.

– Cóż, uwierz mi, że chcesz. To najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałas – i nie trzeba płacić czynszu! I do tego tuż przy plaży. Mieszka tam kilku pracowników, a do pracy jest mniej niż dwa kilometry. Zauważyłam panią Grable w ostatnim bloku, która go sprząta, więc zgaduję, że to jest ten, który dostaniesz.

– Pani Grable?

– Ona jest, tak jakby, menadżerem mieszkańców, też tam mieszka ze swoim mężem. Zajmuje się konserwacją, utrzymaniem terenu i jeśli coś się zepsuje w twoim bloku, to ona jest tą osobą, do której należy zadzwonić.

– Nie mogę się doczekać, by zobaczyć to miejsce.

Joyce przejechała następnie przez środkową część wyspy: bagna, mokradła i rzeczywiście, zarośnięty, ogrodzony teren z napisem NIEBEZPIECZEŃSTWO! RUCHOME PIASKI! Jak dotąd wszystko, co Clare widziała, było dosłownie tropikalną dżunglą.

– A więc wschodnia i środkowa część są zarośnięte i gęste. Nie mogę uwierzyć, że macie tam jakiekolwiek problemy z wandalami i intruzami.

– Nie mamy – zaprzeczyła Joyce. – I teraz widzisz, dlaczego wybrali tę połowę parku, by zamknąć ją dla publiczności; obszary lądowe są o wiele bardziej wąskie i o wiele trudniejsze do utrzymania. Ale środkowa odnoga – tam, gdzie jest klinika i jezioro – tam właśnie mamy kłopoty.

– Kłusownicy, tak?

– Polowanie na aligatory jest teraz nielegalne, ale od czasu do czasu trafiają się tu jacyś kłusownicy, którzy to robią. – Joyce przytaknęła. – Sprzedają mięso do restauracji. A jezioro Stephanie jest pełne chronionych i zagrożonych gatunków ryb słodkowodnych, więc cwaniaki wypływają tam w nocy z wędkami. Złapaliśmy już kilku z nich. Za każdą rybę grozi grzywna w wysokości 1500 dolarów.

– Auć!

– Tak. Ale ci idioci wciąż przychodzą. No i oczywiście jest jeszcze stary dobry Trojan Point. To mała laguna na końcu, otoczona palmami. Jest uważana za romantyczne miejsce na noc dla wszystkich ćpunów z Tierra Rojo i południowego St. Pete. Chodzą tam, by pić piwo i palić zioło. I nie muszę ci chyba mówić, dlaczego nazywają to miejsce „Trojan Point”.

– Rozumiem, że nie rozmawiamy o Agamemnonie i Achillesie?

– Pamiętam, że pewnego ranka poszłam tam, by uderzyć w stację i naliczyłam czterdzieści sześć zużytych przerwy wzdłuż plaży. – Joyce zachichotała. – To było takie obrzydliwe!

– Spójrz na to z innej strony. Oni praktykują bezpieczny seks.

– To dobrze dla nich. Przynajmniej będzie mniej meta-dzieci. Przestępczy element na zachód od lądu to w stu procentach menele... Białe śmieci z przyczep. Przepraszam, jeśli zabrzmi to niepoprawnie politycznie, ale po co owijać w bawełnę? Ci ludzie istnieją po to, by się pieprzyć i ćpać, a dla ochroniarza są niczym innym jak wrzodem na dupie.

Nagła szorstka obserwacja społeczna Joyce wprawiła Clare w zaskoczenie. Jej własne poglądy na takie sprawy były nieco bardziej rozważne, a przynajmniej miała taką nadzieję: ludzie nie są źli z wyboru, są źli przez dyskryminację, zniewolenie, podporządkowanie i złe środowisko, w którym muszą się wychowywać. Wychowując się w sierocińcu, nie wspominając o roku bezdomności spowodowanej dyskryminacją, wiedziała co nieco na ten temat.

Z drugiej strony, zawsze zachowywała swoje poczucie moralności.

– Spokojnie – mówiła dalej Joyce. – Nie robię z ciebie rasistki. Po prostu bardzo mnie wkurza, gdy widzę, co ci ludzie sobie robią. Wychowałam się w getcie w New Hampshire, a kiedy miałam szesnaście lat, kamienica spłonęła i zginęła cała moja rodzina.

– Wow. Przykro mi to słyszeć.

Beztroski ton Joyce wskazywał, że nie szukała litości. Po prostu wzruszyła ramionami.

– Byłam maltretowana przez pewnego obleśnego nauczyciela w drugiej klasie, dorastałam obżerając się serem i patrzyłam jak straż pożarna z Nashua wkłada to, co zostało z moich rodziców i młodszego brata do worków na zwłoki. Gówniane rzeczy czasem się zdarzają – takie jest życie. Ale przy całym tym gównie, przez które przeszłam, nigdy niczego nie ukradłam, nigdy nie brałam ani nie sprzedawałam narkotyków. Miałam wiele okazji i były momenty, kiedy było to naprawdę kuszące. Ale nigdy tego nie zrobiłam.

Clare słuchała uważnie tego, co mówiła, nie tylko słów, ale tego, co było pomiędzy nimi. *Miała nawet gorzej niż ja, a mimo to trzymała się w kupie.* Teraz, gdy Clare wiedziała o tych rzeczach, zmieniła zdanie co do swoich początkowych wrażeń. *Myszę, że mały numerek w lesie nie jest aż tak strasznym wykroczeniem.* Clare poczuła się przygnębiona, gdy usłyszała o strasznych perypetiach tej młodej kobiety.

– Przepraszam! Nie chciałam się tak wywyższać. – Joyce zaśmiała się.

– W porządku. Jesteś silną kobietą.

– Wracając do mojego punktu widzenia. Kiedy wsióry nie palą swojej mety z lufek, strzelają sobie w kanał...

– Środkami przeciwbólowymi na receptę – podchwyciła Clare. – Którymi tak się składa, że klinika jest wypchana po brzegi.

– Tak. Więc to jest nasze największe zmartwienie. Nie możemy pozwolić, by mendy włąmały się i dostały to wszystko w swoje ręce.

Clare prawie się roześmiała z powodu swobodnej wypowiedzi Joyce. *Mendy. Jezu. Ta dziewczyna jest prześmieszna.*

– To jednak zabawne – kontynuowała Joyce. – Dellin i Harry są bardziej przejęci inwentarzem Interthiolate niż całą tą morfiną. Naprawdę martwią się, że ktoś może włąmac się do ośrodka i ukraść trochę.

– To brzmi trochę zbyt paranoicznie, a także dość chciwie i korporacyjnie. Ale spójrz na to z ich perspektywy. Interthiolate to ich dziecko. Jasne, w leczeniu raka nie powinno chodzić o to, kto ma zasługi, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Gdybym ja pomagała w wynalezieniu tej rzeczy, też chciałbym uznania i pieniędzy. I zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, by upewnić się, że jakaś inna firma mnie nie okradnie.

– Tak, chyba masz rację.

– Płacą nam za pilnowanie Pawilonu B jak Fortu Knox, więc to właśnie robimy.

W trakcie ich przejażdżki Joyce wskazała kolejne bagna i mokradła na bardziej opuszczałym terenie; potem pojechała z powrotem w kierunku kliniki.

– Teraz, gdy o tym myślę, te inne rejony są trochę przerażające.

– Tam jest prawie jak las deszczowy – zauważyła Clare. Zauważyła też upał i wilgoć. Wydawało się, że góra munduru przyciska się do jej skóry i wysysa z niej wilgoć. Nagle myśl o tym, że ktoś mógłby opuścić tę pracę z powodu klimatu nie wydawała się już tak niedorzeczna.

– Wracając do tego, o czym rozmawialiśmy wcześniej. Grace Fletcher powiedziała ci, że odchodzi z powodu klimatu, ale inny strażnik powiedział ci, że to z powodu potencjalnych zagrożeń. Czy to Rick ci to powiedział?

– Och, nie. To było zanim Rick został w ogóle zatrudniony – wyjaśniła Joyce. Kropelki potu spływały po jej policzkach i szyi, ale nie wydawała się w najmniejszym stopniu skrepowana. Jej wyraz twarzy wydawał się jednak sceptyczny.

– Wśród kadry krążyło wiele różnych plotek. Grace miała swoją posadę i miała jeszcze dwóch innych strażników: Roba i Donnę. Cała trójka tworzyła pierwszą ekipę ochroniarską na tym terenie. Wszystko szło dobrze, aż nagle, około miesiąc temu, cała trójka złożyła dwutygodniowe wypowiedzenie. Dellin nie był zbyt szczęśliwy, ponieważ zmusiło go to do poświęcenia czasu zarezerwowanego dla swoich pacjentów, by zatrudnić nową ekipę. Ja byłam pierwszą nowo zatrudnioną. Grace poinformowała mnie, że powodem, dla którego wszyscy odchodzą, jest to, że jest za gorąco. Nie myślę o tym i jestem szczęśliwa jak cholera, bo dostałam tę pracę. Tej nocy jednak spotkałam przy barze Roba Thomasa, który mówił mi, że wszyscy oni złożyli wypowiedzenia, bo

mieli kilka potyczek z aligatorami i węzami i uznali, że ta praca jest zbyt niebezpieczna. Brzmiało to dla mnie trochę zbyt absurdalnie, ale co mnie to obchodzi? Nie podoba im się ta praca, to ich sprawa. Rozumiesz mnie?

– Tak – odpowiedziała Clare, wystawiając rękę przez okno.

– Jest coś jeszcze?

– Trochę, i to jest trochę dziwne. Przychodzę następnego ranka, by rozpocząć swoją zmianę, a Grace nie ma. Nie ma też Roba i Donny, a wszystkie ich szafki są puste.

– Ich dwutygodniowe wypowiedzenie się skończyło, to masz na myśli.

– Nie, to właśnie jest dziwne. Mieli jeszcze dziesięć dni do końca, ale wyszli poprzedniej nocy, wszyscy troje, w tym samym czasie. Dlatego wydaje mi się to trochę dziwne. Nie honorując swojego dwutygodniowego wypowiedzenia, tracą odpawę. To znaczy, cholera, musieli naprawdę nienawidzić tej pracy, żeby odejść tak szybko i powiedzieć: do diabła z odpawą. Nie sądzisz, że to trochę zastanawiające?

– Tak – przyznała Clare. – I brzmi to po prostu... podejrzenie.

– Mhmm, i nikt nigdy nie dowie się, jaki był prawdziwy powód. Po ich odejściu pojawiała się jedna plotka za drugą, aż do tego stopnia, że stało się to nedorzeczne. Laska w kafeterii powiedziała mi, że uciekli z miasta, bo byli naprawdę poszukiwanymi zbiegami. Woźny mówił mi, że słyszał, iż Dellin ich zwolnił, bo kradli narkotyki z apteki. Ludzie w barze mówili, że wszyscy byli bandą pijaków, a facet od zwalczania szkodników, że to był trójkąt miłosny, który się nie udał. – Joyce potrząsnęła głową, rozbawiona.

– Kto to wie? A jeśli pytasz mnie, kogo to obchodzi?

– To całkiem nieistotne – skwitowała Clare, choć musiała przyznać, że podsyciło to jej ciekawość.

– Jesteś tu od miesiąca i nadal podoba ci się ta praca?

– To świetna praca. Dobra płaca, opieka zdrowotna i darmowy domek na plaży. Żartujesz? To najlepsza praca, jaką kiedykolwiek miałam. Ilekroć widzę aligatora, krzyczę „buu!” i on ucieka.

– Czuję się zachęcona – powiedziała Clare.

Były z powrotem na głównej drodze, a długie, kasztanowe włosy Joyce powiewały na wietrze.

– Uwierz mi, Fort Alachua jest najbezpieczniejszym z parków.

(III)

Była duszona. Ręce fachowo okręciły się wokół jej szyi, wykręcając ją jak ścierkę do naczyń. Nagie ciało drgało pod krystalicznie czystą wodą; z ust wydobywały się bąbelki.

Biedna Kari Ann.

Jak Bóg mógł jej to zrobić? I to po tym, jak była tak blisko ucieczki?

Ostatniej nocy przez wiele godzin była gwałcona w lesie, wleczona przez krzaki, trawy i zarobaczone bagna, a mimo to udało jej się uciec temu diabłu, ukryć się do świtu i znaleźć łódź. Było to cudowne osiągnięcie, szczególnie dla kobiety o posturze i budowie Kari Ann: wychudzonej, odwodnionej przez ssący żar bagien, wygłodzonej. A jednak dzięki silnej woli przetrwania uniknęła tego straszego gwałciiciela i porywacza. Przeżyła cały ten terror, ból i trudy – i po co?

By zostać złapaną i zacząć wszystko od nowa.

Pamiętała swoją maniakalną, płaczącą radość, gdy wydeptała sobie drogę z lasu na brzeg. Łódka Caleba wciąż tam była, gdzie zostawili ją zeszłej nocy. Śmiała się radośnie jak chochlik, z oczami szeroko otwartymi w obłądnym zachwycie, gdy z trudem odwiązywała linę cumowniczą, a potem wyciągnęła łódź, zanurzając się po pas. Czysta woda w zatoce była niczym pieszczota nieba na jej brudnej, pogryzionej przez owady skórze. Rzuciła się do łodzi i zaczęła wiosłować. *Jestem wolna! Wydostałam się!* Krzyczał jej udreżony umysł.

Udało mi się!

Wiosłowała, dosłownie, jak szalona. Drobna kobieta, która właśnie została uwolniona ze szponów niezgłębionej śmierci. Bełkotała jakieś pozbawione sensu słowa zachwytu, po czym prawie eksplodowała z radości, gdy zobaczyła w oddali, żaglówkę przesuającą się leniwie po ujściu Zatoki Tampa. Bezpieczny, normalny świat był teraz tak blisko niej, dlatego teraz wiosłowała z całych sił.

Udało mi się! Udało mi się! Pomyślała.

Wtedy zauważyła, że łódź nie posuwa się naprzód.

Wiosłowała mocniej, z większą furią, wiosło wydobywało pióropusze wody i wystrzeliwało je metry za siebie. Ale... łódź stała w miejscu.

Czy osiadła na mieliźnie? To niemożliwe! Była już co najmniej półtora kilometra od brzegu! Zanurzyła wiosło, by wy badać dno. Jeśli łódź nie była na mieliźnie, to dlaczego się nie ruszała?

Wtedy zamarała.

Jej napastnik, niczym nemezis, wynurzył się z wody z przodu łodzi. Był tam przez cały czas, trzymając łódź rękami. Spojrzał na nią, uśmiechając się.

Kari Ann zaczęła przeraźliwie krzyżeć, wypluwając prawie płuca. Tak głośno, że białka oczu przybrały krwisty, jasnoczerwony kolor i tak wysoko, że ptactwo podniosło się z plaży w popłochu.

Nawet za dnia nie było tu bezpiecznie. Mogła krzyżeć ile chciała, ale ludzie na żaglówce nigdy jej nie usłyszą. W ułamku sekundy ręce gwałciciela zacisnęły się wokół jej gardła, i została wciągnięta pod wodę. Duszenie było powolne, celowe, ręce przytrzymały ją, a potem podnosiły do góry na tyle, by mogła złapać oddech, a następnie zanurzyły jej twarz z powrotem. Gdyby była wtedy bardziej przytomna z łatwością dostrzegłaby radość, czystą sadystyczną rozkosz napastnika. Zamierzał ją zabijać powoli – dla zabawy. Dla dzikiej przyjemności.

Zanurzona w wodzie, z rozdętą twarzą i unoszącymi się włosami wokół, próbowała zerwać uścisk, ale bezskutecznie; stopami kopała w chłodnej otchłani bezdennej toni. Za każdym razem, gdy była podciągana, czuła, jak szalejąca erekcja ślizga się po jej brzuchu i udach.

W tej chwili Kari Ann chciała już tylko umrzeć.

Po prostu umrzeć...

Czy się poddawała?

Łatwiej umrzeć...

Jej kończyny opadały teraz bezwładnie do wody. Oprawca przytrzymał ją, obserwując twarz pod falującą wodą. Kari Ann wpatrywała się w niego, ze sztywnym językiem, który wystawał spomiędzy warg. Choć jej mózg nie był już zdolny do normalnego przetwarzania myśli, to jednak coś zarejestrował, a świadomość ta wstrząsnęła jej umierającą psychiką jak erupcja.

W ciągu tych wszystkich okropnych rzeczy, które się wydarzyły, w ciągu tego wszystkiego, co jej zrobił wczoraj wieczorem i teraz, to był pierwszy i jedyny moment, w którym Kari Ann miała szansę naprawdę zobaczyć jego twarz.

I nagle ten obraz przykuł jej uwagę. Najniższy instynkt zawładnął nią jak powiew wiatru w żar w ognisku, a jej przerażenie rozgorzało na nowo.

Chwilę później jej napastnik wył, uwalniając gardło Kari Ann. Skowyt rozbrzmiał jak niski róg – skowyt agonii.

Kari Ann bez zastanowienia sięgnęła w dół, chwyciła jedno z jego jąder i zaczęła je wykręcać. Wbiła paznokcie w mosznę. Oparła obie stopy o jego biodra i pociągnęła, odrywając jądro.

Wybuchły kolejne krzyki w agonii. Dusząc się, Kari Ann rzuciła się na brzeg i uciekła z powrotem do lasu, napastnik pozostał.

Było już dobrze po południu, słońce stało wysoko, słońce świeciło mocno i w tym świetle Kari Ann w końcu zobaczyła twarz swojego napastnika. Teraz biegła ile sił w nogach z powrotem do tropikalnego lasu, modląc się, by znów uciec, bo teraz odkryła coś ponad wszelką wątpliwość:

Ten szalony gwałciciel wcale nie był człowiekiem.

Ani człowiekiem, ani zwierzęciem.

CZĘŚĆ DRUGA

FEDERALNA SIEĆ ŁĄDOWA S27-0078
ŚRODKOWA FLORYDA
CZERWIEC 1995

Tak, demon sięgał po profesora Fredricka, gdy ten stał z obiema stopami mocno osadzonymi na dnie starożytnej pieczary.

Z Fredricka wydobywał się jedynie zaschnięty zgrzyt. Jego stare serce jakby zatrzymało się w połowie bicia.

Wtedy zauważył, że demon je żelki.

– Dales! Na miłość boską – sapnął Fredrick. – Przestraszyłeś...

– Strach cię obleciał? – przytaknął Dales, uśmiechając się. – Powinieneś być włączyć swoją latarkę schodząc, wtedy byś zobaczył, że jestem tu na dole.

Fredrick wciąż jeszcze otrząsał się z przerażenia. Był tak wściekły, że chciał to głośno wykrzyknąć w twarz swojemu asystentowi, ale wtedy...

Większa część niego poczuła ulgę, że to nie był demon, który czekał na niego na dole.

– Przysnąłeś na górze – kontynuował Dales, przeżuując. – Po obiedzie sprawdziłem sondę powietrza i okazało się, że jest zielona. Nie chciałem przerywać ci pięknego snu, więc zszedłem pierwszy, aby upewnić się, że podpory są bezpieczne. – Dales mrugnął w świetle latarki. – Nie martw się, nie powiem nikomu, że tak naprawdę byłem pierwszą osobą, która postawiła tu stopę od 10 tysięcy lat. Możesz sobie przypisać tę zasługę.

– Wiesz, Dales, wiem, że jestem starym człowiekiem, ale założę się, że nadal mógłbym skopać twój młody, inteligentny, sarkastyczny tyłek.

– W twoich snach, wujku Joe – Dales uśmiechnął się. – A mówiąc o skopaniu tyłka, miałeś rację. Tu na dole miała miejsce niezła kopanina.

– Widziałeś to?

– Tak, i to nie są skostnienia ani skamieliny. To są ciała. – Mówiąc to Dales podświetlał brodę latarką. – Rozczłonkowane ciała.

– I ścięte głowy, tak?

– Przez chwilę myślałem, że te twoje okulary Pana Magoo sprawiają, że widzisz różne rzeczy, ale potem mój własny, ostry jak orzeł zmysł wzroku szybko zweryfikował twoje niedorzeczne twierdzenie. Ktoś im, kurwa, urwał głowę.

– Mówisz z elokwencją godną królów – powiedział Fredrick. – W rzeczywistości myślę, że pozwolę ci napisać moją nadchodzącą bestsellerową autobiografię. A teraz zjeżdż mi z drogi, abym mógł przyjrzeć się mojemu odkryciu.

Radość nie trwała jednak długo. Nawet Dales, urodzony dowcipniś, wyglądał bardzo poważnie, gdy skierowali swoje promienie w najszerszą część cenoty.

Krew – częściowo w podłużnych kałużach, częściowo w tryskających strumieniach – wyschła na kawowo-brązowy kolor, ale rzadka mieszanka uwiecznionego metanu i azotu sprawiała wrażenie, że nadal jest mokra. Oczywiście tak nie było, ale efekt był mrozący krew w żyłach.

– Człowieku, widzisz to? – mruknął Dales. – Te hektolitry krwi...

Łupkowa podłoga wydawała się nieskazitelna, wręcz wypolerowana pomimo stu wieków nieużywania. Kończyny czterech kapłanów-czarnoksiężników Ponoye lub jakkolwiek ich nazwać, były rzucane w tę i z powrotem, a ich głowy zostały odcięte i

ułożone prawą stroną do góry przy ścianie pieczary. I znów efekt był mrozący krew w żyłach: te uschnięte głowy patrzyły na nich.

– Aż mnie ciarki przechodzą – zauważył Dales. – Jeśli jedna z nich zacznie mówić... czy możemy odpuścić?

Pancerze i bransolety na ramionach lśniły czystym złotem – bez zmatowienia, bez utlenienia, jakby były polerowane przed chwilą, a nie dziesięć tysiącleci temu. Tuniki z rękawami w kształcie pagody wciąż zdobiły torsy, wykonane ze skóry i misternie zdobione ręcznie wypisywanymi znakami, które wciąż były czytelne. Nieunikniony proces kariolizy, spowodowany przez ochronne środowisko cenoły, spowodował, że wnętrze tych rytualnych ubrań zlepilo się ze skórą, tworząc fascynujące fale, podczas gdy naszyjniki z koralików i pierzaste frędzle wokół kołnierzy pozostały praktycznie nietknięte. Fredrick nigdy nie widział czegoś podobnego. Również nakrycia głowy, rozrzucone na bok po starciu, które miało tu miejsce, pozostały zupełnie nienaruszone, a co najdziwniejsze, ich kształt przypominający kosodrzewinę, w niczym nie przypominał typowych pierzastych nakryć głowy, które powszechnie uważano za rdzenno-amerykańskie szaty ceremonialne. Wiedział, że większość z tego zacznie się rozpadać teraz, gdy wystawiono je na działanie normalnego powietrza (musiałby jak najszybciej sprowadzić tu ekipę fotograficzną), ale wiedział też, że bardzo prawdopodobne jest, iż organiczne pozostałości – kończyny, tułowia i głowy – nie doświadczą takiego rozpadu, jeśli będą odpowiednio traktowane, a naturalna mumifikacja zasadniczo zabezpieczy skórę.

I wtedy pomyślał: *Skóra. Boże.*

– Ostrożnie – ostrzegł Dales. – Jeśli ją rozbijesz, może być toksyczna.

Fredrick nie słyszał swojego asystenta. Klęczał przed jedną z rąk, badając ją pod światłem z latarki. Paznokcie, co nie było zaskoczeniem, nadal rosły, a dłoń nie była tak zaciśnięta, jak się tego spodziewał. Czas i powietrze zakonserwowały ją tak dobrze, że mógł nawet dostrzec nienaruszone spirale i rozwidlenia linii papilarnych. Co jeszcze bardziej niezwykłe, w miejscu, gdzie ramię zostało odłączone od barku, Fredrick mógł zobaczyć czystą białą kulę kości ramiennej i wysuszone tętnice wiszące w zamrożonej stazie. Ale tak naprawdę podziwiał wygląd skóry w świetle latarki, która była przezroczysta jak delikatne szkło i miała połyskujący odcień pożółkłego beżu.

Niesamowite.

– Te ciała są lepiej zachowane niż człowiek lodu z Parku Tatshenshini – powiedział na głos. – Lepiej niż Dzieci z Torfowego Bagna i mumia z Jaskini Duchów w Nevadzie.

– Tak, profesorze. I to ciało też. – Głos Dalesa odbił się od ciemności złowieszczym echem.

Fredrick spojrzął w górę, zaniepokojony. W oddali mógł dostrzec grę światła Dale'a.

– Znalazłeś kolejne ciało?

– Tak. Musisz to zobaczyć...

Stare kolana Fredricka zatrzeszczały, gdy podskoczył i pomknął do przodu. Cenota była o wiele dłuższa niż sobie wyobrażał, o wiele bardziej przestronna. Dales patrzył trzydzieści metrów dalej w ciemność.

– To jest straszne... i piękne jednocześnie – powiedział Dales bardziej do siebie.

Fredrick zwinął, gdy jego światło zaczęło odsłaniać odkrycie asystenta.

To była kobieta...

Dobry Boże... Kobieta tak unikalnie i doskonale zmumifikowana, że Fredrickowi aż zakręciło się w głowie na ten widok.

Z małych, drobno ciosanych cegiełek czarnego łupka wzniesiono w centrum cenoty dolmen – ołtarz ofiarny. A na szczycie dolmenu leżała kobieta – najprawdopodobniej dziewczyna w wieku dojrzewania – drobna, naga i nieskazitelnie czysta w swojej dziesięcioletniej agonii.

Leżała spokojna, a aksamitnie proste czarne włosy wciąż były nienaruszone i ułożone wokół ramion. Wysuszenie spowodowane wpływem czasu napięło jej skórę, ale w tym chłodnym środowisku o wysokiej zawartości azotu i dwutlenku węgla pozostała ona nieskazitelnie gładka, bez śladów skurczów, zwiotczeń czy fałd. Małe piersi wciąż były bardziej niż widoczne, ciemne, zbyt duże sutki wciąż wyraźnie zarysowane, wciąż sterzące od przerażającego pędu mordy. Oczy oczywiście zniknęły (zawsze tak było), ale piękne oblicze sprawiało wrażenie niekończącego się spojrzenia, a nie makabrycznych gniazd. Wszystko w niej było delikatne, kruche, wręcz anielskie w starożytnym pięknie. Fredrick niemal poczuł się zawstydzony, gdy spojrzał między jej lekko rozchylone nogi na młode łono. Czternaście, piętnaście lat prawdopodobnie, jak ocenił. I dziewica, bez wątpienia. Nawet jej płeć wydawała się delikatna i piękna, delikatne rozcięcie w niegdyś niepokalanym, miękkim jak ciasto ciele. Skąpe włosy łonowe wyglądały niczym ciemna mgła.

– Nazwij mnie zbrocenięcem, szefie, ale ta dziewczyna wygląda wystarczająco dobrze, by zabrać ją na bal – żartował Dales. – Chryste, ona wygląda lepiej niż ta cheerleaderka, z którą umawiałem się w zeszłym semestrze, a nie miała 10 000 lat.

Fredrick nie usłyszał tych głupich uwag; był zbyt zachwycony znaleziskiem. Największe marzenie każdego archeologa było właśnie tutaj, leżało przed nim... mieniąc się w swoim dziwnym, martwym blasku i niemalże uśmiechając się z jego zachwyty.

Jednak najbardziej zdumiewająca była skóra dziewczyny. Bez porów, gładka, doskonała. Naturalnie ciemna pigmentacja jej rasy została wypłukana przez czas i absolutną ciemność, pozostawiając połysk jak papier ryżowy z dziwnym odcieniem bieli, który przypominał Fredrickowi plamy z torebki po zużytej herbacie. Przez niezwykłą przezroczystość skóry można było dostrzec nikle, czekoladowe ślady żył, cienkie i delikatne jak pojedyncze włókna nici. Fredrick uznał, że w całej historii śmierć jeszcze nigdy nie wyglądała tak żywo.

– Stan zachowania jest zdumiewający – powiedział.

– To nie jest zdumiewające, to jest niezrównane w annałach ludzkiego zachowania. Ta laska sprawia, że andyjska mumia „Pretty Sue” wygląda jak zaschnięta psia kupa. Będziesz sławny. Za tydzień ten cud będzie na stałe wystawiony w Smithsonian, a obok niego na tablicy pamiątkowej będzie widniało twoje zdjęcie. I wszyscy ci faceci, którzy myśleli, że pieprzysz głupoty, mogą już przyznawać się do błędu. Po tym, jak umieścimy kilka takich zdjęć w czasopismach, nikt już nigdy nie obali twojego twierdzenia, że Ponoje byli ofiarami.

– I spójrz! Ona nawet nie jest pocięta – cieszył się Fredrick. Teraz coraz więcej z jego tłumaczeń dotyczących ponojskich intarsji okazywało się słusznych. W przeciwieństwie do Tolteków, Eleusinów i innych starożytnych cywilizacji, które praktykowały składanie ofiar z ludzi, Ponojczycy nie wycinali serca ofiary, by złożyć je w ofierze. Zamiast tego dziewczyna była składana w całości i bez skazy mrocznym diabłom, którym Ponojczycy oddawali cześć. Z najbardziej makabrycznym entuzjazmem Fredrick zauważył dalej:

– Została przywiązana w tym miejscu. Na jej gardle wciąż widać ślad.

– To prawda.

– Musiała umrzeć z przerażenia... a jednak wydaje się taka spokojna, taka pogodna.
– Pewnie wierzyła w to samo, w co wierzyli kapłani, pewnie myślała, że trafi do jakiegoś ekstatycznego życia pozagrobowego w nagrodę za to, że pozwoliła się poświęcić. *Może, zastanawiał się Fredrick. Rozmarzył się. Może ona tam teraz jest... obserwuje nas.*

– Ale to nie jest pytanie za 64.000 dolarów, prawda? – kontynuował Dales.

Nie, nie było. Zimne, twarde fakty rzeczywistości powróciły do świadomości starego profesora. Co za absolutnie tajemnicza zagadka. To go gryzło.

Kto zabił tych czterech kapłanów?

– Najpierw księża krępują łaskę, a potem ktoś przychodzi tutaj i robi z nich wszystkich czterech jaskiniowców, rozrywa ich na strzępy jak bandę lalek Kena. – Dales ujął to po swojemu. – Kto mógł to zrobić, profesorze? To znaczy, nawet jeśli zapomni się na chwilę o motywie, to kto mógł to zrobić? Z wyglądu ich ciał wynika, że zostały rozczłonkowane ręcznie. Nie ma śladów siekiery, żadnych narzędzi tnących. Zostały rozerwane na strzępy. Prawie tak, jakby były ciągnięte przez konie lub rozdzierane na średniowiecznym kole tortur. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale nie widzę tu nic z tych rzeczy.

– Wiem, – wyznał Fredrick, nie tracąc wiary w naukę i logikę. – To nie ma większego sensu. Odpowiedź gdzieś jest – tylko my jej nie widzimy.

– Członkowie jakiegoś wojowniczego plemienia? Seminolesów może?

– Seminolesi nie przybyli tu 10 000 lat temu – powiedział Fredrick. – Nie zawędrowali aż do Alabamy. Nie było też żadnego z ludów Muskhogeańskich. A ci, którzy żyli na tym terenie, byli przerażeni Ponoyami; uciekali przed nimi, nigdy nie walczyli – nie było ich wystarczająco wielu. Nie, Dales, to nie jest logiczne, że inne plemię przybyło tu podczas rytuału składania ofiar i zamordowało kapłanów.

– Cóż, jeśli weźmiesz pod uwagę, co właściwie robili tu kapłani... – roześmiał się Dales – może nikt inny w ogóle tu nie przyszedł.

Ten niedorzeczny komentarz był dla Fredricka trudny do całkowitego zignorowania. Czuł się niespokojny, czuł teraz mdłości w tej ciemności, wśród tych wszystkich ciał.

Gdy weźmie się pod uwagę, co właściwie robili tu kapłani...

Tak, kapłani składali ofiarę z ludzi, próbując wcielić się w jedno z bezimiennych bóstw podziemia, które czcili.

Cisza zdawała się wisieć wokół niego jak czarna płachta.

– Dobrze, Dales, – odezwał się w końcu. – Byłbym skłonny rozważyć możliwość udanego wcielenia się demona.

– Byłbyś?

– Oczywiście. Po tym, jak znajdę jego prawdziwe zwłoki.

Spodziewał się typowej prześmiewczej uwagi, ale, zauważył, iż Dales w ogóle nie usłyszał jego sarkastycznej wypowiedzi.

– Dales?

Dales stał nieruchomo, wpatrując się w dal. Wyglądało na to, że on też jest zawieszony w tej ciszy i ciemności.

– Dales?

Młodszy mężczyzna zrobił kilka szybkich kroków do przodu, po czym gwałtownie się zatrzymał.

– Dosyć tego, synu. Przerażasz mnie. Na co się, do cholery, patrzysz?

Dales odwrócił się szybko, stojąc sztywno, gdy ponownie stanął naprzeciwko Fredricka. Miał szeroko otwarte oczy.

– Jakież dziesięć metrów przed nami jest kolejna dziura – wyszeptał.

– Co? – wykrzyknął Fredrick. Ta perspektywa nie przerażała go w najmniejszym stopniu; ona go zelektryzowała. – Otwór do kolejnej cenoty? To jest niesamowite! Pokaż! – po czym rzucił się do przodu.

– Poczekaj. Posłuchaj. – Dales złapał Fredricka za ramię.

– Przestań zachowywać się jak głupiec! Co jest z tobą nie tak?

– Ta druga cenota – ta druga dziura...

– Co z nią?!

– Wystaje z niej szponiasta ręka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

(1)

Zanim Joyce skończyła pokazywać Clare resztę posiadłości, była już czwarta po południu; upał spotęgował się teraz i powietrze stało się duszne. Joyce skończyła dyżur, a następny strażnik, Rick, zaczął. Clare nie mogła się powstrzymać od drobnego uśmiechu, gdy został przedstawiony, pamiętając co widziała na monitoringu. Wyglądał na kompetentnego i bystrego, a do tego powoływał się na jakieś własne doświadczenie z żandarmerii wojskowej. *Jest wykwalifikowany, bystry i tak długo, jak będzie się powstrzymywał od gorących numerków, nie stanowił problemu.* Umówiła się z nim na spotkanie w biurze ochrony, by go zastąpić, gdy jego własna zmiana skończy się o północy.

Gdy Rick wyruszył na swój pierwszy obchód, Dellin wyszedł z kliniki z kurtką przewieszoną przez ramię. Zamknął frontowe szklane drzwi, po czym uśmiechnął się, podchodząc do Clare i Joyce na parking.

– Joyce, czy pokazałaś już wszystko swojej nowej szefowej?

– Cały teren, tak jest – odpowiedziała Joyce.

– I z radością mogę powiedzieć, że nie natknęliśmy się na węza czy aligatora – dodała Clare.

– Jak mówi stare powiedzenie, nie będą cię niepokoić, jeśli ty nie będziesz ich niepokoić.

– To właśnie jej mówiłam. – powiedziała Joyce.

– Uwierz mi, Clare, jedyną rzeczą, której musisz się tu obawiać, jest nuda. – Wskazał na drugi pojazd ochrony. – Nie wyraziłem się jasno, że należy do ciebie. Przynajmniej tak długo, jak dla nas pracujesz.

– Tak, dzięki – powiedziała Clare. – Jest naprawdę ładny. Będę się nim dobrze opiekować. Ale teraz zauważyła, że Dellin ma wyjęte kluczyki od samochodu; wyglądało na to, że opuszcza klinikę w tym dniu.

– Więc klinika jest już zamknięta?

– Tak, zwykle zamykamy około czwartej i większość personelu medycznego idzie do domu. Dozorcy zostają do ósmej, a panie z kuchni do szóstej, więc nie zapomnijcie o obiedzie.

– Rozumiem więc, że nie spotkam się dziś z dyrektorem kliniki? – Clare poczuła się zdezorientowana.

– Harry! To prawda. Przepraszam, powinienem był cię powiadomić, gdy zadzwonił. Jego konferencja w Sarasocie przeciągnęła się, więc nie będzie się fatygował do kliniki po jej zakończeniu. Spotkasz się z nim jutro.

– Dobrze.

– Czy masz już swój grafik?

– Odciążę Ricka o północy, a potem będę pracowała do południa.

– Brzmi dobrze. Cholera, jakie to było bezmyślne z mojej strony! Nawet nie widziałeś jeszcze swojego domku!

– Nie, jeszcze nie.

– Sam bym cię zabrał tam, ale spotykam się z przyjaciółmi w mieście na kolacji. Joyce, czy mogłabyś zabrać Clare do domków i przedstawić ją pani Grable?

– Oczywiście – odpowiedziała Joyce. – Jadę w tym samym kierunku.
– Świetnie. Do zobaczenia jutro. I, Clare, to wspaniale mieć cię na pokładzie. – Dellin ruszył w stronę swojego mercedesa.

– Dzięki.

– Dellin jest fajny, ale zdecydowanie tajemniczy – zauważyła Joyce, gdy już odjechał.

– Co masz na myśli?

– Och, wiesz. Przystojny, ale nieśmiały, skupiony, ale odległy. W jednej chwili żartuje sobie z tobą, a w następnej nie wie, że istniejesz, bo jest tak bardzo pochłonięty swoją pracą.

– Cóż, to jest odpowiedzialna praca.

– Pewnie, że tak, ale czasami wydaje się, że w tym samym czasie ma inne rzeczy na głowie. Nikt tak naprawdę nic o nim nie wie. Nie ma obrączki, więc domyślam się, że nie jest żonaty, ale kto wie, czy ma dziewczynę, była żoną, dzieci? Ma też domek na plaży, ale ma też mieszkanie w mieście.

– Masz na myśli Tampę, czy St. Pete?

– Nikt nie wie. Nigdy nawet nie wspomniał, czy się z kimś spotyka, czy jest z kimś związany.

– To jego sprawa – stwierdziła Clare bez ogródek. – A skoro jest naszym szefem, to chyba dobrze jest nie martwić się o jego życie prywatne.

– Och, wiem o tym, ale daj spokój. Jak każda normalną kobietę trochę mnie to zastanawia. Chryste, on jest tak cholernie przystojny!

Clare poczuła pokusę, by uczynić z tego swoje pierwsze ćwiczenie dyscypliny przełożonego wobec pracownika i przypomnieć Joyce, że takie uwagi są zupełnie niestosowne. Ale nie chciała się tym przejmować, bo czułaby się jak hipokrytka. Po jej własnym dzisiejszym podglądaniu.

– On pewnie i tak jest gejem – powiedziała Joyce, śmiejąc się. – Ci naprawdę przystojni tutaj zazwyczaj tacy są.

Clare postanowiła trochę się z nią zabawić.

– Hmm, cóż. Rick jest całkiem atrakcyjnym mężczyzną. Myślisz, że jest gejem? Prawdopodobnie nie, bo nie wyglądał na geja, wokół którego wcześniej praktycznie owijałaś swoje nogi.

Ten komentarz natychmiast postawił Joyce w stan gotowości i kiepsko to ukrywała.

– Nie zrozum mnie źle. Rick to miły facet, ale oczywiście nigdy bym się z nim nie umówiła. Pracujemy razem! To wbrew polityce firmy, by umawiać się z kimś, z kim się pracuje.

– Mhmm.

Joyce wyraźnie nie czuła się teraz komfortowo z tym tematem.

– Zanim pójdziemy do domków, możemy wrócić na chwilę do środka?

– Mhm, pewnie.

– Gotuje się. Te codzienne zmiany w lecie są zabójcze.

Weszły do środka. Nagły powiew klimatyzacji sprawił, że Clare poczuła przyjemny chłód. Mijając stołówkę poczuła ukłucie; około tuzina pracowników technicznych zasiadło do posiłku. Zapachy były smakowite.

– Nie jem dziś kolacji, staram się pilnować wagi – zaproponowała Joyce. – Ale nie mam nic przeciwko czekaniu, jeśli chciałabyś wejść i coś wziąć na wynos. Kucharze są fantastyczni, a zniżka, jaką dostajemy, jest niewiarygodna.

Clare prawie skrzywiła się z powodu głodu skręcającego ją w żołądku. Ale nie chciała wyglądać na żarłoczną, napychając swoją dotychczas bezdomną twarz przed jednym z pracowników. *Po prostu będę musiała sobie coś kupić później*, mówiła do siebie. *Bądź silna. Wypchaj swoją dziurę w brzuchu później.*

– Nie, nic nie potrzebuję.

– Okay. – Joyce dreptała dalej, jakby się spieszyła, aż dotarła do pokoju z kawą dla pracowników.

– Ach, więc to tutaj tak się spieszysz – zauważyła Clare.

– Piłaś już mrożoną kawę? Jest taka dobra.

– Tak, wypilałam jedną wcześniej.

– Założę się, że wypijam jej ze cztery litry.

Joyce wyciągnęła swój klucz główny, ale zanim zdążyła odblokować drzwi, klik, – drzwi się otworzyły.

– Co to ... – Joyce zmarszczyła brwi. – Nie powinno cię tu być!

Chudy, trzydziestokilkuletni mężczyzna z długimi blond włosami wychodził z pokoju, z zimną butelką napoju gazowanego w rękę. Wysoki, opalony, lubiący przebywać na świeżym powietrzu. Facet z U.S. Park Service, uświadomiła sobie Clare, zauważając jasne buty, granatowe szorty i białą koszulę z krótkim rękawem. Koszulę zdobiły federalne naszywki i odznaka, a na jego szyi wisiała lornetka.

– Chwila moment, kochanie – powiedział. – Wpadłem tylko po colę, a nie po to, by przewrócić to miejsce do góry nogami. Wpadłem, żeby pogadać z Dellinem, zobaczyć, czy nie masz do zgłoszenia jakiegoś incydentu z wtargnięciem lub wyrzucaniem śmieci. Wiesz, że mam pozwolenie na przebywanie w tym budynku.

Joyce wydawała się zirytowana tym człowiekiem.

– Nie kiedy jest zamknięty i nie w pokoju ochrony!

– Dellin odblokował mi pokój, zanim wyszedł, powiedział, żebym się obsłużył. – Mężczyzna potrząsnął głową, obdarzył Clare szelmowskim uśmiechem. – Przepraszam, ale skoro pani Friendly nie chce nas sobie przedstawić... – Wyciągnął rękę. – Jestem Adam Corey, strażnik parku. A ty musisz być nową szefową ochrony.

– Tak, Clare Prentiss. – Clare uściśliła jego dłoń. – Dellin poinformował mnie, że wszelkie zgłoszenia wandalizmu lub niszczenia siedlisk powinny być kierowane do ciebie. Czy to prawda?

– Z pewnością tak – odpowiedział Adam, odgarniając z czoła kilka blond loków. – Zwykle wpadam raz lub dwa razy w tygodniu, żeby sprawdzić, co u was. Ale jeśli będziesz mnie potrzebować, w każdej chwili... – Podał jej wizytówkę. – Zadzwoń na moją komórkę. Jestem pod telefonem przez całą dobę.

– Dzięki...

– Clare, chcesz mrożonej kawy, wody sodowej czy czegoś innego? – zapytała Joyce.

Adam przewrócił oczami słysząc jej ton. Clare tego nie rozumiała.

– Tak, zaraz przyjdę – powiedziała, po czym pożegnała strażnika. – Miło było cię poznać, Adamie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Pracuję tu od lat, znam to miejsce lepiej niż większość. Jeśli masz jakieś pytania lub wątpliwości, nie krępuj się...

– Już pokazałam jej to miejsce, Adam! – Joyce kontynuowała swoje marudzenie. – A teraz może pójdziesz liczyć palmy czy coś. Clare i ja jesteśmy zajęte!

– Miłego dnia. – Ponownie przewrócił oczami, po czym wyszedł.

Joyce krzątała się w pokoju śniadaniowym, napełniając duży termiczny kubek mrożoną kawą. Kiedy skończyła, zatrzasnęła pokrywkę z wściekłością. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Clare, zaciskając zęby.

– Praktycznie para leci ci z uszu, Joyce.

– On mnie po prostu irytuje!

Clare napełniła swój duży kubek mrożoną kawą, a potem dodała do niego cukier.

– O co ci z nim chodzi? Dellin już mi powiedział, że może tu wchodzić.

– Cóż, powiedzmy, że pewnej nocy popełniłam wielki błąd w ocenie i teraz ciągle będę o tym wysłuchiwać. Poszłam z nim raz na randkę, a on zaczął mnie obmacywać jak jakieś zwierzę. Powiedziałam mu, że nie chcę go więcej widzieć, ale on wciąż mnie nachodził przez kilka tygodni.

– Naprawdę?

– Myślę, że mnie nawet podglądał.

To wszystko było takie banalne, ale Clare nie mogła powstrzymać swojej ciekawości.

– To poważna sprawa. Jeśli jesteś pewna, powinnaś zgłosić go na policję.

– Cóż, nie jestem pewna – wykrztusiła Joyce – Nie na sto procent. Biorę prysznic lub ubieram się i wiem, że ktoś patrzy w okno. Jestem też całkiem pewna, że podgląda mnie, gdy opalam się na plaży. Po co innego miałby lornetkę?

– Jest strażnikiem parku, Joyce. Oni zawsze noszą lornetki. W każdym samochodzie ochrony jest para lornetek, ale to nie znaczy, że jesteśmy podglądaczami. Adam wydaje mi się zupełnie normalnym facetem.

– Tak, cóż, to jest po prostu jego sposób bycia. Skorzystaj z mojej rady – miej na niego oko.

Clare uśmiechnęła się do siebie, myśląc, że najlepiej będzie porzucić ten temat. Wiedziała, że każda historia ma dwie strony, a biorąc pod uwagę nagły wybuch wrogości ze strony Joyce, po co drażnić ten temat?

– Uspokój się i zapomnij o nim – powiedziała Clare. – I wyjdźmy stąd. Bardzo chcę zobaczyć swój domek.

Chwilę później Clare siedziała za kierownicą swojego Blazera, a Joyce kierowała ją na najbardziej wysuniętą na wschód część wyspy. Młodsza z kobiet w porę się uspokoiła, popijając swoją wielką mrożoną kawę. Wkrótce wróciła do nieszkodliwej pogawędki.

– Dziękuję, że mnie podwiozłaś. Zwykle wracam do domu pieszo, staram się utrzymać niską wagę. To tylko dwa kilometry, gdy się ją przecina, ale dziś jest po prostu cholernie gorąco.

– Tak, to byłaby dość wyczerpująca wędrówka. – Clare zaczynała dostrzegać, Joyce wypełnia niepewność. Wpadła w panikę z powodu leśniczego i już drugi raz narzekała na swoją wagę. Clare chciałaby mieć taką figurę jak Joyce – mocną, krzepką, ale bez śladu nadmiaru tłuszczu. Nagłe załamanie poczucia własnej wartości nie pasowało do reszty jej energicznej osobowości. *Nie wyglądało mi na to, żeby Rick miał jakieś zastrzeżenia do twojej wagi*, chciała powiedzieć część jej samej. Ale teraz musiała zadać sobie pytanie, czy w ogóle tak pomyślała. To było prawie szyderstwo. *Chyba sama mam problemy z poczuciem własnej wartości*, przyznała sama przed sobą, kierując samochód w dół wąskiej żwirowej drogi. Nie mogła zapomnieć spojrzenia Ricka, gdy zobaczyła ich razem na ekranie wideo, tego czystego żaru w jego oczach. Kiedy ostatni raz mężczyzna podał Clare z taką samą pasją? *Przyznaj się, Clare. Jesteś zazdrosna o Joyce.*

– Opowiedz mi o tej pani Grable. – Zmusiła się do zmiany tematu. – Jest pomocnicą czy kimś w tym rodzaju?

– Pomyśl o niej jako o kierownicze domu – powiedziała Joyce. Rozpięła bluzkę i rozchyliła ją, by się ochłodzić. – Zajmuje się domkami, terenem, naprawia rzeczy, które się psują. Szkoda, bo to taka miła kobieta.

– Co w tym złego?

– Mąż ją bije. Od czasu do czasu zobaczysz ją z grubą wargą lub podbitym okiem.

– Poważnie? Jak zobaczę coś takiego, zaraz zgłoszę to na policję.

– To nic nie da. Ona nigdy nie wnosi oskarżenia, mówi, że spadła ze schodów albo poślizgnęła się pod prysznicem.

– To oburzające. Pogromcy żon są jak gwałciciele – szumowiny. Jaki jest jej mąż?

– Nie wiem, nigdy go nie poznałam, nigdy nawet nie widziałam poza domem. Powiedziała, że pracuje na nocną zmianę w zakładzie odsalania wody. Przez jakiś czas myślałam, że ona nawet nie ma męża, jakby była jakąś wdową z urojeniami, żyjącą w świecie fantazji, ale pewnego razu zobaczyłam go w oknie. Normalnie wyglądający facet, z tego, co mogłam zauważyć.

– Tak, Joyce, ale dziwacy – prawdziwi kryminaliści i socjopaci w naszym społeczeństwie – zawsze są tymi normalnie wyglądającymi.

– To było dziwne. Okno było otwarte, a on się wychylał i rozglądał. Zawołałam go i przywitałam się, ale całkowicie mnie zignorował. Schował się z powrotem do środka, jakby mnie nie słyszał.

– No faktycznie podejrzane.

– I było coś jeszcze... jestem prawie pewna, że widziałam ślady duszenia na jej gardle. To naprawdę mnie niepokoi. Ona jest taka miła i musi znosić takie rzeczy.

– Cóż, jeśli kiedykolwiek zobaczę, że on ją bije, sama to zgłoszę – przyrzekła Clare. Nagle poczuła się przygnębiona, rozdrażniona. Naprawdę nie tak dawno sama była ofiarą przemocy ze strony mężczyzny. Odetchnęła więc z ulgą, gdy Joyce zakończyła temat:

– Oto jesteśmy. Cudnie, co nie?

Clare zajechała na zadbany, dobrze obsadzony trawą deptak. Krótkie, gęste palmy zdawały się kwitnąć nad głowami, a pomiędzy nimi stały domki. Były to właściwie domy na palach z ciemnych, obrobionych desek, zbudowane na konstrukcji z wysokich na jeden metr pali na wypadek wysokiej wody. Co najmniej dziesięć domów biegło wzdłuż brzegu z pomiędzy palmami i zaroślami. W odległości mniej niż stu metrów łagodne fale rozbijały się o nieskazitelną plażę z białym piaskiem.

– O mój Boże! – wykrzyknęła Clare. – To jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Przecież ja tu naprawdę nie mieszkam, to niemożliwe.

– Pewnie, że tak. W tym największym, o tam.

W swoim podekscytowaniu Clare nawet nie poczuła duszącego upału, gdy wysiadła z klimatyzowanego samochodu.

– Mieszkam dwa kroki dalej – uśmiechnęła się Joyce. – Wpadaj w każdej chwili, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Spodoba ci się tu.

– Dzięki, Joyce.

– Po prostu wejdź. Pani Grable już tam jest.

Clare prawie wskoczyła po krótkich drewnianych schodach. Domyśliła się, że jest to domek, który można wynająć za tysiąc dolarów tygodniowo od agenta nieruchomości. Wyglądał jak bungalow w tropikalnym kurorcie. Długi drewniany balkon z

przestronnymi oknami rozciągał się na całej długości od strony plaży. Jedne z przesuwanych drzwi były otwarte, a jasne zasłony powiewały.

W środku spotkała panią Grable, która składała świeżą pościel.

– Miło mi cię poznać, Clare – przywitała się ciepło. Miała na sobie prosty bezrękawnik, w nieco wyblakły kwiatowy wzór, ciemne włosy, tylko w niewielkim stopniu siwiejące, zaczesane do tyłu w kok. Musiała być po pięćdziesiątce, ale pozostała zadziwiająco zgrabna i sprawna.

– Dellin powiedział mi, że wprowadzisz się od razu, więc już wszystko przygotowywałam.

– Jest po prostu pięknie, pani Grable.

OGROMNY wybór roślin doniczkowych i wiszących sprawiał wrażenie, że tropikalny las na zewnątrz subtelnie wdierał się do wnętrza. Dom składał się z przestronnej sypialni z szerokimi oknami, małej, funkcjonalnie wyposażonej kuchni i salonu wychodzącego na plażę. Centralna klimatyzacja szumiała cicho, wypełniając jasne, słoneczne pomieszczenia lodowatym powietrzem. Podłoga z twardego drewna w jasnym kolorze lśniła pod warstwami lakieru, a tu i ówdzie leżał jasny dywanik. Telewizor, wieża stereo i magnetowid w rogu. *Tego już za wiele!* pomyślała. *Jezu! Brakuje tylko jacuzzi!* Ale wtedy, ku jej zaskoczeniu, pani Grable otworzyła przesuwne drzwi wzdłuż następnej ściany.

Nie! Nie! pomyślała Clare z niedowierzaniem.

Chłodne, niebieskie jacuzzi bulgotało przed nią, wbudowane w taras słoneczny z bejcowanego drewna, który ciągnął się przez całą długość domku. Dwumetrowy płot z czerwonego drewna otaczał cały teren – totalny luksus w całkowitej prywatności.

– Pani Grable, brak mi słów.

– Na Florydzie nie mamy gorących kąpielei jacuzzi. Woda jest schłodzona. Twój domek jest jedynym, który to ma – to przywilej za bycie szefową ochrony.

Clare była oszołomiona.

– Niewiarygodne.

Pani Grable zabrała ją z powrotem do środka.

– Och, i domyślałam się, że już wiesz, jak tego wszystkiego używać – mówiła dalej. Mała wnęka w salonie zawierała to, co w zasadzie było duplikatem sprzętu bezpieczeństwa z jej biura w klinice: radioodbiornik i rząd ekranów, które bez wątpienia były podłączone do szeregu kamer rozmieszczonych na terenie placówki.

– Tak, to jest identyczne jak radio i ekrany w klinice. To naprawdę przyda się w weekendy, gdy będę na dyżurze.

– Myślę, że naprawdę ci się tu spodoba.

– Jestem pewna, że tak.

– A jeśli pojawią się jakieś problemy, jestem tuż obok.

– Dzięki.

Dopiero teraz Clare zdała sobie sprawę z pewnej dziwnej rzeczy; na początku nie zauważyła jej, bo była zbyt oszołomiona pięknym wnętrzem, ale teraz dotarło do niej, że pani Grable wydawała się robić wszystko, by stać prawą stroną twarzy z dala od Clare. W szerokim lustrze ściennym Clare dostrzegła jednak to, co kobieta starała się ukryć.

Brzeg jej wargi był spuchnięty, jakby...

Jakby ktoś uderzył ją w usta, uświadomiła sobie Clare, natychmiast przypominając sobie podejrzenia Joyce. Cholera. To straszne.

Chciała coś powiedzieć, ale wiedziała, że to nie na miejscu. To postawiłoby tę kobietę w trudnej sytuacji, zawstydziłoby ją. Ale w następnej chwili:

Oh, nie-oh Jezu nie...

– A oto twój klucz – powiedziała pani Grable. Właśnie wtedy, gdy pochyliła się, by zabrać klucz do domu ze szklanego stolika, górna krawędź jej swetra rozchyliła się, odsłaniając prawie całkowicie czubki jej piersi. W przelotnym spojrzeniu Clare zauważyła brzydką, owalną pręgę, która całkowicie otaczała sutek.

To był ślad po ugryzieniu.

To spojrzenie trwało tylko chwilę, a potem pani Grable wstała i z radością wręczyła Clare klucz do domu. Ale sam ten widok – ślad – sprawił jej ból. Clare wiedziała, że to nie było miłosne ugryzienie. Pani Grable została ugryziona tak mocno, że pozostała po tym blizna, uszkodzenie znacznie wykraczające poza stadium siniaka. *Ten drań prawie odgryzł jej sutek.* Gwałciciel Clare potraktował ją podobnie, gryząc tak mocno, że w kilku miejscach jego górne siekacze zetknęły się z dolnymi, przebijając się przez ciało. Ból był potworny, a ślad pozostał przez tydzień.

Od razu poczuła się okropnie. Widok perwersyjnej rany zatruł ekscytację związaną z oglądaniem jej nowego, wspaniałego domu. *Biedna kobieta...* Clare wiedziała, że to nie był odpowiedni moment, ale obiecała sobie, że gdy lepiej pozna panią Grable, porozmawia z nią o tym problemie, może uda jej się namówić ją i jej męża na terapię lub coś w tym stylu.

– Zachody słońca są takie, jakich nigdy nie widziałas – mówiła dalej pani Grable, jakby nic się nie stało. – I spójrz. Masz dwa rzędy zasłon.

Domek coraz bardziej wydawał się być weekendową ucieczką bogatego producenta z Hollywood. Pani Grable nacisnęła przełącznik na ścianie: pierwszy zestaw długich, tiulowych zasłon został zaciągnięty na ściany przylegających do plaży szklanych okien. Mogła przez nie widzieć miękką, nieostrą jasność.

Pani Grable wydała z siebie chichot, który przeczylł jej wiekowi.

– To bardzo kuszące, by chodzić nago; łapiesz wszystkie promienie słoneczne, ale nikt nie może cię zobaczyć. A kiedy słońce staje się zbyt jasne... – Następny przycisk zaciągnął ciężkie, zaciemniające zasłony na szybę.

– Wow – to wszystko, co Clare mogła powiedzieć. – To miejsce jest po prostu fantastyczne.

– Cóż, zostawię cię, żebyś się zadowoliła.

– Ja... – Clare zaczęła pytanie. Ale potem zatrzymała się niezręcznie, by pomyśleć. Co mogłaby powiedzieć? *Uh, jeszcze kilka godzin temu byłam bezdomna. Nie mam żadnego dobytku, w tym ubrań. Gdzie jest najbliższy sklep?* Clare nie lubiła kłamać, ale pomyślała, że w tym przypadku zwykle kłamstwo będzie odpowiednie.

– Większość moich rzeczy jest w magazynie, ale jest kilka rzeczy, które muszę zdobyć od razu. Czy w pobliżu są jakieś sklepy?

– O, tak, mnóstwo sklepów jest po drugiej stronie mostu. Wal-Mart na Tyrone jest ogromny. Ale jeśli nie chcesz iść tak daleko, wróć na Gulf. Jest tam mnóstwo małych sklepików. Nie da się ich przegapić.

– Wybieram Gulf. Dzięki.

– Przypuszczam, że będziesz dużo pracowała w nocy. Poprzednia szefowa ochrony pracowała głównie na nocne zmiany.

– Tak, w tygodniu będę od północy do południa, a w weekendy będę na wezwanie. – Clare wciąż gryzła ciekawość. – Poprzednia szefowa Grace Fletcher, prawda?

- Tak.

- I mieszkała w tej samej jednostce?

- Tak. dwóch pozostałych strażników też miało tu swoje domki.

Clare potarła podbródek; ciekawość nie chciała odpuścić.

- Po prostu nie mogę zrozumieć, dlaczego odeszli. Płaca jest świetna, służba nie może być aż tak ciężka, a domek jest bez czynszu na plaży. Nie rozumiem tego.

Pani Grable położyła rękę na ramieniu Clare, jak matka, która udziela rad.

- Nie lubię mówić źle o ludziach, moja droga, ale Grace i pozostali? Cóż, na pewno wykorzystali sytuację. Dellin nie miał innego wyjścia, jak tylko pozwolić im odejść.

- Więc zostali zwolnieni. Słyszałam, że wszyscy odeszli w tym samym czasie.

- Obawiam się, że to nie do końca tak. Było tam sporo picia. Trzeba było widzieć te puste butelki i puszki, które leżały tu po ich odejściu. A te imprezy? Każdy potrzebuje się zabawić, ale to było absolutnie haniebane, co oni tu robili.

- Co... robili?

- Donna i Rob, pozostała dwójka strażników? Zawsze przychodzili tu we wczesnych godzinach nocnych - oczywiście z powodu jacuzzi. A cała trójka imprezowała tak głośno, że brzmiało to jak rzymska orgia, mówię ci. Nie mogę sobie wyobrazić, że młodzi ludzie mogą być tak naiwni; to, że wokół tarasu jest płot, nie oznacza, że ludzie nie słyszą, co się dzieje. I to nie tylko w weekendy. Spotykali się tak również w ciągu tygodnia - podczas swoich zmian. Widziałam ich, jak skradali się tutaj przez las, na miłość boską! Kogo oni myśleli, że oszukują? - Pani Grable zatrzymała się na chwilę. - Nie powiem nic więcej. Ja nigdy nie plotkuję.

No to... dzięki za plotki.

Ramię starszej kobiety zacisnęło się wokół ramienia Klary, niczym matczynej gest troski.

- Rick i Joyce są jednak wspaniałymi lokatorami i mogę powiedzieć, patrząc tylko na ciebie, że jesteś mądrą, odpowiedzialną kobietą.

- Chciałabym tak myśleć. - odparła Clare - I nie martw się, nie będzie też żadnych dzikich imprez w jacuzzi.

- Jestem pewna, że nie będzie i jestem pewna, że będzie ci tu dobrze. - Ale teraz pojawiło się coś w rodzaju surowego wyrazu twarzy. - I, moja droga, jeśli nie masz nic przeciwko temu, że tak mówię - jesteś strasznie chuda. Nabierz więc trochę ciała. Szczerze mówiąc, pracując tam w tym upale, jeszcze schudniesz!

- Proszę się nie martwić, pani Grable, nie zamierzam się rozpuścić w najbliższym czasie. Pierwsze, co zrobię po przyjeździe do baru, to zjem duży posiłek.

- Liczę, że tak zrobisz, a jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebować, jestem tuż obok.

- Dziękuję bardzo.

- Pa!

Clare uśmiechnęła się po wyjściu kobiety. *Trochę natrętna, ale lubię ją. Jest słodka.* I wiedziała, że ma rację co do tego, że jest za chuda. Rozejrzała się jeszcze raz po domku i pozostała zdumiona. Nie mogła prosić o nic lepszego nawet za milion lat... Kolejny impuls był nieodparty: oprócz wszystkich rzeczy, które wiedziała, że musi teraz zrobić, musiała jeszcze raz się rozejrzeć.

Pokój dzienny, sypialnia, weranda. Wow, to było wszystko, co mogła pomyśleć. Kilkakrotnie poruszyła zasłonami w przód i w tył, tak dla zabawy, obserwując pojawiającą się i znikającą plażę. Wracając do sypialni, przyłapała się na tym, że

wpatruje się w duże łóżko typu king size. Co za luksus... Po tylu miesiącach spędzonych w schroniskach i, co gorsza, pod mostem. Wiedziała, że już nigdy nie będzie brała rzeczy za pewnik – nawet tak prostych jak łóżka i prysznice. Kolejny szybki rzut oka na jacuzzi sprawił, że poczuła ogromną pokusę, by po prostu zdjęć z siebie wszystkie ubrania i wejść do niego, ale jej bardziej odpowiedzialna część odrzuciła ten pomysł. *Muszę jeszcze pójść do sklepu, kupić ubrania, jedzenie, a potem nocna zmiana!*

Praca, tak. Kolejna rzecz, której nigdy nie brała za pewnik. Miała teraz pracę. Miała dom. Teraz patrzyła na siebie w lustrze w sypialni i wtedy w pełni dotarło do niej, co się stało.

Znów mam życie.

To był impuls. Nie była tego w pełni świadoma, gdy jej palce wsunęły się do kieszeni i wyjęły zmiętą wróżbę z porannego ciasteczka. Spłaszczyla ją z powrotem i przykleiła do lustra, wsuwając jeden brzeg pod ramę.

PRZYTRAFI CI SIĘ DZIŚ COŚ BARDZO DOBREGO.

– Na pewno tak się stało – powiedziała do siebie.

Tak, znów miała życie i była zdeterminowana, by nie zawieść ludzi, którzy jej je dali. Dellin, i ten Harry, dyrektor. *Będę najlepszym szefem ochrony, jakiego ci ludzie kiedykolwiek widzieli.*

Już miała wyjść, gdy zauważyła pudełko na końcu komody. Pudełeczko na drobiazgi, ale pięknie wykonane, w różnych odcieniach inkrustowanego drewna. Kiedy podniosła wieko, odkryła, że górna tacka jest pusta, ale gdy ją wyjęła...

Hmmm.

W środku leżał stos zdjęć, a to na samej górze tego stosu....

Grace Fletcher, jak mniemam, pomyślała Clare.

To jasne, kolorowe zdjęcie było ujęciem od pasa w górę atrakcyjnej kobiety po trzydziestce. Brunetka, włosy zaczesane do tyłu, bez makijażu. Lekki uśmiech sugerował, że jest to osoba poważna, inteligentna i kompetentna. Tylko interesy, żadnych bzdur. A tabliczkę z nazwiskiem na mundurze można było łatwo odczytać: FLETCHER, G.

Ale to nie był mundur ochrony, który miała na sobie, tylko mundur Sił Powietrznych z paskami kapitańskimi na ramionach. Clare uznała to za dziwne, ale tylko przez chwilę. To, że Clare sama była byłą lotniczką i zastąpiła poprzedniego szefa ochrony, który również był lotnikiem, po chwili zastanowienia nie wydawało się już takim zbiegiem okoliczności. Wyjaśnienie Dellina miało sens: klinika była technicznie własnością Sił Powietrznych. Po co płacić dodatkowe pieniądze za prześwietlanie cywilnych stażystów, skoro mogli zatrudnić byłych pracowników Sił Powietrznych, którzy zostali już sprawdzeni i przeszkoleni? Rick i Joyce byli byłymi żołnierzami Sił Powietrznych.

Nie jest więc wielką niespodzianką, że Grace Fletcher też była byłym członkiem Sił Powietrznych.

Zaciekawiona Clare nie miała czasu, aby obejrzeć pozostałe zdjęcia i uznała, że powinna spróbować dowiedzieć się, dokąd przeniosła się Grace Fletcher, aby zwrócić te zdjęcia. Ale... Nie ma czasu, by się tym teraz martwić, więc dla żartu przykleiła zdjęcie na lustrze, obok ciasteczka z wróżbą.

– Dziękuję za wspaniałą pracę, Grace Fletcher – powiedziała Clare do zdjęcia. – Mam nadzieję, że dobrze ci się powodzi... gdziekolwiek jesteś....

Pospiesznie wyszła z domu, podekscytowana, że może zabrać się za swoje zadania i oficjalnie rozpocząć nową pracę. Kiedy zamykała drzwi wejściowe, zauważyła jednak kołatkę do drzwi. Wcześniej nie zwróciła na nią uwagi, bo drzwi były otwarte, gdy wchodziła po raz pierwszy.

Dziwne, pomyślała.

Kołatka nie mogłaby być bardziej nieodpowiednia dla takiej kwatery: był to mały owal z matowego, starego mosiądzu w kształcie twarzy. Ale ta twarz była pozbawiona rysów, z wyjątkiem dwóch szerokich, pustych oczu. Nie było ust, nosa, ani linii szczęki – tylko oczy.

Te oczy na początku ją zaniepokoiły. Wydawały się złowrogie. Ale potem, gdy patrzyła na kołatkę jeszcze przez kilka chwil, te same złowrogie puste oczy zdawały się zmieniać. Wydawało się, że w jakiś sposób ją witają.

(II)

Pomóż. Oh. Co jest... nie tak. Ze mną. Nie mogę, nie mogę myśleć. Coś jest nie tak z moim mózgiem?

Tak. Coś było całkiem nie tak, z powodu serii krótkofalowych lobotomii par-orbitalnych. Uszkodzenie mózgu było konkretne. Nie mogła już myśleć, nie do końca. Pojawiały się tylko strzępki myśli, jak zlepki słów, które ledwo mogła zrozumieć. Nawet gdyby ktoś usiadł tuż obok niej i wyjaśnił jej prosto w twarz, co jej zrobiono, nie byłaby w stanie tego pojąć.

To nie jej mózg był przedmiotem ich zainteresowania.

Nadal miała funkcje motoryczne, ale niekontrolowane. Grube płócienne pasy przytrzymały ją mocno do stołu. Widziała litery na pasach, nazwę ich producenta: POSEY, ale tak naprawdę nie pamiętała, co to za litery. Przynajmniej pod jednym względem miała szczęście: wystarczająco dużo połączeń synaptycznych w jej mózgu zostało zniszczonych tak, że do tej pory dyskomfort i ból nie były już rejestrowane.

Światła zapalały się, a potem gasły. Słyszała głosy, ale zazwyczaj nie mogła ich zrozumieć, bo już prawie zapomniała, czym jest mówienie. Odczuwała rzeczy, ale ich nie czuła: rzeczy, które w nią wchodziły, części jej ciała, które były otwierane i dotykane. W pewnym momencie odwróciła głowę, gdy zapaliły się światła i zobaczyła linię dożylną biegnącą po jej ramieniu... ale nie wiedziała, co to jest.

Tak naprawdę nie wiedziała nawet, czym jest jej ramię.

Raz spojrzała w górę i zobaczyła twarze, które się na nią patrzyły.

Ale nie mogła tego pojąć. *Coś... Coś nie tak... Mój mózg...*

– Wspaniale sobie radzisz – powiedział głos.

Czasami wpadała w drgawki. Przez kilka chwil jej głowa unosiła się i opadała, a z ust leciała plwocina. W jej oczach pojawiał się obraz. Jej brzuch był spuchnięty, skóra napięta.

Ale nie wiedziała, że ten brzuch jest jej. Nie wiedziała, że jest w ciąży, nie wiedziała już nawet, co to znaczy. Jedyne, co naprawdę wiedziała, to że stało się z nią coś, co nie było w porządku.

Kto mi to zrobił? Światła znów zgasły. Lubiała, gdy światła były wyłączone. Nazywała się Grace Fletcher. Ale w tej chwili tego nie wiedziała.

ROZDZIAŁ PIĄTY

(I)

Clare nie chciała niepotrzebnie tracić czasu. Dłuższa jazda do sklepu na półwyspie zaoszczędziłaby jej trochę pieniędzy, ale chciała jak najszybciej wrócić na teren kliniki; wciąż miała wiele do nauczenia się o tym miejscu i mimo że jej zmiana technicznie zaczynała się dopiero o północy, uważała za swój obowiązek wrócić jak najszybciej, by jeszcze raz przyjrzeć się terenowi przed zachodem słońca. Chciała też wrócić i przeczytać kilka raportów ze zmiany Grace Fletcher, by zorientować się, jak zarządzała. Zamiast tego Clare zrobiła zakupy w pierwszym sklepie plażowym, jaki zobaczyła, i skupiła się na rozsądnych rzeczach pierwszej potrzeby – kilku parach letnich szortów, kilku lekkich, przewiewnych bluzkach, trampkach, sandałach i... *co mi tam...* kilku kostiumach kąpielowych. Ale nawet te zbyt wysokie ceny ledwo uszczupliły sumę pieniędzy, którą Dellin dał jej jako dodatek relokacyjny. Potem zrobiła szybki postój w supermarkecie Publix po zakupy spożywcze, przybory toaletowe i była z powrotem na terenie parku na długo przed dziewiętnastą.

Najpierw wróciła do domku, by włożyć zakupy do lodówki, a potem udała się do kliniki. Blazer prowadził się dobrze, nawet na bardziej wyboistych wewnętrznych drogach parku, które w większości były albo żwirowe, albo gruntowe. Przed siódmą już się ochłodziło, a gdy wjechała głębiej na teren posiadłości, znów rozproszyło ją naturalne piękno tego miejsca. Krzewy palmetto i ławice trawy widłakowej rosły dziko pomiędzy niekończącymi się palmami. Drobne, zielone papugi skrzeczały do niej z gniazd z hiszpańskiego mchu. Małe jaszczurki wydawały się zamrożone na pniach drzew, a w pewnym momencie zobaczyła czaplę wysoką na jeden metr, która obserwowała ją, jak przejeżdżała obok. Kiedy się zatrzymała, to wspaniałe stworzenie wpatrywało się w nią i rozpostarło swoje wielkie białe skrzydła, jakby chciało rzucić jej wyzwanie. *Nie bój się, ptaku, nie naruszam twojego terytorium.* Podejrzewała, że ptak musi być niegroźny; mimo to ostry, długi na trzydzieści centymetrów dziób wyglądał wystarczająco groźnie.

– O, cholera... Nie mów mi, że...

Za następnym zakrętem wznosił się mały znak:

*JEZIORO STEPHANIE 1 KILOMETR
ZAKAZ ŁOWIENIA RYB, PŁYWANIA ŁÓDKĄ, WSTĘP WZBRONIONY
FEDERALNY REZERWAT PRZYRODY*

Ale znak zweryfikował lęk Clare.

– Jestem po złej stronie wyspy. Musiałam przegapić swój skręt z głównej drogi prowadzącej do parku. – *Ostrożnie*, ostrzegła samą siebie. Nie chciała jechać aż nad jezioro, by zawrócić, więc spróbowała zawrócić. Droga była bardzo wąska. *Przy odrobinie szczęścia zawadzę o jakiś rzadki, zagrożony krzew paproci czy coś takiego*, pomyślała, ale kiedy była w połowie drogi do wykonania manewru...

KRACHI! *O, nie!*

Zatrzymała się, wysiadła szybko z latarką i popędziła na tył pojazdu. Nie mogła sobie wyobrazić, o co zahaczyła, ale dźwięk nie pozostawiał wątpliwości, że w coś uderzyła. Rozejrzała się dookoła, ale... Nic nie zauważyła.

Tylko kopce martwych liści, liście palmy, pnącza i chwasty. Nie miało znaczenia, że jeszcze przez półtorej godziny będzie jasno; tak głęboko w lesie było ciemno jak wczesnym wieczorem. Mrużąc oczy, przesuwiała latarkę tam i z powrotem, ale wciąż nie mogła dostrzec, w co uderzyła.

Co to było za chrupnięcie?

Wytężyła wzrok jeszcze mocniej, zauważyła dziwne wgłębienie w terenie, aż w końcu zrozumiała. Był to wąż biegający wzdłuż drogi, ale nie mogła go zobaczyć, bo był pełen liści. Kiedy sięgnęła w dół, poczuła coś.

Blachę?

Odgarnęła liście i wkrótce odkryła małą łódź.

Potrząsnęła głową, skarżąc się sama do siebie.

– Dlaczego, u licha, w wężozie oddalonym o jeden kilometr od jeziora, a jeszcze dalej od zatoki, znajduje się łódź?

Najwyraźniej ktoś ją tu postawił, celowo ukrył pod tymi wszystkimi zaroślami.

Po co?

Wyłuskała kilka liści, rozejrzała się po wnętrzu kadłuba. Nie spodziewała się, że coś znajdzie, ale już po kilku sekundach wyciągnęła pudełko z przynętą.

W porządku, nic wielkiego. To była łódź kłusowników. Pływają po ryby w jeziorze. Ale to wciąż nie wyjaśniało, dlaczego ukryli łódź właśnie tutaj.

Chyba lepiej zabiorę to z powrotem do kliniki.

Była to mała łódka, wykonana z lekkiego aluminium, która z łatwością zmieściłaby się na tyle Blazera. W pierwszej chwili pomyślała, żeby zadzwonić do Ricka po pomoc, ale potem zrezygnowała. *Najlepiej będzie, jeśli sama ją przywiozę, pokażę tym ludziom, że potrafię sama o wszystko zadbać.* Clare nie była jedną z tych, które wzywają mężczyzn, gdy trzeba wykonać jakąś brudną robotę. Ruszyła do przodu, aż tylna opona oderwała się od łodzi, po czym wysiadła. Część dziobu była zmiądziona przez oponę. Otworzyła tylne drzwi, po czym zeszła prosto do wężozu.

Jej celem było po prostu złapanie za krawędź łodzi, podniesienie jej do góry, a następnie wsunięcie całości na tył furgonetki. Ale był jeden problem.

Gdy tylko weszła do wężozu, nie mogła ruszyć nogami. *Fuj. Błoto.* Ale zdała sobie sprawę, że to nie do końca było błoto, gdy zaczęła się zapadać. Ruchome piaski.

Uświadomienie sobie tego faktu wstrząsnęło nią, ale nie wpadła w panikę. Przestała się poruszać szybko i na razie to działało; nie czuła nic stałego pod stopami, ale już nie tonęła. Czy to było stare porzekadło: im bardziej się szamoczesz, tym szybciej toniesz? Przekonała się o tym sekundę później, gdy ostrożnie przechyliła się na bok i sięgnęła do tylnego zderzaka Blazera. W ciągu zaledwie kilku sekund zapadła się od połowy łydki do połowy uda. Z latarką przeszukiwała krawędź drogi w poszukiwaniu winorośli, gałęzi, czegokolwiek, czego mogłaby się chwycić, ale nie było niczego, a te kilka ruchów sprawiło, że zapadła się jeszcze o kilka centymetrów.

– Nie panikuj – szeptała do siebie.

Ale teraz zaczynała się bać. Nawet brzeg łodzi był za daleko, by mogła go dosięgnąć; wyciągnęła rękę, chwyciła latarkę, próbowała zahaczyć nią o brzeg łodzi, ale... trzask! Latarka wyslizgnęła się i wpadła do łodzi.

Clare nie była jeszcze na etapie paniki, mimo że teraz była po pas w wodzie i dalej tonęła. Wołanie nic by nie dało, a ona nie mogła dostać się do radia ani do klaksonu.

Ale mogę jeszcze zrobić trochę hałasu.

Bardzo powoli odbezpieczyła swoją broń, strząsnęła z niej błoto, które do niej przyłgnęło i uniosła w powietrze.

Ktoś usłyszy, pokrzepiała się, wciąż dość spokojna, biorąc pod uwagę sytuację. Ktoś na pewno przyjdzie.

Przynajmniej tak sobie wmawiała, gdy zapadała się o kolejny centymetr. Odbezpieczyła pistolet.

– Nie rób tego, Clare. Twój strzał może wzniecić pożar. Wszystkie te zwalone szczątki są jak podpalka.

Clare spojrzała z ulgą w górę. To był Adam Corey, strażnik parku.

– Dzięki Bogu! – wykrzyknęła. – Jestem uwięziona w ruchomych piaskach!

– Tak, na pewno jesteś, tak jak mówi znak – Adam stał uśmiechnięty, z biodrem zadartym do góry, leniwie kierując własną latarkę na znak umieszczony kilka metrów od drogi.

NIEBEZPIECZEŃSTWO! RUCHOME PIASKI!

Jezu, pomyślała Clare. Mech z niskiej gałęzi tamaryndowca przesłonił część znaku. *Ale i tak powinnam go zobaczyć, uświadomiła sobie. Powinnam być bardziej spostrzegawcza. Gdybym była, to nie tkwiłabym po pas w tym syfie, wyglądając jak kompletna IDIOTKA!*

– Tak, widocznie to przegapiłam – powiedziała. – Byłam skupiona na tej cholerniej łodzi. Pomóż mi się z tego teraz wydostać.

– Jasne, Clare, – powiedział Adam, wciąż się uśmiechając.

Clare wyciągnęła rękę, oczekując, że Adam zrobi to samo, ale zamiast tego... pstryk! Zapalił papierosa. Clare była przerażona. Po raz pierwszy naprawdę się bała.

– To jest poważna sprawa, Adam! Ja tonę! Zaraz utonę w tym czymś!

– Nie. Taka sprawna dziewczyna jak ty? Były żołnierz sił powietrznych i w ogóle? Będziesz w stanie się z tego wydostać.

Clare użyła wszystkich swoich sił, kręciła biodrami i nogami, była w stanie lekko się odsunąć, ale wysiłek sprawił, że z każdym obrotem zapadała się o kolejne trzy centymetry.

– Słyszałaś tę opowieść starych żon? Im bardziej się szamoczesz, tym szybciej toniesz? Adam powstrzymał grymas. – To prawda.

Teraz Clare zapadła się aż do połowy brzucha. *Do diabła z tym! On jest walnięty albo coś w tym stylu. Znowu podniosła rewolwer. Cztery strzały w powietrze. A jeśli ten psychopata mi nie pomoże – dwa strzały w niego.*

Ten gest zmaszał mu z twarzy grymas i nagle pognał do przodu.

– Wow! Stój tam! Nie strzelaj! To tylko żart!

– ŻART? – Odchrząknęła Clare.

– Przepraszam, to kiepski żart – mówił teraz, sięgając w dół. – To jest głębokie tylko na trochę więcej niż metr.

Clare patrzyła na niego z zaciekawieniem. Gdy zanurzyła się niżej, poczuła, że stanęła na czymś solidnym.

– Wąwóz jest wyłożony ceglami – wyjaśnił Adam, starając się powstrzymać śmiech. – Latem wypełnia się ruchomymi piaskami.

– Ty DUPKU! – krzyknęła Clare. Pistolet wciąż trzymała w dłoni, nie rozważała, czy go zastrzelić, ale... ten pomysł brzmiał całkiem słodko.

Gdy Adam wyciągnął ją, rozległ się wielki, mokry dźwięk ssania. W pewnym momencie grymas jej twarzy uległ zmianie, gdy lepkie tarcie było bliskie ściągnięcia jej spodni. To nie byłoby dobre! Kiedy jej nadgarstek zaczął się wyslizgiwać z jego uścisku, Adamowi nie pozostało nic innego, jak wsunąć drugą rękę za jej udo, żeby jej nie puścić. Nie wpadła z powrotem do środka, ale ta czynność sprawiła, że jego ręka zacisnęła się po jednej stronie jej pośladków, a kilka palców przycisnęło się do łona.

– Zabieraj rękę z mojego TYŁKA!

– Przepraszam, ja...

Clare strzepywała z siebie resztki ruchomych piasków tupiąc z całej siły. Wyglądała zabawnie.

– Słuchaj, Clare, naprawdę mi przykro. To był tylko żart. Nie miałem zamiaru cię skrzywdzić.

Clare rzadko wybuchała, ale w tym przypadku... eksplodowała.

– Zamknij się, ty chuju! Ty dupku! Sukinsynu!

– Powiedziałem, że jest mi przykro, Clare. I, daj spokój, co ty w ogóle tutaj robiłaś? Jedyne, co mogła zrobić, to dalej wściekać się na niego.

– Próbowałam wciągnąć tę cholerną łódź na tył mojej cholernej ciężarówki, bo była ukryta w tym pieprzonym wąwozie! Potem utopiłam się w tym gównie, a potem przyszedłeś ty i w ogóle nie pomogłeś! Niech cię diabli!

– Pozwól, że ci pomogę – próbował załagodzić sytuację, patrząc jak Clare zeskrobuje resztki ruchomego piasku z nóg, ale w odpowiedzi krzyknęła:

– Nawet się do mnie nie zbliżaj! – przeszła tuż obok niego, celowo uderzając w ramię, kierując się z powrotem do wąwozu.

– Zabiorę tę cholerną łódź z powrotem do biura, a potem zadzwonię do U.S. Park Service i złożę skargę!

– Daj spokój. To chyba lekka przesada.

– Nie!

– Mógłbym zostać przeniesiony lub nawet zwolniony.

– Powinieneś być o tym pomyśleć, zanim ze mną zadarłeś.

– Słuchaj, wynagrodzę ci to i ... – Adam przerwał i rozejrzał się dookoła. Clare dołączyła do niego.

Coś hałaśliwego zdawało się zbliżać w ich stronę.

– Słyszysz to? – zapytał.

– Tak. To dochodzi z lasu, prawda?

Tak, coś niezłe hałasowało, jakieś duże zwierzę biegnące przez las. Ale Clare nie sądziła, że to zwierzę. Wraz z tumultem dochodził cienki świszczący odgłos, który brzmiał...

Człowiek, uświadomiła sobie.

– Nie wiem, co to jest, ale na pewno nie brzmi dobrze – powiedział Adam, wyraźnie zaniepokojony. Rzucił swoje światło w las i wyciągnął broń. Ich kłótnia o eskapadę na ruchomych piaskach była już dawno zakończona. Coś w tym dźwięku było bardzo niepokojące.

Potem dźwięk ustał.

– Przykro mi to mówić, ale mógłbym przysiąc, że widziałem kogoś obserwującego nas od tyłu – powiedział Adam.

Najstraszniejsze było to, że Clare myślała podobnie.

Oboje stali tam przez co najmniej minutę, wpatrując się w las. Ale było za ciemno.

– Podjadę i oświetlę przestrzeń światłami SUV-a.

– Dobry pomysł..

Clare otworzyła drzwi i w czasie krótszym, niż zajęło jej nawet pomyślenie o krzyku, dwie długie kościste ręce wystrzeliły z wnętrza i chwyciły ją za gardło.

(II)

Po kolacji mąż pani Grable, Derrick, zasnął na kanapie. Uśmiechnęła się do niego, pochyliła i pocałowała w policzek. Nie miała serca, by go obudzić i zaciągnąć do łóżka. Wyglądał tak spokojnie.

Przynajmniej wciąż go mam, pomyślała z pewną satysfakcją. Wciąż mamy siebie nawzajem.

Ten fakt, ten cudowny dowód miłości, sprawiał, że inne rzeczy stawały się znośne.

Tak. Te inne rzeczy.

Zostawiła włączony telewizor. To leki sprawiały, że był senny o dziwnych porach. Chciała, by po przebudzeniu włączył swoją ulubioną stację, Travel Channel, z tymi wszystkimi programami o plażach. Wiedziała, że marzył o tym, by pójść na plażę, wejść do wody, do fal... On miał swoje marzenia, ale co z panią Grable?

Dzień za dniem, to wszystko. To wszystko, na co może liczyć.

To Harry sprawił, że trafiła na odwyk te wszystkie lata temu. Dał jej to wspaniałe miejsce do życia, pracę, sposób na opiekę nad mężem. Jasne, czasami go nienawidziła, bo była cena, którą trzeba było spłacić, ale tylko dwa lub trzy razy w tygodniu.

I było to lepsze, niż bycie martwą.

Gdyby nie Harry, na pewno już by nie żyła. To było dziesięć lat temu, przed wypadkiem Derricka, i to był czwarty raz, kiedy czarna otchłań heroiny zawładnęła jej duszą i zmusiła ją do porzucenia małżeństwa. Derrick spędził tygodnie próbując ją odnaleźć, a kiedy mu się to udało, zadzwonił do Harry'ego. Harry pociągnął za kilka sznurków i wysłał tam ekipę dochodzeniową. Znaleźli ją w Seattle, w trzeciej dzielnicy, szprycującą się kilka razy dziennie. Czasem za pięć dolarów robiła odrażające rzeczy, szperając w śmietnikach i robiąc odrażające rzeczy z odrażającymi ludźmi.

Tak, gdyby nie Harry, na pewno już by nie żyła. On po prostu wciąż jej wybaczał i wybaczał, tak jak i Derrick. Jak się okazało, ostatni odwyk zadziałał, a ona znów odżyła.

A więc, czy patrząc na to z tej perspektywy, ta rzecz, którą musiała robić dwa lub trzy razy w tygodniu była zbyt wymagająca?

To niewielka cena do zapłacenia.

Prawdopodobnie będzie to tego wieczoru, więc wiedziała, że powinna się przygotować. Wypiła dwa solidne shoty whisky z gwinta, którą trzymała ukrytą w pralni. Ciepło, jakie zostawiała w jej wnętrzu, zawsze pomagało jej sobie z tym poradzić, a poza tym trochę ją znieczulała. Opuchlizna na jej wardze zesza prawie do zera; domyśliła się, że powiedziano mu, by nie uderzał jej zbyt mocno w twarz. Lokatorzy zastanawiali się, zadawali pytania. Czasami było nie lada wyczynem, by

ukryć siniaki i opuchliznę. Ślady na innych częściach jej ciała można było zakryć ubraniami, ale twarz?

Boże, mam nadzieję, że nie uderzy mnie dziś w twarz...

Jej strefa intymna to inna historia. Czasami kulała przez cały dzień po tym, co jej tam zrobił, a potem zawsze było gryzienie i duszenie. Nawet nie śmiała o tym myśleć, nie była w stanie.

Kiedy się wściekała, kiedy ta wewnętrzna wściekłość zaczynała narastać i zaczynała znówu nienawidzić Harry'ego, wystarczyło, że powrócił jakiś obraz z jej poprzedniego życia – strzelanina pod mostem Aurora lub obmacywanie na Pioneer Square – a nienawiść ulatywała.

Mogło być o wiele gorzej.

Przynajmniej powrót do normalności był łaskawy dla jej ciała. Nie tylko jak na swój wiek, ale biorąc pod uwagę uzależnienie od heroiny, wyglądała całkiem nieźle. Ćwiczenia i dobra dieta utrzymywały ją w dobrej formie. Dzięki Bogu, nie ma jeszcze cellulitu ani obwisłych piersi. Nadal miała Derrickowi do zaoferowania przyjemności, nawet pomimo jego stanu. Wiedziała, że on uwielbiał jej obfite piersi. Dlatego tym bardziej nie znosiła, gdy musiała kochać się z nim w staniku. Objęła teraz swoją pierś w lustrze w łazience i poczuła ból po ostatnim ugryzieniu. Nadal wyglądało to okropnie, ten poszarpany ślad wokół jej delikatnego sutka.

Chory drań...

Ale nie było sensu tego robić, nie było sensu nienawidzić. Nauczyła się tego już dawno temu. Taki był jej los. To był dziwny sposób, by pomóc Harry'emu, ale zawdzięczała mu swoje życie.

Więc nie narzekaj na kilka małych ugryzień.

Stała i patrzyła na siebie w lustrze, gdy zmierzch zaczął się domagać świetlistego nieba. Wnętrze domu stało się niebieskie, potem pomarańczowe, a potem pociemniało. Pani Grable patrzyła, jak sama zamienia się w cień.

Jakiś czas później, tak jak przewidywała, rozległ się brzęczyk. Jej ciałem wstrząsnęło tak, jakby właśnie doznała porażenia prądem. Dom wydawał się grzechotać.

Nadszedł czas, pomyślała.

Pani Grable zdjęła ubranie, obróciła się w ciemności przyćmionej zmierzchem i miękko stąpając skierowała się ku schodom, prowadzącym do piwnicy.

(III)

Zobaczyło ich. Zobaczyło światła, więc się schowało. Było wściekle i smutne jednocześnie.

Właśnie miało zamiar uwolnić swoje ręce dla tej małej, chudej, brudnej dziewczynki, ale wtedy zapaliły się światła.

Mała, chuda, brudna dziewczynka.

Lubiło się z nią bawić. Lubiło słyszeć jej krzyk, gdy jej to robiło. Miało ją zabrać z powrotem na miejsce, wiedziało o tym i wiedziało też, że zabranie jej z powrotem na miejsce było bardzo ważne.

Ale teraz wiedziało, że postąpiło źle.

Nie powinno było się z nią tak bawić; powinno było od razu zabrać ją z powrotem na miejsce.

Teraz pojawił się wielki problem i wiedziało, że to jesse wina.

Teraz był ten mężczyzna i ta druga kobieta. Mieli teraz tę małą, chudą, brudną dziewczynkę. Jego pierwszym odruchem było pójście do nich. Najpierw rozszarpałoby gardło mężczyzny i patrzyłoby, jak wypływa z niego cała krew, a potem rozprułoby jego brzuch i wyciągnęło wszystkie te ciepłe, mokre rzeczy, które były w środku. Lubiło to robić. A kobieta? Zaciągnęłoby ją na dół i robił jej to mocno. Robiłby to z nią często. Ale tym razem byłoby to zbyt skomplikowane. Tym razem pierwszą rzeczą, jaką by zrobiło, byłoby połamanie jej nóg. Żeby nie mogła uciec jak ta mała, chuda, brudna dziewczynka. Połamałoby też nogi tej małej, chudej, brudnej dziewczynce, co powinien był zrobić w pierwszej kolejności. A potem zrobiłoby jej to jeszcze raz i pewnie tym razem po prostu by ją zabiło, bo było wściekłe na tę małą, chudą, brudną dziewczynkę.

Tak, chciało wyjść, gdy po raz pierwszy zobaczyło tego mężczyznę i kobietę, ale potem zobaczyło, że zarówno mężczyzna, jak i kobieta mają te pistolety.

Wiedziało, że ta broń może mu zaszkodzić.

Siedziało teraz skulone za drzewem i było bardzo zdenerwowane. Jak to możliwe, że wszystko poszło tak źle?

Wkrótce pojawiło się więcej ludzi, więcej świateł, zabawnych migających czerwonych i białych świateł, a potem jacyś mężczyźni wsadzali małą, chudą, brudną dziewczynkę na tę długą rzecz, a potem wsadzali ją do rzeczy z migającymi czerwonymi i białymi światłami i odchodzili, zabierając ze sobą małą, brudną, chudą dziewczynkę. Potem odeszli też mężczyzna i kobieta z bronią. Teraz wszystko, co mogło zrobić, to siedzieć samotnie w ciemnym lesie.

Pozwoliło uciec tej małej, brudnej, chudej dziewczynce. Nie byłoby szczęśliwi.

(IV)

– Jezu. – Clare usiadła przy stole i przez chwilę zakryła twarz dłońmi.

– Tak, to było potworne – powiedział Adam.

Po odjeździe karetki Clare i Adam wrócili do biura ochrony, a wściekłość Clare z powodu „żartu” o ruchomych piaskach dawno poszła w zapomnienie. Pierwsze, co zrobiła, to poinformowała Ricka o tym, co się stało, kazała mu zawiesić normalny obchód i spędzić resztę swojej zmiany na patrolowaniu jeziora.

Może ktoś inny też tam był.

Minęła już prawie godzina, ale wciąż czuła się roztrzęsiona, a kofeina z kilku mrożonych kaw jeszcze bardziej ją nakręciła. To wszystko było przerażające.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała. – Po prostu nie mogę pozbyć się tego obrazu z mojej głowy. Ta biedna dziewczyna.

Clare i Adam słyszeli odgłosy miotania się w lesie, myśleli nawet, że coś widzieli. Właśnie wtedy Clare wróciła do swojego samochodu, by włączyć światła i...

Boże! pomyślała, wracając myślami wstecz.

Te długie, cienkie ramiona wystrzeliły z wnętrza, brudne ręce chwyciły Clare za gardło, nie po to, by ją zranić, ale by się jej chwycić.

– Pomocy, święty Jezu, proszę, pomóżcie mi, on wciąż tam jest i próbuje mnie zabić, błagam was, pomóżcie mi! – rozległ się nieludzko wysoki głos.

Dziewczyna z samochodu – naga, majacząca i pogryziona przez insekty – odleciała zaledwie kilka minut po tym, jak przyczepiła się do Clare. Długie włosy zwisały w oślizgłych kosmykach, a jej skóra była podrapana, otarta i umazana błotem. Widać było,

że została zaatakowana przez napastnika, że spędziła sporo czasu uciekając przez las i słone bagna.

Ucieka przed kimś, pomyślała Clare. Przed kimś, kto wciąż tam jest.

Poczucie bezpieczeństwa w biurze ochrony wydawało się teraz złudne.

– Domyślam się, że policja stanowa zamknie wyspę i będzie przeczesać teren. – Clare spojrzała w górę na Adama. – Lepiej wróćmy tam i pomóżmy im.

Adam usiadł, odchylił się do tyłu w fotelu i bez większej klasy zarzucił nogi na stół. Czuł, że to, co powiedziała Clare, było naiwne, a on próbował znaleźć delikatny sposób, by jej to powiedzieć.

– Cóż, widzisz, nie chcę ci tego mówić, ale nie będzie żadnej obławy i nie sądzę, by policja stanowa zrobiła cokolwiek w tej sprawie.

– Dziewczyna została zgwałcona!

– Przepraszam za wyrażenie, ale prawdopodobnie została zbiorowo wykorzystana przez swoich przyjaciół z własnej woli, a potem zgubiła się na bagnach, bo była naćpana. Mówimy tu o Kari Ann Wells, a nie o Marcie Stewart. Ta dziewczyna jest okryta złą sławą z powodu ilości przestępstw.

Clare powstrzymała się przed kolejnym zastrzeżeniem. Po powrocie na drogę Adam od razu rozpoznał dziewczynę, twierdząc, że widział ją w mieście wiele razy.

– Miejskowa włóczęga, nałogowa narkomanka. Nazywa się Kari Ann Wells. Zapytaj każdego policjanta z plaży stąd do Clearwater, ta dziewczyna jest dobrze znana.

– Rozumiem twoje obawy, Clare – zmienił ton na oficjalny. – Ale te wszystkie brednie, które wygadywała są głównie warte. Nie została zgwałcona, nie została przez nikogo zaatakowana ani przetrzymywana wbrew swojej woli. Ona jest ćpa metę, to wszystko. Cała biała biedota na tym tutaj leci. Przychodzą nocą na wyspę, by kłusować, pałą metę i się rzną. Długotrwali degustatorzy mają wypalone mózgi, a wierz mi, Kari Ann Wells jest wieloletnią ćpunką. Ten towar sprawia, że majaczysz, masz halucynacje, doprowadza do szaleństwa. Może nawet sprawić, że widzisz potwory.

Clare musiała wziąć pod uwagę, że jej własne emocje mogą przesłaniać jej osąd, od momentu, gdy usłyszała słowo „gwałt”. Kiedy byli już w drodze, ratownicy medyczni położyli Kari Ann na noszach i przykryli ją, i właśnie wtedy na kilka chwil odzyskała przytomność. Clare miała czas, by zadać kilka pytań:

– Kari Ann? Teraz już wszystko będzie dobrze, więc nie martw się. Ale musimy dowiedzieć się czegoś o człowieku, który ci to zrobił. Znasz jego imię? Pamiętasz jak wyglądał?

– To gwałciło mnie przez całą noc... – Na to wspomnienie jej twarz przybrała błądy odcień. – Robiło to cały czas.

Samo wspomnienie o gwałcie tylko sprawiło, że Clare współczuła dziewczynie. Chciała ją dalej wypytywać, ale... *Lepiej dam sobie spokój*, postanowiła. Ona jest w szoku, jest chaotyczna.

– Odpocznij trochę, Kari Ann.

Clare już miała odejść, ale koścista ręka dziewczyny chwyciła ją za koszulę. Jakoś się uśmiechnęła, mimo że dziewczyna wyglądała na obłąkaną.

– Zraniłam to. Mocno to zraniłam.

– Co, Kari?

Wyciągnęła drugą rękę, której palce wydawały się owinięte wokół czegoś – czegoś krwawego.

Clare wzięła to do ręki. *Fuj. Co to jest?* Pomyślała o dużym, obranym ze skórki pomidorze. To w jej dłoni było mokre i gorące. Czy to naprawdę pokrywała krew czy tylko bagienny muł?

– Rozprułam draniowi jaja....

Tak, jest teraz w szoku, co jest zrozumiałe. Nie wie, co mówi. Clare wiedziała, że ta oślizgła rzecz w jej dłoni nie mogła być jądrem. To było o wiele za duże.

Ale wiedza o tym, czym to nie jest, tylko potęgowała tajemnicę.

Czym jest to coś?

Kari Ann nie puściła koszuli Clare. Strużka łez zmyła z jej twarzy ślady błota.

– To nie był człowiek. To był potwór.

Kobieta znów straciła przytomność. Potem ratownicy medyczni odjechali, a światła karetki zalały las czerwonym i białym światłem.

Teraz, gdy Clare o tym myślała, wyjaśnienie Adama miało najwięcej sensu. Delirium i halucynacje wywołane narkotykami. Ale...

– Zgadzam się z tobą, Adamie. Ale odpowiedz mi na jedno pytanie: czym jest to coś, co włożyłam do lodówki?

Rzeczywiście, kiedy wrócili do biura, Clare włożyła „jądro” do plastikowej torebki i wsadziła do lodówki, aby zachować je jako dowód. Początkowo myślała, że policja może chcieć, aby zostało ono odpowiednio zbadane.

Adam zachichotał i sięgnął po plastikowe zawiniątko.

– Jeszcze raz, wybac mi słownictwo, ale to na pewno nie jest jądro jakiegoś kolesia. Jezu, to jest wielkie jak pieprzone mango. Mówiłem ci, że wsióry przyjeżdżają tu, by kłusować na rybach z jeziora Stephanie. To pewnie brzuch karpia albo garść rybich wnętrzności. To gówno w kryształach sprawi, że weźmiesz to za cokolwiek. – Zaśmiał się. – Chciałbym poznać człowieka, który ma tak duże jaja – wrzucił dowód do śmieci.

Wyjaśnienie, choć nieudolne, wydawało się rozsądne.

– A ta łódź, którą znalazłaś, kiedy poszłaś popływać w ruchomych piaskach?

Clare pokazała mu środkowy palec.

– To oczywiście, że była tam od dawna. Kłusownicy nie przyjeżdżają tu samochodem, bo wiedzą, że nie przejdą przez główną bramę bezpieczeństwa, więc przyplływają tu łodzią motorową, ale zabierają ze sobą mniejszą łódź wiosłową na jezioro. Prawdopodobnie ukryli ją tam pod zaroślami, żeby nie musieli się męczyć z przenoszeniem jej tam i z powrotem za każdym razem, gdy wychodzą.

I znów kolejne solidne wyjaśnienie. W końcu nie ma żadnych tajemnic.

– Jestem już po służbie, więc lecę – powiedział Adam. Potem uśmiechnął się. – Chyba że chcesz, żebym został w pobliżu i pomógł ci przeczesać las w poszukiwaniu potworów. Wiesz, założę się, że ten potwór wciąż tam jest i szuka swojego orzeszka!

– Wiesz co, Adam? Zrób mi zaszczyt i wypierdalaj stąd. – Powiedziała ostrym tonem. Zatrzymał się przed drzwiami.

– Daj spokój, mówiłem, że przepraszam za te ruchome piaski. Ochłoniesz, kobiety zawsze to robią.

– Wynocha!

Wymknął się, zostawiając Klarę z jej zmartwieniami. *Co za palant.*

Była już dwudziesta pierwsza trzydzieści; jej oficjalna zmiana nie rozpocznie się jeszcze przez dwie i pół godziny. Spędziła trochę czasu na spisywaniu całego zajścia; Dellin będzie chciał rano otrzymać pełny raport. Przez radio poleciła Rickowi, aby wznowił normalny obchód. Co prawda, zniechęciła Adama Coreya, ale miał on rację

co do tego, co się stało. Biorąc pod uwagę narkotykową przeszłość dziewczyny? *Nie, w lesie nie ma gwałcicieli.*

Przynajmniej dzięki temu Clare mogła ocenić swoje własne wady. Historyczne twierdzenie Kari Ann Wells, że została zgwałcona, od razu wywołało najgorsze wyobrażenia Clare, która sama została zgwałcona nie tak dawno temu. Jej oburzenie było natychmiastowe; nie powstrzymała się nawet, by rozważyć inne, bardziej rozsądne możliwości.

– Teraz już wszystko jest jasne – mruknęła do siebie. Poświęciła trochę czasu, by przejrzeć szafkę z aktami w rogu, wygrzebać jakieś stare dzienniki operacyjne. Chciała się zorientować, jak Grace Fletcher prowadziła sprawy i po półgodzinnym przeglądaniu arkuszy dziennika, z radością zobaczyła, że jej własne protokoły były podobne. Na jednym z arkuszy była jednak żółta naklejka Post-It, na której Grace napisała notatkę do siebie:

ZAPYTAJ DELLINA RANO: PARA WODNA Z OTWORU WENTYLACYJNEGO SKRZYDŁA B?

Para? Ze skrzydła B? Clare przeskanowała arkusz dziennika, by zobaczyć więcej szczegółów. Tuż pod karteczką widniał wpis:

„Godz. 03:57 Wróciłam z obchodu terenu. Żadnych incydentów, ale zauważyłam coś, co wyglądało na parę wodną wydobywającą się z kanału wentylacyjnego na dachu po stronie Bloku B”.

Hmm, pomyślała Clare. Blok B to tylko magazyn. Dlaczego para wodna miałaby się stamtąd ulatniać?

To było dobre pytanie. Ale kilka chwil później pojawiło się kolejne; Clare zauważyła kolejną karteczkę na nowszym arkuszu dziennika.

Dowiedzieć się, czym jest MAGNETOFERYCZNY ELEMENT WĘGLOWY, znaleźć informację o przedsiębiorstwie HODDER-TECH INDUSTRIES.

Grace Fletcher była dociekliwą kobietą; sama zadawała sobie pytania na temat tego miejsca, korzystając z notatek. Clare przeszukała arkusz dziennika i rzeczywiście:

„ 23:15: Otworzyłam główną bramę dla dostawy z H.R. Trucking, Floryda commercial tag 041601 i podpisałam się pod jednym dużym pudłem z napisem „Zestaw elementów magneto-feryczno-węglowych”, z przedsiębiorstwa Hodder-Tech. Dostawę zabezpieczono w ładowni doku”.

Clare nigdy nie słyszała o elementach magneto-feryczno-węglowych, a jej ciekawość wciąż rosła. *Jakiś rodzaj sprzętu medycznego lub diagnostycznego?* pomyślała. *To musi być to, ale to plus raport o parze z Bloku-B? Bardzo interesujące.*

Tak interesujące, że postanowiła wyjść z budynku, obejść go dookoła z latarką i sprawdzić część konstrukcji, z której składał się Blok B.

Promień latarki przesunął się wzdłuż dachu. Mały metalowy otwór wylotowy wywiewał parę tak mocno, że była zaskoczona, że nie zauważyła tego wcześniej. Nieprzerwany gazowy obłok piął się w górę, w kierunku wierzchołków drzew i zmierzchu.

Dlaczego stąd wydobywa się para? Budynek jest pusty. Coś tam musi być.

Była tak zaciekawiona, że od razu wróciła do środka i chwilę później przyciskała ucho do drzwi prowadzących do skrzydła.

Ale nic nie usłyszała.

Zapomnij o tym, pomyślała. To pewnie jakiś osuszacz powietrza czy coś...

Wróciwszy do biura, włączyła komputer, ale natychmiast z rozczarowaniem odkryła, że nie ma w nim modemu, nie ma sposobu, by wejść na serwer. Nie ma sposobu, by przeszukać Internet i dowiedzieć się czegoś o tym urządzeniu. Przypuszczała, że mogłaby pójść do biura Dellina i sprawdzić, czy jest podłączony do sieci, ale to nie wydawało się uzasadnione. *Zapomnij o tym*, pomyślała ponownie.

Wtedy rozległ się pisk radia. To był Rick.

– Hej, Clare, chciałem ci tylko dać znać, że otwieram główną bramę dla dostawy.

– Ok – odpowiedziała do mikrofonu. Na ekranie monitora widziała, jak Rick wysiada ze swojego samochodu i zbliża się do głównej bramy przypominającej fortecę. Po drugiej stronie stała duża ciężarówka.

– Spotkam się z nimi przy rampie załadunkowej. Od kogo jest ta dostawa?

– Przedsiębiorstwo Hodder-Tech.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

(I)

– Nie podoba mi się to miejsce, Harleyu Mack – skarżyła się Cinny. – To jest przerażające.

– Zamknij jadaczkę. Chcesz, żeby cię usłyszeli?

Nie mów mi, żebyś się zamknęła! pomyślała Cinny Bock. Oczywiście nigdy by tego nie powiedziała; nie miała odwagi. Harley Mack miał wystarczająco złe usposobienie, a było ono jeszcze gorsze, gdy przez kilka dni nie był na haju. Cinny wiedziała, że gdyby mu dokuczyła, to znowu by jej przyłożył.

Ale to nie była przesada. Ta część parku była przerażająca.

– Gdzie jest flaszka? Jezu Chryste, Cin, jeśli wypijaś wszystko, to przez tydzień będziesz widziała gwiazdy.

Cinny nie wątpiła w to; marszcząc czoło, podała mu whisky. Kiedy się rozstawali, to trochę łagodziło obyczaje. Problem polegał na tym, że Cinny nigdy nie tolerowała alkoholu zbyt dobrze. Stawała się roztrzęsiona, otumaniona, z mętным wzrokiem. No cóż. *Przynajmniej mam bzykanko. Lepsze to niż nic.* Cinny Bock miała trzydzieści lat, ale okrutne florydzkie słońce i pół życia spędzonego na haju zbliżyły ją do wyglądu co najmniej czterdziestu pięciu. Cienka jak trzcina sylwetka i włosy koloru zlewu pełnego pomyj nie pomagały. Jeśli miałyby to być jakimś pocieszeniem, to trwałe linie opalenizny sprawiały, że płaskie jak naleśnik piersi nie wyglądały tak całkiem płasko, a ona nigdy nie miała dzieci, więc jej brzuch wciąż był dość zgrabny. Harley Mack był w zasadzie na najlepszej drodze, by stać się męską wersją tego samego gatunku społecznego. Razem stanowili niemal status quo swojego dziedzictwa, byli jak dwie krople wody, a to, co to robili, było jedynie wypęnianiem post darwinowskiej opatrności. Ich egzystencja zasadniczo kręciła się wokół dwóch rzeczy: napadów i narkotyków plus trzeciej – seksu. Harley Mack miał już za sobą dwie odsiadki za włamanie i zdecydowanie nie chciał dostać trzeciej. Dlatego obserwował klinikę z zewnątrz, aby przyjrzeć się temu miejscu z bliska, zanim je przetrząśnie. Harley Mack nie był głupkiem. Zamierzał wykonać tę pracę dobrze.

To był już trzeci raz, kiedy przyszedł do parku w nocy. Z tego, co mógł stwierdzić, strażnicy byli na służbie tylko w tygodniu, w weekendy nie było ochrony, a to oznaczało, że klinika musiała mieć całkiem dobry system alarmowy. Harley Mack był cholernie dobrym włamywaczem, ale z drzwiami pod alarmem mógł o tym zapomnieć. Ale już zdecydował, że nie będzie wchodził przez żadne drzwi.

Zamierzał iść w górę – przez sufit.

I wiedział, że w środku jest cała masa towaru, który czeka na niego, by go zwędzić. Pieniądze, które dostałby za taki łup, utrzymałyby jego i Cinny na haju przez długi czas.

– Wygląda na to, że ten cholerny strażnik parku już nie wróci – powiedział. Ukrywali się za pagórkem, patrząc na klinikę. Teraz dwóch ochroniarzy wydawało się podpisywać przyjęcie jakiejś przesyłki; światła paliły się nad rampą załadunkową, a z dudniącego samochodu dostawczego zjeżdżały długie pudła.

– Mam nadzieję, że nie będę musiał zajmować się tymi strażnikami.

– Powiedziałeś, że zajmiesz się tym w weekend – Cinny natychmiast się poskarżyła – bo wtedy strażnicy nie mają dyżurów!

– Zamknij się. Powiedziałem, że przypuszczam, że strażnicy nie mają wtedy dyżurów, ale nie mogą być pewien.

– Harleyu Mack! Obiecałeś, że nikogo nie skrzywdzisz!

Harley zaklął i oddał jej butelkę. Byli tu dopiero od godziny, a ona stawiała się upierdliwa.

– Po prostu lyknij sobie i się uspokój. Nie zamierzam nikogo skrzywdzić.

– Obiecujesz?

– Obiecuję, kochanie.

Nie, nikogo nie skrzywdzę, pomyślał. Ale na pewno ZABIJĘ, jeśli mnie zobaczą. Tym razem nie zostawiam świadków. Nie mogą wrócić do pierdła.

Nie, więzienie stanowe to nie zabawa, a ze swoją szczupłą, kręłą sylwetką i długimi włosami doprowadzał do szału większość z tych długodystansowców. Harley Mack wątpił, czy ktokolwiek zwracał się do niego prawdziwym imieniem przez cały okres jego ostatniej odsiadki; był „Dziecinką”, „Skarbem”, „Białą suczką”. Harley Mack był twardym ulicznym wieśniakiem, ale w więzieniu? Szybko się przekonał – w ciągu jednego dnia – że nie wie, co to znaczy być twardzielem. Za pierwszym razem, gdy jakiś skazaniec klepnął go w krocze, Harley Mack walczył, jak należy i został natychmiast pobity do nieprzytomności i wydupczony na podłodze, podczas gdy klawisze udawali, że tego nie widzą. Nieważne, jak twardy byłeś na zewnątrz. Wewnątrz tacy ludzie jak Harley byli mięczakami. Jego pierwszy raz szybko się skończył i równie szybko stał się integralną częścią świata, którego większość ludzi nie była w stanie sobie wyobrazić, świata, w którym mężczyźni byli wymieniani na innych mężczyzn za zwykłą paczkę papierosów i w którym „schylanie się po mydło” nie miało nic wspólnego z mydłem. W pierdłu Harley Mack robił rzeczy, o których nigdy nie mógł powiedzieć Ciny. Pewnej nocy, zaraz po tym jak wyszedł, zapytała go:

– Czy oni, wiesz, czy oni kiedykolwiek cię przytrzymywali i próbowali....

– O tak, próbowali – Harley skłamał jej prosto w twarz. – Ale ja po prostu wybiłem im wszystkim to z głowy. Zostałem bohaterem bloku, bo spuściłbym łomot każdemu z tych kolesi, którzy próbowali takich popierdolonych rzeczy.

Bohater celi, rzeczywiście. Tak naprawdę Harley Mack był „dupodajcem bloku”. Ale jego małe kłamstewko wystarczająco uspokoiło Ciny. Zawsze będzie dla niej bohaterem... nawet wtedy, gdy będzie ją bił po twarzy.

– Ten jeden strażnik tam, wygląda na twardziela – zauważyła.

– Cicho, dziewczyno. Ta wielka cipka? Z jedną ręką za plecami będzie wołał swoją mamusię.

Zauważył teraz drugiego strażnika, kobietę.

– Nie miałbym jednak nic przeciwko tarzaniu się w sianie z tą laską. Założę się, że piszczy, kiedy się w nią wchodzi.

– Lepiej nie! – wykrzyknęła Ciny, rozwścieczona. – Lepiej, żebyś nawet nie myślał o takich rzeczach!

Ciny łatwo było rozzłościć, zwłaszcza gdy była pijana, a Harley Macka nigdy nie przepuszczał okazji.

– Tak, ściągnę jej małe gatki i dam jej rozkosz życia. Wyrucham ją jak się patrzy, a potem odwrócę ją i zacznę od nowa. Tak, proszę pani, ta blond suka będzie chodziła jak kowboj do końca życia.

Tym razem Ciny uderzyła go w plecy tak mocno, że zabolą ją ręka.

– O, tak, ty wielki kutasie! No to proszę bardzo! Dlaczego po prostu nie zawołałam jej tutaj w tej chwili i....

Reszta pijackich sprzeciwów Cinny została zredukowana do zdławionego kwilenia, gdy jej chłopak złapał ją za usta i je zacisnął. Jej ręce i nogi zwiotczały z bólu.

– Już ci mówiłem, mów ciszej, ty pijana suko! Ja tylko żartowałem, na litość boską!

Kiedy ją puścił, odsunęła się do tyłu z rękami przy ustach.

– Niech cię szlag, Harleyu Mack – wyszeptała przez palce. – To bolało!

– Tak miało być. Powiedziałem ci, żebyś trzymała swoją gębę na kłódkę. Widzisz, co się dzieje, gdy nie robisz tego, co ci każę?

Na pewno tak było. *Niech go szlag. Traktuj mnie tak dalej.* Siedziała teraz za nim, patrząc, jak nadal zerka przez wstążkę na klinikę. *Po prostu nie będę z nim rozmawiać, zobaczę, jak mu się to spodoba, a później, gdy będziemy w łóżku i będzie chciał się pieprzyć, nie dostanie nic.* Tak, ona już by mu pokazała, kto tu rządzi. Właściwie, kiedy to by się stało, Cinny byłaby już całkowicie odurzona alkoholem i nie miałyby nic do powiedzenia w tej sprawie. Kiedy Harley Mack chciał ruchać, to to robił; stan świadomości Cinny nie miał żadnego znaczenia.

Coś podskoczyło obok niej.

Co to jest?

Znowu podskoczyło, coś wielkości kostki mydła.

– Och, spójrz! Ropucha!

Cinny zawsze była miłośniczką zwierząt, uwielbiała ropuchy. Większość kobiet uważała je za obrzydliwe i obleśne, ale nie Cinny. Dla niej były słodkie. Pamiętała, że kiedy była mała (zanim jej ojciec odbył z nią stosunek w wieku trzynastu lat i zanim zaczęła palić metaamfetaminę w szatni w dziesiątej klasie), trzymała ropuchy w akwariium z ziemią. Karmiła je robakami i świerszczami i wkładała pokrywki słoików z wodą. Uwielbiała sposób, w jaki rechotały i patrzyły na nią tymi wielkimi, czarnymi jak marmur oczami. Były urocze i zabawne, a ona kochała je bardziej niż jakiegokolwiek inne zwierzątko, które kiedykolwiek miała. Pewnego dnia jej bracia wykorzystali je do gry w baseball, ale to już inna historia.

Jednak tutaj, widok ropuchy bardzo ją ucieszył. Od razu ją podniosła.

– Cześć, Panie Ropuchu – szepnęła. – Harley Mack, zobacz, co znalazłam. Jest uroczy, prawda?

– Masz cycki zamiast mózgu? – Harley Mack nie podzielał jej entuzjazmu. – Zsika ci się na rękę i zarazi brodawkami, głupia dupo.

Cinny tylko się uśmiechnęła. To on był tym głupim dupkiem; wszyscy wiedzieli, że ropuchy tak naprawdę nie roznoszą brodawek. Zsikała się jednak na jej rękę, dość obficie, ale Cinny nie miała nic przeciwko temu. Nic nie mogła na to poradzić, to było tylko małe, nieszkodliwe zwierzątko.

Potem to małe, niegroźne zwierzątko ugryzło ją prosto w kciuk.

To wszystko stało się tak szybko. Harley Mack uciszył jej krzyk w pół sekundy, ponownie ściskając jej usta.

– Co jest z tobą nie tak, do cholery! – szeptał rozwścieczony.

Plącząc, Cinny próbowała odepchnąć ropuchę... ale nie mogła. W świetle przebijającym się przez rampę mogła zobaczyć szczękę płaza zacisniętą na jej kciuku. I mogła nawet zobaczyć dwa cienkie, centymetrowe kły przebijające jej skórę. Ból był na tyle silny, że nie pamiętała, że ropuchy nie mają kłów. Harley Mack wykręcił ropuchę i wyrzucił ją, po czym puścił usta swojej dygoczącej dziewczyny.

– To mnie ugryzło, to miało kły! – wyszeptwała.
– Ropucha? – kusilo go, by zaraz potem walnąc ją w twarz. – Ropuchy nie gryzą ludzi, ty mała idiotko! I nie mają kłów!

– Tak? To patrz! – podniosła swój krwawiący kciuk, z dwoma śladami po nakłuciach.
– Pewnie skaleczyłaś się o jakąś trawę, debilko. I dobrze, że silnik ciężarówki jest włączony, bo inaczej usłyszeli by cię ochroniarze. Ja próbuję obczaić to miejsce, żebyśmy mogli zdobyć dobry towar, a ty siedzisz tam i bawisz się w łapanie ropuchy. Lepiej wypierdalaj stąd i zaczekaj w łodzi.

– Czekać w łodzi? Tak sama? Pieprzyć to. Nie będę chodziła sama po tym okropnym miejscu. Tam może być więcej takich ropuch z zębami.

– W porządku, więc siedź cicho, jeśli chcesz zostać – Harley Mack tylko potrząsnął głową. – Jeszcze jedno twoje spojrzenie, a rozwałę ci łomem łeb.

Whisky złagodziła nieco ból, ale w oczach Cinny wciąż były łzy, gdy patrzyła na ranę. Ta ropucha ją ugryzła. I rzeczywiście miała kły. Mogła zobaczyć, jak krew wciąż ścieka z rany. Teraz zaczynała być przygnębiona. *Chcę wrócić do przyczepy*, pomyślała. Przynajmniej park przyczep był bezpieczny (nie licząc drive-busów i wybuchających laboratoriów mety w wannach). *Nie ma tu ropuch z kłami*, racjonalizowała. Tak, ta część parku była przerażająca. A gdy alkohol jeszcze bardziej przytępił jej zmysły, nabrała przekonania, że to coś więcej.

Ten cholerny park jest złem wcielonym.

Pociągnęła swojego mężczyznę za T-shirt z logo MOTORHEAD i najcichszym głosem, jak to tylko możliwe, błagała:

– Harley Mack, chodźmy już. To miejsce mnie przeraża. Zapomnij o tej głupiej klinice.

– Potrzebujemy narkotyków, które tam są.

– Znajdę sobie pracę. Za moją wypłatę będziemy mogli kupić tyle towaru, ile chcemy.

– Nie rozmieszaj mnie. W całym swoim życiu nie utrzymałaś pracy dłużej niż jeden dzień; nie potrafisz nawet dodać dwa do dwóch. Włamuję się do tego miejsca i zabieram im ich towar.

Cinny przypomniwała sobie jednosekundowe spojrzenie ropuchy: szczęki zaciśnięte na jej kciuku, kły wbijające się do środka. Wielkie czarne oczy patrzyły prosto na nią i mogłaby przysiąc, że czuje, jak jej lepki język zlizuje jej krew. Zaczęła płakać jak dziecko.

– Proszę, proszę, chcę wrócić do domu.

Gdy wtem:

Dwa ostrza bólu wbiły się w jej dolną część nogi; poczuła się tak, jakby była dżgana nożem. W ułamku chwili, zanim krzyknęła, spojrzała w dół i zobaczyła, że tym razem nie była to ropucha, ale długi, zwinięty wąż, wwiercający się w nią swoimi kłami.

– Wąż mnie gryzie... KURWA!

Tym razem Harley Mack nie zawahał się. Jedno szybkie uderzenie w głowę Cinny natychmiast uciszyło jej krzyk i powaliło na ziemię. Zerknął niepewnie za pagórek i zobaczył z ulgą, że dwaj ochroniarze nie usłyszeli jeszcze jej wybuchu dzięki hałasowi silnika. *Farciarz*. Postanowił się poddać na dziś; jak mógłby dobrze obserwować to miejsce z tą hałaśliwą, pijaną suką wrzeszczącą co pięć minut? *Pieprzyć to, po prostu wrócę tu w sobotę wieczorem i wykonam zadanie, a ten wrzód na tyłku zostawię w domu... jeśli najpierw jej nie zabiję...* Musiał ją zanieść z powrotem do łodzi, ale to nic

wielkiego; metaamfetamina sprawiła, że była lekka i chuda. Zanim sięgnął, by ją podnieść, pomyślał: *O czym ona tym razem, do cholery, piszczała? O wężu?*

Potem przyjrzał się bliżej.

Ta mała idiotka nie kłamała.

Wąż rzeczywiście ją ugryzł – a właściwie nadal ją gryzł energicznie, w nogę tuż nad kostką. Był to tylko zielony wąż, krótki i niejadowity.

Harley Mack chwycił węża i odrzucił, ale gdy to robił, w dole jego brzucha pojawiły się nagle mdłości. Przerzucił Cinny przez ramię i jak najszybciej ruszył z powrotem w stronę łodzi.

Tak, w tym parku było coś popieprzonego i Harley Mack chciał się stamtąd szybko wydostać.

Dlaczego?

Bo kiedy ściągnął tego węża z nogi Cinny, nie mógł nie zauważyć czegoś dziwnego.

Wąż miał dwie głowy.

(II)

Drewniana skrzynia była długa na dwa metry, wysoka i szeroka na trzydzieści centymetrów. Wewnątrz belek o przekroju dwa na cztery, które tworzyły jej konstrukcję, rozciągały się arkusze sklejki. Clare mogła z łatwością odczytać czarne litery:

OSTROŻNIE!

JEDEN (1) ZESPÓŁ MAGNA-FERRYCZNEGO ELEMENTU WĘGLOWEGO:

JEDNA (1) WIĄZKA PRZEWODZĄCA

I CZTERY (4) ELEMENTY WĘGLOWE MAGNA-FERRIC.

NIE UPUSZCZAĆ!

Po tym, jak kierowca i Rick ręcznie przetransportowali skrzynię do ładowni, Clare podpisała się pod przesyłką od przedsiębiorstwa Hodder-Tech.

– Co to dokładnie jest? – zapytała kierowcę.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział, poprawiając swoją czapkę z daszkiem Devil Rays. – Ja po prostu dostarczam i spadam. Ale robimy wiele regularnych kursów dla Hodder-Tech.

– Dokąd? Do Szpitali? Klinik takich jak ta?

– Tak, ale także do wielu fabryk.

– Fabryk? W takim razie to chyba musi być jakiś element oświetlenia.

– Nie mam pojęcia. – Uśmiechnął się – Miłego dnia.

Wsiadł z powrotem do ciężarówki i odjechał. Clare tylko potrząsnęła głową.

– Myślę, że to jakiś element grzewczy – zaproponował Rick po zamknięciu ładowni.

– Grzejniki? Na Florydzie? – Dla Clare brzmiało to absurdalnie. – Jeśli to prawda, to jest to cholernie długi grzejnik. Ta skrzynia miała dwa metry. Masz na myśli ogrzewanie podłogowe?

– Nie, może to podgrzewacz wody czy coś w tym stylu, tak mi się wydaje. Pytałem kiedyś o to Dellina. O jakiś sprzęt medyczny. O, teraz sobie przypomniałem. Powiedział, że potrzebują ich do sterylizacji.

Clare zamyśliła się. Nie rozumiała, jak coś tak ciężkiego i długiego może być potrzebne do sterylizacji, ale przecież to nie była jej dziedzina. No cóż. Sterylizacja. Przynajmniej miała swoją odpowiedź, dziwną i raczej zbyt oczywistą.

– Jakież wieści o tym, jak się czuje dziewczyna? – zapytał Rick.

– Zadzwońiłam do szpitala jakiś czas temu. Jest odwodniona i w szoku, ale jej stan jest stabilny. Podają jej dużo antybiotyków, aby uchronić przed infekcjami; miała wiele ukąszeń.

– To naprawdę przykre jak ci ludzie ćpają, a potem dzieją się takie rzeczy. Mogła tu umrzeć.– Zerknął na czerwone tylne światła samochodu dostawczego. – Pójdę zamknąć główną bramę, gdy ciężarówka odjedzie, a potem oprowadzę cię po okolicy. Mam jeszcze pół godziny do końca zmiany.

– Zapomnij o tym – odparła Clare. – Wpiszę cię w raporcie zakończenia zmiany. Po prostu wróć do domu po zamknięciu bramy.

– Jesteś pewna? – ucieszył się Rick.

– Tak, Joyce oprowadziła mnie wcześniej po okolicy. Właściwie to nie mogę się już doczekać, kiedy zrobię pierwszy samodzielny obchód. Nie ma sensu, żebyśmy się tu oboje pocili.

– Dzięki, Clare! Miłej zmiany.

Clare pomachała mu, odjeżdżając. Gdy schodziła po rampie z powrotem do samochodu, reflektory wyłączyły się dzięki czujnikowi ruchu. Z jakiegoś powodu czuła się teraz nieobecna, znudzona – nawet po całym zamieszeniu tego dnia. Nie mogła się doczekać, by rozpocząć swoją pierwszą oficjalną rundę po punktach kontrolnych. Główna brama, jezioro, plaże, kilka punktów na terenie kliniki i wiele innych miejsc było wyposażonych w czujniki monitorujące, które dokładnie sprawdzały, o której godzinie strażnik był na posterunku. Dawno minęły czasy zegarków rejestrujących, które strażnicy musieli nosić ze sobą; teraz wszystko, czego potrzebowali, to klucz osobisty, który rejestrował czas pracy w komputerze głównym. Clare w swojej karierze zrobiła już wiele obchodów, ale nigdy w tak pięknym miejscu. Nawet w dusznym, północnym upale wygląd tego miejsca w blasku księżyca wydawał się rajski. Wieczór tętnił gęstymi falami cykających świerszczy. Nocne ptaki fruwały. *To na pewno jest lepsze od patrzenia na rezerwy Sił Powietrznych i słyszenia F-16 startujących co dwie minuty.*

Egzotyczne odgłosy zwierząt ucichły, gdy zbliżyła się do brzegu. Uśmiechnęła się do siebie, gdy przypomniała sobie, gdzie dokładnie się teraz znajduje, to, co Joyce nazwała „Punktem Trojańskim”. Mała laguna rozciągała się nieruchomo jak czarne szkło. Żadnych kochanków dziś wieczorem, pomyślała, gdy światła samochodu przeskanowały okolice. Objechała brzeg laguny, po czym znalazła się na plaży. Wyłączyła silnik, zgasiła reflektory. O tej porze plaża stała się nagle maleńką domeną surrealizmu, sekretnym miejscem tylko dla niej. Delikatne fale rozbijały się o brzeg. Światło księżyca majaczyło na wodzie i w jednej chwili Clare poczuła się tak, jakby była jedyną osobą na świecie.

Podziwiając to wszystko, dziękowała Bogu, wszechświatowi lub losowi za to, co ją spotkało...

Bardzo Ci dziękuję, że pozwoliłeś, by mi się to przytrafiło. Wreszcie coś dobrego. Dziękuję.

To nie była do końca modlitwa, ale równie dobrze mogła nią być. Była teraz szczęśliwa, po raz pierwszy od ponad roku. Ale była też wdzięczna.

Chciała jeszcze przez kilka chwil posiedzieć w tym miejscu, rozkoszując się ciszą i spokojem. Było tak spokojnie i pogodnie. Ale wkrótce zaczęły ją rozpraszać myśli. Nie tyle myśli, ile obrazy – obrazy mężczyzn.

Dellin i ten jego atrakcyjny, zatroskany sposób bycia, lekarski i seksowny jednocześnie. Potem Rick, surowy, twardy, ale mądry, i te mięśnie, które pamiętała, gdy ukradkiem obserwowała jego i Joyce w ich erotycznym uścisku. Boże, pomyślała, zabrakło jej tchu. Robiło jej się gorąco, i to nie z powodu wieczornego upału. Ten nagły przypływ hormonów oszołomił ją; prześladował ją przez cały dzień. Przez lata pracowała z atrakcyjnymi mężczyznami, ale nigdy nie miało to na nią takiego wpływu. Choć usilnie starała się wyprzeć te obrazy, one wciąż zakradały się do jej umysłu: teraz przypominała sobie więcej z tego, co widziała na ekranie. Rick trzymał ją w rękach, jakby formował zmysłowy posąg, jego usta ssały mokre smugi wzdłuż skóry...

Przestań.

Poddała się fantazji, nic nie mogła na to poradzić. Teraz to nie była Joyce na ekranie, to była ona. Nagle ręce Ricka znalazły się na jej nagich piersiach, ustami obejmował jej sutki. Jej oddech przyspieszał, gdy obraz się zmieniał, stawał się ciemniejszy, gorętszy. To już nie Rick się nią zajmował, to Dellin, nieruchomy, zdecydowany, jego ciemne oczy wpatrywały się w nią. Skrzywiła się i podniosła na palcach, gdy ręce Dellina objęły ją w talii i zaczęły powoli przesuwac się w górę po jej wilgotnej od potu skórze. Objął jej piersi i ścisnął je, wczepiając palce w sutki.

Ssssstop...

W jeszcze bardziej niewytłumaczalny sposób wzmocniło się jej pożądanie. Tak, była teraz dotykana, tak jak chciałaby być dotykana, powolne, świadome przesuwanie dłoni wokół jej pośladków. Gdy jej myśli błagały, by palce wsunęły się jeszcze dalej, one to zrobiły, mniej niż delikatnie wślizgując się w cipkę. Ale ta ręka nie należała już do Dellina, tylko do Adama.

I tu pojawiła się niewytłumaczalna część: tak bardzo jak ubolewała nad impertynenckim strażnikiem parku, tak bardzo wyostrzyły się obrazy fantazji. Wiedziała, skąd to się wzięło. Z wcześniejszego dnia, kiedy wyciągnął ją z głębokiego po pas zapadliska; włożył rękę między jej nogi, udając, że pomaga jej się wydostać. Prawdopodobnie nie było to nawet konieczne, po prostu prostak, który robi sobie tanią przyjemność.

Ale teraz już jej to nie obchodziło i nie zawracała sobie głowy mówieniem sobie, żeby przestać. Poddała się temu. Dłoń naciskała mocniej, palce sondowały. Językiem musnął jej szyję, a potem zaczął szeptać:

Nie martw się, Clare. Nie skrzywdzę cię, dopóki nie skończę.

Nagle wszystko prysło; umysł zdradził ją w najbardziej podstępny sposób. Choć trwało to tylko sekundę dłużej, wydawało się trwać godzinami, jej umysł odtwarzał każdy szczegół gwałtu. Ciemny, ciepły las zniknął. Teraz leżała płasko na plecach na zimnej, stalowej platformie do autopsji. Lampy do badań prawie ją oślepiły białym blaskiem. To ręce Stuarta Winstera przesunęły się po konturach jej nagiego ciała. Zawsze uważała go za nieszkodliwego; był cywilem, który pracował w bazie, dozorcą, a jedyną znaczącą rzeczą w nim było to, że był synem pułkownika Winstera – dowódcy Korpusu Badań Klinicznych Sił Powietrznych, który oczywiście użył swoich wpływów, by załatwić mu pracę. Clare szybko się przekonała, że nieszkodliwy to nie jest słowo, które opisuje opóźnionego w rozwoju dwudziestodwulatka.

W lewej ręce trzymał zaostriżony szpikulec. Powoli przesuwał igłę po skórze jej brzucha, nie na tyle, by ją zranić, ale na tyle, by pozostawić przesywające mrowienie. Jego prawa zdeformowana ręka wędrowała niżej. Wada wrodzona sprawiła, że dłoń przypominała szpon, miała tylko dwa palce – kciuk i palec wskazujący.

To właśnie ta ręka zmaksymalizowała jej przerażenie. Nie porwanie i gwałt, nie strach przed śmiercią. Nie obraz jego twarzy, ani lekko wykrzywione czoło. Tylko ta upiorna dłoń...

Była na nocnej zmianie, robiła piesze obchody wzdłuż obwodu administracyjnego. On znokautował ją od tyłu pałką, a potem wstrzyknął jakiś środek paraliżujący. Doszła do siebie w sali autopsji. Więzy na kostkach i nadgarstkach nie były konieczne; to, co jej wstrzyknął, spowodowało całkowity paraliż głównych grup mięśni. Mogła otwierać i zamykać oczy, poruszać lekko ustami, ale to wszystko, a środek nie miał właściwości znieczulających.

Wszystko czuła. Po prostu nie mogła się ruszać.

Clare, Clare... Jesteś naprawdę śliczna.

Śliniac się, lizał jej twarz, podczas gdy dwa ohydne palce zanurzył między jej udami. Fala agonii przeszła ją, gdy nagle ugryzł jeden z jej sutków. Chciała krzyczeć, więc się i uciekać, ale narkotyk unieruchomił ją na dobre. Ani jedno włókno mięśnia nie drgnęło, ani jeden krzyk nie wydostał się z ust. Była przerażona. Czy ugryzie ponownie? Serce waliło jej na samą myśl. Tymczasem zszedł poniżej jej talii, gdzie razem z ręką, zaczął pracować ustami w tandemie. Clare chciała po prostu umrzeć. Było jasne, co chciał zrobić, a bez dodatkowych trzech palców było to raczej oczywiste.

Chcę się z tobą bawić... w środku.

Clare czuła się tak, jakby była operowana. Coś straszego działo się w jej wnętrzu, ale na szczęście nie trwało to długo. Zboczeniec wspiął się na nią i po prostu to zrobił. Clare nie czuła się już złowieskim, nie czuła, że naprawdę żyje; była tylko kupą mielonego mięsa, które jest rozbijane i dżgane na zimnym blacie.

Nigdy się nie dowie, czy tego dnia chciał ją zabić. Szybko szczytował, pozostawiając ciepłą spermę między jej nogami.

-Teraz pobawimy się jeszcze trochę, Clare – mruknął, ale przerwało mu wejście strażnika SOD. Clare dochodziła do siebie w szpitalu, oczekując, że sprawiedliwości stanie się zadość. Co nigdy jednak nie nastąpiło.

Wszystko było wyśmienicie ukartowane. W ciągu zaledwie kilku tygodni okazało się, że Clare była patologiczną kłamczuchą, która próbuje sfingować sprawę o gwałt, by zyskać sławę.

Jezu Chryste, pomyślała.

Wreszcie mogła wyrzucić to wszystko z głowy. Koszmarne wspomnienie odpłynęło, podobnie jak poprzednie fantazje. Siedząc w samochodzie, czuła się wyczerpana, lepka od potu i miała mdłości. *To tyle, jeśli chodzi o idylliczną wizję plaży...* Podniosła szyby, włączyła klimatyzację i odjechała.

Przynajmniej szybko się od tego uwolniła. Chłodniejsze powietrze sprawiło, że poczuła się lepiej. Objechała stacje benzynowe na pierwszej części wyspy i wkrótce znalazła się na drodze biegnącej wzdłuż innej plaży. Kiedy spojrzała w lewo...

Czy to są domki na plaży? Wyraźnie dostrzegała je po drugiej stronie wyspy. Było to zaledwie kilkaset metrów dalej. W niektórych z nich widać było zapalone światła.

Zastanowiła się nad tym chwilę, po czym doszła do wniosku: *Co mi szkodzi?* Miała już za sobą godzinny obchód, i uznała, że nie naruszałaby czyjejs prywatności. Chciała po prostu zobaczyć, jak wygląda jej domek z tej odległości.

Wyjęła ze schowka lornetkę...

To jest dopiero widok. Była zaskoczona właściwościami lornetki, a jeszcze bardziej zaskoczona, gdy przybliżyła obraz. Fale na wodzie wyglądały na oddalone o zaledwie kilka metrów, a gdy lekko podniosła lornetkę, zobaczyła swój własny domek w najdrobniejszych szczegółach. Zostawiła odsłonięte długie zasłony za przesuwanyymi szklanymi drzwiami i zapaloną kuchenną lampkę, ale było to wystarczające oświetlenie, by zobaczyć wszystko w środku. *Lepiej zasłaniać na noc*, pomyślała. Jeśli ona mogła tak dobrze widzieć to miejsce, to każdy inny też mógł, a zwłaszcza Adam Corey, którego Joyce już podejrzewała o bycie podglądaczem.

Jakiś ruch przykuł jej uwagę w domku pani Grable. Był to jedyny domek, który nie został zbudowany na palach. Kolejny ruch w oknie.

W porządku, wiem, że nie powinnam tego robić, ale muszę się przyjrzeć temu jej mężowi.

W jednym z okien zobaczyła całkiem nagą panią Grable. Mimo wieku tej kobiety łatwo było zauważyć, że przez lata ciężko pracowała, by utrzymać formę; nago wyglądała nawet lepiej niż w prostej sukience, w której Clare widziała ją, gdy się poznały. *Dobry Boże, ona ma ciało jak plazowiczka z South Beach.* Obfite piersi z ciemnymi, wydatnymi otoczkami nie obwisły w najmniejszym stopniu, a na pośladkach i udach nie było śladu cellulitu. Niestety, nawet z tak dużej odległości Clare mogła dostrzec okropny ślad po ugryzieniu, owalny pierścień wokół sutka, przypominający znak firmowy. Zauważyła kilka podobnych śladów na plecach. Jednak bez tych brutalnych znaków figura klepsydry i kobiece rysy pani Grable wzbudziłyby zazdrość większości dwudziestolatek. *I niektórych dwudziestoośmiolatek też*, przyznała Clare. Kobieta wyglądała seksownie i ponętnie. Ale gdzie jest ten cholerny mąż?

Ostre pole lornetki Clare powędrowało do następnego pola światła, do okna w salonie. Światło było tu jednak przyćmione i mogła dostrzec włączony telewizor. *Jest tam jakiś mężczyzna*, stwierdziła Clare, *i jest on taki sam jak wszyscy mężczyźni – zawzięta seksistowska świnią.* W telewizorze ustawiony był kanał podróżniczy. Na ekranie wysportowane blondynki w bikini pływały na egzotycznej, odległej plaży.

Potem zobaczyła męża.

Z tej pozycji mogła zobaczyć tylko jego głowę. Przystojny mężczyzna o długich ciemnych włosach z niewielką ilością siwizny i łagodnymi rysami twarzy. *Właśnie wtedy, gdy zaczynałam wierzyć, że tak naprawdę nie ma męża, oto on, pomyślała Clare. I Joyce miała rację, on jest normalny, nawet przystojny.*

Widziała, jak ciepło się uśmiecha, gdy jego żona wchodzi do pokoju. Czy Clare rozszerzyły się nieco za lornetką.

Pani Grable uśmiechała się teraz, a w uśmiechu tym było coś wyraźnie lubieżnego, gorąca, brudna pasja. Stała przed telewizorem, zasłaniając ekran.

I zaczęła tańczyć. Powolny, płynny taniec erotyczny, jak u tancerki w klubie ze striptizem.

Rękami objęła szczupłą talię, potem zaczęła przesuwając w górę, by pieścić piersi. Palcami muskała sutek, a drugą ręką gładziła swoje łono.

W porządku, robi to dla swojego męża. Nie ma w tym nic złego – dopóki nie zacznie jej bić...

To wcale nie wyglądało na dysfunkcyjne małżeństwo. Wyglądali na mocno zakochanych w sobie ludzi.

Ale czy ten mężczyzna naprawdę był przemocowcem?

Nie wiem, pomyślała Clare. On po prostu nie wygląda na takiego. Chryste, może pani Grable jest po prostu niezdarą, może naprawdę spadła ze schodów i poślizgnęła się na mydle. Może te ślady po ugryzieniach to wysypka?

Clare wiedziała, że już wystarczająco naruszyła ich prywatność. W momencie, gdy pani Grable powoli rozchyłała nagie biodra i krocze, Clare odwróciła lornetkę od okna, zostawiając im pole do popisu.

Ale gdy to zrobiła, pole widzenia padło natychmiast na inne okno, równie słabo oświetlone, tyle że tym razem nie było to światło z telewizora, ale z kilku świec.

I było to okno w domku Joyce.

Znowu to samo. Małe, tajne, moralne wykroczenie przeciw moim pracownikom. Kim ja jestem, by mówić o moralnych nadużyciach? To ja zaglądam do okien.

Clare wiedziała, że to było złe, ale patrzyła przez kilka minut, zafascynowana fizyczną sprawnością swoich strażników. Joyce i Rick byli oczywiście nadzy i używali łóżka Joyce jako seksualnej sali gimnastycznej, aktywnie badając każdą możliwą pozycję. Piękna twarz Joyce wydawała się pełna błogości, Joyce miała nabrzmiałe sutki, a śliskie od potu piersi falowały. Muskularne ramiona i klatka piersiowa Ricka napięły się do ostrych jak brzytwa konturów, gdy obracał swoją kochankę w każdy możliwy sposób. *Jezu Chryste, wszyscy się dziś pieprzą!* pomyślała Clare. To była prawie zazdrosna skarga. *To jest dopiero szczęśliwa wyspa...*

Opuściła lornetkę, zastanowiła się chwilę, po czym odłożyła ją na miejsce. *Już wystarczająco się napatrzyłam. Joyce naprawdę musi zamykać swoje żaluzje.* Wiedziała, że romanse w pracy zawsze niosą ze sobą duży potencjał kłopotów, ale za bardzo lubiła Ricka i Joyce, żeby to zgłosić. Poza tym byli dobrymi strażnikami, a Clare miała też nadzieję, że wszyscy oni będą przyjaciółmi.

Nie mogła zaprzeczyć, że podkochiwała się w Dellinie, ale on był zbyt zdystansowany, zbyt pochłonięty swoją pracą, by traktować Clare jak kogoś więcej niż pracownika. Nic poza solidną relacją zawodową nie wchodziło w rachubę i Clare czuła się absurdalnie, że w ogóle rozważa romans. Prawdę mówiąc, od dawna nie miała żadnych prawdziwych przyjaciół – przez większość studiów i całą służbę w Siłach Powietrznych. Do tego stopnia, że teraz brak życia towarzyskiego wydawał jej się czymś normalnym. Na studiach najwyższym priorytetem były dla niej stopnie, a w Siłach Powietrznych – wyniki w pracy. Teraz, tyle lat później, zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, co straciła.

Cóż, poradzę sobie z tym. To dopiero mój pierwszy dzień! Musiałaby tylko znaleźć jakiś okreśny sposób, by zasugerować Rickowi i Joyce, by byli bardziej dyskretni. I żeby zamykali swoje cholerne żaluzje, kiedy uprawiają seks!

Postanowiła wrócić do pracy. Odpaliła silnik i wyruszyła w drogę. Sprawdzenie drzwi w klinice było dobrym pomysłem, nie zaszkodzi też sprawdzić dwukrotnie głównej bramy. Samochód zniknęła w wąskiej drodze.

W pewnym sensie szkoda, że nie została tu jeszcze kilka minut – z lornetką – bo gdyby tak się stało, zobaczyłaby ciemną postać czającą się przy domkach i zaglądnącą do okien.

Dłoń, prawie czule, potarła wzdęty brzuch. Jej pępek już teraz wyskoczył na zewnątrz, wystający mały węzeł mięsa.

Maszyny szumiały. Coś brzęczało szybko razem z jej sercem.

– Przyj teraz. Przyj.

Kobieta na stole nr 2 nazywała się Donna Kramer. Była dość młoda, a w ciąży można by ją nawet nazwać atrakcyjną. Przedporodowa laktacja wypełniła jej piersi. Miała nogi szeroko rozstawione w stalowych strzemionach.

Nie mogła krzyczeć; została zakneblowana urządzeniem do oddychania, zwykłą płytką gumy, w której umieszczono otwór wentylacyjny.

Nie mogła też wiele czuć i ledwo mogła myśleć, ponieważ, podobnie jak Grace Fletcher – kobieta ze stołu nr 1 – została poddana radioaktywnej lobotomii. Technicznie jej stan można by nazwać PVS – utrzymującym się stanem wegetatywnym. Mniej niż technicznie, można by powiedzieć, że jej mózg został zmasakrowany do tego stopnia, że tak naprawdę już nie działał.

– Dwadzieścia osiem dni. To niesamowite – odezwał się głos tuż nad nią.

W pokoju stały dwie postacie, dwóch mężczyzn, ale to wszystko, o czym mogła się dowiedzieć ze względu na ograniczone funkcje umysłowe. Nie wiedziała nawet, że za chwilę będzie rodzić, a przynajmniej nie do końca była tego świadoma. To pojęcie przestało dla niej istnieć.

– Przyj, przyj. Nie martw się. Będiesz wspaniałą matką, matką cudów....

To nie bolało. Po zastrzykach w kręgosłup i lobotomizacji przedczołowych ośrodków bólu czuła tylko wielki nacisk. Może to instykt, a może pamięć fantomowa pozwoliła jej zacisnąć mięśnie brzucha, gdy tylko mężczyzna powiedział „przyj”.

Pchała i pchała.

– Widzę główkę! Przyj!

Parła coraz mocniej.

– Tak, tak!

Nacisk ustał. Głowę oparła na stole, a pulchne, wypełnione mlekiem piersi poruszyły się. Choć nie mogła zrozumieć, co widzi, jej zmysł wzroku wciąż to rejestrował.

Widziała, jak jej lśniący brzuch zapada się tak szybko, jak flak w piłce do koszykówki.

Cokolwiek było w środku, teraz było na zewnątrz.

Jakaś aktywność synaptyczna spowodowała kolejne fantomowe przeblęski myśli: Czy miała teraz coś usłyszeć? Płacz dziecka?

Nic nie usłyszała.

– Cholera. Nie przyjęło się.

– Szkoda.

– Nie stój z tym tak po prostu. Zabierz to. Robi mi się niedobrze, gdy na to patrzę.

– Przepraszam.

Donna Kramer widziała tę małą rzecz, którą z niej wyjęli. W jasnym świetle jakiś mężczyzna trzymał ją w górze jak worek cebuli. Różowa pępowina zwisała przypominając pętlę jelita.

Głowa Donny obróciła się teraz mimowolnie. Jej oczy spotkały się z czymś wzrokiem. Była to Grace, kobieta ze stołu nr 1. Jej oczy były martwe, ale w jakiś sposób wciąż żywe.

Długie westchnięcie.

– Posprzątaj to teraz.

- Co z...

- Nią? Zostaw ją na razie. Będziemy kontynuować karmienie dożylnie. I oczyścimy ją. Nie wiem jeszcze, co z nią zrobimy.

- Czy mogę ...

- Po prostu zrób to, co mówię. Dam ci znać, gdy podejmę decyzję. Cholera. Wciąż dostajemy te teratologiczne syndromy. Nie rozumiem tego; zrobiliśmy pełne obrazowanie.

W sali zapadła cisza.

- Spróbujmy jeszcze raz, chyba... – powiedział ten sam głos.

Donna nie potrafiła rozszyfrować żadnego z tych głosów, więc nie miało znaczenia, co się dzieje.

Powiedział, że będzie matką cudów.

Nawet Donna, która była bliska śmierci klinicznej, wiedziała, że to nie był żaden cud, który z niej wyszedł.

To było monstrum.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

(1)

– To całkiem niezły pierwszy dzień – powiedział Dellin. Znad kubka z kawą unosiła się para. Clare siedziała naprzeciwko niego w stołówce kliniki, gdzie uprzejmie kupił jej śniadanie, płacąc niebotyczną sumę 4 dolarów za dwa talerze z bekonem, jajkami i bułkami maślanymi wielkości piłek do baseballu. Clare opowiedziała mu o swojej zmianie.

– Porzucona łódź, która wydaje się być celowo ukryta i histeryczna, naga dziewczyna w ostrym wstrząsie refrakcyjnym – powiedział. – W ciągu jednego dnia mieliście więcej akcji niż my zazwyczaj mamy w ciągu sześciu miesięcy.

– No to mam nadzieję, że to będzie dotyczyło następnych sześciu miesięcy – próbowała zażartować Clare. Ale nic z tego nie było żartem; kobieta z ostatniej nocy równie dobrze mogła umrzeć.

Aby być dokładną, wysłała faksem raport o Kari Ann Wells do lokalnej policji i otrzymała numer sprawy na wypadek, gdyby chciała uzyskać jakieś dalsze informacje. Łódź schowała po prostu w szopie na terenie posesji. Jeśli chodzi o dziewczynę, Dellin nie był aż tak zaskoczony, przytaczając wiele z tego, co Adam mówił o miejscowych ćpunach.

– W południe kończę zmianę – mówiła dalej Clare, starając się jedynie skubać swoje śniadanie. *Było tak pyszne, że najchętniej zjadłaby je całe na raz. Nie rób z siebie świni przed Dellinem! pomyślała.*

– Jeśli się nie sprzeciwisz, będziemy w tym miejscu od południa do czwartej. Ponieważ jest piątek, chcę podwoić strażę od czwartej do północy, na wypadek, gdyby jeszcze któryś z miejscowych chciał się powłóczyć.

– Dobrze, dobrze. Co tylko zarządysz. Twój osąd jest częścią tego, za co ci płacimy.

– Wiesz, kiedy pojawi się dyrektor kliniki? Bardzo chciałbym się z nim dzisiaj spotkać.

– Harry? A, tak. Będzie na pewno w poniedziałek. Dzisiaj robi obchód z onkologami w Tampa General. Tak naprawdę potrzebujemy więcej pacjentów, bo pierwsza seria jest już wyleczona.

– To wspaniale.

– Na pewno. Tak naprawdę mam dziś tylko dwie wizyty pooperacyjne, a potem luz. Myślę, że dziś wybiorę się na plażę, o ile wskaźnik UV nie będzie zbyt wysoki.

– Tak, domyślam się, że specjaliści od raka nie są zbyt chętni do wylegiwania się na słońcu – uśmiechnęła się.

– Tylko tyle, by nabrać trochę koloru, to wszystko. Przyłączysz się do mnie?

Cholera! Prosi mnie, żebym poszła z nim na plażę? Czy powinnam...

– Och, przepraszam. Głupia sugestia z mojej strony – powiedział, zanim zdążyła odpowiedzieć. – Właśnie skończyłaś dwunastogodzinną zmianę. To jasne, że masz zamiar iść prosto do domu i położyć się spać. Zwłaszcza po tym całym zamieszaniu ostatniej nocy, musisz być wyczerpana.

Cholera... Jedyną właściwą odpowiedzią było zgodzenie się.

– Tak, jestem dość zmęczona. Ale dzięki za zaproszenie.

– W takim razie innym razem. To znaczy, jeśli masz na to ochotę.

Zaufaj mi, mam na to ochotę, pomyślała.

– Byłoby wspaniale. – Z trudem podtrzymywała rozmowę, by się nie pogubić. – Wydaje mi się, że Joyce mówiła mi, że masz gdzieś mieszkanie, ale zatrzymujesz się też od czasu do czasu w jednym z domków?

– Mam mieszkanie w centrum miasta, tam zatrzymuję się przez większość czasu. Ale czasami w weekendy zatrzymuję się w moim domku na samym końcu.

To tylko sprawiło, że bardziej się nad tym zastanawiała. Ma domek w centrum miasta. Czy ma do żony? Dzieci? Być może nie, nie jeśli zaprosił ją tylko na plażę. Jest w poważnym związku, czy jest okazjonalnym randkowiczem? *Jezu, Joyce ma prawdopodobnie rację. Przy moim szczęściu jest gejem.*

– Aha, i wczoraj wieczorem podpisałam się na dostawie – powiedziała. – Z Hodder-Tech.

Dellin tylko przytaknął, rozsmarowując syrop widelcem po naleśnikach.

– Zespół magna-ferrycznego elementu węglowego.

Dellin przytaknął.

– Rick mówił, że to do sterylizacji czy coś w tym stylu.

– Dokładnie – przytaknął.

– Czy to by tłumaczyło parę wodną wydobywającą się z dachu nad skrzydłem B?

– Tak.

Jezu, pomóż mi. Właśnie wtedy, gdy zaczynała myśleć, że Dellin wyraźnie nie chce o tym rozmawiać, on dokończył swój posiłek, przełykając.

– Nazywa się to przemysłowym eksykatorem suchego ciepła – nieco bardziej skomplikowane niż sterylizacja. System jest o wiele droższy, ale dzięki niemu EPA nas nie nęka. Większość placówek medycznych pozbywa się swoich odpadów za pomocą spalarni na miejscu. Ale w dzisiejszych czasach? Spalanie tego typu rzeczy wytwarza dużo dymu i sadzy. Kominy na terenie federalnego rezerwatu siedlisk są zabronione.

– Aha – powiedziała Clare nadal nie do końca rozumiejąc. *Nic wielkiego.* Ale czuła się teraz zaniepokojona. On kończył śniadanie, a ona nie miała nic więcej do przekazania. Rozpaczliwie pragnęła czegoś więcej, o czym mogłaby porozmawiać... bo nie chciała, żeby odszedł. Ale przez to czuła się zupełnie nieprofesjonalnie, jak mała dziewczynka w szkole, która podkochuje się w nauczycielu.

Dellin spojrzął na zegarek, po czym odsunął swój talerz.

– Cóż, czas na mnie.

No tak, pomyślała Clare.

– Pa...

Tak, zdecydowanie mnie kręci. Trzymając rękę na podbródku, patrzyła, jak wychodzi ze stołówki i wraca do swojego biura.

Gdy stołówka prawie się opróżniła, dokończyła swój posiłek. Wiedziała, że to ta nagła melancholia skłoniła ją do zjedzenia wszystkiego. Później pokręciła się po klinice, rejestrując numery identyfikatorów na parkingu i skończyła swój raport operacyjny. *Po prostu dokładam sobie zajęć.* Potrzebowała porządnie się wyspać, by zmęczenie. Jeszcze dziesięć minut i już mnie tu nie ma, pomyślała, patrząc na zegar ścienny.

Ocknęła się, gdy nagle faks zaczął głośno pracować. Hmm... Arkusz zwiślał z rolki niczym język. WERYFIKACJA DOSTAWY HODDER-TECH.

„NASZE CIEPŁO JEST NIE DO POBICIA!”

– Chyba sobie ze mnie żartujesz... – przeczytała cały faks, który informował ją, by spodziewała się dostawy w poniedziałek po południu.

JEDEN (1) ZESPÓŁ ELEMENTÓW WĘGLOWYCH MAGNA-FERRIC ZAWIERAJĄCY JEDNĄ (1) WIĄZKĄ PRZEWODZĄCĄ I CZTERY (4) ELEMENTY WĘGLOWE MAGNA-FERRIC.

Dostaliśmy to wczoraj wieczorem, pomyślała. Zdezorientowana, przypięła wydruk do tablicy korkowej jako przypomnienie. Jestem tylko ochroniarzem. Nikt mi nic nie mówi. Dellin właśnie wyjaśnił, do czego służy ten zespół – do eksykatora do usuwania odpadów. Wydaje się trochę dziwnym, że tak szybko będziemy potrzebować kolejnej dostawy, pomyślała. Wiedziała, że Dellin jest teraz w swoim biurze; mogłaby pójść i zapytać go o to. *Lepiej z tym zaczekam; zapytam go o to w poniedziałek. Przed chwilą zjadłam z nim śniadanie, tylko bym go męczyła.*

Dziewięć minut później miała już zamknąć gabinet i wyjść, gdy zadzwonił telefon.

– Ochrona kliniki, słucham.

– Cześć, Clare, to ja – odpowiedział głos w słuchawce.

–Ja, czyli kto? – zapytała z uśmiechem.

– Adam, wiesz, ten wielki zły nieczuły strażnik parku.

– Czego chcesz, Adamie? – Tylko nie znowu ten dupek... – Jestem już po zmianie.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, kochanie...

– Nie... nazywaj mnie tak.

– Może zechcesz przyjechać nad jezioro Stephanie i to sprawdzić, bo jest tu coś, co jest w stu procentach popieprzone.

(II)

– Co... co to jest? – wykrztusiła.

– Dla mnie to wygląda jak żaba wielkości torby z pieprzonymi zakupami.

Ocena Adama była przesadzona... ale tylko o trochę. Clare nigdy nie widziała tak dużej żaby ani tak dziwnie ubarwionej. Ciemna skóra z czarnymi kropkami. I miała ogon.

To coś było martwe. Z szerokich, rozchylonych szczęk wystawały wnętrzności.

– Przejechałeś ją? – spojrzała pytająco na Adama.

– Tak, niechący, oczywiście. Kiedy jechałem wzdłuż brzegu, myślałem, że to tylko kupa błota. Wtedy poczułem uderzenie i usłyszałem plasknięcie. Usłyszałem też inny dźwięk, prawie jak szczekanie.

– Szczekanie? Masz na myśli jak pies?

– Tak, w pewnym sensie. Coś w tym stylu: „Hhhau hau!”.

– To musi ważyć z dziesięć funtów. – Clare była zdumiona. Nigdy czegoś takiego nie widziała.

– Powiedziałbym, że z piętnaście.

– Cóż, nigdy nie słyszałam, żeby żaby osiągały takie rozmiary, ale ty jesteś facetem od przyrody, więc... Czy one istnieją?

– Tak, na pieprzonym Madagaskarze, wybacz moje słownictwo. I nawet te, które są tak duże... nie mają ogonów.

– Nie mają też kłów, prawda? – dodała z obrzydzeniem.

– Nie mają – powiedział Adam, stojąc ze skrzyżowanymi ramionami z jedną nogą uniesioną na starym ściętym drzewie. – Wszystkie żaby i ropuchy mają zęby, ale zazwyczaj tylko dwa z przodu i są malutkie. Ale takie kły? Nigdy o tym nie słyszałem.

Obrzeże szczęki stworzenia wyglądało jak dziwne ostrze piły, z zachodzącymi na siebie kłami z przodu. Klarze ścisnęło się w żołądku, gdy ujrzała je w całości i zdała sobie sprawę, że gdyby to zwierzę zdecydowało się ugryźć człowieka, mogłoby wyrządzić mu poważną krzywdę. Czoło wydawało się jednak bardzo nie-żabie, odchylone na zewnątrz nad oczami, jakby wyrastało w szpic, a stopy na końcach przedramion były wielkości dziecięcej dłoni.

– To albo jakiś bardzo rzadki gatunek, o którym nie wiem, albo mutacja – powiedział Adam.

– Mutacja? Chyba nie mówisz poważnie.

– Dlaczego nie? Zdarza się to cały czas. Dawno temu pracowałem w rezerwacie nad jeziorem Crotalus. Okazało się, że fabryka rozpuszczalników co noc zrzuciła swoje odpady do jeziora. To wszystko spieprzyło, wybach.

– Wiem, Adamie, wybaczam te przekleństwa – powiedziała żartobliwie. – Po co w ogóle to mówić, jeśli masz zamiar przeklinać? I chcesz mi powiedzieć, że przemysłowe wysypiska śmieci mogą powodować takie mutacje?

– Nie widzę powodu, by tak nie było. To, co wyrzucali w Crotalusie sprawiło, że salamandrom wyrosło sześć nóg. Wszystkie szczupaki i samogłowy nabawiły się rakotwórczych guzów, a guzy te miały kształt rybich głów. Czaple i mewy żywiły się robakami z brzegu i potem składały połączone jaja. Wylęgiem były robaki z dziobami. Z czegoś takiego mogą powstać wszelkiego rodzaju mutacje. To wcale nie jest rzadkość.

Clare nic o tym nie wiedziała. Szła w stronę linii lasu, rozglądając się dookoła.

– Ostrożnie – powiedział Adam. – Tam mogą być ruchome piaski. – Potem wydał z siebie najślabszy chichot.

Szkoda, że nie mam liny, bo z chęcią bym go powiesiła. Za drzewami nie zauważyła niczego niezwykłego, ale co spodziewała się zobaczyć? Kolejną wielką żabę skaczącą po okolicy? Następnie wróciła do brzegu, wpatrując się w niemal nieruchomą wodę. Żołądek ścisnął jej się ponownie, gdy wydawało jej się, że widzi wężopodobny kształt, długi na dziesięć stóp, ślizgający się pod powierzchnią wody. Nie, nie, pomyślała. To był tylko cień lub coś w tym rodzaju. Prąd w wodzie...

Adam wcisnął sobie kulkę tytoniu do żucia w policzek i zaczął pluć, co ją totalnie zniesmaczyło.

– Jesteś szefem ochrony. Jakie są twoje wnioski?

– Myślę, że ktoś wrzuca coś toksycznego do jeziora.

– Kto na przykład?

– Skąd mam wiedzieć? – pochyliła się, by jeszcze raz spojrzeć na ogromną żabę. *To było właśnie to, co musiałam zobaczyć po tym ogromnym śniadaniu. Zmutowana żaba z wnętrzościami zwisającymi z pyska.* Ten widok odwrócił jej uwagę; wzrok samego Adama gwałtownie oderwał się od niej, gdy wstała i odwróciła się. *Ten zboczeniec gapił się prosto na mój tyłek!*

– Fajne widoki?

– He? – wypluł do wody strużkę brązowej śliny. – Cóż, czy muszę zaznaczyć, że w okolicy nie ma żadnych fabryk rozpuszczalników? Ale co tu jest?

– Klinika, Adamie. Co chcesz przez to powiedzieć? Że klinika wyrzuca do jeziora toksyczne produkty uboczne? To niedorzeczne. Nie produkuje się tam żadnych toksycznych substancji. Leczą ambulatoryjnie starszych pacjentów.

Adam zapalił papierosa.

On żuje i pali, zauważyła Clare. *Łakomy kąsek. Założę się, że nigdy w życiu nie opuścił deski klozetowej.*

– Myślę tylko o skojarzeniach z przeszłości. Kiedy dzieje się coś podejrzanego, rozglądasz się dookoła i sprawdzasz, czy w najbliższym otoczeniu nie ma jakichś podejrzanych ludzi.

– Masz na myśli siebie, prawda?

– Mam na myśli raczej faceta, dla którego pracujesz. – Roześmiał się.

– Dyrektora kliniki? Harry’ego?

– Spójrzmy prawdzie w oczy. To całkiem oczywiste, że masz oko na Dellina Danielsa.

– To NIE jest oczywiste! – oburzyła się. – To niedorzeczne! – odparła mu, cały czas myśląc: *skąd on to wiedział!* – I nie ma w nim nic podejrzanego!

– Tak, cóż, może masz rację – Adam podszedł do samochodu.

– Co jest podejrzanego w Dellinie?

– Po prostu to wyrzućmy. – Powiedział wracając z torbą w rękę. – Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem. I tak jesteś tu prawdziwym autorytetem. Twoim zadaniem jest zrobienie dochodzenia, nieprawdaż?

On jest kompletnym idiotą! Clare zdecydowała, że nie będzie nawet brać pod uwagę jego tajemniczych oskarżeń i brnąć w to dalej.

– Co ty robisz?! – zapytała zirytowana.

– Wow, musisz mieć dziś chyba okres. – Otworzył torbę i pochylił się nad żabą. – Możesz mieć władzę na tym terenie, ale to wciąż jest rezerwat należący do rządu. Muszę to zanieść moim przełożonym. Pomożesz mi?

Miał na myśli żabę! Próbował wepchnąć tę obrzydliwą rzecz do torby.

– Eeee, nie – zapewniła go.

Ruszyła do swojego samochodu, zbyt zła, by powiedzieć cokolwiek więcej.

– No i proszę, tuptasz sobie zdenerwowana. Typowa kobieta. – Udało mu się teraz wrzucić martwą żabę do torby; wpadła do środka jak worek ziemniaków. – Ale kiedy już wyjdiesz z tego szoku... pomyśl o tym, co powiedziałem. Słyszysz mnie?

– Odejdź! Weź swoją żabę i wynoś się stąd!

– Uważaj na tyły przy tym facecie – odparł.

Clare zatrzasnęła drzwi i odjechała.

(III)

– Nie tracę chyba swojego dawnego animuszu z Sił Powietrznych? – pytała siebie w lustrze. Była absolutnie rozbita i tak rozwścieczona, że czuła, pulsujące skronie. Czy za to wszystko można winić Adama Coreya? Jeśli tak, to znaczy, że pozwoliła, by jej zawodowy profesjonalizm został znacznie nadszarpnięty. Seksizm w środowisku pracy – w szczególności – i ogólnie chamscy ludzie to aspekty życia, z którymi nauczyła się sobie radzić. Nigdy nie pozwoliła, by dotknęło ją to do tego stopnia. Nie miała w sobie nic takiego, by pozwolić, by jakiś incydent czy obrzydliwa osoba tak ją zdenerwowały.

Uspokój się, Clare. Jezu, to nic wielkiego. Na świecie jest wielu palantów, nie możesz pozwolić, by cię wkurzali.

Od razu wiedziała, że głupim było zastanawianie się nad źródłem swoich nerwów. To nie miało nic wspólnego z jej wczorajszą zmianą i nie miało nic wspólnego z ohydną

żabą. To nie był nawet kompletny brak opanowania Adama Coreya, gdy nieustannie rozbierał ją wzrokiem.

Dellin.

Tak właśnie było. Najpierw było stwierdzenie leśniczego, że Clare ma ochotę na Dellina. Ale nawet to nie było tym, co ją poruszyło. Adam zasugerował, że Dellin nie miał nieskazitelnej przeszłości; w kilku słowach leśniczy zasugerował, że w jego przeszłości może być nawet coś kryminalnego. Mocno się nad tym zastanowiła, a potem potrząsnęła głową. *Weź pod uwagę źródło. On jest po prostu zazdrosny o Dellina, nie lubi go z jakiegoś powodu, więc wymyśla stek bzdur. Jasne, że mam ochotę na Dellina, ale ten dupiek Adam Corey na pewno ma ochotę na mnie.* Zdaniem Clare na wszystko jest czas i miejsce, a między byciem podziwianą przez mężczyzn, a byciem traktowaną jak obiekt seksualny jest ogromna różnica. Stuart Winster też często się na nią gapił, i końcu była przez niego molestowana i zgwałcona. *Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest kolejny zboczeniec gapiący się na mnie za moimi plecami.*

Adam Corey pożąda mnie? To dopiero zagadka... Stała naga przed lustrem... i nie podobało jej się to, co zobaczyła. Już dawno nie czuła w sobie niczego atrakcyjnego, a odbicie w lustrze wcale jej w tym nie pomagało. *Nigdy w życiu nie wyglądałam gorzej.* Miała widoczne żebra i wystające kości biodrowe. Ogromne śniadanie sprawiło, że brzuch wystawał, a piersi zmalały od ostatniego roku jedzenia zazwyczaj tylko jednego posiłku dziennie.

Uderzyła dłonią w toaletkę, po czym uśmiechnęła się do swojego odbicia.

Nie pozwoliła sobie na niepewność; nie zamierzała marudzić i użalać się nad sobą. *Tak, jestem chuda jak szprycha i miałam kiepski rok. Ale to wszystko się zmienia. Zamierzam przybrać na wadze i wrócić do formy. Będę się wyróżniać w mojej pracy i będę robiła postępy. I NIE pozwolę, by tacy kretyni jak Adam Corey mi przeszkadzali.*

Proste.

Ostatnia uwaga sprawiła, że poczuła się jeszcze lepiej: A poza tym Dellin zaprosił mnie, żebym poszła z nim na plażę, więc nie mogę wyglądać aż tak źle...

Pierwszą rzeczą, którą zrobiła po powrocie do swojego domku, był długi chłodny prysznic. Jako piżamę założyła prosty, bardzo duży T-shirt, który kupiła w sklepie; sięgał jej prawie do kolan, a z przodu widniał napis LIFE'S A BEACH. Już miała położyć się do łóżka, ale jej wzrok przykuła fotografia Grace Fletcher na lustrze, która przypominała jej, że... było więcej zdjęć.

Otworzyła ponownie drewniane pudełko na drobiazgi i wyjęła pozostałe zdjęcia.

Kilka fotografii Grace Fletcher, kilka z domku, plaży, jeziora – typowe zdjęcia, które każdy mógłby zrobić.

Ostatnie zdjęcie było zdjęciem grupowym.

– Nie wierzę w to – mruknęła Clare. – To nie jest...

Ze zdjęcia spoglądały na nią trzy osoby, wszystkie uśmiechnięte i wszystkie ubrane w uniformy ochrony. Jedna z nich to Grace Fletcher, druga to mężczyzna z ciemnym zarostem i wąsami, a trzecia to...

Donna Kramer, pomyślała Clare. Razem chodziły na szkolenie podstawowe i były przyjaciółkami. Teraz to dopiero zbieg okoliczności. Clare pamiętała Donnę Kramer jako bystrą i energiczną kobietę, świetną rekrutkę i wspaniałą osobę. Spędzały razem sporo czasu podczas szkolenia, korespondowały nawet trochę po tym, jak przeniosły się na swoje stałe miejsca służby. Po jakimś czasie jednak straciły ze sobą kontakt, czego

Clare teraz żałowała. Widząc to zdjęcie Donny, z radością przypomniała sobie dobre chwile, które przeżyła w Siłach Powietrznych.

Nigdy nie widziała mężczyzny na tym zdjęciu. Też były wojskowy. Fryzura mówiła wszystko. Clare nie mogła sobie przypomnieć, ale wydawało jej się, że pani Grable powiedziała, że miał na imię Rob albo Bob. Zamyśliła się, mrużąc oczy – teraz od razu przyszło jej na myśl coś innego.

Pani Grable powiedziała, że Grace Fletcher i inni strażnicy zostali zwolnieni za imprezowanie na służbie. Nocne imprezy w jacuzzi. Nadmierne picie. Rzymskie orgie, wywnioskowała kobieta. Clare nie mogła wiedzieć, ile w tym przesady, ale z pewnością nie pamiętała Donny Kramer w takim stanie.

Ale z drugiej strony, kto wie? Ludzie się zmieniają.

Poczula się senna; duże, miękkie łóżko i chłodne powietrze nie mogły być bardziej komfortowe. Proszę, żadnych koszmarów, żadnego snu o gwałcie dzisiaj, pomyślała błagalnie. Czasami miała ten sen kilka razy w tygodniu, okrutna sztuczka jej własnej psychiki. Dlaczego jakaś jej część miałaby zmuszać ją do ponownego przeżywania gwałtu w snach? Czula się jednak teraz tak dobrze, że była pewna, że tym razem to się nie powtórzy. Szybko zasnęła, z jednym ramieniem zarzuconym na głowę. Miała zwyczaj spania na brzuchu i jej przedramię zwiisało w szczelinie między krawędzią łóżka a ścianą. Tak, śpij, pomyślała. *To jest po prostu... takie... przyjemne...*

W momencie, gdy miała już całkowicie zasnąć, jej palce czegoś dotknęły.

Otworzyła oczy. Jej przedramię dyndało w szczelinie, a czubki jej palców wylądowały na czymś płaskim. *Cholera*. Pod łóżkiem znajdowało się jakieś pudełko i wiedziała, że jej ciekawość nie pozwoli jej zasnąć, dopóki nie dowie się, co to jest.

Zbyt często ciekawość okazywała się jej przekleństwem. Klęcząc, wysunęła spod łóżka to, czego dotknęła.

Pudełko po butach.

Ale nie było w nim butów.

Clare uśmiechnęła się, gdy podniosła wieczko. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła w pudełku, był wibrator wykonany z zielonej, przezroczystej gumy. *Grace Fletcher, ty niegrzeczna dziewczynko...* Urządzenie miało zawstydzające szczegóły, z jakimi odwzorowywało kontury penisa; jeśli w ogóle, to była to karykatura, zbyt duża, zbyt żyłasta, zbyt gruba. Clare prawie pisnęła, gdy go podniosła. Przezroczysta zielona jak kiwi guma, która otaczała obudowę baterii, była ciepła i galaretowato miękka. Wyglądało to bestialsko, jak obcy. Clare nie mogła sobie wyobrazić, że mogłaby tego używać, rozbawiło ją to.

Ale w pudełku po butach było też coś innego.

MAXELL, przeczytała. GX-SILVER 3-PACK

Kasety wideo.

Dwie kasety VHS były ułożone w oryginalnym opakowaniu. Clare wysunęła je, ale nie znalazła na nich nic napisów, żadnych dat, żadnych tytułów. Pudełko było jednak przeznaczone na trójpak, a po trzeciej kasecie nie było śladu. *Może jest jeszcze w magnetowidzie, pomyślała, ale... Jestem taka zmęczona. Czy naprawdę chcę teraz zawracać sobie tym głowę...?* Po czym ruszyła w stronę salonu i stojącego w rogu centrum rozrywki.

W magnetowidzie nie było w tej chwili żadnej taśmy.

Nadal mam dwie pierwsze, pomyślała. I chyba nadszedł czas na przedstawienie.

Włożyła pierwszą kasetę i wygodnie ułożyła się na długiej kanapie. Pewnie filmy z wakacji albo coś w tym stylu, pomyślała.

Ale myliła się. Bardzo się myliła.

(IV)

Miał ją teraz całą dla siebie, ale pewnie nie na długo, więc...

Zabawię się trochę, póki mogę.

Smakowała naprawdę słono, gdy lizał ją między piersiami; podobało mu się to.

– Nie ruszaj się – chwycił ją i polizał jej oczy. Wtedy zadrżała.

– Tylko liżę, przestań!

Nie wiedział dlaczego, po prostu lubił lizać ładne dziewczyny.

– Są gorsze rzeczy, które mógłbym robić, więc po prostu przestań. Bądź miła, a nie stanie ci się krzywda. A teraz... wystaw język.

Zacieśnił swój uścisk na twarzy, która poczerwieniała. Oczy miała zamknięte, a usta zaciśnięte.

Dzisiaj nie będzie języka.

Przejechał językiem po wargach, ale miała tak zaciśnięte usta, że nie było z tym żadnej zabawy, zaczął ssać ...

– Biada! Tik, tik, tik!

W samą porę cofnął twarz. W jednej chwili szarpnęła głową do przodu i próbowała go ugryźć, wystawiając zęby.

– Ja też potrafię gryźć. – Wściekał się.

Tym razem rzeczywiście krzyknęła. One nigdy nie krzyczały, nawet wtedy, gdy naprawdę je przerabiał. Maszyna z dyszami miała to powstrzymywać, robiła coś z ich mózgam, żeby nie mogły hałasować i zbyt szybko ruszać.

Ale maszyna z dyszami najwyraźniej nie zadziałała dobrze w tym przypadku. Krzyk ucichł.

– Oh, daj spokój. Nie ugryzłem cię tak mocno. – Zaśmiał się.

Tym razem ugryzł mocno, wysoko, po wewnętrznej stronie uda. Wrzasnęła, podrywając ciało do góry. Gdyby jej kostki i nadgarstki nie były skrupowane, byłaby w stanie go chwycić!

To nie była zabawa.

Domyślał się, że i tak nie powinien się z nią bawić; nikt nie powiedział mu, że ma już z nią skończyć. Czasami pozwalano mu bawić się z nimi po wszystkim, albo jeśli był jakiś problem. Większość z nich to były autostopowiczki, prostytutki-eksperymentatorki, a kiedy były już gotowe, mógł się z nimi bawić i je zabijać.

Chciałby móc zabić tę jedną.

Podszedł do krótkowłosej, która siedziała przy stole nr 1. Była starsza, ale bardziej mu się podobała. Wyglądała na taką, która byłaby dla niego miła, gdyby go poznała. Potarł jej piersi; były duże i dyndające, jak balony z wodą. Miała otwarte oczy, którymi mrugała, ale w ogóle się nie poruszyła, gdy jej dotykał.

– Jesteś ładna – powiedział. – Nawet z takim brzuchem.

Dotknął jej ciężowego brzucha. Kiedy łaskotał wystający pępek, nie zareagowała. Ani wtedy, gdy go lizał i ssał.

Tak, podobała mu się.

– Ja-ja-ja cię ugryzę, ale tylko trochę i nie tak mocno – powiedział jękając się, po czym ugryzł ją w bok, nad zębami, na początku niezbyt mocno, ale kilka sekund później już mocniej. Nic nie mógł na to poradzić. Lubił je gryźć.

Zadrżała trochę; mógł zobaczyć, jak jej kolana drżą w ortezach. Ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku, nawet nie odwróciła głowy na drugą stronę.

– To mi się podoba.

Potańczał palcem po śladzie. Był to wyraźny, fioletowy owal.

Wow, wygląda schludnie.

Chciał zrobić jeszcze jeden.

Odwrócił jej głowę i dostrzegł, że błądzi dziko oczami.

– Teraz ugryzę cię w twarz, ale tylko trochę i obiecuję, że to nie będzie straszne.

Pochylił się do przodu. Zamierzał ugryźć ją w policzek, tuż przy kości policzkowej, tuż pod okiem.

– Nie, nie – odezwał się inny głos. – Nie wolno ci jej dręczyć, nie tej. Środowisko prenatalne jest tak samo ważne jak formacyjne, jak każdy inny etap rozwoju.

– P-p-przepraszam.

Ktoś objął go ramieniem.

– Wszystko w porządku, nie musisz przepraszać. Użyj tej drugiej do swojej gry – tej, u której się to nie przyjęło.

Zaprowadzono go z powrotem do Stolika nr 2.

– Ona nie jest zabawna. Próbowала mnie ugryźć.

– Hmm.

– Robiła zbyt dużo hałasu i próbowała mnie złapać. Ale nie mogła, bo...

– Z powodu skrępowania, oczywiście. Przerwa. Potem podszedł do miejsca, gdzie były ekrany, włączył jeden i nacisnął niebieski przycisk.

– To całkowicie moja wina. Powinienem był zachować nieco więcej ostrożności podczas pierwszego zabiegu. – Na jednym z ekranów pojawiło się zdjęcie rentgenowskie głowy dziewczyny.

Fajnie!

Pokazywało żyły i inne rzeczy, a kiedy dziewczyna poruszała głowę, głowica rentgenowska też się poruszała.

Dwie z dysz były wyciągnięte i wycelowane w jej głowę.

– Te krótkofalowe lobotomie jądrowe nigdy nie były tak precyzyjne. Muszę jednak przyznać, że to silna dziewczyna. Ale jeśli nadal ma funkcje motoryczne... to jest to po prostu nie do przyjęcia. To przecież dla ich własnego dobra. – Wyregulował dysze, jednocześnie patrząc w przód i w tył na ekran.

– Równie dobrze mogę ją teraz wykorzystać do ćwiczeń. Podszlifować moją technikę. Tym razem coś trans-orbitalnego, tak. Napromieniujmy całą bruzdę motoryczną... i... no cóż, również podwzgorze. Dlaczego nie? To powinno ją uspokoić. – Podszedł i spojrzał na nią z góry. Nie był pewien.

– Cóż, jeśli nadal tak bardzo obawiasz się, że cię ugryzie... – W świetle błysnął skalpel z ostrzem w kształcie klina. Przez policzek, w miejscu, gdzie spotykają się górne i dolne tylne zęby trzonowe, ostrze zostało włożone, a następnie przesunięte w dół. Wydało to lekko przerażający dźwięk, jakby przecinało przegub surowej nogi kurczaka. Zaskakująco mało krwi wypłynęło. Następnie proces został powtórzony po drugiej stronie twarzy.

– Prosto przez boczne i przyśrodkowe grupy skrzydłowe. Teraz nie będzie już nikogo gryzła.

Jej usta były teraz po prostu otwarte. W środku język zdawał się skakać dookoła.

– Wow!

– Miłej zabawy! Nie będziemy jej już potrzebować, więc... kiedy skończysz.... – palcem wskazał duży, okrągły właz na ścianie i odszedł zamykając za sobą drzwi.

– O, wow! Dziękuję! – uśmiechnął się, wpatrując w dziewczynę. *Teraz mogę się bawić na całego!*

W rzeczy samej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

(1)

Jasna cholera! pomyślała Clare, gdy filmik się skończył.

W całym swoim życiu widziała tylko raz lub dwa razy seksualne filmiki, jeszcze na studiach, podczas weekendowych imprez. I nigdy nie obejrzała więcej niż kilka minut. Te wszystkie jęki i stękania, nadzy ludzie manipulujący sobą w absurdalnych pozycjach, każdy szczegół genitaliów w powiększeniu. Wydawało jej się to po prostu idiotyczne, w ogóle nie erotyczne.

Ale kasety, które znalazła pod łóżkiem?

One były zupełnie inne.

Nie były to typowe komercyjne propozycje z branży wideo dla dorosłych; takie jak „Backside to the Future” czy „The Bare Witch Project”. Te kasety nie miały w ogóle tytułów ani gwiazd „porno”.

Gwiazdami tych filmów byli Grace Fletcher, Donna Kramer i Rob Thomas, poprzedni pracownicy ochrony kliniki.

Nagle okazało się, że analogia pani Grable o „rzymskiej orgii” okazała się aż nazbyt trafna. Clare była absolutnie zszokowana tym, co zobaczyła. Trójkąt na maksa i każdy możliwy do wyobrażenia akt seksualny. Pośród śmiechów, chichotów i ostrego światła, na zmianę nagrywali się nawzajem podczas tej zabawy. Jaccuzi, kanapa, podłoga w salonie – wszystko to stanowiło sceny dla lubieżnych działań. W większości scen, wybryki wydawały się desperackie; w kilku sytuacjach, gdy szli na całość, wciąż mieli na sobie buty. W jednym z ujęć Grace i Donna maniakalnie całowały się na podłodze, tak pochłonięte sobą, że zapomniały zamknąć drzwi wejściowe. W innej scenie Rob i Grace uprawiali seks na kanapie z takim zapałem, że kanapa przewróciła się.

To jest obrzydliwe! Zachowują się jak psy w rui!

Najbardziej dobitne były jednak sceny, w których cała trójka uczestniczyła jednocześnie; Rob ustawiał kamerę na stabilnej pozycji i przyłączał się do akcji. Leżał na plecach, śmiejąc się.

– Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie – powiedział, podczas gdy Grace i Donna brały jego członka do ust na zmianę. Obie taśmy były kalejdoskopem ziemskich seksualnych uniesień: biodra i piersi podskakiwały, głowy kręciły się tam i z powrotem. Pośladki były obmacywane, nogi rozchylane, sutki skubane, szczypane i ssane. To było cielesne pandemonium. W wielu scenach Rob szczytował jako pierwszy, ale dla Grace i Donny nie stanowiło to problemu. Dochodziły za pomocą półprzezroczystego zielonego wibratora.

– Tego już za wiele – mruknęła na głos Clare. Nie potrafiła sobie wyobrazić ludzi, którzy tak bardzo wymykają się spod kontroli, a szczególnie zaskoczyło ją zachowanie Donny Kramer. Clare pamiętała Donnę jako osobę dość stateczną, nawet konserwatywną, ale ostatnie nagranie wideo pokazywało jej przeciwieństwo: rozłożoną nago na podłodze – tej podłodze – z nogami owiniętymi wokół głowy mężczyzny i kobietą używającą jej twarzy jako miejsca do siedzenia.

To tyle, jeśli chodzi o prostolinijsność.

Banda zboczeńców... a miejsce, w którym mieszkam, było kiedyś ich miłą chatką. Oczywiście sfilmowali swoje wyczyny jako erotyczne kuriozum, tak jak to czasem robia

normalne pary – coś podniecającego do oglądania w przyszłości, namiętną pozostałość po ich trójstronnym romansie. Clare zastanawiała się, jak zareagowałaby, gdyby jeszcze kiedyś spotkała Donnę Kramer lub Grace Fletcher. Ta perspektywa gdy o tym pomyślała, nie była nawet tak odległa. Będą mieli problem, gdy zorientują się, że zostawili tu te taśmy. Ktoś z nich mógł po nie wrócić, to miało sens. Kto zostawiłby takie kasety?

Teraz, gdy zobaczyła kasety, jej ciekawość została zaspokojona. Wciąż jednak pozostawało jedno pytanie: gdzie jest trzecia taśma? Zestaw zawierał trójkę, ale były tylko dwie. Czy trzecia taśma znajdowała się w domku?

– Kogo to obchodzi! – krzyknęła do siebie. *Zapomnij o tym! To nie jest ważne!* Włożyła kasety z powrotem do pudełka po butach, już miała zanieść to wszystko z powrotem do sypialni, ale zamiast tego osunęła się bezwładnie na kanapę. Zmęczenie dopadło ją; nagle sen pociągnął ją w dół, dokładnie tam, na kanapie. Przynajmniej zawlecz swój tyłek z powrotem do łóżka, pomyślała, ale nie, tak się nie stało. Długa, miękka kanapa była zbyt wygodna. W normalnych okolicznościach mogłoby jej to przeszkadzać – czy chciała spać na czymś, na czym jeszcze niedawno ludzie uprawiali seks grupowy? Była zbyt zmęczona, by się tym przejmować... Delikatny szum klimatyzacji ukołysał ją do snu w ciągu kilku chwil.

Dzięki Bogu, nie śniła o swoim gwałcie. Zamiast tego śniła o nagraniach wideo, o Grace, Donnie i Robie, o powtórce tego, co właśnie obejrzała, tyle że w wersji senniej było cicho. Żadnych lubieżnych chichotów, żadnych fal jęków czy kulminacyjnych krzyków. Tylko cisza i ruch, cała ta lśniąca od potu skóra, rozłożone lędźwie, penetrujące języki. To była orgia na nowo. Czy oni przychodzili tu i robili to każdej nocy? Ta trójka wydawała się uzależniona od siebie.

Jak to było?

Grace kłęzała na kolanach, podczas gdy Rob brał ją mocno i pewnie od tyłu. Donna leżała pod nimi, odwrócona, z palcami wbijającymi się w dywan. Jej lśniące uda opierały się o głowę Grace, która spoczywała między jej nogami. Gdy Donna osiągnęła orgazm, zwiotczała na podłodze, drżąc, a chwilę później, w następstwie tego, głowa Grace odchyliła się na bok. Spojrzała prosto w kamerę i uśmiechnęła się.

I to już nie była Grace. To była Clare.

W jednej chwili twarze przestały mieć znaczenie – liczyły się tylko ciała, nagie, napięte, ciała przepięknie żądzą, które wołały o więcej. Clare była teraz jednym z tych ciał, nagim i rozpalonym jak cała reszta. Pośladki Clare były rozchylone, piersi ściśnięte, a język ślizgał się po łechtaczce i penisie. Dochodziła wielokrotnie, z wielu różnych powodów. Czuła się przesywana narastającą falą rozkoszy. Gdy brzęcząca końcówka wibratora masowała jej łechtaczkę, równie dobrze można by powiedzieć, że przycisk został wciśnięty, a ona znowu zaczęła, ciąg szczytowań rozpadł się jak ściana, pod ciężkim, przeciwstawnym ciężarem. Orgazm był diabelski. Tak mocny, że wydawał się wręcz nieludzki. Lędźwie eksplodowały, nerwy zdawały się pulsować jak tętnice, a krew pompować intensywną, lubieżną przyjemność.

Przewróciła się i upadła na plecy; przez chwilę była zbyt wyczerpana, by się poruszyć. Czuła, jak mruczy gdzieś z głębi i jedyne, o czym myślała to *więcej, chcę więcej...* Jej towarzyszki doszły, tak samo rządne rozkoszy. Teraz, gdy Clare już doszła, przyszedł czas na...

A to był dopiero początek, początek snu, który miał trwać godzinami...

– Mmmm, westchnęła Joyce.

– Mi też się podobało – zgodził się Rick.

Teraz, całkowicie wyczerpani, leżeli wtuleni w służbowym samochodzie, oboje obnażeni od pasa w dół, z rozpiętymi koszulami i butami rozrzuconymi z tyłu. Właśnie kochali się zaciekle i to była ta część „po”: bzyczenie owadów i piekielny upał. Było już godzinę po zachodzie słońca, ale ciepło i wilgoć zdawały się wpływać do środka jak rosół... razem z komarami. Zaparkowali na jednej ze starych dróg, które były zamknięte od lat czterdziestych; Joyce nie chciała ryzykować, że zostanie zauważona przez Clare.

Nie może się dowiedzieć o mnie i Ricku.

Utrzymanie tego w ukryciu stawało się ostatnio coraz trudniejsze.

Ostatnio ich namiętność do siebie wydawała się szalenie intensywna. Nie było godziny, by Joyce nie myślała o nim, nie pragnęła go.

Musimy być po prostu ostrożni. NAPRAWDĘ ostrożni.

Kochała tę pracę i potrzebowała jej, a przy obecnym rynku pracy potrzebowała jej o wiele bardziej niż tych wszystkich wygłupów z Rickiem. Ale Siły Powietrzne nie przygotowały jej na wiele w cywilnym świecie. Praca w policji odpadała; w dzisiejszych czasach większość dobrych wydziałów praktycznie wymagała magistra kryminologii, by dostać się do akademii. Ta praca w ochronie była błogosławieństwem.

Nie schrzani tego!

Po prostu nie mogła rozgryźć tego szaleństwa uczuć do Ricka. Czy go kochała? Zdecydowanie nie sądzę, odpowiedziała sobie. Odkąd pamiętała, była chłopczycą; chciała odkrywać swój świat i swoje życie sama ze sobą, a nie z kimś innym. Innymi słowy, nie była typem dziewczyny, która lubi się kochać i ta chłopięca wrażliwość przeważała, a ona właśnie tego chciała. W przyszłości, jasne. *Może będę mieszkać z chłopakiem, może wyjdę za mąż, może będę chciała się zaangażować w ten sposób.* Potrząsnęła głową. *Ale nie do czasu, gdy stuknie mi trzydzieści pięć lat.*

Jej związek z Rickiem był czysto fizyczny, przeszkadzało jej tylko to, że czasami go pożądała. On jest po prostu taki... CUDOWNY! A co do bycia niepoprawną chłopczycą: *Myślę, że jestem chłopczycą, która jest także maniaczką seksualną.* Joyce wiedziała, na czym stoi, ale czy on wiedział? *Boże, mam nadzieję, że tak. Nigdy nie chciałabym go skrzywdzić...*

Oboje leżeli na tylnej kanapie, Rick obejmował ją ramieniem. Joyce opierała głowę o jego umięśniony tors.

– Nigdy wcześniej się tak nie czułem – wyszeptał, zaciskając jej dłoń.

O, nie, pomyślała.

– I... – zacisnął mocniej dłoń.

Nie...

– Jestem całkiem pewien, że ... – kontynuował, gładząc jej włosy.

Nie mów tego! Joyce zacisnęła zęby

– Do diabła z tym – przerwał. – Po prostu to powiem. Joyce, kocham...

– Rick, proszę! Nie jestem gotowa na to wszystko! Proszę, nie mów tego!

Rick wychylił się gwałtownie, zapalił papierosa.

– O co się tak denerwujesz? Chciałem tylko powiedzieć, że kocham mieszkać tu, na Florydzie. A ty nie? – zaczął się śmiać.

– Właśnie dlatego cię lubię, Rick. – powiedziała, uderzając go w klatkę piersiową – Jesteś dupkiem i nie przeszkadza ci to w częstym udowadnianiu tego faktu.

– Dokładnie tak!

Joyce zaśmiała się. *Tak, nie mam się o co martwić.* On zna stawkę i jest taki, jak wszyscy mężczyźni. Wszystko, czego chce, to seks.

– Chyba możemy leżeć tu całą noc i szeptać słodkie słówka – zauważył Rick. – Albo możemy założyć z powrotem nasze ubrania i wrócić do pracy. Clare niedługo nas zwolni. A wczoraj wieczorem przyszła na służbę wcześniej. Przy naszym szczęściu zrobi to samo dziś wieczorem i nas zobaczy.

– Nie martw się. Przejeżdżałam obok jej domku, zanim cię odebrałam. Światła były zgaszone.

– Tak, ale to było dwie godziny temu – zauważył Rick.

– Co? Żartujesz! – usiadła pośpiesznie.

– Niestety nie.

To zdawało się niemożliwe. Wydawało się, że to tylko dziesięć minut. – To znaczy, że my już...

– Pieprzmy się od dwóch godzin – dokończył Rick.

– Cholera! Musimy się ubrać, wrócić na obchód. Znając ją, wyjdzie wcześniej. Mamy przejebane, jeśli zostaniemy przyłapani! – mówiąc to klęczała, odchylając się do tyłu. Kiedy Rick odwrócił głowę, mógł zobaczyć tylko jej piękną, nagą pupę.

– Och, kochanie, nie możesz mi tego teraz pokazywać. Jest cudownie...

– Ubieraj się! – krzyknęła.

– Hej, moje buty też są tam z tyłu. Możesz mi je podać?

Rzuciła buty na przednie siedzenie, omijając jego twarz o centymetr. Rick założył je, ale nie mógł oderwać wzroku od nagiego tyłka, który wciąż był rozchylony tuż przed jego oczami.

– Hej, Joyce? Mam nadzieję, że nie zabrzmie to zbyt romantycznie, ale twój tyłek mógłby wywołać zamieszki. – Nie mógł się powstrzymać; przejechał dłonią po nieskazitelnej krzywiznie ciała. – Do diabła, powinien wisieć w pieprzonej Narodowej Galerii Sztuki. – Potem przesunął swoją dłoń po wewnętrznej stronie uda...

– Nie! Nie mamy czasu!

Rick nie mógł w to uwierzyć. Był już znowu napalony.

– Ach, daj spokój. Tylko jeden szybki? To nie potrwa długo.

– Nie! I gdzie jest mój drugi... Cholera!

Joyce usadowiła się z powrotem na przednim siedzeniu, trzymając w ręku tylko jeden but.

– Gdzie jest twój drugi...

– Nie ma go tam z tyłu! Musiałam go przez przypadek wyrzucić przez okno. Bądź tak kochany i idź po niego.

– Co ja jestem, twój osobisty służący?

– Tak. – spojrzała mu prosto w twarz. Jej piękne nagie piersi też zdawały się patrzeć prosto na niego.

– Ach, no cóż. To ustaliliśmy ten fakt – odpowiedział Rick i wysiadł z samochodu, szukając buta, ale jedyne, o czym mógł myśleć to...

Joyce. Chryste. Tak piękna... Przed oczami miał je ciało na które padało światło księżycy. Jej zgrabny, goły tyłek, te wielkie, idealne piersi wzywające go pod rozpiętą bluzką. Nagle chciał jej więcej, potrzebował więcej.

Rick pochodził z Południowej Dakoty, krainy bydła o dość niskiej pozycji w hierarchii społecznej. Krowy były bardziej atrakcyjne niż większość tutejszych kobiet. Po zwolnieniu z wojska przyjechał tutaj, żeby to sprawdzić, a teraz tylko potrząsał głową nad niesamowitym zrządzeniem losu, które rzuciło Joyce na jego kolana.

Mam niezłego farta, że ją posuwam.

– Rick, pospiesz się! Musimy iść!

Był zbyt pochłonięty myśleniem o niej. Naprawdę ją kochał, ale wiedział, że popełniłby duży błąd, gdyby jej o tym powiedział. Potrafił całkiem dobrze odczytywać jej sygnały; nie chciała poważnego związku, więc właśnie tak to rozgrywał, zachowując się, jakby to był zwykły romans. A jeśli chciała umawiać się z innymi mężczyznami, to Rick też nie miał nic przeciwko temu, bo jeśli tak było...

Po prostu będę musiał dać jej coś lepszego niż oni...

Był całkiem pewny, że jest w stanie to zrobić.

Wróciła do niego zaraz po swojej jednonocnej przygodzie z Adamem Coreym, nieprawdaż? To wszystko była wina Ricka; zabrał ją do baru, oboje wypili trochę za dużo i wdali się w wielką kłótnię. To Rick powiedział:

– Hej, jeśli ci to nie pasuje, to nie jest tak, że jesteś przyspawana. To ty zawsze mówisz, że jesteśmy tylko przyjaciółmi i nie chcesz zobowiązań. Dla mnie to w porządku. Możesz odejść, kiedy tylko zechcesz.

Tak, to był WIELKI błąd tej j nocy. Wypij jeszcze jednego drinka, Rick.

Joyce poszła na spacer. Wyszła prosto z baru i poszła prosto do baru po drugiej stronie ulicy, dużego czerwonego lokalu zwanego Slappy Beaver, miejsca podrywu dla miejscowych sztywniaków. A jakąś godzinę później zobaczył ją wychodzącą z tym frajerem ze Służby Parku, Adamem Coreym.

Rick nie zrobił z tego powodu awantury; to nie było w jego stylu. Oczywiście nie w jego stylu było też zagłębienie do okien, ale w tym przypadku czuł, że nie ma wyboru. W skali od jednego do dziesięciu, Joyce miała negatywną ocenę, jeśli chodzi o pierwsze wrażenie. Potrafiła być dość naiwna – szczególnie, gdy miała w sobie kilka promili. Z drugiej jednak strony Rick mógł stwierdzić po jednym spojrzeniu na jego twarz, że Adam Corey to świr. Rick potrafił przejrzeć na wylot ten szelmowski uśmiech – za tym wszystkim kryło się coś niepokojącego, bulgoczącego jak garnek wody na pełnym gazie. Ten facet był zbroczeniem.

Dlatego właśnie za nimi poszedł. To była jedna rzecz, o której oczywiście nigdy nie mógł powiedzieć Joyce – nigdy. Wtedy Rick wyszedłby na zbroczeniaka. Ale on zrobił to dla jej własnego bezpieczeństwa. Na wypadek, gdyby Corey próbował zrobić coś szalonego, Rick musiał tam być, by uratować jej tyłek.

Nigdy do tego nie doszło, ale pewnie tak by się stało, gdyby Joyce nie miała na tyle zdrowego rozsądku. Rick zakradł się na tyły bungalowu Corey’ a na Sunset Beach, ale nie musiał długo zaglądać przez tylne okno, zanim jego podejrzenia zostały potwierdzone. Corey i Joyce robili na początku całkiem normalne rzeczy. Potem Corey wstał i zrzucił spodnie.

– Pomyślałem, że możesz chcieć sprawdzić mój sprzęt. Laski go uwielbiają.

Joyce tego nie zrobiła. W rzeczywistości rzuciła na niego okiem, krzyknęła i uciekła z tego miejsca. W ciągu trzydziestu sekund była w swoim samochodzie i już jej nie było.

Rick prawie sam krzyknął, na wpół ze wstrętu, na wpół z rozbawienia. *On ma więcej rzeczy w kutasie niż ja w swoim pudełku z przynętami!*

Adam Corey mógłby być chłopcem z plakatu na temat piercingu genitaliów. Pierścienie, ćwieki i szpilki różnej wielkości zdobiły jego intymne części ciała tak bardzo, że aż się mieniły. Wszystko to było chromowane, a misterność, z jaką te rzeczy zostały wbite w jego ciało, była zdumiewająca. Niektóre z ćwieków wyglądały jak małe nity, z których zdawały się zwisać małe srebrne łańcuszki. Chromowane obręcze otaczały napletek, podczas gdy moszna zwisała jak wahadło od ciężaru tych wszystkich drobniaków, które ją przebiły. Najgorszą rzeczą do oglądania była jednak żołądź:

Nie wierzę! Facet ma pieprzony pierścionek wiszący w swojej dziurce od siusiaka!

Rick nie zwlekał; czmychnął stamtąd prawie tak szybko jak Joyce, a wizja opancerzonych genitaliów Adama Coreya nie była wizją, o której szybko zapomniał. Tak, Joyce na pewno dostała nauczkę tamtej nocy, pomyślał teraz, wciąż szukając zgubionego buta. Wróciła do niego następnego dnia, zalana łzami i błagająca o przebaczenie. I choć nigdy nie powiedział jej, że ją obserwował, w końcu opowiedziała mu wszystko, co się wydarzyło, w tym szczegóły dotyczące „zabawki” strażnika. Od tego momentu Rick często nazywał Adama „strażnikiem dzwoneczków” albo „piorunochronem”.

– Rick! Czekasz, aż Devil Rays wygrają mecz? – skarżyła się Joyce. – Znajdź w końcu tego buta, żebyśmy mogli się stąd wydostać!

Oto ta cholerna rzecz. But leżał dalej niż myślał, a obok niego skarpetka. Podniósł je i już miał wracać, gdy zobaczył coś za palmą.

Widziałem już takie w klinice, pomyślał od razu. Za drzewem stało duże białe plastikowe wiadro. W takich wiadrach przychodziły woski do podłóg dla personelu sprzątającego; sam podpisywał dostawy.

Ale w środku to nie był wosk do podłóg.

Rick nie miał latarki, ale widział wystarczająco dobrze. Wiadro było wypełnione czymś o jasnym kolorze i ziarnistej konsystencji. Nie było tak drobne jak piasek, a gdy tego dotknął, poczuł, że jest ziarniste. *Mydło czy coś takiego?* Zastanawiał się. *Detergent?*

Ale co to tutaj robiło?

Wygląda na to, że ktoś to tu po prostu zostawił.

– Gdzie jesteś do cholery? – krzyknęła Joyce.

Rick podbiegł z powrotem do okna pasażera.

– Tam za drzewem jest wiadro pełne mydła czy czegoś takiego.

– No i co z tego! Spieszymy się, pamiętasz?

– Cóż, nie wiem, co to jest i nie powinno tego tam być. Czy mam to przynieść?

– Niby po co?

– No wiesz, żeby to zgłosić.

– Czy ostatnio, gdy wydmuchiwałeś nos, zostawiłeś mózg chusteczki higienicznej? Ta droga jest zamknięta. Nikt nie powinien na niej przebywać, bo jest zagrożona zapadnięciem. Co zamierzasz powiedzieć Clare, Einsteinie? Oh, Clare, byliśmy na tej zamkniętej drodze zrębowej, wiesz, tej, którą nikt nie powinien jeździć, bo potrzebowaliśmy miejsca, w którym moglibyśmy się ukryć, żeby się pieprzyć przez dwie godziny i znaleźliśmy to wiadro pełne mydła.

– Racja – powiedział Rick. – Nie pomyślałem o tym. Więc mam po prostu zostawić to wiadro?

– Zapomnij o tym cholernym wiadrze – wyciągnęła rękę, chwytając buta.

– Nie zapomnij o swojej małej skarpetce – powiedział i podał jej ją.

– Dawaj! – Wyrwała mu skarpetkę.

– Wow, jesteś dziś zadziorna. Lubię to w kobietach. – Rick uśmiechnął się

– Po prostu zamknij się i wsiadaj! Obijasz się gorzej niż baba!

Rick zaśmiał się do siebie. Tak, ona jest naprawdę w porządku. Szkoda, że ją Kocham. Wsiadł z powrotem do samochodu, już miał go uruchomić, ale...

Joyce krzyknęła.

Gwałtowność tego krzyku sprawiła, że Rick był bliski zmoczenia spodni. Nagle Joyce zaczęła w coś kopać i wskoczyła Rickowi na kolana.

– Co się do cholery stało?

– To! – odpowiedziała Joyce, nie przestając piszczeć. Wskazywała w dół, do przestrzeni na nogi, gdzie upuściła but. – Coś w nim było! Coś żywego!

– W twoim bucie?

– Tak, tak, tak! Coś wpęzło do środka mojego buta! To chyba szczur! – Przytulała się teraz do niego, zde gustowana i przerażona.

Rickowi... podobało się to.

– Spokojnie, kochanie.

Nic na świecie cię nie skrzywdzi, gdy ja tu jestem.

Jej histeria trwała dalej.

– Proszę, proszę, Rick, zabij to! Tak bardzo boję się szczurów!

– Wygląda na to, że wszystko, co muszę zrobić, by zostać bohaterem dzisiejszego wieczoru, to zgnieść gryzonia – mruknął Rick. Tutaj, na zewnątrz, wśród tych wszystkich szczurów bagiennych? Nadepnął już na wiele z nich.

– Uspokój się, kochanie, jestem tutaj. – Włączył światło. Ale nie zobaczył żadnych śladów szczura. – Jesteś pewna? Gdyby był tu szczur, usłyszeliśmy, jak się skrada.

– Jestem PEWNA! – syknęła. – Kiedy włożyłam stopę do buta, czułam go palcami. To się ruszało, Rick! I mogłam też to usłyszeć, takie małe kliknięcie, jakby jego zęby!

– Kochanie, nie sądzę, żeby to było....

– Może, może... jest jeszcze w bucie – wyszeptła, ciągnąc desperacko za jego rękaw.

Rick podniósł but, który zdawał się być cięższy.

I coś się w nim ruszało.

Podniósł pałkę, gotów dzielić nią szczura. Ale kiedy podniósł but, to nie szczur wypadł z niego i zaczął skakać po podłodze samochodu.

To był karaluch wielkości szczura.

(III)

– Clare? Clare? Czy wszystko w porządku? – Clare czuła się teraz martwa we śnie, ale nie mogła być martwa – wciąż myślała, wciąż czuła. To był ten sam koszmar, ale... w innym wydaniu.

Uczestniczyła w najbardziej seksualnym śnie w swoim życiu i podobało jej się to. Szaleńcza orgia zdawała się trwać godzinami, a Clare robiła w niej rzeczy, których nigdy nie zrobiłaby w prawdziwym życiu, najbardziej rozpustne rzeczy. Było dokładnie tak, jak na filmach, które oglądała: rozpaczliwe seksualne oddanie, bachanalia. W tym śnie jej dwaj zalotnicy byli bez twarzy, pozbawieni tożsamości. Ale oni nie potrzebowali imion, nie potrzebowali twarzy – byli tylko postaciami z podświadomości Clare ; aby służyć swojemu celowi, nie musieli być kimś, musieli tylko spełniać swoją funkcję: odkrywali coś, co psychika Clare próbowała odkryć. Ten sen był taki wyzwalający...

Alte potem to się zmieniło. Nie, nie, nie, pomyślała. Kochankowie rozpląnęli się, scena zmieniła w... *nie...* rażące białe światła sali autopsyjnej Sił Powietrznych, chłód stołu ze stali nierdzewnej na skórze jej nagich pleców. I wypaczoną twarz Stuarta Winstera, który patrzył na nią z uśmiechem.

Na początku było tak samo: jej całkowity paraliż, drapiące sztyło kreślące cienkie linie na jej brzuchu i słowa, których nigdy nie zapomni...

Nie-~~nnn~~-nie martw się, Clare. Nie zrobię ci krzywdy, dopóki nie skończę.

Cóż za okrutne posunięcie ze strony jej podświadomości: uraczyć ją rozkosznym erotycznym snem, a potem rzucić w sam środek najbardziej przerażającego wspomnienia jej życia.

Molestował ją teraz tą ohydną, zdeformowaną ręką i wszystko, co Clare mogła zrobić, to poczuć nienawiść szalejącą wewnątrz drżącego, nieruchomego pojemnika, jakim było jej ciało. W końcu ręka wycofała się, wyczerpująco powolnym tempie, ale okrucieństwo koszmaru jeszcze się spotęgowało; czuła się tak, jakby wyciągano z niej coś długiego na dziesięć stóp. I wtedy...

– Ott-oot-oto prezent, Clare. Specjalnie dla ciebie. – Coś ciężkiego i mokrego spadło na jej podbrzusze. Było gorące. Nie mogła sobie wyobrazić, co to było i nie mogła tego zobaczyć, bo paraliż nie pozwalał jej podnieść głowy. Czuła coś jakby kupę gorącego, oślizgłego mięsa.

Potem mięso zaczęło się ruszać. Tkwiło tam przez chwilę, zanurzając w swoim śluzie jej łono i wewnętrzzną stronę ud. Dało się słyszeć mokre, chlupoczące dźwięki, gdy cokolwiek to było, zaczęło się wspinać... Teraz pełzło w górę jej brzucha.

Stuart Winsters ślinił się w lubieżnym grymasie. Podszedł do przodu stołu i podniósł jej głowę, by mogła widzieć. To była żaba, ta zmutowana rzecz, którą widziała dziś nad jeziorem. Tylko że teraz nie była martwa, a jej wnętrzości nie zwisały z pyska. Oczy wielkości winogron patrzyły na nią. I na przednich łapach wielkości dziecięcych dłoni skakało do przodu, wspinało się przed siebie, a jej wydłużone, nakrapiane ciało przesuwało się powoli po brzuchu Clare. Widziała te okropne szczęki, częściowo otwarte, i kły przypominające białe paznokcie. Ta osobliwość natury zdawała się uśmiechać. Potem żaba podniosła się jeszcze o kilka centymetrów, i przednimi łapami oparła się płasko na jej piersiach.

– Froggie da Clare wielkiego, wielkiego buziaka! – Gdy podpełzła bliżej, jej szczęki otworzyły się niewiarygodnie szeroko, a potem zaczęły się zamykać na twarzy Clare...

– Clare! Obudź się! – Poczowała ruch, przerażenie, a kiedy jej oczy się otworzyły, pomyślała, że została wyrzucona przez wysokie okno i właśnie wylądowała. Otworzyła usta, by krzyknąć, gdy ktoś ją chwycił, a wtedy rozpoznała, kto to był...

Joyce.

– Uspokój się, to ja!

Clare głęboko odetchnęła, jakby właśnie wynurzyła się z głębin. Wokół niej było ciemno, paliły się tylko światła w holu i w kuchni. Poderwała się do pionu nie na swoim łóżku, ale na kanapie. *To prawda, zasnęłam tutaj... po obejrzeniu tych filmów...*

Przyłożyła rękę do piersi i przypomniała sobie ten okropny sen. Najpierw orgia, potem gwałt, a potem... Skrzywiła się. *Ta obrzydliwa żaba!*

– Rick, wszystko w porządku, więc idź zaczekaj w samochodzie.

– Hę?

– Po prostu rób, co mówię! – krzyknęła Joyce. – Idź poczekać w samochodzie!

Rick też tu jest? pomyślała Clare. I dlaczego Joyce na niego krzyczała? I co oni tu w ogóle robią?

– Clare, popraw ją – mówiła Joyce, ciągnąc za koszulę nocną.

– Co? – ale teraz już w pełni się budziła i właśnie wtedy zdała sobie sprawę, że jest praktycznie naga. Podczas snu koszula nocna w jakiś sposób podciągnęła się na piersi. *Musiałam sama ją podciągnąć!* Uświadomiła sobie ze wstydem i nagle ogarnęło ją zażenowanie. Szybko ściągnęła długą koszulę do końca.

– Nie martw się. Rick to duże, głupie zwierzę. On nic nie widział. – uśmiechnęła się Joyce.

– Dlaczego ty i Rick jesteście tutaj? – dopiero teraz Clare odzyskała przytomność umysłu.

– Cóż, zaczynaliśmy się martwić. Twoje światła nie paliły się przez całą noc, a kiedy nie przyszłaś o północy...

– Która jest godzina?

– Dochodzi pierwsza w nocy.

Jestem spóźniona do pracy o godzinę! Fakt ten rozwścieczył ją; jedną z rzeczy, z których zawsze była dumna, była punktualność. *Nigdy w MOIM ŻYCIU nie spóźniłam się do pracy! Co jest ze mną nie tak?*

– Bardzo mi przykro, Joyce – bąknęła. – Ty i Rick dostaniecie podwójną stawkę za tę godzinę. Nie wiem, co się stało. Nigdy nie spóźniam się do pracy.

– Clare, to nic wielkiego. Po prostu cieszymy się, że nic ci się nie stało. Pewnie byłaś po prostu bardzo zmęczona i zasnęłaś.

Clare przyłożyła dłoń do czoła, przypominając sobie. *Ta cholerna żaba!* Wystarczyło, że znów przyśnił jej się Stuart Winster; dodanie tej dziwacznej, ważącej dziesięć funtów żaby tylko spotęgowało obrzydzenie tego snu. A wszystko zaczęło się tak inaczej, przypominała sobie teraz. Oglądanie filmów było najwyraźniej bodźcem; jej sny zaczęły się erotycznie, nie było w nich nic strasznego. Wręcz przeciwnie, podniecały ją. Potem wszystko to zostało zrujnowane przez resztę.

– Miałam straszny koszmar – to wszystko, co mogła powiedzieć i w końcu wstała z kanapy. Pierwszą rzeczą, którą zauważyła była Joyce: na jednej stopie był but, a na drugiej nie.

– Jak to możliwe, że masz na sobie tylko jednego buta?

– Pokażemy ci, kiedy wrócimy do biura – powiedziała Joyce z nagłą nutą ostrości w głosie. – Nie uwierzysz, co znaleźliśmy.

Zanim Clare zdążyła zadać kolejne pytanie, drzwi wejściowe się otworzyły; Rick wszedł do środka.

– Wszystko w porządku?

– Tak! – krzyknęła Joyce. – Zaczekaj w samochodzie!

Rick skinął głową i wyszedł z powrotem na zewnątrz.

– I naprawdę powinnaś zamykać drzwi na klucz, kiedy śpisz, Clare – powiedziała Joyce. – Po prostu weszliśmy bez problemu do środka.

Clare była przerażona. To była kolejna rzecz, której nigdy nie robiła.

– Zostawiłam otwarte drzwi?

Joyce przytaknęła.

– Muszę być coraz bardziej roztargniona, albo po prostu nieodpowiedzialna. Naprawdę daję wspaniały przykład jako nowy szef ochrony, zostawiam otwarte drzwi wejściowe i spóźniam się na drugą zmianę.

– Zapomnij o tym. – Joyce roześmiała się. – Idź się przygotować, ja poczekam na ciebie tutaj – Zrobiła pauzę, po czym zbliżyła się do Clare i wyciągnęła coś z kieszeni.

– I nie martw się, Rick też tego nie widział – szepnęła, wkładając do ręki Clare, zielony wibrator. Clare zamarła.

– Wyjęłam ci go z ręki, zanim on zdążył zobaczyć.

Clare zdębiała, otwierając bezwiednie usta.

– Och! Powinnaś zobaczyć swoją minę! – powiedziała Joyce. – Nie martw się, nikomu nie powiem.

Boże, mam nadzieję, że nie, pomyślała Clare. Spojrzała na wibrator i jego niesamowitą, przezroczysto-zieloną gumę. Żyły oplatające jego trzon były odpychające.

– Chcesz powiedzieć, że... używałam go na....

– Na kanapie, podczas snu. Słyszałam o lunatykowaniu, ale nie chcę nawet myśleć, jak można by to nazwać. Ale to jest niezłe.

– Hę? – Komentarz zdezorientował Clare.

– Clare, zachowujesz się tak, jakbyś była jedyną kobietą na świecie, która posiada wibrator. – Joyce przewróciła oczami.

– Nie jest mój– szybko odpowiedziała Clare.

– Wszystkie kobiety mają wibratory, Clare. Pokaż mi kobietę, która mówi, że nigdy nie używała wibratora, a udowodnię ci że kłamie.

Co mogła powiedzieć, zwłaszcza, że stała tam z wibratorkiem w rękę? Miała ochotę wszystko wyjaśnić, że wibrator należał do Grace Fletcher, że oglądała seks na kasetach wideo i tak dalej, ale po co się męczyć? *To i tak nie ma znaczenia.* Wyjaśnianie tego wszystkiego byłoby zbyt skomplikowane.

– Bądźmy szczerzy – mówiła dalej Joyce. – Czasami mężczyźni nie do końca potrafią wykonać tę sztuczkę, dlatego mamy małego pomocnika. Nie wiem, co cię tak krępuje; mam już chyba z tuzin różnych rodzajów. I mam też taki sam, tylko czerwony – złośliwy uśmieшек zabarwił jej twarz. – Te żyły są mega, co?

Wzmianka o nich sprawiła, że jej żołądek zawrzał. Ta rzecz wyglądała dla niej upiornie, szczególnie te żyły.

– Nie wiem, czy nazwałabym je “mega”, Joyce. Nie mogę uwierzyć, że... używałam tego i nie pamiętam. Jak mogłam... przez sen? – Clare nie potrafiła do końca sformułować słów.

– Szybko się nauczysz, słońce tutaj może robić z tobą dziwne rzeczy; potrzeba trochę czasu, by się przystosować. Możesz dostać lekkiego udaru, nawet o tym nie wiedząc. Stajesz się odwodniona, pozbawiona sodu i to zaburza twój cykl snu. Dodaj to wszystko do faktu, że i tak byłaś już trochę wyczerpana, a dodatkowo miałaś wczoraj incydent z szaloną dziewczyną w lesie – to wszystko pojawia się nagle i kopie cię w tyłek. Powoduje dziwne sny, sprawia, że robisz zabawne rzeczy. Po prostu pij dziś dużo wody i będzie dobrze. Wezmę nawet twoją zmianę, jeśli będziesz źle się czuła.

To była wspaniałomyślna oferta, ale Clare musiała ją odrzucić. Musiała dawać przykład, a jak dotąd nie wychodziło jej to najlepiej. Przez cały czas Joyce udawała, że jest wartościową osobą i przyjaciółką. Wynagrodzę jej to, przyrzekła sobie Clare. Poza tym czuła się teraz całkiem dobrze.

– Dzięki, Joyce, jesteś skarbem, ale nic mi nie będzie. Daj mi dwie minuty, żebym mogła wziąć prysznic i się ubrać.

– Jasne, poczekam tutaj.

Clare była pod prysznicem kilka sekund później, obciążający wibrator odrzucając na bok. Ale ze mnie popapraniec, skarciła samą siebie. Ale przynajmniej wszystko było w porządku. Chłodny prysznic jeszcze bardziej ją ożywił, zmywając pot. Wspomnienie zmutowanej żaby pełzającej po jej brzuchu przyprawił ją o dreszcze; splukała się po raz drugi, jakby chciała zmyć z siebie jej śluz.

To tylko sen, tylko sen, mówiła sobie. Absolutnie okropny sen, tak, ale to już koniec. Nie chciała nawet zastanawiać się nad psychologią tego wszystkiego. *Masturbowałam się we śnie, byłam podniecona seksualnie... ale dlaczego miałabym to robić podczas koszmaru, który był obrzydliwy?* Początkowa część snu, orgia, była bardzo stymulująca, ale potem wszystko zmieniło się w koszmar o gwałcie Stuarta Winstera, a następnie o tej potwornej żabie molestującej ją. Szczegóły tego koszmaru prześladowały ją, jak powracające obrazy wraku samochodu czy śmierci. Czy w jej podświadomości było coś, co uważało takie horrory za podniecające?

Nie, to nie mogło być to. To nie miałyby żadnego sensu. Mój metabolizm był rozregulowany, wywnioskowała. Szybko się wysuszyła, włożyła mundur i przypięła pas z bronią. *To tak jak powiedziała Joyce, połączenie zmęczenia, zbyt dużej ilości słońca i zbyt dużo zamieszania. Teraz będzie dobrze.*

Joyce czekała na nią w salonie. Wyszły z domku i tym razem Clare zadbała o to, by zamknąć drzwi na klucz. Potem wsiadła do swojego samochodu i podążyła za Joyce i Rickiem z powrotem do kliniki. Clare nie miała pojęcia, że kiedy brała prysznic, była obserwowana przez szparę w oknie łazienki.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

(I)

Przyłożył ucho do ściany i nasłuchiwał głosów. Jeden z nich był wściekły...

– Mówię tylko, że musimy być bardziej ostrożni. Nie wyglądasz na zbyt zaniepokojonego.

– A czym tu się przejmować?.

–Kurwa! Są tu teraz ludzie, jest pełna ochrona. A ty masz tego dziwaka, który chodzi po nocy.

Tego dziwaka, pomyślał. Czy on miał na myśli mnie?

– On jest widoczny tylko przez bardzo krótki czas. Rury kanalizacyjne stanowią doskonałą osłonę. Mają pięć stóp wysokości, na litość boską. Nikt nie zobaczy go tam na dole.

– Tak, cóż, nie jest na dole przez cały czas.

– Oczywiście, że nie, potrzebujemy go do zamówień i utylizacji, tego typu rzeczy.

– Co do zamówień zgadzam się, odwalił kawał dobrej roboty z tą dziewczyną, która zwariowała w lesie. Co do utylizacji... powinien wyrzucać to gównem, a nie zostawiać w lesie. Znalazłem tego już dwa wiadra.

– Celem jest przydzielenie mu planu zadań, to przedsięwzięcie szkoleniowe. Nieważne, że czasem zapomina, gdzie pozostawia rzeczy, gdy je na chwilę odłoży.

– Tak? A co jeśli zrobi to z ciałem?

Nie był do końca pewien, o czym rozmawiają. Wiedział tylko, że coś brzmiało nie tak.

– Pozbądź się tego dziwoląga. Zbyt wiele ryzykujemy, trzymając go w pobliżu....

Dziwoląg. Wydawało mu się, że wie, co to znaczy, pomyślał. *Czy on mówi o mnie?*

Teraz zaczynał się denerwować. Czuł, że jego serce bije szybciej. Nagle stał się niespokojny, kręcił się w kółko. Nie jestem dziwakiem, powtarzał sobie w myślach.

Musiałby teraz wrócić tunelem do piwnicy, musiałby też dorwać panią Grable. Pozbył się już ładnej dziewczyny ze stołu nr 2 i potrzebował kogoś, komu mógłby... coś zrobić. Nie wolno mu było zbyt krzywdzić pani Grable, mimo że chciałby ją bardzo skrzywdzić, naprawdę mocno ugryźć i uderzyć. Ale to było niedozwolone, nie z nią.

Wolno mu było jednak zrobić to jej. I zamierzał zrobić jej to dziś wieczorem naprawdę mocno. To był jedyny sposób, by go uspokoić, jedyny sposób, by przestał się denerwować.

Nie jestem dziwolągiem, do cholery! Nie było w nim nic złego i nie lubił, gdy ludzie mówili, że tak jest. Był tak samo mądry jak każdy inny. *I to nie moja wina, że mam taką rękę...*

(II)

Zagadka zaginionego buta Joyce została rozwiązana... kiedy Rick odwrócił go do góry nogami nad małym zlewem w pokoju socjalnym.

– Nie do wiary – wykrzyknęła Clare.

– Widziałaś kiedyś coś takiego? – zapytał Rick.

– Nie, dzięki Bogu.

Na szczęście karaluch był martwy. Miał osiem lub dziewięć cali długości i musiał ważyć z pół kilograma.

– Wrzuciłem go z powrotem do buta po tym, jak go zatłukłem – relacjonował Rick. – Przywiozłem go tutaj, bo pomyśleliśmy, że chciałabyś go zobaczyć. Założę się, że uderzyłem go cztery razy, z całej siły, zanim jeszcze pękła jego skorupa, a potrzeba było jeszcze dziesięciu uderzeń, by go zabić. – Owad był niewiarygodnie duży; Clare nigdy nie słyszała, by karaluchy były aż tak duże.

– I spójrzcie – powiedziała Joyce, podnosząc but. – Zanim zdechł, pożerał skórę.

Jeszcze większe zdumienie ogarnęło Clare. Czubek buta wyglądał, jakby został przebity ostrym nożem.

– Jeśli może to zrobić z twardym butem, pomyśl, co może zrobić z ludzką skórą.

– Tak, a ja postawiłam na tym stopę.

– Masz szczęście, że masz jeszcze wszystkie palce – powiedział Rick.

– Cóż, jedno jest pewne – dodała Joyce. – Potrzebuję nowej pary butów, bo nie mam mowy, żebym kiedykolwiek je założyła. – Z hukiem wrzuciła but do kosza na śmieci.

Clare nie przyszło do głowy, by zapytać, jak ten odrażający owad znalazł się w butcie Joyce; była zbyt zajęta patrzeniem na niego i zastanawianiem się, czy to co widzi jest prawdziwe.

– To najbrzydlawsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam – odezwała się Clare. – Poprawka, druga najbrzydlawsza rzecz.

Joyce i Rick spojrzeli na nią.

– Co może być ohydniejszego od tego karalucha?

– Wypatroszona, dziesięciofuntowa żaba – powiedziała Clare. – Z zębami jak pies. – Potem przeszła do wyjaśniania szczegółów tego, co Adam znalazł tego popołudnia nad jeziorem.

– Cóż, to dość dziwaczne, prawda? – spytała Joyce. – Nie jestem zoologiem, ale mogę ci powiedzieć, że karaluchy i żaby nie osiągają takich rozmiarów. To musi być jakiś rodzaj mutacji.

– Tak właśnie powiedział Adam. Powiedział nawet, że to wcale nie jest tutaj takie rzadkie. Jakiś toksyczny związek dostaje się do odizolowanego ekosystemu i powoduje wady i mutacje.

– Adam jest największym dupkiem na wyspie, ale zna się na swojej robocie. I ma rację, na wyspie było sporo mutacji spowodowanych toksynami – stwierdziła Joyce.

– Tak, pamiętam ten fragment w wiadomościach, aligatory z dwoma ogonami. – wtrącił się Rick.

– Racja, bo ktoś zrzucił ścieki przemysłowe do kilku jezior w hrabstwie Polk. – Joyce spojrzała pytająco w dół na zmiażdżonego insekta. – I nagle mamy dwa różne rodzaje mutacji właśnie tutaj, w parku Fort Alachua. Co Adam zrobił z żabą?

– Zabrał ją, powiedział, że musi to zgłosić. Najwyraźniej jest jakiś organ w U.S. Park Service, do którego musi zgłaszać takie rzeczy. – Clare spojrzała na olbrzymiego insekta, a potem uśmiechnęła się do Ricka. – Rick, bądź mężczyzną, zawiń to coś w folię i włóż do lodówki, dobrze?

– Zastanawiam się, co do cholery Strażnik Dzwoneczek robił nad jeziorem? On nigdy tam się nie pojawia, chyba że mu coś zgłosimy.

– Strażnik... Dzwoneczek? Czemu tak go nazywasz? – Joyce rzuciła stłumione spojrzenie w stronę Ricka.

– A co, chodzi z dużą ilością drobniaków w kieszeni? – zapytała Clare.

– Chodzi z mnóstwem czegoś w kieszeni... – zaczął Rick, ale Joyce mu przerwała.
– Rick, po prostu włóż to coś do folii! To nic takiego, to długa historia – dodała.
– I w dodatku całkiem zabawna – kontynuował Rick, wkładając paczkę do lodówki. – Chcesz wiedzieć, dlaczego on boi się piorunów bardziej niż ktokolwiek inny?

– Dziękuję ci, Rick. – syknęła Joyce – Powinieneś już wychodzić, prawda? Pa! – Obróciła go i wypchnęła za drzwi.

– Nawet nie będę pytać – powiedziała Clare.

– Dzięki. Na pewno dobrze się czujesz? Jeśli nie, to wezmę za ciebie twoją zmianę.

– Nie, nic mi nie jest. Ale dzięki. – Clare nie mogła zapomnieć o ogromnym karaluchu w lodówce. – Adam nie pracuje w nocy, prawda? Chcę, żeby zabrał tego robala jak najszybciej.

– Nie, on pracuje tylko na dzienne zmiany. Zadzwoń do niego rano, pewnie będzie w pobliżu, a uwierz mi, ucieszy się z każdego powodu, by tu przyjść.

– Poznałam go dziś trochę lepiej i masz rację. Jest kutasem. – Clare pomyślała o wpadce na płytkich ruchomych piaskach.

– Delikatnie to ujmując. Mówię ci, nie ufaj temu facetowi – Joyce wypisała się w swoim dzienniku. – Dzięki Bogu za weekend. Będziesz tylko na dyżurze, prawda?

– Sobota i niedziela? Tak, ale pewnie i tak zrobię kilka obchodów – powiedziała Clare.

– Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz chciała coś jutro porobić. Do zobaczenia!

– Pa. I dzięki, że mi dziś pomogłaś. Przepraszam za tę wpadkę.

– Nie ma sprawy.

Joyce wyszła, a Clare pożegnała ją uśmiechem. *Tak, ona jest fajna, tak samo jak Rick. I oni też lubią ten sport.* Clare wciąż nie mogła uwierzyć, że zasnęła i nie zdążyła na zmianę. *Muszę mieć pewność, że to się już nie powtórzy.* Czowała się pewna, że tak się nie stanie, była teraz nawet bardziej zdeterminowana do pracy, gdy poznawała to miejsce i ludzi. Każda praca miała swoje dobre i złe strony; ich szybkie rozpoznanie było kluczem do sukcesu, a wtedy zostało tylko dostosować się do złych stron i wykorzystać dobre na swoją korzyść.

Jak dotąd jedynym prawdziwym dupkiem był Adam Corey. Dam sobie z nim radę, pomyślała. Ale co z tym karaluchem i żabą?

Wszystko, co może zrobić, to zgłosić to odpowiednim służbom, a tak się składa, że Adam jest właśnie tym kimś. Dalej, jak przypuszczała, zadaniem jakiegoś oddziału Departamentu Zasobów Naturalnych będzie zbadanie, czy w okolicy nie ma przypadkiem zanieczyszczeń.

Nie mogła się jednak powstrzymać od... Chyba pojedę nad jezioro Stephanie, pomyślała. *Zobaczę, czy nie ma tam czegoś większego niż powinno być...* Sprawdziła system alarmowy, zamknęła biuro i skierowała się do wyjścia. Ale po drodze zauważyła uchylone drzwi w skrzydle zabiegowym. Na drzwiach widniał napis IRMT.

Pamiętała, jak Dellin opowiadał jej o tym systemie – Intensywna Terapia Radiacyjna – coś o krzyżujących się wiązkach promieniowania radioaktywnego o niskiej dawce, które z wyjątkową precyzją zabijają małe guzy. Ale powiedział też, że ten kosztujący pół miliona dolarów system nie był potrzebny w przypadku raka stromatycznego, który był tu leczony. Nieważne, pomyślała Clare. Ale te drzwi nie powinny być otwarte.

Pamiętała, że kiedy zajrzała tam poprzedniego dnia, w pomieszczeniu znajdował się rozbudowany system komputerów i ekranów, a do tego wielkie głowice wylotowe

przypominające dysze, zwisające z sufitu. Ktoś mógłby łatwo tu wejść i ukraść monitor lub procesor. Kiedy Clare zajrzała do pokoju, był pusty.

(III)

ZACHOWAJ DYSTANS!

GNIAZDO ŻÓŁWI MORSKICH JEST CHRONIONE PRZEZ AMERYKAŃSKĄ USTAWĘ O GATUNKACH ZAGROŻONYCH (AKT Z 1973 R.)

NI ZABIERAJ ŻÓŁWI MORSKICH ANI ICH JAJ!

OSOBY NARUSZAJĄCE PRZEPISY BĘDĄ KARANE GRZYWNĄ I WIĘZIENIEM!

Z ponurym uśmiechem Billy zwrócił uwagę na ostatnią linijkę żółtego znaku; nie było tam napisane, że łamiący zakaz mogą zostać ukarani grzywną i więzieniem, ale że zostaną. Tutaj traktowali to gówno poważnie. Pewnego razu Billy sam został ukarany grzywną w wysokości 1500 dolarów za posiadanie jednej samicy kraba kamiennego. Tylko jednej. I zabrali mu też łódź! To było ryzyko dla każdego kłusownika, zwłaszcza na Florydzie. Mógłbyś rozwalić żonie szczękę i nie siedziałbyś tyle, co za wykopywanie jaj żółwi morskich. Policja na Florydzie miała w nosie, że prowadziłeś po pijanemu, ale nie waży się zadzierać z tymi palmami i morskimi pierdołami. Pamiętał, że kiedyś przeczytał w gazecie, jak policjanci otworzyli ogień do jakichś żółtków za strzelanie do delfinów.

To jest właśnie pieprzona Floryda, pomyślał Billy. *Dostaniesz wyrok w zawieszeniu za danie klapsa swojej córce, ale jeśli złapią mnie na podbieraniu kilku jaj żółwia morskiego, pójdę do pierdła na rok.* Ot, dzień z życia kłusownika takiego jak Billy.

Billy nie był ćpunem uzależnionym od mety czy syntetycznych prochów, jak większość okolicznych wieśniaków. Był po prostu starym, dobrym, nałogowym alkoholikiem. Przeraźliwie chudym, ze swojskimi tatuażami, długimi włosami i zarostem. Nie chciał stałej pracy, łatwiej było złapać aligatora, kraba kamiennego poza sezonem i zielonego żółwia morskiego. Billy miał takie zdolności, których inni w jego fachu po prostu nie mieli. Jeśli nie miałeś kontaktu do pośrednika dla prywatnych kolekcjonerów, sprzedaż żółwi zielonych była jak sprzedaż diamentu Hope. Ale Billy znał takiego handlarza w Tampa Chinatown – ten pieprzony facet płacił za każde jajo, które się pojawiło. Płacił też dwa razy tyle, jeśli miałeś coś na tydzień przed Chińskim Nowym Rokiem. Czy Billy był gotowy na taką akcję?

Billy był gotów. Jedno dobre gniazdo mogło utrzymać go w Milwaukee's Best Ice przez rok. Trzeba było być ostrożnym przy kopaniu, tak ostrożnym, jak on był właśnie w tej chwili: na kolanach na wschodniej plaży parku Fort Alachua o drugiej nad ranem. Gniazda były odgradzone żółtą taśmą i palikami – trudno mu było w to, kurwa, uwierzyć. Dzięki, że mi powiedzieliście, gdzie są jaja! Zagrożone jaja aż prosiły się, by je wykraść.

Włożył palce w wilgotny piasek; to był delikatny proces. Jeśli stłucze jajo, a żółw w środku wykituje – to sto dolców idzie się jebać. Oczywiście Billy nie przepadał za tym, co Chińczycy robili z małymi żółwikami, gdy już się wykluły. Obcinali skorupy z małych stworzeń i żywcem smażyli w głębokim oleju. To był jakiś orientalny przysmak czy inne gówno. Dla Billa smażenie małych żółwików z listy gatunków zagrożonych wyginięciem brzmiało trochę okrutnie, ale...

Kurwa, stary. Biznes to biznes. Jeśli nie zdobędę dla nich jaj, znajdą jakiegoś innego obrotowego kolesia, który to robi.

Billy był kimś, kogo co można było nazwać „funkcjonującym” alkoholikiem, w tym sensie, że wciąż był w stanie płacić czynsz i dążyć do szczęścia, z marskością wątroby i w ogóle. Kilka kłusowniczych prac w miesiącu opłacało jego pokój w motelu i mógł nawet spędzać czas w Beach Saloon, gdzie mógł wydawać pieniądze i patrzeć na wszystkie pijane włóczęgi, na które tylko mogłeś spojrzeć. W tych dniach Billy po prostu drażnił się z dziewczętami; wszystkie szalały za nim z powodu jego wyglądu. Ale nigdy ich nie podrywał – najlepiej było trzymać je w niepewności, to pozwalało mu zachować tajemniczość. Tak naprawdę jednak nie było żadnego powodu, by podrywał kobiety. Trzydzieści lat nałogowego alkoholizmu ma tendencję do pozbawiania pociągu seksualnego, szczerze mówiąc.

A niech to! Pomyślał. Ostrożnie podniósł jajka. Starszy zółw składał ich czasem siedemdziesiąt pięć, a odsetek wyklucł był bliski stu procent, jeśli transportowałeś je ostrożnie. Billy przeniósł każde jajo do przyniesionego przez siebie wyściełanego wiadra, zachowując przy tym taką ostrożność, że można by pomyśleć, iż są to granulki nitrogliceryny. Pół godziny później miał w wiadrze sześćdziesiąt sześć jaj.

Bóg się dziś do mnie uśmiecha, tak! Nadszedł czas na rezerwację; ma już swoją zdobycz. Mógł oczywiście być chciwy i rozejrzeć się za kolejnymi gniazdami, ale w jego biznesie im dłużej się tu kręciłeś, tym większe było ryzyko, na które się narażałeś. Był tam strażnik, który czasem patrolował park, i zawsze istniała szansa, że policja morska może zobaczyć jego łódź. Słyszał nawet, że w okolicy jest też ochrona. Dlaczego miałby ryzykować?

Właśnie dlatego, pomyślał. Niecałe sto stóp dalej znajdowało się kolejne otoczone kordonem gniazdo. *To jest zbyt proste.* Od razu wrócił do kopania. Uzupełnienie wiadra nie zajęłoby zbyt wiele czasu. Ale ... *Człowieku, tu jest goręcej niż w piecu do pizzy.*

Tak było, nawet o tak późnej porze. I komary też się do niego dobijały, zwabione potem. *Muszę się choć na chwilę ochłodzić...* I wiedział, że zaledwie pięćdziesiąt jardów w głąb łądu znajduje się miejsce, w którym może to zrobić. Jezioro Stephanie.

Billy wstał, otarł pot z czoła. Ta myśl, w tym upale, była kusząca. Tak, chyba wezmę sobie szybką kąpiel, pomyślał, a kilka minut później brodził już w wodzie. *Człowieku, to jest to!* Kiedy był już głęboko po biodra, przykucnął na kolanach, w dżinsach i koszulce HIGHWAY TO HELL. Chłodna woda pieściła go. *Cholera, teraz potrzebuję tylko zimnego piwa i jestem w niebie!*

Być może. Ale w niebie nie było chyba tego, co chwilę później dostało się do spodni. Po alkoholu czy nie, jego ruchy wciąż były szybkie. *Co do kurwy nędzy?* W mgnieniu oka stanął na równe nogi.

Billy zamarł. Czy to był tylko dziwny prąd? Na początku nie był pewien. Ale na pewno poczuł się tak, jakby coś długiego i cienkiego wpłynęło w jego spodnie przez dziurę w nogawce. Nie chciał ruszać się zbyt gwałtownie, na wypadek gdyby... Cóż, na wypadek, gdyby to był wąż.

Ale cokolwiek to było, nie wydawało się wystarczająco duże, by być wężem. Było bardzo cienkie, nie grubsze niż długopis, a teraz nie był pewien, czy w ogóle je czuł.

Czy wypłynęło z powrotem? A może to był tylko dziwny prąd. Billy nie był do końca pewien, co robić; tylko jakiś instynkt kazał mu się nie ruszać. Światło księżycy oświetlało wodę, a gdy spojrział w dół, to było to... *Boże, co to jest?* Zobaczył coś, co na początku wydawało się długim kawałkiem włókna unoszącym się na wodzie, ale gdy zmrugał oczy, zobaczył, że to nie unosi się na wodzie, tylko płynie.

Bardzo powoli Billy sięgnął w dół i nie ruszając resztą ciała, wyłowił to coś z wody. *Mam cię...* Wtedy zrobiło mu się naprawdę niedobrze. To nie była włóknina, to była długa stonoga, jakaś dziwna wodna stonoga, o której istnieniu nawet nie wiedział. Przytrzymał ją blisko jednego końca, tego, na którym znajdowała się głowa, podczas gdy reszta szybko zawięła się wokół jego ramienia. Czuł, jak tysiące małych, podobnych do włosków odnoży porusza się, ale to go nie bolało. Nagle mdłości zaczęły ustępować, gdy przypomniał sobie, że stonogi są w zasadzie nieszkodliwe.

Fuuu! Ścierwo! Wtedy właśnie ta w zasadzie nieszkodliwa stonoga zaczęła go gryźć. Machał ręką, próbując ją strząsnąć – bezskutecznie. Wkrótce nie tylko go gryzła, ale wwiercała się w jego skórę na przedramieniu. Chwycił ciało ponownie, pociągnął i był zdumiony, gdy zobaczył, że w ciągu zaledwie kilku sekund to coś wwierciło się na sześć cali pod jego skórę. Kiedy udało mu się ją wyciągnąć, zawył – czuł się tak, jakby z jego ciała wyciągano rozgrzany żelazny pogrzebacz. Kiedy wyciągnął ją całkowicie, tym razem złapał tuż pod głową i ścisnął najmocniej jak potrafił, między kciukiem a bokiem palca wskazującego.

Mdłości powróciły jak uderzenie w trzewia. Usta stonogi, jeśli można je tak nazwać, były rozszerzającą się i kurczącą dziurą otoczoną haczykowatymi ząbkami. Ścisnął mocno, mocniej, dociskając, aż długa, odpychająca kreatura opadła bezwładnie. Odrzucił ją tak daleko, jak tylko mógł.

Dobry Boże, to kurewsko bolało... Czyste przerażenie odrzuciło resztę myśli. W swoim ciągłym alkoholowym stanie zapomniał o jednej istotnej możliwości. Ta rzecz, która wpłynęła mu w spodnie... Czy to było to? Ta rzecz, którą właśnie zabił i wyrzucił?

Albo... Czy jest jeszcze jedna, taka sama jak ta... W MOICH KURWA SPODNIACH W TEJ CHOLERNIE KUREWSKIEJ SEKUNDZIE?

To drugie, niestety, okazało się prawdą. Nagle jego krocze ożyło, tysiące malutkich nóżek zawijało się wokół jego moszny i penisa. Najbardziej pierwotna intuicja przerażenia dała mu pojęcie, gdzie dokładnie ta stonoga zamierza się dostać, więc Billy musiał ją stamtąd po prostu WYCIĄGNAĆ, zanim jej się to uda.

Zdjął spodnie, chwycił swoje skurczone z przerażenia genitalia, zaczął odwijać stonogę i... wrzasnął głośno, gdy węgorz z głową wielkości dobermana wystrzelił z wody i jednym ugryzieniem wyrwał mu większą część prawego bicepsa. Sekundę później podobnej wielkości kawałek mięsa został odgryziony z jego pośladka.

Ból był przerażający. Zdolności umysłowe Billy'ego szybko się ulotniły i zostały zastąpione jedynym impulsem samozachowawczym. Inna stonoga wwiercała się szybko przez nozdrza do jego zatok, inna do ucha, podczas gdy drugie ucho zostało odgryzione w całości przez pasiastą rybę, której głowa składała się głównie z zębów.

Woda wokół niego zdawała się tętnić aktywnością, gdyż rozpoczął się szal żerowania. Ohydne ryby i jeszcze więcej węgorzy kąsało go; stonogi już składały jaja głęboko w jego ciele. Mimo tego wszystkiego Billy zasłużył przynajmniej na uznanie za swoją wytrzymałość. Pomimo utraty kawałka ciała na sekundę, jego w większości bezmyślne instynkty pozwoliły mu w końcu wydostać się z wody, gdzie zwałił się na wąski brzeg. Bestialskie węgorze i ryby zniknęły, razem z trzydziestoma procentami jego masy mięśniowej.

Jego serce wciąż biło. *Ja-ja-ja...wciąż...żyję...* Ale gdy powróciły procesy myślowe, powróciła też reaktywność centralnego układu nerwowego, znana jako ból. I Billy klapnął na brzeg jak flądra na gorącą patelnię.

A pierwsza stonoga? Ta, która wpłynęła w jego spodnie? Całkiem ładnie wżarła się w dolną część jelita Billy'ego przez cewkę moczową.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

(I)

Nudna zmiana Clare minęła. W pewnym momencie, podczas patrolu, wydawało jej się, że słyszy czyjeś krzyki, a nawet wrzaski, ale potem dotarło do niej, że ten dźwięk musi dobiegać z przyczep kempingowych po drugiej stronie. Odgłosy tamtejszych imprez regularnie niosły się na wyspę.

Jeśli chodzi o niepokojąco dużego karalucha w lodówce, to właściwie była zła, że Adam Corey nie był pod telefonem w swoim biurze, gdy zadzwoniła o dziewiątej rano. Niestety jego usunięcie zależało od Adama. Cholera, pomyślała. Wygląda na to, że będzie tam siedział przez cały weekend. Jedyne, co mogła zrobić, to zostawić wiadomość na automatycznej sekretarce leśniczego. Chorobliwa ciekawość dręczyła ją przez całą zmianę; przynajmniej raz na godzinę zerknęła z lękiem do lodówki, spodziewając się, że srebrne opakowanie zostanie otwarte, a karaluch zniknie.

Gigantyczne karaluchy, gigantyczne żaby. Zastanawiała się, jak zareaguje Dellin, gdy mu powie, że Adam oskarżył go o wrzucenie jakiegoś toksycznego produktu ubocznego do jeziora Stephanie. *Może powinnam...* Ale odrzuciła tę myśl. Może powinna sprawdzić, czy Dellin jest dziś w swoim domku. Zapukać do jego drzwi i zgłosić mu te incydenty teraz, kiedy ma wolne? W Siłach Powietrznych to byłby jej obowiązek.

Tak, ale to już nie są Siły Powietrzne, a cywile nie lubili być nachodzeni w weekend. Sama przed sobą przyznała się do tego, że szuka pretekstu, by się z nim spotkać i zweryfikować zarzut Adama, że leci na niego. *No cóż, do diabła, mam.* Ale wiedziała też, że zwracanie mu głowy w dzień wolny od pracy było złym posunięciem.

Ostatnie pół godziny swojej zmiany spędziła w biurze, racząc się ostatnią szklanką mrożonej kawy i kończąc swój dziennik oraz raport o zdarzeniach. W klinice panowała dziwna cisza; nikt dziś nie wchodził, nawet dozorczy. Jej kroki odbijały się echem po długich, białych korytarzach, gdy włączała system alarmowy i wychodziła.

Popołudniowy upał uderzył ją; słońce było wysoko na nieskazitelnie błękitnym niebie. Mimo że technicznie rzecz biorąc miała dyżur przez cały weekend, nie miała żadnych zmian do obsadzenia i nagle dotarło do niej, że ten dzień jest zbyt piękny, by iść do domu i spać. Mogłaby pojeździć po okolicy, zobaczyć miasto. Gdyby włączyły się alarmy, system dałby jej sygnał dźwiękowy. Mogłaby się trochę zabawić.

Wtedy odezwała się jej bardziej pracowita połowa. *Możesz się trochę zabawić innym razem. Zaczęłam tę pracę dwa dni temu. Odpowiedzialną rzeczą jest trzymanie się blisko miejsca pracy, tak na wszelki wypadek, gdyby coś się stało.*

Sprawa została załatwiona, a ona cieszyła się, że jej poczucie dyscypliny nie osłabło, nawet z kieszenią pełną pieniędzy, którą wciąż miała. Podjechała do bramy wejściowej, by dokonać ostatecznej kontroli bezpieczeństwa, po czym wróciła do swojego domku.

Ciekawe, kto... Zmrużyła oczy; pięćdziesiąt metrów przed nią, przy skręcie w drogę do domku, wyjechał i skręcił jasny samochód z napędem na cztery koła i obrotowym światłem na dachu. Kiedy dostrzegła herb z tyłu, zrozumiała, że to Adam.

Co ten świrus robi na mojej drodze, do cholery! Mogłaby go dogonić, żeby się dowiedzieć, ale... *Zapomnij o tym. Mam już dość tego wrzodu na tyłku.* Nie pozwolę mu zniszczyć mojego weekendu, przekonywała samą siebie.

Poszła dalej swoją drogą, a wszelkie złe przeczucia, jakie mogła mieć – co do Adama Coreya, co do tego, co mogą oznaczać jej koszmary, czy groteskowej żaby i karalucha, czy czegokolwiek – ulotniły się, gdy zajechała przed swój domek. Uniesienie powróciło; wciąż nie mogła uwierzyć, że mieszka w tym cudownym miejscu, nie mogła uwierzyć w swoje nagłe szczęście. Zostawiła swoje zmartwienia i wątpliwości w samochodzie, a jedyne, co zabrała ze sobą na spacer, to uśmiech.

– Hej!

Clare odwróciła się w stronę drzwi wejściowych, jej klucze zabrzęczały. Joyce uśmiechnęła się do niej z końca chodnika, w plażowym szlafroku, klapkach i okularach przeciwsłonecznych.

– Cześć, Joyce – przywitała się Clare. – Widzę, że wybierasz się na plażę?

– Tak. Chcesz dołączyć?

– Cóż, naprawdę nie powinnam. Powinnam...– Oferta brzmiała kusząco.

– Iść na plażę z Joyce – powiedziała Joyce – Chodź, słońce zajdzie za godzinę. Jest idealnie. I prawdopodobnie będziemy miały całą plażę dla siebie.

Clare znieruchomiała. Właściwie wcale nie była zmęczona, zwłaszcza po tym, jak zasnęła poprzedniego dnia.

– Ja...

– Świetnie! – oświadczyła Joyce. – Poczekam na ciebie.

Clare uśmiechnęła się i otworzyła drzwi wejściowe.

– Nie chodź po swojej poczcie – zauważyła Joyce.

– Hej? Poczta? Kto by mi coś wysyłał? – ale w drzwiach była szczelina na listy i kiedy weszła do środka, Clare prawie nadepnęła na kopertę leżącą na korytarzu.

– To pewnie lista kontrolna mieszkania od pani Grable – powiedziała jej Joyce i poszła prosto do kuchni. – Wszystko, co nie działa, po prostu zaznacz na liście i oddaj jej. Ona dopilnuje, żeby to szybko naprawić. Hej, mogę dostać banana?

Pytanie ją rozproszyło; kupiła wczoraj w sklepie banany i brzoskwinie, położyła je w misce na blacie.

– Och, jasne. Czestuj się. – Potem spojrzała na kopertę. *Lista kontrolna...* To była tylko pusta koperta.

– To, że nie masz stroju kąpielowego, to nic wielkiego – skomentowała Joyce, obierając banana.

Właśnie wtedy Clare przypomniała sobie – i opóźnione zażenowanie groziło tym, że się zarumieni. *Wczoraj w nocy, gdy mnie obudziła po tym koszmarze... Zobaczyła mnie trzymającą ten wibrator, dobry Boże! Ale fakt, że Joyce nie pomyślała o tym, tylko wzmocnił rosnącą samoświadomość Clare. Chyba jestem trochę pruderyjna... Ciągle zapominam, że mamy XXI wiek, że ludzie rozmawiają bez oporów o seksie. W każdym razie większość ludzi.* Joyce przyznała nawet, że sama posiada kilka wibratorów. Była w pełni wyposażoną kobietą. Powabna sylwetka Joyce zdawała się promieniować przez plażowy szlafrok. Ale nie tylko jej ciało było pociągające, ale jej postawa, jej swobodna pewność siebie. Nagle Clare poczuła się jak bibliotekarka wzdychająca z ukrytej zazdrości o cheerleaderkę.

– Ziemia do Clare! Scotty cię podrzucił?

Rozproszenie uwagi przytłoczyło ją. *Dlaczego to się stało? Czemu to dzieje się tak często? Pewnie ma mnie za totalną idiotkę!*

– Och, strój kąpielowy? Tak, kupiłam kilka wczoraj w jednym z tych plażowych sklepów. Mam też duży ręcznik. Cholera. Zapomniałam o balsamie do opalania –

dodała.

– Mam tego mnóstwo – odparła Joyce. Wrzuciła skórkę od banana do kosza na śmieci, a potem wskazała na swoją torbę. – Mam też duży dzbanek mrożonej herbaty. Spodoba ci się plaża, którą tu mamy. Jest prywatna, więc wiesz, co to oznacza, prawda?

– Co?

– Stroje kąpielowe są opcjonalne.

Clare nie mogła wymyślić żadnej odpowiedzi. Czy to znaczy, że będzie się opalać nago? Nie czuła się wystarczająco komfortowo, by o to zapytać. W końcu wykrztusiła z siebie:

– To chyba nie w moim stylu. A w tej chwili w większości jestem bielsza niż piasek.

– Och, naprawimy to. Może pójdziesz się przygotować?

Clare od razu zorientowała się, że grzecznie jej powiedziano, że się ociąga. Pobiegła do sypialni i rozebrała się pospiesznie. Z kilku kostiumów kąpielowych, które kupiła, wcisnęła się w jednoczęściowy strój z lycry typu maillot, w kolorze delikatnej miętowej zieleni. Przeczesała szybko włosy, zastanawiała się: *czy powinnam powiedzieć Joyce, że Dellin zaprosił mnie wczoraj na plażę?*

Ale natychmiast odrzuciła ten pomysł. *Po co to robić? Joyce mogłaby to źle odebrać.* W jakiś złośliwy, dziewczęcy sposób mogłoby to zabrzmieć, jakby Clare się przechwalała. Ta myśl przyszła jej do głowy po prostu dlatego, że nagle propozycja Dellina mile ją zaskoczyła, a on nawet zasugerował, że mogliby kiedyś w przyszłości pójść razem na plażę.

Potem pojawiła się jeszcze lepsza myśl: *Może nawet będzie tam dzisiaj...*

– Hej, Clare? My tylko idziemy na plażę, a nie na bal!

– Zaraz tam będę! – Ręcznik, torba plażowa, przypomniała sobie. *Czy o czymś zapomniałam?* Jeśli tak, to dowie się o tym, gdy dotrze na miejsce. Założyła okulary przeciwsłoneczne, włożyła klapki i już miała wychodzić...

Ach, ta koperta...

Zostawiła ją na komodzie. Była skłonna ją zostawić, zajrzeć do niej później. *Ale co, jeśli to nie jest to, o czym myślała Joyce. Co, jeśli to coś innego?*

Otworzyła kopertę, wyciągnęła pojedynczą kartkę papieru i wpatrywała się w nią. Układ druku na stronie był nierówny, a jakość wydruku dość słaba – najwyraźniej była to wielokrotna kserokopia kserokopii. Ale tym, co najbardziej zaniepokoiło Clare, była forma listu. Clare widziała już wcześniej takie rzeczy. To jest zawiadomienie o oskarżeniu o przestępstwo...

Od: Biuro Sędziego Rzecznika Generalnego

Pentagon, Waszyngton, D.C.

Do: Oddział MILPERS

Fort James K. Polk, Akron, Ohio

Re: ZAWIADOMIENIE O ZAMIARZE ŚCIGANIA

1) Kwatery Główna JAG przesyła to międzybranżowe FYI: Zgłaszajcie i przetwarzajcie następujące ITP w Rejestratorze MILPERS, zgodnie z postanowieniami Army Regulation 201-173, Paragraf F, UCMJ.

Do tej pory Clare wiedziała, co to wszystko znaczy. MILPERS oznaczało „personel wojskowy”, a UCMJ odnosiło się do Uniform Code of Military Justice, wojskowego kodeksu prawnego. To była lista spraw karnych, które zostały wysłane z najwyższych władz wojskowych, aby oficjalnie wprowadzić je do bazy danych sądownictwa armii amerykańskiej. Była to lista osób, które armia zamierzała osądzić za przestępstwa.

Reszta była prawdziwą, uporządkowaną alfabetycznie listą personelu wojskowego, który miał być postawiony w stan oskarżenia. Mniej więcej w jednej trzeciej arkusza szczególnie jedno nazwisko rzuciło jej się w oczy:

– DANIELS, DELLIN, K. Kapitan O-3/MOS: 45C20 – Inżynier Technologii Badań Molekularnych, STACJA SŁUŻBOWA: Fort Dietrich, Maryland, (BWS), ZARZUT(Y):

a) Nieuprawnione ponowne umieszczenie potencjalnie niebezpiecznych/potencjalnie klasyfikowanych materiałów.

Dobry Boże, to było wszystko, co Clare mogła pomyśleć. Ale następna uderzyła ją myśl: Adam!

To nie mógł być nikt inny, tylko Adam, który wsunął to do skrzynki pocztowej Clare. *Jezu Chryste, przecież widziałam, jak ten facet wyjeżdżał stąd piętnaście minut temu!* Jej niechęć do Adama wywołała pierwszą emocjonalną reakcję: *ten sukinsyn niszczy Dellina, bo wie, że się w nim podkochuję. Próbuje mnie odciągnąć od Dellina i skierować w moją stronę.* Ale to była nierozsądna reakcja i wiedziała o tym po chwili zastanowienia. To wszystko było czymś o wiele ważniejszym.

Jego motywy nie mają znaczenia. Adam miał rację. Dellin ma niejasną przeszłość. Mamy tu coś, co mutuje lokalną faunę i florę, prawdopodobnie z powodu nielegalnie wyrzucanych toksycznych chemikaliów... a teraz patrzę na oficjalny dokument oskarżający Dellina o dokładnie to samo...

Naraz ogarnęło ją przygnębienie. Żle odczytała Dellina, a ta niepodważalna prawda właśnie całkowicie zniweczyła jej zauroczenie nim. Oczywiście nie mogła nic z tym zrobić. Posiadanie tego dokumentu było jawnym pogwałceniem prawa Dellina do prywatności i nawet gdyby policja prowadziła dochodzenie, to bez prawdziwych dowodów nic nie mogłaby wnieść do sądu. *Mogłabym nawet sama zostać oskarżona za posiadanie tego dokumentu. Wiem, że Adam go tu umieścił, ale nie mam na to żadnego dowodu. Z moją WŁASNĄ kartoteką wojskową?*

Clare wiedziała, że nawet przyznanie się do tej informacji spowoduje tylko wyrzucenie jej ze świetnej pracy i przysporzy jej jeszcze więcej kłopotów. *Cholera... Zawsze, gdy dzieje się coś dobrego, zaraz za tym pojawia się coś, co może to zepsuć...*

– Clare? Chyba zapuszczę zaraz korzenie.

Chwyliła swoje rzeczy i pospiesznie wyszła. Starła się sprawiać wrażenie niewzruszonej, ale domyślała się, że to widać.

– Jestem gotowa. Przepraszam.

– Świetnie! – uśmiechnęła się szeroko – Pokochasz tę plażę!

Wyszły z tyłu, poszły małą ścieżką, która biegła przez krzewy i przeredzające się drzewa, które otaczały plażę. Joyce praktycznie truchtała w swoim entuzjazmie; Clare pragnęła tylko, by mogła go teraz podzielać.

Oczywiście, nie mogła też powiedzieć o tym Joyce – nie mogła powiedzieć nikomu. Nie miała pojęcia, jak zareaguje, gdy następnym razem zobaczy Adama. Mogła mieć tylko nadzieję, że go nie zobaczy.

– Weź leżak. Czyż nie jest cudownie?

Kilka składanych leżaków leżało ułożonych w stos na brzegu plaży. Joyce chwyciła jeden i ruszyła przed siebie.

Plaża okazała się przepiękna. Piasek był idealnie biały, a zielono-niebieskie fale łagodnie uderzały o brzeg tuż przed nią. Po drugiej stronie szerokiego na dwa kilometry wlotu zatoki widziała pierwszą część wyspy i słońce promieniujące na wodę. To chyba był najpiękniejszy widok w jej życiu.

Ale teraz nie cieszyła się tym. Jej zauroczenie Dellinem zostało w jednej chwili zniszczone. Trudno było sobie przypomnieć większe rozczarowanie. *Na pewno wiem, jak wybierać chłopaków, których chcę polubić. Wojskowy skazaniec...*

Ale było też coś innego, nieprzyjemny niepokój, przypominający ukąszenie owada na samym środku pleców, takie, którego nie dało się zdrapać. *Coś na tej liście... może akronimy?*

Była tak roztargniona, że ustawiła leżak w złym kierunku.

– Pierwszy raz na plaży? – powiedziała Joyce i zaczęła się śmiać. – Domyślam się, że naprawdę chcesz chłonąć ten wspaniały widok z twojej tylnej werandy.

– Jestem dziś do niczego – odpowiedziała Clare. – Właśnie przypominałam sobie, czego zapominałam. Mózgu – Wyprostowała się na krześle, ale jej myśli wciąż błądziły.

Tak, te akronimy...

Rozciągnęła się na leżaku, wpatrując się w łagodne fale, ale tak naprawdę ich nie widząc. Wtedy właśnie przypomniła sobie akronim, który ją niepokoił. Tuż pod nazwiskiem Dellina na dokumencie widniała informacja o miejscu popełnienia wykroczenia. Nagle przypomniła sobie dokładnie, co tam było napisane:

Miejsce pełnienia służby: Fort Dietrick, Maryland, (BWS). Skrót na końcu był tym, który ją zastanowił. BWS, pomyślała z zaciekawieniem. BWS...

Wiedziała, że już to kiedyś słyszała. Jakikolwiek to był wydział czy specjalność techniczna, była pewna, że Siły Powietrzne też to mają. *Cholera! Nienawidzę tego! Mam to na samym końcu mojego języka!* Ale w ciągu kilku chwil jej zdenerwowanie zmieniło się w szok – gdy w końcu przypomniła sobie, co oznaczają te trzy litery.

Sekcja Broni Biologicznej...

(II)

Byliby wściekli za to, że jest tu tak na zewnątrz, gdy jest jasno. Nie chcieli, żeby zwykli ludzie to widzieli, więc to miało zostać w rurze. Ale czasem i tak wychodziło, bo lubiło widzieć, jak wyglądają rzeczy, na które pada światło.

Tak, podobało mu się to, jak rzeczy wyglądają.

Lubiło tak po prostu tu siedzieć. Siedziało w jakichś krzakach, patrząc na zewnątrz. Wiedziało, że niedługo powinno wrócić do rury, ale jeszcze nie chciało. Ostatnia noc była ekscytująca. Patrzyło, jak długowłosego mężczyzna robił salta i wył na brzegu jeziora.

To, co było w jeziorze, dopadło go. Fajnie było patrzeć, jak umiera. Kiedy długowłose przestał się ruszać i wyć, podeszło do niego i podniosło go, a potem wrzuciło z powrotem do wody. Lubiło rzeczy w jeziorze i lubiło je karmić.

Długowłosego mężczyzna podszedł od strony plaży; wtedy zobaczyło go po raz pierwszy. Grzebał w piasku na plaży, wyciągał różne rzeczy i wkładał je do wiadra. Nie wiedziało, co to były za rzeczy. Były białawe i jakby okrągłe. Miały taki sam kształt jak ta część między jego nogami, którą zabrała mu mała, chuda, brudna dziewczyna, gdy próbowała uciec łódką.

Bardzo bolało, gdy to robiła, ale to nie miało znaczenia. Ta część, którą oderwała, już odrastała. Później mała, chuda, brudna dziewczyna została zabrana ciężarówką ze śmiesznie wyskakującymi światłami. Żałowało, że ją zabrano, bo lubiło jej to robić.

Byli na to źli, bo została zabrana. Nie wolno było zabijać dziewczynek, tylko mężczyzn. Wiedziało, że potrzebują dziewczynek, aby umieścić je w specjalnym pokoju.

To wszystko, co wiedziało – że lubili umieszczać dziewczynki w tym pokoju.

Byli też źli z powodu wiader. Rzeczy w wiadrach. Miało opróżniać wiadra do jeziora, ale kilka razy zapomniało. Odstawiało wiadro na minutę, żeby się wysikać albo złapać węża do jedzenia, a potem zapominało o wiadrze. Krzyczeli na to, gdy to robił. Zapominał, gdzie zostawił wiaderko! Wiedziało, że będzie musiało się bardziej postarać.

Siedziało tam teraz, patrząc na zewnątrz. Czulo się pełne. Teraz, gdy myślało o wiadrach, przypominało sobie wiadro z ostatniej nocy, to, którego używał długowłose mężczyzna. Wypełniał je białawymi, okrągłymi rzeczami, które wykopał w piasku.

Po tym, jak wrzuciło jego martwe ciało z powrotem do jeziora, zjadło wszystkie małe, białe, okrągłe rzeczy z wiadra. Poruszały się w jego ustach, zanim je połknął. Smakowały dobrze i napełniały je. Bardziej jednak lubiło węża. Odgryzało głowę i wysysało wnętrzności. Jadło też dużo robaków. Lubiło, gdy chrupały.

Teraz zaczynało się niepokoić. Potrzebowało kobiety, z którą mogłoby to zrobić. Potrzebowało jej szybko. Nie wiedziało, gdzie jest teraz ta mała, chuda, brudna dziewczynka, ale gdyby wiedziało, poszłoby po nią i zrobiłoby jej to mocno.

Tak, bardzo potrzebowało kobiety i miało nadzieję, że taka wkrótce się pojawi. Czasami przychodziły w nocy ze swoimi mężczyznami. Wiedziało, że nie powinno się brać kobiet w ciemnych ubraniach z błyszczącymi plakietkami. Nie wolno było, chyba że oni tak powiedzieli. Tam były dwie z nich i były naprawdę ładne. Szkoda, że nie wolno mu było wziąć żadnej z nich. Wiedziało, czego chcą. Chcieli kobiet z zewnątrz. Wiedziało, że jeśli da im kobietę z zewnątrz, to będą naprawdę zadowoleni. Naprawdę miało nadzieję, że któraś przyjdzie. Może któraś przyjdzie dziś wieczorem.

Zaczęło myśleć o tych dwóch ładnych kobietach w ciemnych ubraniach. Najbardziej podobała mu się ta niższa, ta z włosami koloru piasku na plaży.

Tak, ona naprawdę mu się podobała. Chciałoby móc ją zabić i zrobić to z nią, gdy ją zabija. Nie wiedziało, czemu tak to odczuwa. Po prostu tak było.

(III)

– Ta trupia błądź musi zniknąć.

– Co?

– Masz to, co nazywamy opalenizną białasów, Clare. Twoja twarz i ramiona wyglądają nieźle, ale reszta ciebie jest biała jak duch.

A więc jestem białasem. Zdecydowanie muszę więc wychodzić na zewnątrz.

– Cóż, możemy zacząć to robić już teraz.

Clare położyła się na brzuchu, z zamkniętymi oczami i brodą opartą na nadgarstkach. Joyce smarowała olejkami do opalania tył jej nóg, a gdy skończyła, zajęła się na ramionami...

Boże, jakie to przyjemne uczucie, pomyślała. *Ale lepiej tego nie mówić, bo pomyśli, że mam na nią ochotę.*

Dłonie Joyce mocno pracowały nad mięśniami ramion i karku.

– Jesteś pewna, że nie chcesz pozbyć się stroju? Najlepsza jest pełna opalenizna. Nie martw się, nie jestem lesbą; nie będę próbowała cię przelecieć.

– Nie, jestem tchórzem. – To nie było w jej stylu, ten pomysł wydawał się po prostu zbyt dziwny. Nie czuła się dobrze w swoim ciele. Była za chuda, i miała za małe piersi.

– No to przynajmniej ściągnij górę tego cholernego jednoczęściowego stroju do pasa.

– Dobrze – Kiedy usiadła, Joyce pomogła jej ściągnąć kostium. Wydawała się być świadoma niepokoju Clare, nie spuszczać wzroku z jej piersi.

– Proszę. To na początek na plecy. Nic nie wygląda gorzej na Florydzie niż dziewczyna z linią opalenizny biegnącą przez środek pleców.

Joyce podwoiła czas masażu pleców, pracując palcami w górnej części kręgosłupa. Clare poczuła, że poddaje się w gorącym, sennemu znużeniu. Tym razem wyznała na głos:

– Boże, jakie to przyjemne uczucie.

– Takie powinno być.

Jeśli chodzi o samą Joyce, to zweryfikowała swoje wcześniejsze przypuszczenia w momencie rozkładania leżaków. Zsunęła z siebie plażowy szlafrok, odsłaniając piękną opalenizną. Clare chciałaby poczuć się tak samo pewnie w swoim ciele.

Twarde opuszki palców powędrowały w górę długiego pasa mięśni po obu stronach kręgosłupa.

– Mówię to tylko jako przyjaciółka – skomentowała Joyce, gdy jej dłonie kontynuowały swoją magię. – Więc nie czuj się urażona, ale naprawdę powinnaś trochę przytyć. Jesteś dobrze wyglądającą kobietą, ale byłabyś o wiele bardziej atrakcyjna, gdybyś przytyła dziesięć kilo.

Clare nie poczuła się urażona; w rzeczywistości doceniła tę uwagę. Najlepiej było, oczywiście, nie tłumaczyć się ze swojego złego odżywiania. Insynuacje Dellina z jej pierwszego dnia były całkiem słuszne: *czy byłaby wiarygodnym szefem ochrony, gdyby jej strażnicy wiedzieli, że przysłała tu prosto ze schroniska dla bezdomnych?* Zamiast tego powiedziała po prostu:

– Wiem. Odkąd odeszłam z Sił Powietrznych, trochę sobie odpuściłam. Ale teraz to wszystko się zmieni.

– Dobrze.

To wszystko było przez ostatni rok, najgorszy rok w jej życiu. Poza tym cieszyła się świetną kondycją fizyczną, zwłaszcza w Siłach Powietrznych. Nawet od okresu dojrzewania nigdy nie miała złej samooceny. Zawsze myślała o sobie jako o przeciętnie wyglądającej, normalnej dziewczynie. Co było z tym nie tak? To stres związany z bezdomnością spowodował, że jej wygląd się pogorszył. Błędne koło. Nawet gdy było dostępne jedzenie – ciężarówka z kanapkami, kuchnie dla ubogich – sam stres związany z jej sytuacją zabijał jej apetyt. Teraz chodziło o coś więcej niż tylko o właściwe odżywianie się. Musiała właściwie radzić sobie ze stresem, a to oznaczało nie przejmować się każdą drobnostką, nie zamartwiać się rzeczami ponad miarę. Już teraz widziała, jak to się dzieje; widziała, jak stanie się to problemem, jeśli nie będzie kontrolowała swoich reakcji. Nietypowo duże zwierzęta i owady, toksyny, które prawdopodobnie zostały wrzucone do jeziora, klinika, Adam Corey, Dellin i cała reszta. To wszystko się nawarstwiało. Czy powinna się tym przejmować? Czy jej obawy były uzasadnione? Prawdopodobnie, odpowiedziała sobie już na to pytanie. *Muszę teraz nad tym panować.* Nie mam wyboru, pomyślała.

Dzisiejsze odkrycie niewiele jej pomogło. Wojskowa kartoteka kryminalna Dellina: sztywny żargon wojskowy: „Nieupoważnione ponowne umieszczenie niebezpiecznych materiałów” – oznaczało to samo, co podejrzewał Adam: wyrzucenie toksycznych odpadów. Jego przydział do Sekcji Broni Biologicznej tylko spotęgował intensywność konsekwencji.

Ale wiedziała też, że może się w tym wszystkim mylić. *Martw się o to później*, nakazała sobie, i cóż to był za luksus, wylegiwać się na pięknej plaży. Ale w momencie, gdy przyrzekła sobie, że zostawi te smartwienia za sobą, pojawiły się kolejne.

– Czy poznałaś już dyrektora kliniki? – zapytała Clare. – Jeszcze nie zdążyłam nawet rzucić okiem na tego faceta.

– Harrego? Tak, poznałam go. Oboje z Rickiem poznaliśmy go, gdy przechodziliśmy proces rekrutacji. Miły człowiek, po pięćdziesiątce. Trochę flegmatyczny, ale czego się spodziewać po jajogłowych? Tak naprawdę nie widujemy go zbyt często. Z tego, co rozumiem, to on odkrył Interthiolate, a Dellin jest facetem, który podaje go pacjentom. Harry nie jest dupkiem, jeśli o to pytasz.

– Hmm. Dellin powiedział, że prawdopodobnie będę mogła go poznać w przyszłym tygodniu. Właśnie o nim myślałam.

Teraz opuszki palców Joyce energicznie gładziły Clare po plecach.

– Powiem ci, że facet, który mnie intryguje, to mąż pani Grable. Zawsze mówiła o nim, jakby był najwspanialszym człowiekiem na świecie. Chryste, on ją bije co noc.

– Widziałam go wczoraj – przyznała Clare, ale oczywiście nie przyznała się, że przez lornetkę. – Wiem, jak myślące mogą być pozory i mogą się mylić, ale jeśli mnie pytasz, to on po prostu nie wygląda na takiego faceta, który znęcałby się nad swoją żoną.

– Cóż, ktoś ją bije jak diabli. – Joyce wzruszyła ramionami. – I to też jest naprawdę wyrachowane. To prawie tak, jakby zostawiał ślady tam, gdzie ich nie widać, czyli pod ubraniem. Dzisiaj plewiła chwasty na rabatach i widziałam jej plecy, gdy za bardzo się pochylała. Wyglądało, jakby miała na nich ślady ugryzień. – Kciukami uciskała wokół nasady kości ogonowej. – Ale chyba zawsze jest ta opcja, której nikt jeszcze nie brał pod uwagę?

– Czyli?

– Kto wie? Może pani Grable lubi tego typu rzeczy. Masochizm i takie tam. Niektórym kobietom sprawia przyjemność bycie bitą. Ból jest częścią przyjemności. To brzmi jak szaleństwo, ale znałam kilka takich dziewczyn.

Dla Clare też brzmiało to jak szaleństwo; niektórych rzeczy po prostu nie potrafiła zrozumieć. Oczywiście słyszała też o tym zjawisku, ale wątpiła, by pani Grable miała takie skłonności.

– Nie wiem – to wszystko, co powiedziała. Słońce na jej plecach i ręce Joyce sprawiały, że była tak zrelaksowana, że nie chciała myśleć o niczym ważnym. Martw się o to wszystko później, pomyślała sobie, ledwie otwierając oczy.

– Jeśli ci się to nie podoba, po prostu powiedz.

Clare była zdezorientowana tą uwagą. Masaż pleców?

– To jest cudowne – powiedziała.

– Nie. Chodzi mi o to...

O Chryste! pomyślała Clare. Miękkie dłonie Joyce przesunęły się na piersi Clare. Otworzyła usta, by zaprotestować, ale... Dłonie nadal pieściły jej piersi, opuszki palców muskały same końce sutków. Nie za mocno, ale wystarczająco mocno. Clare początkowo zszokowana, rozluźniła się i poddała pieszczocie bez słowa sprzeciwu. *Powinłam była wiedzieć, że coś takiego może się wydarzyć*, pomyślała.

Ciepły oddech Joyce musnął tył jej szyi:

– Nie sądziłam, że będziesz miała coś przeciwko – powiedziała Joyce, po czym położyła się płasko na Clare. Wilgotne dłonie ścisnęły przód jej bioder, palce pod strojem kąpielowym bawiły się włosami łonowymi. Clare czuła, jak sutki przyjaciółki

twardnieją na gorącej skórze jej pleców. Całe jej ciało zawrzało od zderzających się emocji i rozkosznych doznań. Szok, który ją zamykał... pękl. Wydawało się, że pod wpływem dotyku Joyce, odpłynęła w przypiływie przyjemności.

Wkrótce zaczęła walczyć z samą sobą. Miała ochotę odwrócić się, zrzucić z siebie strój kąpielowy i po prostu owinąć nogi wokół Joyce, wślizgnąć się wprost na jej idealne brązowe ciało i całować, pieścić i dotykać.

– Zostań tak, na brzuchu.

Clare skrzywiła się; chciała zobaczyć, co Joyce robi, chciała zrobić coś w zamian. Dwa razy próbowała się odwrócić, ale Joyce delikatnie ją odepchnęła.

– Myślę, że to ci się spodoba...

Miękki brzęczący dźwięk był na początku dziwny, ale potem wydał się jej znajomy. Joyce powoli przesuwiała wibrator po wewnętrznej stronie uda Clare. Egzotyczne doznanie prześladowało ją; natychmiast zapragnęła więcej, między nogami. *Boże, tego już za wiele...* I właśnie wtedy, gdy zaczęła głośno jęczeć, przerwał jej głos.

– Clare? Clare, lepiej się odwróć.

Clare poczuła chwilową dezorientację, po czym szybko podniosła się na łokciach. Jej otwarte oczy skierowały się na Joyce, która leżała na swoim leżaku.

– O co chodzi?

– Śpisz od prawie godziny – powiedziała Joyce nie patrząc na nią. Jej twarz była zwrócona ku słońcu, oczy zamknięte pod okularami przeciwsłonecznymi. – Lepiej się teraz odwróć, bo plecy ci się spalą.

Clare westchnęła, zdumiona. *Jezu, kolejny sen. Niedługo będę musiała udać się do kliniki zaburzeń snu...* Podświadomość znów ją wrobiła. Nic się nie wydarzyło, ale mimo to wciąż czuła podniecenie. Czy ta lesbijska scena oznaczała coś, czego Clare nie była świadoma? Skąd to się wzięło? *Kim ja teraz jestem, lesbijką w ukryciu?* Odwróciła się na plecy, mając nadzieję, że zachowuje się normalnie. To była tylko kolejna zagadka, kolejny aspekt jej samej, którego nie mogła kontrolować. Poczuła się przygnębiona.

Wiem, że nie jestem lesbijką. Wiem, że nie pociągam seksualnie Joyce, ani żadnej innej kobiety. Co jest ze mną nie tak? Przynajmniej była jedna jasna strona – sen nie był koszmarem. Nie było w nim obrazów z jej gwałtu, nie pojawiał się Stuart Winster i jego szpetna dwupalczasta ręka. *W porządku, miałam erotyczny sen o Joyce,* podsumowała. To nic takiego...

– Nie zapomnij o olejku.

Clare odkręciła butelkę z olejkiem do opalania i rozsmarowała go na kolanach i stopach, potem na rękach, szyi i twarzy. Ale nadal była topless, z kostiumem ściągniętym do pasa. Jej sutki stały na baczność i była pewna, że Joyce je zauważyła. *To jest takie żenujące!* Ręce prawie jej drżały, jakby wiedziała, co się za chwilę stanie. Gdy rozsmarowała więcej olejku na swoim brzuchu i piersiach, przypiływ podniecenia sprawił, że czuła się zażenowana. Rozprowadzając olejek na własnych piersiach czuła się tak, jakby robił to jej kochanek. W końcu położyła się na wznak. *Jestem popaprana!* Uśmiechnęła się do siebie.

– Może pójdziesz ze mną dziś wieczorem do baru? – zapytała Joyce. – To całkiem fajne miejsce.

– Dzięki za propozycję, ale naprawdę nie powinnam. Przez cały weekend jestem na dyżurze; naprawdę powinnam mieć wszystko na oku. A poza tym i tak nie jestem osobą lubiącą bary, nie przepadam za piciem.

– Więc wypijesz colę. To dziesięć minut drogi, prosto na Gulf Boulevard. Jeśli coś się stanie w klinice, system da ci sygnał dźwiękowy, a my natychmiast wrócimy i sprawdzimy, co się stało. Ale wierz mi, że i tak nic się nie stanie. Chodź, nie chcę iść tam sama.

– Jasne, pójdę z tobą, ale wypiję tylko jednego drinka. – Clare nie bardzo miała na to ochotę; nigdy nie czuła się komfortowo w barach, ale z drugiej strony może to i dobry pomysł, żeby pójść gdzieś na chwilę i odpocząć.

– Albo dwa. Świetnie! Będzie fajnie, zobaczysz.

Zobaczenie nowych miejsc i zapoznanie się z okolicą dobrze by jej zrobiło, może i byłoby fajnie. Od wieków nie była w barze.

Morska bryza i szum fal sprawiły, że Clare na chwilę odpłynęła. Tym razem nie było snów, tylko szum fal i ciepła pieśczoła słońca. Fragmenty myśli zdawały się wyrwać ją z cudownej chmury ciszy i spokoju: Dellin, karaluchy i żaby, Adam Corey, i tak dalej. Luksusem było nie musieć się tym przejmować.

– Siemanko, dziewczyny. Wow, Joyce! To najlepszy kostium kąpielowy w cielistym kolorze, jaki kiedykolwiek widziałem.

– Ty dupku! – krzyknęła Joyce, zrywając się z leżaka i wciągając na siebie plażowy szlafrok. – Czy ty w ogóle nie masz szacunku? Co ty tu robisz!

Cisza i spokój Clare roztrzaskały się jak butelka po piwie o chodnik. Wiedziała, zanim jeszcze spojrzała. Adam Corey, jak zawsze w swoim mundurze służby parkowej, szedł tuż za nimi.

– Adam, to jest poniżej pasa nawet jak na ciebie – powiedziała Clare i szybko podciągnęła kostium.

– Wynos się stąd, zbrojeńcu! – krzyczała Joyce – Czemu się do nas zakradasz?

– Nie podkradam się do nikogo. Skąd miałem wiedzieć, że będziecie tu nago?

– Adam, to nasz wolny dzień – skarżyła się Clare. – Nie ma żadnego powodu, żebyś tu był. To jest naprawdę wulgarne.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Adam zmarszczył brwi. – To ty do mnie zadzwoniłaś, pamiętasz? Zostawiłaś jakąś dziwną wiadomość na poczcie głosowej.

Karaluch? pomyślała Clare. – To było tylko do twojej wiadomości, Adamie. Klinika jest zamknięta do poniedziałku rano, wtedy możesz przyjść i go odebrać.

– Dlaczego nie teraz? To znaczy, niektórzy z nas traktują swoją pracę poważnie. Kiedy jest coś do zrobienia, robimy to, a nie odkładamy to do poniedziałku, bo wolimy siedzieć na plaży nago.

– To poczeka, Adamie. Nie jest aż tak pilne. – odparła Clare.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś, zbrojeńcu – Joyce wciąż na niego patrzyła. – Użyłeś tego jako pretekstu, by zobaczyć nas nago. Powinam złożyć na ciebie doniesienie.

– Zabawna jesteś. – Strażnik wykrzywił się w szerokim uśmiechu – Kąpiel nago na rządowej ziemi jest przestępstwem federalnym. Śmiało, złóż na mnie doniesienie. Wszystko, co zrobi mój szef, to poprosi o twój adres, żeby mógł wysłać ci wezwanie i grzywnę za nieprzystwoite obnażanie się.

– Och zamknij się! – Joyce odwróciła się od niego, usiadła z powrotem na leżaku. – Uznaj to za swój dreszczyk emocji na ten dzień. – Potem przesadnie dramatycznie naciągnęła kołnierz szlafrocka ciasniej wokół szyi. – Napatrzyłeś się, teraz ruszaj w drogę. Czas podglądania dobiegł końca.

– Pomyślałem, że może chciałabyś wiedzieć, skoro jesteś szefem ochrony. Wygląda na to, że Kari Ann Wells z tego nie wyjdzie – Adam ignorował teraz Joyce, zwracając się do Clare.

– Co? – Clare się podniosła.

– Zadzwoiłem, żeby zobaczyć, jak sobie radzi, ale powiedzieli, że jej serce zaczęło wczoraj w nocy mocno migotać. Jest teraz na intensywnej terapii, w stanie krytycznym. – Zaczął się oddalać. – Przepraszam, że przeszkodziłem wam w podczas tej harówki.

– Szkoda tej dziewczyny – ta wiadomość i cała sytuacja sprawiły, że Clare poczuła się fatalnie.

– Tak. Ale co można na to poradzić? Ci narkomani sami się o to proszą. Ludzkie ciało ma swoje ograniczenia.

– No nie wiem. – Clare przypuszczała, że to prawda, ale nie sprawiło to, że poczuła się lepiej. – Może trochę przesadziłyśmy z reakcją na Adama. Może on naprawdę przyszedł tu nie tylko po to, by zobaczyć nasze cycki.

Po chwili zastanowienia obie spojrzały na siebie.

– Jedzie mi tu czołg? – zapytała Joyce.

CZĘŚĆ TRZECIA

FEDERALNA SIEĆ ŁĄDOWA S27-0078
ŚRODKOWA FLORYDA
CZERWIEC 1995

Ani Fredrick, ani Dales nie mogli zaprzeczyć temu, co widzieli na własne oczy. Zachodnia ściana cenoty była znacznie mniej równa niż inne ściany, bardziej przypominała kupę osadowego gruzu, ale mimo to twarda jak łupek, stopiona razem przez eony i ciśnienie geotermiczne. A to, co na początku uznali za drugi dół – lub zwykły otwór na krawędzi muru – po bliższym przyjrzeniu okazało się być czymś więcej niż szczeliną w potrząskanym kamieniu.

A z tej szczeliny wystawała ręka.

– To nie jest ludzka ręka – Dales spojrzał błagalnie na profesora Fredricka. – Prawda?

– Przypuszczam, że, mmm, wydaje się, że to nie jest....

– Nie, nie, nie! – nalegał Dales. – Żeby tylko wiedział, że nie jestem szalony. Jeśli jestem szalony, to w porządku. Tylko mi powiedz, że to jest ludzka ręka – gwałtownie szturchnął palcem zamarznąłą dłoń. – No dalej. Powiedz mi, a wyjdę stąd.

Fredrick rozumiał niepokój swojego młodszego kolegi. Fredrick też był niespokojny, zdezorientowany, podekscytowany i trochę przestraszony. Ale pozostał opanowany.

– Dales, nie, to nie wygląda jak ludzka ręka. Jest zbyt duża. Ale jest kilka rzeczy, które mogą tłumaczyć jej nieproporcjonalny rozmiar.

– Na przykład co?

– Cóż, kaprysy podziemnego środowiska, na przykład.

– Daj spokój, szefie. Czterech kapłanów i ofiara doskonale się tu zakisili. Dlaczego więc to nie? I nie mów mi, że to opuchlizna od jakiejś choroby czy zakażenia krwi. Możesz zobaczyć kontury tej ręki tak samo dobrze jak ja. Nie ma żadnych dowodów na obrzęk, jest morfologicznie spójna.

– Dales, potrzebowalibyśmy dokładnej mikroskopii, zanim moglibyśmy wykluczyć objaw obrzęku.

– Gównu prawda – Dales wskazał z powrotem na rękę. – To ma pazury!

Cóż, pomyślał Fredrick. *To jest to.*

Ręka miała obsydianowo-czarny kolor, w pełni otwarta w swojej skamielinie. Gdyby mógł określić wygląd skóry jakimś słowem, musiałyby to być *krokodyl*: różnej wielkości segmenty, przypominające łuski, setki łusek. Kolejną rzeczą były pazury. Każdy palec zakończony był ostrym czubkiem, w którym była jakaś nadmierna brzydota; wydawały się bardziej częścią każdego opuszka, a mniej czymś, co wyrosło jak ludzkie paznokcie. Gdyby Fredrick miał określić tę cechę jakimś słowem, musiałyby to być... *Demoniczne*, pomyślał.

– Nic tu nie oświetlę tymi cholernymi latarkami z drogerii – żalił się Dales. – Dzwoniłem po cholerną ekipę oświetleniową dwadzieścia minut temu.

– Cierpliwości, synu.

– Leję na cierpliwość. Cierpliwość może mnie pocałować we włochatą dupę. Ty i ja wiemy, czym jest to coś. Chcę to zobaczyć teraz. – Ich uprząże leżały na ziemi dokładnie w kręgu światła pod otworem zrzutowym. Dales założył radiowy zestaw słuchawkowy, który był podłączony do liny wyciągu.

– Co do cholery jest nie tak z wami, ludzie tam na górze! Potrzebujemy tej ekipy ze światłami na dole, natychmiast! Jezu Chryste, dryf kontynentalny przesunie Florydę do Teksasu, zanim wy, tępaki, pozbieracie się do kupy! Jeśli w ciągu pięciu minut nie będzie tu tego sprzętu, wejdź z powrotem na górę i skopię wam tyłki!

Z otworu zrzutowego słychać było dobiegający śmiech.

– Tak, śmiało, śmieście się, dupki. Zobaczmy, jak mocno będziecie się śmiać na zaliczeniach, kiedy obleję wszystkie wasze dupy.

Ekipa ze światłami zaczęły schodzić minutę później.

– Dales. Patrz. – Wzdłuż ziemi leżał długi zakrzywiony przedmiot z twardego drewna i widać było, że został ręcznie wyrzeźbiony. Jeden koniec stanowił rękojeść, a z drugiej rozszerzał się i spłaszczal, tworząc ostrze.

– Co to jest? – zapytał Dales. – Młot wojenny Ponoye?

– Blisko. To kirri-manano, ponojskie „ostrze-ofiarne”. Pamiętaj, nie było żadnej metalurgii – Ponoje byli mistrzami w nadawaniu ostrych krawędzi ostrzom z twardego drewna. W ofiarach Ponoye nigdy nie dochodziło do upuszczania krwi, ofiary były zawsze duszone, lecz kapłani zawsze przynosili kirri-manano, aby złożyć je w darze. W przypadku, gdyby wcielenie, to znaczy...

– Masz na myśli, że gdyby wcielenie zadziało, a oni przywołaliby demona, daliby mu w prezencie jedną z tych kirri-rzeczy – powiedział Dales. Potem nie szczędził śmiechu. – Cóż, wygląda na to, że nie zadowolił się zbyt tym prezentem, szefie. Wyrwał ręce, nogi i głowy koleśiom, którzy mu to dali!

– Dales. – odpowiedział Fredrick z frustracją w głosie – Wiem, o czym myślisz, naprawdę wiem, i w każdym innym przypadku byłbym zaskoczony, a nawet rozczarowany. Ale w tych okolicznościach mogę zrozumieć, jak nawet ludzie tacy jak my, ludzie nauki, mogą dać solidną wiarę możliwości...

– Daruj sobie, szefie – przerwał Dales. – Po prostu odpowiedz tak lub nie. – Skierował swoje światło latarki z powrotem na kamienny dolmen, na którym leżała młoda kobieta. – A co z tą kobietą – kapłani zabili ją na dolmenie?

– Na typowym ofiarnym dolmenie, tak. Zadusili ją na śmierć podwiązką, jak to było w ich zwyczaju.

– Złożyli ją w ofierze w wyraźnie okultystycznym rytuale.

– Tak.

– Rytuale wcielenia?

– Dokładnie.

– Próbowali, podobnie jak niezliczone starożytne plemiona ludzkości, wcielić się w diabła.

– Tak.

– W cenocie. Czyli w tym, w czym teraz stoimy.

– Tak.

– W takim razie... kto zabił tych czterech kapłanów? – dopytywał cedząc słowa Dales.

– Przypuszczam, że jedynym logicznym wnioskiem byłoby...

– Gówna prawda. To coś zabiło kapłanów, to coś, co na bank nie jest człowiekiem. – powiedział donośnym głosem Dales – Ci kapłani chcieli wskrzesić demona i udało im się. Czym innym mogłoby być to coś... jak nie zmumifikowanymi zwłokami demona?

W ciągu godziny cenota była oświetlona jak za dnia; w ciągu dwóch, każdy centymetr kwadratowy został oznaczony, odgradzony, sfotografowany i oznaczony cyframi.

W ciągu trzech otrzymali swoje pierwsze odczyty MMADS.

– Ten cholerny college mógłby kupić przynajmniej jeden z nowszych modeli – narzekał Dales, siedząc przy monitorze. – Ten stary kawał gówna potrzebuje wieczności tylko po to, by przetworzyć wstępny odczyt.

– Cierpliwości – Fredrick powtórzył radę, której nauczenie się samemu zajęło mu dziesiątki lat.

– Wiem, że ta ściana to martwy punkt, musi nim być.

– Prawdopodobnie, ale niekoniecznie – ostrzegł starszy mężczyzna.

– Jasne, trzęsienie ziemi, wstrząs? – Dales zachowywał się tak, jakby nawet nie słyszał swojego mentora. – Spowodowało to upadek tego końca cenoty, co oznacza, że gdy zrobimy wykopaliska, zobaczymy, co jeszcze było tu dziesięć tysięcy lat temu.

– Wydajesz się pełen nadziei. – Fredrick postanowił się z nim zabawić.

– Dlaczego miałbym nie być?

– Jeśli to naprawdę jest spadek, a nie część oryginalnej cenoty, to reszta ciała twojego demonicznego przyjaciela jest zmiażdżona pod gruzami. Gdybym był na twoim miejscu, miałbym nadzieję, że to nie jest uskok. Miałbym nadzieję, że ta szczelina jest nienaruszona, a w takim przypadku reszta ciała twojego przyjaciela może być też nienaruszona.

Dales nie odpowiedział, analizując odczyty na ekranie MMADS. *Myszę, że on naprawdę wierzy, że to demon*, pomyślał Fredrick. Widział już w przeszłości, jak podobne rzeczy przytrafiały się młodszym i bardziej entuzjastycznym archeologom: poważne odkrycie czasami psuło ich koncepcje. Nigdy jednak nie trwało to długo. *Dales wróci na ziemię w krótkim czasie. Jestem pewien, że choroba krwi może wyjaśnić nadmierne rozmiary dłoni. Być może uraz spowodowany uderzeniem na krótko przed śmiercią. Być może ściana spadła na kolegę i nie zabiła go od razu. Obrzęk i wylanie się nadmiaru kreatyniny we krwi mogłyby tłumaczyć ten rozmiar*. Wyjaśnienie przyjdzie z czasem. Fredrick postarał się, aby nie wyprowadzać Dalesa z błędu. Przynajmniej nie na zbyt długo.

Fredrick nie wziął jednak pod uwagę, że jego hipoteza nie wyjaśniała jednej rzeczy: jak ich opuchnięta ofiara upadku ze skały zdołała gołymi rękami ściąć i rozczłonkować czterech silnych mężczyzn.

* * *

MMADS to skrót od magnetic mass-activated detection system (magnetyczny system detekcji aktywowany masą), stosunkowo nowa technologia, bo wynaleziona w latach osiemdziesiątych. Z okrągłych czujników wielkości talerza obiadowego emitowano sonar o niskiej fali, który robił „rentgen” tego, co może być osadzone, na przykład, w litym kamieniu, bloku betonu, podłożu łupkowym, glinianym lub zwykłej, ubitej ziemi. Mierzy rozbieżności w konsystencji bryły obiektu. Zadziała także na kupie kamiennego gruzu, lub w tym przypadku, na tym, co Fredrick uważał za upadek skały z częściowego zwału.

– Wow, – powiedział ktoś za nimi. – Jej sutki wyglądają jak żywe.

To byli fotografowie, pochyleni nad ofiarą na kamiennym dolmenie.

– Nie podchodźcie tak blisko! – krzyknął.

Natychmiast się cofnęli.

– Tak, każdy, kto będzie zadzierał z mumiami Profesora, zostanie skopany przez Dalesa. – dodał ktoś inny, na co reszta ekipy wybuchła śmiechem.

– A może założymy ci jeden z tych czujników MMADS. Wtedy będziemy mogli policzyć, ile myszoscokczków masz dziś w odbycie. – uśmiechnął się Dales.

Nastąpił głośniejszy śmiech. *Chłopcy będą chłopcami*, pomyślał Fredrick.

– Hej, profesorze? Jak zamierzamy wciągnąć te mumie do tego opuszczanego otworu bez uszkodzeń?

– To będzie bardzo trudne. – Nawet Fredrick zdawał sobie sprawę, że od czasu do czasu potrzeba mniej powagi. Jeśli będziesz ich rozśmieszał i od czasu do czasu odnosił się w niezbyt naukowy sposób, wtedy będą cię bardziej szanować i ciężiej pracować.

– Każdego, kto tknie choć jeden najdrobniejszy włos na którejkolwiek z moich mumii, utnę łeb!

Teraz śmiech osiągnął apogeum. Dobry nastrój okazał się niezbędny; czekało wiele ciężkiej pracy, nie tylko pozornie niemożliwe usunięcie zmumifikowanych szczątków, ale cały teren musiał być teraz sprawdzony, każdy centymetr kwadratowy przeczesany, przesiany i wyszczotkowany. I jeszcze ...

Fredrick spojrział w dół na rękę. W jasnym halogenowym świetle nie wyglądała już tak przerażająco. *Może to jakaś rękawiczka? Ceremonialna rękawica? Do diabła, pleśń i utlenianie mogą nawet tłumaczyć zwiększone rozmiary. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? A wygląd palców przypominający szpony? Oczywiście, rytualna rękawica z zębami rekina lub zwierzęcymi pazurami wszytymi w końcówki palców; pleśń porastała końcówki, sprawiając wrażenie jednolitych. Oto twój demon, Dales.*

Nie wypowiedział jednak tego ostatniego wniosku; najlepiej było po prostu zostawić nadgorliwego asystenta nauczyciela z jego aktualnym zadaniem przy pokrętlach MMADS. Jednak wizja ręki nadal zaprzętała uwagę profesora. Tak, początkowo wyglądało na to, że ręka wyciąga się z otworu w ziemi, ale nie do końca tak było. To jest szczelina, powyżej poziomu ziemi. Coraz bardziej wydawało się, że obiekt musiał zostać pochłonięty przez częściowe zawalenie się cenoty. Fredrick mógł się tylko modlić, aby przynajmniej część ciała połączona z ręką była do uratowania. Czaszka prawdopodobnie była zmiażdżona, ale być może reszta szkieletu była w dobrym stanie.

Biedny Dales pewnie marnuje swój czas. Założę się, że uzyska maksymalne odczyty gęstości...

– Niewiarygodne – wymamrotał Dales i spojrział w górę.

– Niech zgadnę. Maksymalne odczyty gęstości. Spadający kamienny gruz na głębokości pięćdziesięciu stóp.

– Odbieram potrójne zero na głębokości półtora metra. – Dales potrząsnął głową, przyglądając się odczytowi na ekranie.

– Co! – Fredrick krzyknął zszokowany.

– To nie jest obryw skalny. Za tym znajduje się przestrzeń.

– Kolejna komnata – mruknął. – Kolejna cenota... – Wzrok Fredricka zdawał się błędzić, gdy wpatrywał się w pochyloną ścianę z połamanego kamienia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

(1)

Joyce jechała swoim starym kabrioletem Plymouth, z naciągniętym płóciennym dachem. Nazywała go swoim samochodem do „szwendania się”. Podkreśliła jakiś hardrockowy zespół. Clare od razu poczuła się niezręcznie z powodu trąbienia, buczenia i gwizdania, gdy jechały; kabriolet wystawił Joyce na pokaz. Miała na sobie morelowy tank z napisem *Wyhoduj własne ziolo, bądź facetem*, ale to nie ten zabawny tekst był przyczyną drobnych incydentów podczas jazdy. Obfity biust Joyce rozciągnął materiał stanika do granic fizycznych możliwości. Można było dostrzec nawet drobne szczegóły brodawek. *Byłabym najszczęśliwszą kobietą na świecie, gdybym miała piersi takich rozmiarów*, pomyślała Clare. Ale Joyce była niesamowicie atrakcyjna. Clare ubrała się w proste plażowe szorty i koszulkę bez rękawów. Pewnie będą pasować jak wół do karety, siedząc obok niej...

To tylko kolejna błaha niepewność; pozwoliła jej przeminąć wraz z bryzą przesuwaną się po jej złotych włosach. Zapomniała też o niewybaczalnym incydencie na plaży z Adamem. *Myszę, że jeśli zamierzasz leżeć na plaży bez okrycia, to musisz się spodziewać, że od czasu do czasu wypełnie jakiś dziwak lub dwóch. Tak naprawdę nie przeszkadzało jej to; wąpiła, by Adam rzucił na nią choćby przelotne spojrzenie, a już na pewno nie wtedy, gdy Joyce leżała obok niej zupełnie naga. Szkoda jednak było Kari Ann Wells. Może z tego wyjdzie, miała nadzieję Clare. Może jej się polepszy.*

Wkrótce zjechały z nadmorskiej drogi i podążyły nadbrzeżną aleją, która wydawała się być usłana plażowymi barami. *BALUJ, AŻ SIĘ OBRZYGASZ!* – głosił jeden z napisów. Inny: *NIE OMIŃ NASZYCH PROMOCJI, DUPKU, A BĘDZIESZ NAWALONY!*

– To się nazywa entuzjazm – mruknęła rozbawiona Clare.

– To naprawdę pijackie miasto – powiedziała Joyce. – Miejscowi traktują swoje imprezowanie na poważnie. Ale te miejsca są pełne wieśniaków. Zjedziemy niżej.

– Co to znaczy? – zapytała Clare, wskazując na znak na innym barze, na którym widniał napis: *DARMOWE DŻ.B.J.P.M KOLEJKI!**

– Dzięki Bogu, że jest cholerny piątek – odpowiedziała Joyce. – Skoro już pytasz. Wiem, co sobie myślisz, że ciągnę cię na jakieś tankowanie, ale wyluzuj. Idziemy do jedyne go rozsądnego baru w tym pasażu. Pozostałe miejsca to albo sanktuaria dla alkoholików, albo miejsca podrywu dla umysłowo chorych.

Wjechały na parking, którego krawędź biegła wzdłuż rybackiej zatoczki. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła Clare, była ciężarówka holownicza wyciągająca z wody białego sedana. *To nie jest dobry znak*, pomyślała. Następnie zauważyła kilka samochodów policyjnych na środku drogi; funkcjonariusze i kilku mieszkańców zgromadzili się wokół mężczyzny, który leżał nieprzytomny na podwójnej żółtej linii. I co dalej? Ktoś wisiał przez okno mieszkania na drugim piętrze; był pochylony w pasie, głośno wymiotując. Wreszcie, mężczyzna łowiący ryby w zatoce wpadł do wody, gdy sięgał po piwo.

– Tak, widzę, że oni traktują swoje imprezowanie na serio – powiedziała Clare.

– Och, to nic takiego, jest jeszcze wcześniej – odpowiedziała Joyce.

Spośród mnóstwa tawern, które tłoczyły się wzdłuż ulicy, weszły do jednej o dyskusyjnej nazwie *DIABOLICZNY FIUT*. Na podstawie tego, co widziała w najbliższym

otoczeniu, Clare nie miała zbyt wielkich nadziei, ale odetchnęła z ulgą, gdy po przekroczeniu progu znalazła się w bezpretensjonalnej, ale ładnie urządzonej tawernie pełnej swobodnie ubranych gości, którzy wyglądali zdecydowanie normalnie. *Nikt nie wymiotuje ani nie leży na podłodze*, pomyślała Clare. *Jak na razie jest dobrze*. Z głośników sączył się inteligentny alternatywny rock, a nie heavy metal czy Jimmy Buffet, a Clare natychmiast dała się porwać aromatom unoszącym się z kuchni. To było wyraźnie o kilka poziomów wyżej od typowych barów z piwem i jedzeniem, których się spodziewała. Nieprawdopodobnie atrakcyjne barmanki i kelnerki uwijały się przy swoich zamówieniach, podczas gdy na ogromnym telewizorze wyświetlano mecz Devil Rays.

– Cholera, wszystkie stoliki są pełne – zauważyła Joyce. – To miejsce zawsze jest tak przepełnione. Nie masz nic przeciwko temu, by usiąść przy barze?

– Jak dla mnie w porządku.

Gdy mijaly bar, jakiś facet z kocią bródką i w okularach cytował przyjaciela:

– Przez pół sekundy, może nawet trzy czwarte sekundy, mogłeś zobaczyć bok lewego sutka Xev. Przysięgam! Na Sci-Fi Channel!

– Serio?

Któs inny odnosił się do gubernatora Florydy za pomocą określenia skurwysyn. Inny, pijany, wykrzykiwał do wszystkich, że John F. Kennedy został naprawdę zamordowany przez marsylskiego gangstera wynajętego przez władzę wykonawczą Wietnamu Południowego. Nikt nie słuchał. Ale po drugiej stronie baru trzech innych facetów spierało się o oficjalną rybę stanu Floryda.

Jeden z nich: – To jest strzępiel.

Następny: – Nie, to Lucjan czerwony.

Trzeci facet: – Myślałem, że to mutacje genetyczne.

Tuż przed nimi, młodszy chłopak w koszulce Devil Rays podszedł do baru i poprosił o piwo. Barman ocenił go zmrużonymi oczami i powiedział:

– Wybacz, kolego, ale wyglądasz trochę młodo. Muszę to sprawdzić. – Chłopaka zamurowała, po czym wzruszył ramionami i zaczęła rozpinać rozporek. – Tylko nie to! – krzyknął barman. – Twój dowód osobisty!

– O, patrz – powiedziała Joyce, jakby zaskoczona. – Tam jest Rick.

Clare to rozbawiło. Czyż to nie jest zbieg okoliczności!

– A obok niego są dwa miejsca...

No jasne.

– Hej, dziewczyno. Fajne spotkanko – przywitał się Rick.

– Często tu przychodzisz? – zapytała Clare.

– Rick tu mieszka. – Joyce się roześmiała. – Ma łóżecko w magazynie.

– Zabawne. Wiesz, co jest śmieszniejsze? Joyce trzyma swoje łóżecko w tylnej alejce.

Dziesięć dolców za przejazdzkę. W ten sposób płaci swój rachunek.

– Tak trzymaj, panie Śmieszku. – Joyce szturchnęła go mocno w żebra.

Kobiety usiadły po obu stronach Ricka. Po chwili podeszła do nich szczupła blond barmanka – Coś podać?

– Zamknij się i mnie zerznij – odpowiedział Rick.

– Rick! Co jest z tobą nie tak! – eksplodowała Clare.

– Jasne, trzy razy? – bąknęła barmanka.

– Tak, – powiedział Rick. – I trzy lekkie przeciągi, proszę.

– Nie spadnij ze stolka – powiedziała Joyce do Clare. – To szot.

– Chcesz mi powiedzieć, że istnieje drink o nazwie *Zamknij się i mnie zerznij*? – Clare nie mogła w to uwierzyć.

– O, tak – potwierdził Rick. – To miasto słynie ze swoich szotów. Moje ulubione to *Ruda dziwka*, *Płonący dupek* i *Rozkładacz nóg*. Może później napijemy się jeszcze Spustu Frankensteina.

– Nie chcę być imprezową mendą, ale będę musiała zrezygnować ze Spustu Frankensteina – odparła Clare.

– Zachowujesz się tak, jakbyś nie była w barze od dziesięciu lat – Joyce i Rick byli wyraźnie rozbawieni naiwnością Clare.

– Och, nie aż tak długo. Raczej siedem lub osiem.

– Biedna dziewczyna. Niech ktoś zafunduje tej dziewczynie *Orgazm*!

– W porządku, nie jestem aż tak stara. Pamiętam, że wypięłam kilka podobnych w czasach studenckich.

Clare zaczęła się obawiać, że zbyt wiele z jej własnej osobowości zostało zniszczone przez jej poczucie poświęcenia. Nie chodziło tylko o to, że nie była w barze od tylu lat, ale o to, że przez cały ten czas prawie w ogóle nie wychodziła z domu. Nie wszystko w życiu było pracą, relacje z bliskimi były tym, na co pracowałaś. Clare nigdy tak naprawdę nie miała bliskich sobie osób, uznała, że z czasem ulegnie to zmianie, a w międzyczasie musiała jak najefektywniej się rozwijać. I dokładnie tak robiła, do czasu, gdy wszystko skończyło się tragicznie. Gwałt. Proces. Prawdziwa porażka. W jednej chwili stało się jasne, że życie według standardów i zasad, które każdy mógłby uznać za godne pochwały, było błędem. Została z niczym, a kiedy nadszedł czas, gdy tak bardzo potrzebowała wsparcia bliskich jej osób, nikogo przy niej nie było. *Cholera. Znowu zaczynam się nad sobą użalać. Joyce i Rick są moimi przyjaciółmi. Dellin jest przyjacielem, a przynajmniej kimś, z kim mam pozytywne relacje w pracy. Przestań jęczeć! Zawsze możesz wrócić do schroniska. Jesteś na zewnątrz z ludźmi, którzy cię lubią – nie bądź marudą.*

W krótkim czasie poczuła się lepiej, a kiedy pojawiły się drinki, zaproponowała toast za olbrzymie karaluchy i żaby i wypięła szota na raz.

– Doskonały styl i forma – powiedział Rick. – Joyce, jest jeszcze dla niej nadzieja. To prawdziwe imprezowe zwierzę.

– Ulżyło mi – powiedziała Clare.

W niezbyt wyszukanych słowach Clare i Joyce poinformowały Ricka o swoim spotkaniu na plaży z Adamem.

– Załóżcie temu świrowi obrozę i łańcuch – zasugerował Rick. – I nie wypuszczajcie z podwórka.

– Więc kiedy powiesz mi, dlaczego nazywasz go Strażnikiem Dzwoneczkiem?

– To jest zbyt obrzydliwe – powiedziała Joyce.

– Joyce powinna to wiedzieć – wtrącił Rick. – Właściwie to ona miała zaszczyt... – Joyce znów dźgnęła go w żebra, po czym zachichotał i objął ją ramieniem.

– Słuchaj, to nie w porządku, że jesteśmy nieuczciwi – przyznała Joyce. – Rick i ja jesteśmy... tak jakby... w związku.

– Naprawdę? Nigdy bym nie zgadła – powiedziała Clare.

– Ale masz naszą gwarancję, że to wszystko pozostanie poza miejscem pracy – dodał Rick.

– To dobrze, bo jeśli tak się nie stanie, to wywalę was na zbity pysk. – Clare uśmiechnęła się radośnie. – Ale tak na serio. Wszelkie relacje między wami to wasza

sprawa. – Może to przez drinka i pół piwa, które wypila do tej pory, a może po prostu dlatego, że ich lubiła i czuła, że też musi być szczerą, ale Clare nie mogła się oprzeć. – Po prostu zróbcie mi przysługę. Następnym razem, gdy zdecydujecie się na wyglupy w lesie, nie róbcie tego przed kamerą monitoringu w doku załadunkowym, tak jak tamtego dnia.

Joyce zrobiła się czerwona jak burak. Rick ukrył twarz w dłoniach i objął Joyce ramieniem.

– Jak to mówią, kobiet nie można nie lubić, ale nie można ich zatkać, kiedy się rozgadają.

– Tak, a mężczyzn nie można odliczyć od podatku, bo nie ma odliczenia na podtrzymywanie życia penisa.

– Wasz sekret jest u mnie bezpieczny – zapewniła Clare. – Po prostu postarajcie się ograniczyć publiczne obmacywanie do minimum i gdy będziecie w pobliżu pani Grable. Ona jest kochana, ale uwielbia plotki.

Atmosfera się oczyściła i Clare wiedziała, że dzięki temu będzie jej o wiele łatwiej radzić sobie z nimi w codziennej pracy. Przez następną godzinę na zmianę opowiadali trochę o sobie i Clare uznała za interesujące i zachęcające to, że wszyscy mają podobną historię, bo wszyscy służyli w policji wojskowej w Siłach Powietrznych i wszyscy wychowali się w systemie Opieki Zastępczej.

– I wygląda na to, że wszyscy wyszliśmy na prostą – powiedział Rick. – Nie wiem jak ty i Joyce, ale ja nigdy nie paliłem trawki. A przecież cały czas słyszysz w wiadomościach o tym, jak to Opieka Zastępcza zawodzi.

– Zabawne, że o tym rozmawiamy – dodała Joyce. – Grace Fletcher wspomniała, że ona też była sierotą.

– I była w Siłach Powietrznych – dodała Clare, przypominając sobie zdjęcie, które widziała. – Była kapitanem w Służbie Bezpieczeństwa Sił Powietrznych. W moim domu znalazłam kilka zdjęć, a jedno z nich przedstawiało Grace i dwóch poprzednich strażników stojących razem.

– Donna i Rob? – powiedział Rick.

– Tak, i okazuje się, że Donna jest kimś, kogo znam, eee, znałam. Nazywa się Donna Kramer. Chodziłam z nią do AIT w Wright-Patterson.

– Tak, ale to naprawdę nie jest przypadek, że tak się składa, że wszyscy byliśmy w Siłach Powietrznych. Dellin nawet mi powiedział, że oszczędzają pieniądze na sprawdzaniu przeszłości.

– Wiem, ale czy to nie dziwne, że wszyscy jesteście sierotami? – zapytała Clare. – Podczas szkolenia znałam całkiem dobrze Donnę Kramer i zgadnijcie, co mi kiedyś powiedziała? Jej rodzice porzucili ją, gdy była mała, a państwo umieściło ją w programie.

– Rob Thomas, trzeci strażnik ... – zaczął Rick.

– Nie ma mowy – przerwała mu Joyce. – Chyba nie powiesz nam, że też był sierotą?

– On też był sierotą. Byliśmy razem na stałej służbie, on i ja byliśmy strażnikami hangaru w Holloman. Imprezowaliśmy razem w klubie EM w każdy weekend i niech mnie diabli, jeśli mi o tym nie wspomniał. Powiedział, że jego ojciec zmarł zanim się urodził, a matka zginęła w wypadku samochodowym, gdy był dzieckiem.

– Trochę to dziwne – powiedziała Clare.

– Tak, na tyle dziwne, że aż potrzebujemy więcej piwa – Rick zamówił kolejną kolejkę u barmanki. – A jeszcze dziwniejsze jest to, jak oni wszyscy zniknęli w ciągu

jednej nocy.

– Och, Rick – powiedziała Joyce znużona – nie zaczynaj znowu z tymi bredniami.

– Proszę – powiedziała Clare. – Posłuchajmy trochę bredni. Joyce, powiedziałaś, że oni wszyscy zrezygnowali, bo bali się aligatorów, ruchomych piasków czy czegoś takiego.

– Grace powiedziała mi, że przyjechała z północy i złożyła wypowiedzenie, bo nie mogła znieść upału, co jest w pewnym sensie rozsądne, gdy weźmie się pod uwagę, jak cholernie gorąco tu bywa. Potem tej nocy wpadłam na Roba właśnie tutaj.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, że się z nim umawiałaś – powiedział Rick.

– Nie umawiałam. On po prostu tu był. – Joyce skrzywiła się. – I milczał jak głaz. Ale powiedział, że on i Donna złożyli wypowiedzenie, bo uważali, że to miejsce jest zbyt niebezpieczne ze względu na aligatory, ruchome piaski i tak dalej. Byli lekkoduchami, to wszystko. I dobrze, że tak było, bo dostaliśmy ich pracę.

– Jasne, ale to nie jest dobra rzecz, jeśli faktycznie dostaliśmy ich pracę, bo oni wszyscy zginęli.

– Bo oni wszyscy co? – Clarea natychmiast wyprostowała się na stołku barowym.

– Krążyły różne plotki – zauważył Rick. – Każdy w okolicy miał inną wersję. Bali się aligatorów, wszyscy byli pijakami, zostali uwikłani w trójkąt miłosny, byli zbiegami z wydanymi na nich wyrokami. Do diabła, słyszałem nawet, że Dellin przyłapał ich na troje na bzykaniu, kiedy byli na służbie.

No cóż, pomyślała Clare. Przynajmniej to ostatnie mogę poświadczyć... Ale to było zbyt niestosowne, by wspominać o kasetach wideo. I zbyt żenujące, skarciła się. Pewnie sami poprosiliby o obejrzenie kaset i... *Jest na nich kilka scen, w których Grace i Donna używały zielonego wibratora... tego samego, którego Joyce znalazła u mnie... Ale kierunek rozmowy był teraz intrygujący; Clare chciała usłyszeć więcej.*

– Uwielbiam tajemnicę. Kontynuuj. – Prosiła.

– Kontynuuj – prychnęła Joyce. – To samo mówię mu każdej nocy, ale on tylko przewraca się na bok i zaczyna chrapać.

– Nie, nie, mylisz mnie ze Strażnikiem Dzwoneczkiem...

– Daj spokój, Rick. To jest fascynujące. Co jeszcze słyszałeś?

– Siedzę sobie tutaj pewnej nocy i przychodzi miejscowy policjant po służbie. – Mówiąc to Rick podparł się na łokciach. – Zbiera się na odwagę i zaczyna opowiadać o tym, jak jego szef boi się, że miasto straci wiele z turystycznego biznesu w szczycie sezonu, jeśli gazety dowiedzą się o wszystkich znikających ćpunach.

– Masz na myśli, na przykład...

– Miejscowych wieśniaków i degustatorów mety, jak ta dziewczyna, którą znalazłaś tamtej nocy – kontynuował Rick. – Ten policjant powiedział, że w ciągu ostatniego roku zniknęła ich cała masa. Mówił, że myślą, iż są atakowani przez rekiny, które przewracają ich kajaki i małe łódki, gdy płyną do... możesz zgadnąć gdzie.

– Parku Fort Alachua – dokończyła Clare.

– Tak, po naszej stronie parku Fort Alachua. Dlaczego? Bo to świetne miejsce do kłusowania. Gliniarze mówią, że znaleźli sporo łodzi wywróconych w zatoce, a niektóre z tych łodzi zostały zarejestrowane na żółtodziobów, których zaginięcie zgłoszono.

– Interesujące – powiedziała Clare.

– Ale to nie jest wszystko...

– Daj nam spokój! – skarżyła się Joyce. – Przynudzasz tak, że drożdże ze wszystkich naszych piw zasypiają.

– Chcesz znać prawdziwy powód, dla którego ona chce, żebym się zamknął?
– Oczywiście – uśmiechnęła się Clare.
– Bo ona się boi, tadaaam! – Na te słowa Joyce znów trąciła go łokciem.
– Jeśli będziesz tak dalej robić, możesz trafić w jakąś zabląkaną gałązkę nerwową, możesz sprawić, że będę impotentem – mówiąc to, Rick potarł swoje żebra.
– Co mówiłeś? – Clare pociągnęła Ricka za rękaw. – Łodzie, które znaleźli, były zarejestrowane na ludzi, którzy okazali się zaginionymi?
– Niektóre z nich. Nawet najbardziej nieodpowiedzialni żartownisie rejestrują swoje łodzie, by móc otrzymać pełne licencje na wędkowanie na słonej wodzie. Ten policjant powiedział, że ponad tuzin z nich zaginęło.
– Dobra, wielka przerażająca historia się skończyła. To znaczy, że Wicky Poo może się teraz zamknąć.
– Ale... jest tego więcej. – Rick podniósł palec.
– Tak myślałam, że będzie – powiedziała Clare. – Więc mów dalej.
– Wpadam tu pewnej nocy na piwo, kiedy Joyce pracuje, i jedna z tych cudownych barmanek zaczyna spędzać ze mną trochę czasu, bo... – Rick wzruszył ramionami. – Spójrzmy prawdzie w oczy, kto może ją winić? Jestem cholernie przystojnym facetem, a ona wie, że trafiła na niezłe ciacho...
– Niech ktoś da mi torbę na wymioty! – wyla Joyce.
– W każdym razie, zaczęła mi opowiadać o tym, jak ostatni raz widziała Donnę; to było podobno w noc przed jej zniknięciem. Donna przysłała tu po trzy zamówienia na wynos, powiedziała, że idzie na spotkanie z Grace i Robem, i powiedziała, że wszyscy oni złożyli dwutygodniowe wypowiedzenia.
– Wielka mi rzecz – powiedziała Joyce. – Co z tego, że zdecydowali się odejść następnego dnia? Ludzie cały czas się wykręcają od dwutygodniowego wypowiedzenia. Nie mieli ochoty czekać, więc odeszli.
– Aaaaaa i kiedy czekała na swoje jedzenie, wypila kilka drinków. Trochę się wstawiła. – Rick mówił dalej, jakby Joyce w ogóle się nie odezwała.
– Jakie to wygodne – wydusiła z siebie Joyce. – Szkoda, że nie było tu całej paczki. Gdyby była aż tak pijana, mógłby mieć szczęście.
– Hej. To ona byłaby tą szczęściarą. W każdym razie wypila o jednego za dużo Johnny'ego i zaczęła opowiadać tej barmance o tym, że wszyscy są przerażeni, bo jest...
– Potwór grasuje po parku – wtrącił się głos zza ich pleców. – Nie człowiek, tylko potwór.
Cała trójka odwróciła się w tym samym momencie. Dellin stał za nimi z założonymi rękami, uśmiechając się.
– Cześć, Dellin, – powiedziała Joyce.
– Chyba lepiej postawmy szefowi drinka – dodał Rick – żeby myślał, że jesteśmy fajni.
Z jakiegoś powodu jednak Clare prawie się zadławiła. Nie mogła być bardziej zachwycona, że zobaczyła Dellina, ale jego widok sprawił, że zaniemówiła.
– Dzięki za propozycję, Rick, ale ja jestem tu tylko po kanapkę na wynos. – Dellin miał na sobie tenisówki i t-shirt z napisem *UNIWERSYTET POŁUDNIOWEJ FLORYDY GRUPA ONKOLOGICZNA LIGA DOBROCZYNNA*. Spojrzał prosto na Clare.
– Jak leci, Clare?
– Hmm, dobrze. Świetnie – wymamrotała. – Usiądź, proszę!

– Nie, nie mogę zostać, padam. Jestem w tej charytatywnej lidze softballowej z Radą Lekarzy Florydy. Rozegraliśmy dziś podwójną kolejkę.

– Trafiliście jakieś bazy?

– Nie, zostaliśmy zmiażdżeni w obu meczach. Za to ja uderzałem z rozmachem. Dziesięć razy, tak naprawdę.

Serce Clare zatrzepotało. Wiedziała, że to niemądra reakcja, ale nie mogła nic na to poradzić.

– Cóż, chyba nie spieszy mi się aż tak bardzo – zastanowił się. Zajął stołek tuż obok Clare. – Wpadłem dziś do kliniki przed meczem. I widziałem twoje raporty o zdarzeniach – kontynuował.

Clare musiała się otrząsnąć z roztargnienia. *On pomyśli, że jesteś kompletną idiotką! Powiedz coś.*

– W takim razie domyślam się, że widziałeś też...

– Karalucha w łódówce? No pewnie, że tak. A ten drugi raport mówił coś o żabie?

– Duża żaba, niedaleko jeziora. Adam przypadkowo przejechał ją samochodem. Była ogromna, tak jak karaluch. O wiele większa niż powinna być.

– Mutagenne zanieczyszczenia są o wiele bardziej powszechne niż ludzie myślą, szczególnie na Florydzie – Dellin nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaniepokojony. – A ja mam przewagę w zrozumieniu tego po prostu dlatego, że jestem lekarzem onkologiem z wykształceniem w dziedzinie genetyki i organicznej transfekcji. Ostatecznie większość nowotworów jest wynikiem procesu mutacji, często wywołanego przez obce substancje. Każda komórka w ludzkim ciele ma mutageny gen. Toksyny rakotwórcze będą celować w ten gen, a tam już wszystko może się zdarzyć, ponieważ cały schemat DNA zostaje przywłaszczony, a więc zafalszowany.

– Zostawiłem swój doktorat w domu, Dellin – powiedział Rick. – Czy myślisz, że mógłbyś to ująć w...

– Mniej wyszukane terminy techniczne, na pewno – zorientował się Dellin. – W każdej komórce twojego ciała jest przełącznik. Przełącznik ten reguluje zmiany i wzrost. Kiedy zanieczyszczenia dostają się do komórki i wyłączają ten przełącznik, wszystko może się zdarzyć. Jedną z rzeczy, która dzieje się najczęściej jest bardzo przyspieszony wzrost. To oczywiście stało się w tym przypadku.

– Słyszałam o takich rzeczach, które dzieją się w okolicy, w pobliżu jezior i zbiorników wodnych – powiedziała Joyce. – Ale czy kiedykolwiek wcześniej widziałeś tak duże karaluchy?

– Cóż, aż tak dużych nie. Te naprawdę były ogromne. Widziałem jednak żaby, tak duże jak ta, którą Clare opisała w swoim raporcie. Było to podczas badań nad transfekcją, przy których pracowałem kilka lat temu.

– Co dokładnie znaczy transfekcja? – Clare w końcu wydobyła z siebie kilka słów. – Nigdy o tym nie słyszałam.

– To termin z dziedziny inżynierii genetycznej. Transfekcja jest jak splatanie genów, tylko na jeszcze mniejszą skalę molekularną. Kiedy wprowadzasz właściwości genetyczne z jednej komórki do innej komórki. Na przykład gen wzrostu. Jeśli nasycisz gen wzrostu węglem w środowisku o wysokiej zawartości tlenu, a następnie umieścisz kompatybilną część tego genu w komórce, powiedzmy, wątroby, to komórka wątroby rośnie szybkim tempie. Kluczem jest jednak kontrolowanie natury wzrostu. Rosnąca komórka wątroby nie rozwija się normalnie. Staje się nowotworowa, a następnie złośliwa. Oto przykład: Zanieczyszczenie przemysłowe, które przesącza się do jeziora

lub stawu, może przenieść właściwości mutagenne do żabiego jaja. Gen wzrostu w jajku, przełącznik, zostaje włączony w nieprawidłowy sposób, a wtedy masz swoją gigantyczną żabę. To, co robimy w klinice, jest przeciwieństwem tego procesu. Wyłączamy te geny wzrostu, co sprawia, że nowotwór jest bezradny wobec reakcji własnego systemu odpornościowego pacjenta. – Dellin przerwał. – Jezu, przepraszam, chyba zanudzam wszystkich na śmierć. To nie jest temat na rozmowę w barze.

– Och, to jest fascynujące – upierała się Clare, ale wtedy mroczne wspomnienia zaczęły psuć część jej zauroczenia. Dellin został oskarżony o przestępstwo w wojsku, postawiony przed sądem... Ostatnią rzeczą, jaką Clare chciała zrobić, było rzucenie Dellinowi wyzwania lub postawienie go przed faktem dokonanym, ale jej chęć wybadania tematu była zbyt nieodparta. *Ciekawe, co by powiedział, gdyby...*

– Więc mówimy o kimś kto po kryjomu się wrzucił do jeziora toksyny?

– Prawdopodobnie nie ktoś – odpowiedział Dellin bez wahania. – Po II Wojnie Światowej Armia Air Corps zakopała na tym końcu parku wiele nieużytych materiałów wybuchowych. Większość bomb lotniczych z tamtej epoki zawierała związki wybuchowe na bazie amoniaku. Te same rodzaje związków są dobrze znanymi chemicznymi mutagenami. W czasie wojny Fort Alachua był wojskowym centrum bombowym. Testowali tutaj różne rodzaje bomb na przestarzałych statkach, które wystawiali w zatoce. Był to także poligon ćwiczebny. Ale niektóre z tych zakopanych materiałów przedostały się do systemów wodnych wewnątrz wyspy. Niestety, nie istniały wtedy żadne przepisy dotyczące składowania odpadów. Ich jedynym zmartwieniem było wygranie wojny, a nie ochrona środowiska.

Ta zdawkowa odpowiedź na pytanie Clare przyniosła jej ulgę. Nie wyjaśniała ona policyjnej notatki i nie mogła się na to powołać. Zarzuty Adama wydały jej się o wiele mniej prawdopodobne.

–Jeśli chodzi o znacznie ciekawszy temat, o którym wszyscy rozmawialiście, gdy przyszedłem – Dellin uśmiechnął się.

– Potwór na bagnach – powiedział Rick z uśmiechem.

– Tak, to była jedna z plotek, obawiam się, że tak – przyznał Dellin. – Psychopata albo nawet potwór. Wszystko, co Donna Kramer mogła powiedzieć komukolwiek innemu, powstało tylko w nadpobudliwej wyobraźni. Miejscowi kłusownicy znikają od czasu do czasu i tak, to logiczne, że niektórzy z nich zostali zjedzeni przez aligatory, bo to właśnie na nie najczęściej kłusują. Niektórzy z nich zostali prawdopodobnie zjedzeni przez rekiny: są pijani, ich kajaki przewracają się z powodu nieostrożności, stanowią natychmiastowe pożywienie dla rekinów. Ale młyn plotek i tak się kręci, a mówimy o grupie ludzi, którzy są w dużej mierze niewykształceni i o wiele bardziej podatni na urojenia związane z alkoholem i narkotykami. Każde miejsce będzie miało swoją własną wersję Diabła z Jersey, Satyra czy Potwora z Loch Ness. Tak się składa, że to jest nasza wersja.

– Dzięki Bogu za wsiurów – powiedział Rick. – Życie bez nich byłoby takie nudne.

– Kari Ann Wells powiedziała całkiem sporo tamtego dnia, zanim zabrała ją karetka. – Zauważyła Clare. – Powiedziała, że coś ją zaatakowało, nie człowiek, potwór.

– Albo różowy słoń – powiedziała Joyce. – Dobry towar sprawia, że widzisz wszystko.

– I z tego co rozumiem – powiedział Dellin – była długotrwałe uzależniona. Wynikają z tego wszelkiego rodzaju zaburzenia urojeniowe, a nawet schizofrenia. To straszna tragedia. Narkotyki powodują, że ludzie puszczaają swoje życie w kiblu.

Dellin miał na wszystko sensowne odpowiedzi, co jeszcze bardziej zachęciło Clare do odrzucenia wszelkich domysłów Adama. Było jednak jeszcze jedno pytanie i Joyce zadała je, zanim Clare zdążyła:

– Ale Dellin, nasze łatwowieczne umysły potrzebują, byś rozwiązał jeszcze jedną zagadkę. Co dokładnie stało się z Grace, Donną i Robem?

– Zwolniłem ich. – Dellin wzruszył ramionami.

– Za co? – zapytał Rick. – Słyszeliśmy...

– Że byli skazańcami, ćpunami, złodziejami, wiem. – Dellin przytaknął rozbawiony – Ja też słyszałem te wszystkie historie. Tak naprawdę nie byli tacy, byli po prostu nieodpowiedzialnymi, beznadziejnymi pracownikami. To nie były tylko małe zaniedbania tu i tam, to było jawne nadużywanie swoich stanowisk. Co drugą noc urządzali imprezy w jacuzzi w domku Grace, podczas gdy mieli być na służbie. Pewnej nocy przyłapałem ich na tym, więc ich zwolniłem. Nie miałem wyboru. To był mój zły osąd, że w ogóle ich zatrudniłem, a Harry był na mnie wściekły, bo w tym samym czasie rozpoczynała się nasza ważna sesja terapeutyczna. Musiałem poświęcić cenny czas, aby ich zastąpić. Zdecydowanie mogłem lepiej ocenić ich charaktery; z tego, co widziałem, ich akta wojskowe były całkiem niezłe. – mówiąc to posłał kolejny dyskretny uśmiech, w kierunku Clare. – Ale lubię was wszystkich o wiele bardziej niż ich i jestem pewien, że wszystko ułoży się dobrze. Może to zabrzmie dziwnie, ale dobrze się złożyło, że zwolniłem poprzednią ekipę.

– Dobrze – powiedziała Joyce. – Obiecujemy, że nie będzie żadnych imprez w jacuzzi.

– Nie obchodzi mnie, czy to robicie, tylko, proszę, nie podczas służby. Harry obdarzył mnie życiem ze skóry.

Pyszny korzenny aromat unosił się wokół nich, gdy biuściasta barmanka pojawiła się ponownie z zamówieniem Dellina na wynos.

– Czas na mnie. Do zobaczenia w poniedziałek.

Nastroj Clare gwałtownie się obniżył. Chciała cokolwiek powiedzieć, by zatrzymać go przy sobie, choćby na jeszcze jedną minutę. I wtedy przypomniała sobie...

– Och, Dellin? Ostatnia rzecz, skoro i tak tu jesteś.

– Jasne – odpowiedział.

– Pamiętasz, jak ostatnio mnie oprowadzałeś? Pokazałeś mi pokój, gdzie mieli tę wielką maszynę z dyszami. Mówiłeś, że to wspaniały przykład marnowania federalnych dolarów z podatków, bo tak naprawdę nie było dla niej zastosowania w klinice, ale oni i tak ją zainstalowali.

Dellin stał przez chwilę w milczeniu, myśląc, po czym zaczął odpowiadać.

– Nie, ja...

– Powiedziałeś, że to zabójca guzów. Zintensyfikowane promieniowanie coś czy coś innego.

– Ach, tak, masz na myśli IRMT. Równie dobrze może to być deska sedesowa za pół miliona dolarów, bo jej nie potrzebujemy. Ale co...

– Czytałem gdzieś kiedyś, że Michael Jackson ma deskę sedesową za pół miliona dolarów – przerwał Rick. – Solidne złoto.

– Zamknij się. – Skrzywiła się Joyce.

– W każdym razie – Clare dokończyła. – Już go nie ma.

– Co zniknęło? – Dellin rzucił jej zdumione spojrzenie. – Chyba nie masz na myśli IRMT?

– Tak. Na ostatniej zmianie robiłam rutynowe przeszukanie, więc wsadziłam tam głowę, a pomieszczenie było puste. Zniknęły dysze, stół, wszystkie komputery i monitory. Nie martwiło mnie to, że te rzeczy zniknęły, jestem pewna, że ty lub Harry po prostu kazaliście je zwrócić dostawcy. Nie rozumiem tylko, jak i kiedy ktoś przyszedł i zabrał to z powrotem. Ktoś z kliniki musiałby otworzyć dla nich główną bramę i podpisać ich wejście i wyjście. Nikt z ochrony tego nie zrobił, a komputer zapisałby czas otwarcia i zamknięcia bramy, ale w systemie nie ma żadnego zapisu.

– Nigdy nie kazałam nic zwrócić i nie mogę uwierzyć, że Harry zrobił to bez poinformowania mnie, a nawet gdyby to zrobił...

– Jak już mówiłam, czas wejścia i wyjścia byłby automatycznie zapisany w komputerze. Ale tak się nie stało – dodała Clare.

– Nawet nie wiem, o czym oni mówią – Rick spojrzał na Joyce, potrząsając głową przy kolejnym łyku piwa.

– Rick, ty nigdy nie wiesz, o czym ktoś mówi – powiedziała Joyce. – Nigdy. Więc na litość boską, proszę, po prostu się zamknij.

– To jest naprawdę dziwne – powiedział Dellin. Wydawał się naprawdę zdziwiony, a nawet trochę zły. – Jestem odpowiedzialny za całą logistykę kliniki. Wygląda na to, że nie wywiązuję się z tego zadania zbyt dobrze. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś ukradł system do modulacji intensywnej terapii radiacyjnej.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś to nawet powiedział, a co dopiero ukradł – powiedział Rick. Jego kolejny łyk piwa skapnął, gdy Joyce trąciła go łokciem w żebra.

– Poważnie – kontynuował Dellin, bardziej do Clare. – Coś tak dużego? To nie mogło zostać skradzione, prawda?

– Nie sądzę, żeby to było w ogóle wykonalne – powiedziała Clare. – To nie jest tak, że jakiś nieuczciwy pracownik mógłby włożyć taki sprzęt do kieszeni i z nim wyjść. Nie ma możliwości, by ten sprzęt został wyniesiony z budynku w tak krótkim czasie bez czyjejś wiedzy, nie ma też możliwości, by przeszedł przez główną bramę bez autoryzacji. I tak tylko nasza czwórka, plus Harry, ma klucz do tego pokoju.

– Nie wziąłem go, przysięgam! – powiedział Rick. – Będę jednak szczery, myślałem o tym, ale kiedy zapytałem mojego pasera, co dałby mi za półmilionowy system terapii z modulacją zintensyfikowanego promieniowania, wyrzucił mnie, powiedział, żebym wrócił, kiedy będę miał jakieś dobre zegarki.

– Dellin? – zaproponowała Joyce. – Zabiję go, jeśli chcesz. Powiedz tylko słowo, a ja to zrobię. Załatwię go właśnie tutaj.

– Naprawdę jestem w kropce w tej sprawie – Dellin nawet jej nie usłyszał; jego irytacja nie wynikała ze słownych wybryków Ricka, najwyraźniej chodziło o informacje.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę sprawami zawodowymi w twój wolny dzień – powiedziała Clare.

– Zapomnij o tym; to twoje zadanie, by mi o tym powiedzieć. Ja po prostu nie mogę tego zrozumieć. – Dellin przejechał dłonią po policzku, myśląc. – Nic z tego nie ma sensu.

– Było jeszcze to i druga dostawa z Hodder-Tech. To też wydało mi się dziwne, bo przecież dopiero co dostaliśmy ją poprzedniej nocy. – dodała Clare.

– Hodder-Tech Industries. – Teraz Dellin przecierał oczy, chichocząc do siebie z rozgoryczenia. – Druga dostawa. Więcej elementów magna-ferrycznych?

– Tak, dokładnie. Więc nie wiedziałeś o tym?

– Nie, nie wiedziałem. I tak. To jest dziwne. To więcej niż dziwne. To musi być pomyłka. Te zespoły elementów wytrzymują co najmniej sześć miesięcy na jednostkę.

– Ile jednostek jest zainstalowanych w klinice?

– Tylko jedna.

– Hodder-Tech musi więc myśleć, że mamy dwa. – Wszystko co Clare mogła zrobić to wzruszyć ramionami. – Dostarczą kolejne zamówienie gdzieś w poniedziałek.

– Chcesz, żebym zapytał mojego pasera, ile da nam za zespół elementów magnaferryicznych? – zaproponował Rick.

– Pustaku, oni prywatnie rozmawiają o pracy. To oznacza, że czas, byś zamknął buzię i przestał hałasować.

– Cóż, moja ryba stygnie, a ostatnią rzeczą, jaką ktokolwiek z nas powinien się martwić w weekend, są tego typu bzdury. Naprawię to w poniedziałek. Do zobaczenia. Wszyscy pożegnali się, gdy odchodził, ale tuż przed odejściem mrugnął do Clare.

Och, czego ja bym nie zrobiła... pomyślała.

– Hej, Clare, – powiedział Rick. – Możesz już wyłączyć maszynę do pinballa.

– Hę?

– Bo tak właśnie świeciła się twoja twarz przez cały czas, gdy on tu był.

– Wcale tak nie było!

Joyce uniosła brwi, kiwając na te słowa przecząco głową.

– Aha, no cóż. Chrzańić to – powiedziała zrezygnowana Clare. Musiałyby po prostu ciężiej pracować nad tym, by być opanowaną i wypraną z emocji. Dużo ciężiej.

– To naprawdę przystojny facet – zauważyła Joyce.

– Tak jak ja – wtrącił Rick.

– Tak, Rick, ale Dellin ma kilka rzeczy, których ty nie masz.

– Wymień jedną.

– Spryt. Dowcip. Wyrafinowanie.

– Powiedziałem wymień jedną. – zadrwił Rick. – A kto potrzebuje tego wszystkiego, kiedy można być ideałem?

– Co za debil.

– Tak, ale ja jestem twoim debilem. – Joyce i Rick pocałowali się po tych słowach, trwając dłuższą chwilę w namiętym uścisku. Clare zamówiła kolejne piwo, a gdy rozejrzała się dookoła, okazało się, że kilka innych par przy barze też się całuje. Przez okno zobaczyła przejeżdżającego mercedesa Dellina.

Fajnie było wyjść z Joyce i Rickiem, ale nagłe pojawienie się Dellina zepsuło jej humor. Była zachwycona, że go zobaczyła, ale teraz, gdy go nie było, czuła się przygnębiona. Romantyczna zabawa wokół niej wydawała się surrealistyczna. Słyszała głośne pocałunki, widziała kołysanie złączonych bioder. Kiedy znów spojrzała na swoich towarzyszy, piersi Joyce przyciskały się do klatki piersiowej Ricka, jej ręka pod barem wślizgiwała się w szorty. Nie było to lubieżne, lecz namiętne. Pocałunkami łączyli się w miłości, wyrażając szczerą potrzebę wzajemnej bliskości. Clare faktycznie trochę się spięła, patrząc na nich, nie dlatego, że ten publiczny pokaz był zbyt dosadny, ale dlatego, że był podniecający. To sprawiło, że zapragnęła, by robić to samo z Dellinem.

Przynajmniej ktoś będzie się dziś dobrze bawił, pomyślała i uśmiechnęła się mimo swojego przygnębienia.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

(1)

– Piękna noc, prawda?

– Zamknij się – burknął Harley.

Mimo tej chamskiej odzywyki Cinny nie zniechęciła się, nawet po tym, jak wcześniej uderzył ją przy przyczepie. Była optymistką. Nosiło ich z odstawienia i byli splukani, ale Cinny była zdeterminowana, by misja się powiodła. Ciągle zwracał jej uwagę, że za dużo gada i że działa mu to na nerwy; Harley Mack był dobrym człowiekiem, ale gdy zbyt długo nie brał, stawał się wredny. Mocne picie trochę to łagodziło, tak jak tamtej nocy, kiedy tu przyszli i Cinny została ugryziona przez tę wielką grubą ropuchę i węża. Harley Mack uderzył ją tej nocy tylko kilka razy, a później przeprosił. Ale dziś wieczorem nie mieli nawet pieniędzy na butelkę taniej whisky.

Odwyk bez alkoholu sprawił, że Harley Mack stał się naprawdę podły.

Podrzucił ją wcześniej na kilka godzin na trzydziestą czwartą ulicę, wzdłuż korytarza moteli i lokali ze striptizem. Cinny nie miała nic przeciwko numerkom, jeśli oznaczało to pieniądze, dla nich zrobiłaby wszystko. Niektórzy z facetów, którzy ją podrywali, nie byli zbyt mili i śmierdzieli. Ale kto powiedział, że życie jest łatwe? Jej matka zawsze to powtarzała, kiedy sama się sprzedawała: Trudy są dobre dla duszy, kochanie. To Boży sposób, by nas sprawdzić. Mojżesz cierpiał trudy, Jezus cierpiał trudy i dlatego my też musimy je cierpieć. Cinny patrzyła na życie w ten sam sposób – mimo że wątpiła, by Mojżesz czy Jezus kiedykolwiek musieli się puszczać za pieniądze dla mety.

Kiedy Harley Mack odbierając ją z powrotem, dowiedział się, że stała tam na darmo uderzył ją mocno w szczękę.

– Dobry Boże, dziewczyno! Nie możesz już nawet sprzedać swojego chudego tyłka za dziesięć dolców! Ty bezużyteczna suko! Powiniennem wyciąć ci serce i nerki i sprzedać je ludziom, którzy potrzebują przeszczepów, bo nie jesteś warta psiego gówna!

Nie, Harley Mack nie był zabawny, gdy był w takim stanie, ale to nie udaremniło determinacji Cinny. Złe chwile trzeba łączyć z dobrymi.

Było już późno; wciągnęli łódź na brzeg i przykryli ją liśćmi palmowymi na skraju lasu, a teraz skradali się z powrotem do kliniki, gdzie były wszystkie narkotyki. Większość z nich to morfina, jak powiedział Harley Mack, ponieważ była to klinika onkologiczna, a oni zamierzali sprzedać ją dla mety. Cinny była pod wrażeniem swojej narkomańskiej etyki. NIGDY nie zażywałaby morfiny! To jest to samo, co narkotyki. Tylko białe śmieci biorą morfinę!

– Harley M... – przerwała, gdy Harley Mack zacisnął jej mocno usta.

– Ani słowa więcej – wycedził zaciskając zęby – Nie wrócę do pierdła z powodu twojej jędzowatej gęby. Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, zanim dotrzemy do kliniki, odgryzę ci wargi i skleję zęby Kropelką. Rozumiesz?

Cinny przytaknęła energicznie, w kącikach jej oczu zalśniło kilka łez bólu. *Nienawidzę, gdy on to robi!* pomyślała. Czasami zaciskał jej usta zbyt mocno, i wtedy wargi puchły tak bardzo, że wyglądały jak wielka różowa przysawka. Ale wiedziała, że nie powinna go drażnić, nie wtedy, gdy tak bardzo się denerwował. *Spójrz na to z dobrej*

strony, za godzinę lub dwie będziemy mieli całą masę towaru do sprzedania ćpunom i będziemy na haju przez długie miesiące!

To była właśnie wspaniała rzecz w Cinny. Zawsze była jakaś dobra strona bycia popapranym, chudym, dotkniętym biedą wsiurem mieszkającym w zardzewiałej przyczepie i zmierzającym absolutnie donikąd.

Harley Mack przyniósł swoje wytrychy. Był w tym naprawdę dobry, nauczył się ich używać, gdy był w więzieniu. Potrafił nimi otworzyć drzwi zazwyczaj w takim samym czasie, w jakim otwierał je kluczem, ale już wcześniej powiedział, że nie zamierza ich użyć, by dostać się do kliniki. Te zewnętrzne drzwi były pod alarmem. Dlatego przyniósł podnośnik hydrauliczny i długi łom.

– Wejdziemy przez podłogę – powiedział.

Cinny nie miała pojęcia, jak zamierzał to zrobić, ale nie odważyła się zapytać. Jej największe zmartwienie prześladowało ją przez całą noc. Ropucha. I ten okropny dwugłowy wąż. Obie te obrzydliwe rzeczy ugryzły ją, a ślady były wciąż widoczne. Harley Mack klęczał na tyłach kliniki i odkręcał kratkę wentylacyjną, która była osadzona w cementowej podmurówce budynku.

Mamy się tam wcisnąć, uświadomiła sobie Cinny z niemalą dozą strachu. Będzie ciemno i obleśnie, a założę się, że jest tam jeszcze kilka tych ropuch i dwugłowych węży...

Harley Mack zdjął osłonę w mniej niż minutę mając do dyspozycji tylko światło księżycy, które oświetlało śruby.

Cinny wiedziała, że wewnątrz nie będzie całkiem ciemno.

– Wchodzimy teraz i pamiętaj, ani słowa, dopóki nie będziemy w środku. – Powiedział szorstkim szeptem, spoglądając na nią. – A teraz daj mi latarkę.

Czy ja przyniosłam... zastanowiła się przez chwilę przerażona.

– Powiedziałem ci, żebyś podała latarkę – powiedział ponurym tonem. – Jeśli zapomniałaś latarki, skręć ci twój chudy kark.

Cinny, niestety, nie miała zbyt dobrej pamięci do szczegółów. Wzięła ze sobą torbę, w której były papierosy, a także kilka bardzo dużych czarnych plastikowych worków na śmieci, w których mogli wynosić narkotyki. Ale nie przypominała sobie, by kiedykolwiek włożyła tam latarkę. Stała więc z otwartymi ustami.

Harley Mack wstał i spojrzał na nią złowrogo po czym wycedził:

– Ty głupia, bezmózga suko. Zapomniałaś latarki. Teraz muszę wrócić do przyczepy, żeby ją wziąć. Ale wiesz co? Będę wracał do przyczepy sam, bo zabiję twoje bezużyteczne dupsko tu i teraz. Pozbędę się ciebie raz na zawsze, bo jesteś największym pieprzonym bólem dupy.

Cinny sięgnęła do torby, po czym podała mu latarkę.

– Moja grzeczna dziewczynka – powiedział radośnie.

Dziękuję Ci Jezu i Mojżeszu! Dziękuję, że włożyliście tę latarkę do tej pieprzonej torby!

Wzdrygając się, weszła za Harleyem Mackiem przez dziurę, czołgając się na brzuchu. Musiała mniej więcej podążać za jego odgłosami, bo ledwo widziała światło przed sobą. Na zewnątrz było już wystarczająco gorąco, ale pod ziemią czuło się zaduch. Pot błyskawicznie zalewał jej skórę, a cały kurz i brud, który tu zalegał, całą ją oblepiał. Każdy ruch do przodu sprawiał, że modliła się, by jej ręka lub kolano nie wylądowały na jednym z tych węży, a wkrótce było jeszcze gorzej, bo Harley Mack poruszał się znacznie szybciej; był teraz daleko przed nią.

Właśnie wtedy, gdy nie mogła już dostrzec żadnego światła, usłyszała, jak pracuje zapadka. Podążyła za miarowym stukotem metalu.

– Bułka z masłem, kochanie – powiedział, kręcąc korbą podnośnika. Płaska płyta dociskająca czubek łomu wypychała podłogę od spodu; Ciny słyszała jej trzaski. Cieszyła się, widząc, że jest szczęśliwy. Trochę to trwało, ale w końcu wypchnął w górę wystarczająco duży kwadrat podłogi, niczym właz i wydostał się na górę.

Nad głową Ciny zajaśniało światło. Sam widok tego światła sprawił, że poczuła się lepiej. W wilgotnej ciemności czuła się paskudnie.

– Boże wszechmogący...

– Co jest? – wyszeptła.

W otworze pojawiła się głowa Harleya Macka, który uśmiechał się mówiąc do niej:

– Szczęście jest dziś po naszej stronie, kochanie!

– He?

Sięgnął w dół i wciągnął Ciny przez otwór za jeden nadgarstek. Następną rzeczą, o której wiedziała, było to, że stała na nogach w małym, jasno oświetlonym pokoju pełnym półek.

– Możesz w to uwierzyć? Tak się składa, że pomieszczenie, do którego wpadliśmy, to schowek z narkotykami!

Na półkach stały małe pudełka i butelki. Ciny widziała na nich dziwne słowa: DURA-MORPH, DILAUDID, MS-CONTIN. Niżej były pudełka z fiołkami z napisem MORPHINE SULPHATE. To w zasadzie mówiło wszystko.

Harley Mack objął Ciny silnymi ramionami i dał jej wielkiego buziaka. Ciny była zszokowana.

– Kochanie, przepraszam, że traktuję cię jak gówno i biję cię po głowie, ale to dlatego, że jestem na głodzie. Z tym łupem jesteście ustawieni. Kupię ci ładne rzeczy, takie, na jakie zasługujesz, i dużo mety. – Przytulił ją mocno. – Ah, skarbie, tak bardzo cię kocham!

Ciny wybuchła łzami radości, zaciskając posiniaczone usta. W momencie, gdy chciała odwzajemnić pocałunek, rzucił jej jeden z czarnych worków na śmieci.

– Masz. Zaczynij je napełniać.

Pięć minut zajęło im oczyszczenie półek z narkotyków, które były ich skarbem. Ich wartość uliczna byłaby pewnie pięciocyfrowa. Ale radość Ciny nie wynikała wyłącznie z tego, lecz także z jego miłości. Bez martwienia się o prochy możemy mieć normalny, kochający związek, taki, jaki powinien być!

– Szybko poszło, co?

Ciny spojrzała na niego ze szczerbatym uśmiechem. Wtedy Harley Mack wrzucił obie torby do dziury.

– Najmądrzejszą rzeczą, jaką można zrobić, jest wydostanie się stąd w tej chwili.

– Zróbmy to! Wróćmy do przyjemnej przyczepy!

– Kurwa, musimy przynajmniej rzucić okiem. – Odparł przygryzając wargę – Nie wydaje mi się, żeby to było w porządku, że przyjechaliśmy taki kawał drogi tylko po to, żeby wpaść do jednego pomieszczenia.

– Ale my już mamy to, po co przyszliśmy. – Ciny wyraźnie się to nie spodobało.

– Może jest tam coś więcej. Może jest tam sejf, albo skrytka na drobne wydatki. Idziemy.

Przekręcenie gałki wystarczyło, by odblokować drzwi. Teraz stali w długim, oświetlonym korytarzu patrząc na drzwi na końcu korytarza.

– Wyglądają inaczej niż pozostałe – zauważyła Ciny.

– To dlatego, że są to drzwi bezpieczeństwa. Mają kodowany zamek.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie mogą go otworzyć i że drzwi są prawdopodobnie okablowane. – Harley zmrużył oczy. – Ale to nie wszystko.

– Co?

– To znaczy, że ludzie, którzy zarządzają tym miejscem, mają za tymi drzwiami coś, co jest dla nich cenniejsze niż ta pieprzona masa towaru, którą właśnie zapakowaliśmy. Nie ma mowy, żebyśmy stąd wyszli bez sprawdzenia tego.

– Właśnie powiedziałaś, że są okablowane – jęczała Cinny. – To włączy alarm!

– Tak, na pewno by tak było, gdybyśmy wyważyli drzwi. Ale nie, jeśli to obejdziemy. Wtedy Cinny już wiedziała.

Znaleźli się z powrotem w dziurze i w gorącej ciemności. Cinny zdała sobie sprawę, że naprawdę złym pomysłem byłoby narzekanie – zepsułoby to dobry nastrój Harleya Macka. Z powrotem na brzuchu, czołgając się przez śmierdzący brud i kurz, podążyła za chrobotem swojego mężczyzny, ciągnąc za sobą torby. Dziesięć minut później Harley Mack i jego podnośnik utworzyli korbą kolejną dziurę w podłodze i czołgali się w górę.

– Pokój badań. Wielka mi rzecz.

Teraz stali w pokoju przypominającym typowy gabinet lekarski. Kiedy Harley Mack otworzył drzwi, znalazł za nimi podobne pomieszczenie. Cinny otworzyła drugie drzwi.

– Tu jest korytarz.

– Zróbmy to szybko. Poszukajmy tylko narkotyków lub sejfów; spotkajmy się tutaj za pięć minut. Ty pójdziesz w tamtą stronę, ja pójde w tę.

Spuchnięte wargi Cinny rozchyliły się, by zaprotestować.

– Nie zaczynaj – ostrzegł. Dotknął jej warg wskazującym palcem. – Sprawię, że będą grubsze, jeśli zaczniesz jęczeć.

Nie ma mowy, żeby Cinny tego znowu chciała. Jej wargi już wyglądały jak para sprasowanych kielbasek, a do tego bolały jak cholera.

Po prostu rób, co mówię... pomyślała.

Jak dotąd wszystkie drzwi były odblokowane, a za nimi nie było nic ciekawego. Kolejny pokój badań, pokój z kartotekami, pokój z mnóstwem komputerów. Jednak w tylnym rogu budynku otworzyła drzwi i znalazła pomieszczenie, w którym nie było nic poza okrągłą dziurą w podłodze, przypominającą właz. *Zadaliśmy sobie tyle trudu, by wybić podłogę podnośnikiem, skoro mogliśmy użyć tego?* parsknęła pod nosem. Ale kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że tak nie jest. Metalowa drabina schodziła co najmniej trzy metry w dół, daleko poza poziom gruntu pod kliniką.

Przypomina wielką rurę, wydedukowała, mrużąc oczy mocniej. Wyglądało na to, że drabina schodziła do rury kanalizacyjnej o średnicy co najmniej pięć stóp.

No dobrze. I co z tego? pomyślała. Chciała tylko skończyć poszukiwania i wyjść.

– Cholera, nic tu nie ma – mruknęła. Kilka kolejnych drzwi ujawniło biura, salę konferencyjną, laboratorium, szafkę na śmieci. Nic ciekawego.

Cinny zmarszczyła brwi, gdy otworzyła ostatnie drzwi w korytarzu. Jeszcze jeden pokój badań. Większy od pozostałych, a pod jedną ścianą znajdowały się cztery oddzielne pomieszczenia, które były odgródzone kotarami. Metalowe szafki zamontowane nad ladą były pełne różnych leków, ale były zamknięte.

Czy mam je wyłamać? zapytała samą siebie. Nie, lepiej pójde do Harleya Macka, zobaczę, czego chce. Ale wtedy przyszedł jej do głowy lepszy pomysł. Do tej pory mieli dużo szczęścia. Dlaczego mieliby zaprzepaścić to szczęście swoją chciwością?

To jest głupie. Mamy już mnóstwo towaru. Po prostu nie powiem Harleyowi Mackowi o tych szafkach. Cholera, ja chcę tylko wrócić do domu! Już miała wychodzić, gdy... wytrzeszczyła oczy? Coś usłyszała. *Co to było?* Może w ogóle nic nie słyszała. To pewnie była tylko jej wyobraźnia... Wtedy usłyszała to znowu, najdelikatniejszy dźwięk, prawie jak westchnienie. Bardzo powoli, jej szeroko otwarte oczy zwróciły się w stronę rzędu zasłoniętych boksów. *Nie! Nie zaglądam za te zasłony!* Westchnienie znów się rozległo, a gdy się skoncentrowała, wydawało jej się, że słyszy słaby szum, jakby odległej maszyny. Jeśli naprawdę ktoś tu był, musiała się tego dowiedzieć i powiedzieć o tym Harleyowi Mackowi. Za tymi zasłonami może być pacjent. Drżąc ze strachu, Cinny podeszła do pierwszej zasłony i zerknęła przez szczelinę.

Nic!

Wtedy odsunęła zasłonę do końca. Zobaczyła puste łóżko. To samo znajdowało się za drugą zasłoną. Jej serce trochę zwolniło, a strach osłabł. Trzecia część była inna. Znajdował się tam długi metalowy stół z dwoma rowkami pośrodku, które przypominały jej jakiś tor, a u wezłowania stołu znajdowało się szerokie urządzenie przypominające właz z okrągłym okienkiem.

Pieprzona pralka! Zaśmiała się sama do siebie. Duża, taka jak w pralniach. *To pewnie tu piorą fartuchy i pościel z kliniki. Ale ze mnie idiotka!* pomyślała Cinny. *Wystraszyłam się głupiej pralki! A to musi być suszarka, za ostatnią zasłoną. To właśnie ten brzęczący dźwięk.*

Odsunęła zasłonę i... Nie było za nią żadnej „suszarki”. Krzyk wyrwał się z jej piersi jak wybuch bomby. Z jej ust poleciała ślina, a oczy wybałuszyły się. To, co leżało przed nią na wyścielanym stole, to drżąca naga kobieta, która musiała być w dziewiątym miesiącu ciąży. Leżała przymocowana pasami do stołu, z nogami przywiązanymi do strzemion ginekologicznych. Pot lśnił na skórze kobiety tak obficie, że wyglądała na oblaną olejem. Ogromny ciężowy brzuch pulsował.

Cinny z przerażenia uderzyła o stojący za nią stół z rowkami i przewróciła się na bok.

– Harley MAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAACK! – wrzasnęła, a kiedy odwróciła się do góry, by odzyskać równowagę i uciec, odkryła, że z pralki przez okrągłe drzwiczki patrzy na nią twarz Harleya Macka.

On jest wewnątrz pralki! pomyślała z przerażeniem.

Ciężarna kobieta zaczęła do niej bełkotać, śliniąc się. Szum dochodził z pralki i pierwszym odruchem Cinny było otwarcie jej i wyciągnięcie Harleya Macka. Ale kiedy szarpnęła za uchwyt, nic się nie wydarzyło. Harley Mack był zamknięty w środku. Zdenerwowana spojrzała jeszcze raz w okienko i wtedy zdała sobie sprawę, że to nie jest pralka. Nie obracała się, a w środku zaczęło świecić coś jasnego i pomarańczowego. Twarz Harleya Macka była przyciśnięta do szyby, podobnie jak jego ręce. Wpatrywał się w nią, krzycząc. Cinny mogła tylko patrzeć w przerażającym oszołomieniu. Twarz Harleya Macka wyglądała, jakby się gotowała. Za każdym razem, gdy jego usta otwierały się, by krzyknąć, wydobywał się z nich dym. Miotał się, a dym wydostawał się z jego włosów, para wylatywała z uszu, a nagle...

Plask!

Oczy Harleya eksplodowały na szybę, mózg zagotował się błyskawicznie.

Ucieczka była teraz jedynym impulsem i choć w jej psychice nie było zbyt wiele miejsca na kalkulacje, jakaś mniejsza część jej umysłu była w stanie zrozumieć kilka zasadniczych spraw. Harley Mack nie dostał się do włazu z własnej woli – ktoś go tam

wsadził i zrobił to w ciągu ostatnich kilku minut. Więc ktokolwiek to zrobił, prawdopodobnie nadal tu jest. Pobiegła korytarzem, wbiegła za róg. Przyparła się do ściany, wsłuchując się w odgłos kroków za nią, ale nie usłyszała żadnego. Nie pamiętała, jak wrócić do pokoju, przez który weszli; zamiast tego kierował nią instynkt. Jezus i Mojżesz przeszliby przez nie z impetem. Pierwsze drzwi, które otworzyła, miały wyrwany fragment podłogi, otwarty, jakby czekał na nią. Cinnie wskoczyła do środka, upadła na kolana...

Wysłałam!

Ale...

Wyrzała z małego bloku światła, w którym klęczała. Mdląca, gorąca ciemność przyglądała jej się ze wszystkich stron. Jak bez latarki miałaaby znaleźć drogę powrotną do ekranu, który usunęli? Serce waliło, a oddech był bliski hiperwentylacji. Nie przyszło jej do głowy, że marnuje cenny czas. *Po prostu idź!* szeptała. *Czołgaj się w linii prostej, aż dojdiesz do zewnętrznej ściany, a potem po prostu podążaj za nią, aż dotrzesz do ekranu...* To była jedyna opcja, ale taka, z której nigdy nie będzie miała okazji skorzystać.

W ułamku sekundy przed tym, jak zaczęła się wyczołgiwać, znów zaczęła krzyczeć, wysokim, twardym krzykiem, przypominającym raczej zwierzę wciągane w paszczę lamparta. Jakaś ręka sięgnęła w dół, chwyciła ją za włosy i wciągnęła z powrotem do środka.

(II)

W domku panował gorąc. Clare zapomniała zostawić włączoną klimatyzację, ale po chwili zastanowienia postanowiła jej nie uruchamiać i zamiast tego odsłonić zasłony i przesuwne szklane drzwi. Zgasiła wszystkie światła i stała przez chwilę, patrząc na oświetloną księżycem zatokę. Orzeźwiająca bryza wypełniała wnętrze. Ten błogi spokój przyniósł jej ulgę. Bezcelowe spojrzenie w jedną stronę pokazało jej, że może zajrzeć do kolejnego domku: Pani Grable. *Nie, znowu to samo*, pomyślała. W blasku świec pani Grable wykonywała dla swojego męża kolejny zmysłowy taniec, poruszając się jak wamp w przyćmionych skrawkach światła. Clare odwróciła wzrok w stronę domku Joyce. Rick i Joyce beczelnie kochali się na balkonie. Blask księżycza podkreślał linie potu na ich skórze. Clare wdrygnęła się. Tym razem nie chciała na to patrzeć. Miłość była dziś wszędzie, ale nie było jej dla niej.

Wróciła do salonu, zdejmując po kolei top, szorty i majtki, po czym położyła się na kanapie. Teraz jej niezadowolenie nie było już dla niej tajemnicą; jej zauroczenie Dellinem było tak silne, że wiedziała, jak bezużyteczne jest rozkazywanie sobie, by się od niego uwolnić. *Nic z tego nie będzie*, pomyślała, zwijając się na kanapie. Noc w barze była świetną zabawą; pozwoliła jej poczuć, że dla odmiany jest częścią zespołu i to jej się podobało, ale teraz wszystko się skończyło i znów była sama, w ciemności.

Postanowiła znów spać na kanapie, zbyt przygnębiona, by nawet przejść tę niewielką odległość do sypialni. Mimowolnie jej wzrok padł na duży pusty ekran telewizora tuż przed nią, a potem niżej, na półkę na stojaku telewizyjnym. Widziała tam pudełko po butach, w którym znajdowały się kasety wideo z lubieżną zawartością. Pamiętała, że był to trójpak, ale tylko dwie kasety znajdowały się w opakowaniu. Myśl o tym nie dawała jej spokoju: *Gdzie jest trzecia taśma? Co na niej jest?* Dwie kasety wystarczyły, ale erotyczne uniesienia zbyt mocno utkwily jej w pamięci. Tak, Grace

Fletcher i jej koleżanki stanowiły bardzo wyuzdaną bandę. Już samo oglądanie takich rzeczy na ekranie telewizora było szokujące, ale jeszcze bardziej szokujące było to, że jej stara przyjaciółka Donna Kramer tak chętnie w tym uczestniczyła. Donna nigdy nie wydawała się typem rozwiązłej siksy, ale... Kogo ja oszukuję? pomyślała Clare, zamykając oczy. *Pewnie jestem po prostu zazdrosna i nie przyznaję się do tego. Dzielczynna, której nikt nie chce, zawsze pierwsza nazywa kogoś innego dziwką.*

Następnie, równie niechący, przyłapała się na tym, że zastanawia się, czy zielony wibrator też jest jeszcze w pudełku po butach. *Świetnie...* Jej zahamowania i pogarszająca się samoocena zderzyły się z obrazami z kaset, a nawet z myślami o Dellinie. Wiedziała, że rosnące podniecenie było sztuczne, bardziej stanowiło reakcją na jej frustrację. Nie odważyła się na masturbację; to byłoby zbyt nierealne i sprawiłoby, że byłaby potem jeszcze bardziej przygnębiona.

Delikatna bryza nadal wiała od strony zatoki. Wiedziała, że powinna zamknąć przesuwne drzwi i zasunąć zasłony, choćby tylko ze względów bezpieczeństwa. Wtedy pojawiła się przelotna myśl: *Potwór w lesie...* zaśmiała się ironicznie. I do diabła z zasuwaniem zasłon. Spanie nago na kanapie nie wchodziło w rachubę, ale: *wątpię, żeby nawet taki zboczeniec jak Adam był na nogach o tej godzinie, a jeśli nawet, to mam to gdzieś.* Sen był tym, czego potrzebowała. Depresja jutro zniknie, a ona będzie mogła zacząć od nowa. Tak. Tylko miły, długi sen.

Chwilę później jej oczy osłepiło białe światło. Serce waliło jej jak oszalałe, usłyszała krzyk mrozący w żyłach krew, ale gdy adrenalina i instynkt ponaglały ją, by sięgnąć po broń, złudzenie snu na jawie zniknęło. *Jezu Chryste!* Naga, spocona i drżąca, stoczyła się z kanapy i upadła na podłogę.

To był naprawdę miły, długi sen. Noc minęła strasznie szybko; zegar ścienny wskazywał dziesiątą rano! To osłepiające białe światło okazało się słońcem świecącym z ganku, a krzyk? To był tylko telefon, nastawiony trochę za głośno jak na jej gust. Dzwonił już tyle razy, że myślała, że rozmówca zrezygnuje, zanim do niego dotrze.

– Halo?

– Cześć, Clare, z tej strony Dellin. Bardzo przepraszam, że zawracam ci głowę.

Dellin! pomyślała, ale jej umysł był jeszcze ospały. Jego ton nie brzmiał dobrze.

– Czy coś jest nie tak?

– Cóż, jestem teraz w klinice... Czy przypadkiem wczoraj w nocy nie włączył się twój alarm?

Teraz poczuła się jeszcze bardziej zagubiona. Natychmiast podniosła brzęczyk i zobaczyła, że nie wysłano żadnej wiadomości.

– Nie, miała go przy sobie przez cały czas. Dellin, co się stało?

– Przypomniałem sobie, co wspomniiałś wczoraj wieczorem w barze, o niepotrzebnej drugiej dostawie z Hodder-Tech.

– Racja. Te elementarne rzeczy. Potwierdzenie dostawy mówiło, że dotrą w poniedziałek – powiedziała Clare, próbując się obudzić.

– Planowałem zadzwonić do nich dzisiaj, żeby anulować zamówienie, ale dopiero teraz dotarło do mnie, że ich biura są zamknięte w weekendy. Przyszedłem więc do kliniki, by wysłać im faks, ale nie mogę się dowiedzieć, jak uruchomić to cholerne urządzenie. Czy mogłabyś...

– Daj mi dziesięć minut. – Nagle ogarnął ją entuzjazm; każdy pretekst, by zobaczyć Dellina, sprawiłby, że jej dzień byłby lepszy. Ale potem zastanowiła się chwilę.

– Ale, Dellin, dlaczego zapytałeś mnie, czy mój brzęczyk się włączył?

– To druga sprawa – powiedział z niepokojem. – Coś tu jest nie w porządku. Myślę, że ktoś był w tym budynku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

(1)

– Wszystkie zewnętrzne drzwi i okna są podłączone do systemu alarmowego – tłumaczyła, pokazując Dellinowi odczyty na monitorze. – Powinieneś o tym wiedzieć, to ty zamówiłeś ten system. A zapis wejścia/wyjścia w komputerze pokazuje zero dla sobotniej nocy. Żadnych autoryzowanych wejść i żadnych naruszeń. Gdyby ktoś się włamał, nie tylko włączyłby się alarm, ale także miejsce włamania byłoby zaznaczone na komputerze. Ale jak widzisz...

– Nic – potwierdził Dellin, badając ekran. – Ale, cholera. Jestem pewien, że ktoś był w składzie apteki.

– Zamek w drzwiach jest podłączony do systemu. Jeśli ktoś by tam wszedł, kod klucza powiedziałby nam, kto to był i o której godzinie. Gdyby ktoś wyłamał zamek, to samo. Czas włamania zostałby zapisany.

– Hmm.

– Chodźmy obejrzyć to pomieszczenie – zaproponowała. – Może odkryjesz, co jest nie tak.

Dellin poszedł za nią, cichy, zaabsorbowany. Podejrzewała, że czuł się trochę głupio z tym „przecuciem”, że coś jest nie tak. Po jego telefonie Clare wzięła szybki prysznic, założyła mundur, pas na broń i jak najszybciej znalazła się w klinice. *Wygląda na to, że to wszystko to tylko fałszywy alarm*, uświadomiła sobie teraz. W jej branży zawsze rozsądnie było, aby ochroniarze mieli paranoję, ale nie klient. *Co go, do cholery, gryzie?* zastanawiała się.

– I w tej kwestii też miałaś rację – wspomniał Dellin beznamiętnie. Gdy szli korytarzem, zatrzymał się i otworzył drzwi oznaczone IRMT. Pomieszczenie było puste, o czym Clare już wiedziała.

– Po prostu nie rozumiem, jak cały ten sprzęt mógł zniknąć bez mojej wiedzy.

– Jestem pewna, że jest jakieś rozsądne wytłumaczenie – próbowała go uspokoić. W głębi korytarza Clare odblokowała drzwi do apteki, włączyła światło. Nic nie wydawało się nie w porządku, a cały zapas leków wydawał się być nienaruszony.

– Dla mnie to pomieszczenie wygląda normalnie – powiedziała. – Nie spiesz się, pomyśl. Co w tym pomieszczeniu wydaje ci się nie w porządku?

– Nie wiem, musisz myśleć, że jestem idiotą. – Dellin potrząsnął głową, sfrustrowany. – Nie potrafię tego dobrze ująć w słowa, ale... – Mrużąc oczy rozejrzał się po małym pokoju. – Są wszystkie leki, ale... nie wyglądają tak jak trzeba. Po prostu wydaje mi się, że niektóre z nich nie są na właściwym miejscu.

Clare zdjęła małe pudełko z tabletkami oznaczonymi jako MS-CONTIN. Otworzyła je, zdjęła zakrętkę, ale zadowolili się plombą zabezpieczającą. – Sprawdzę każdą butelkę, upewnię się, że plomby nie zostały naruszone.

– Nie, to nie jest konieczne. I zajęłoby to wiele godzin.

– To jest moja praca, Dellin. Jeśli uważasz, że ktoś tu był, muszę zbadać każdą możliwość. Wezwę Joyce i Ricka do pomocy.

– Nie, to byłaby strata czasu. – Potrząsnął głową. – Już ustaliliśmy, że nikt nie wszedł do środka.

– W porządku. – Ale Clare nie wiedziała co zrobić. Poza tym, na pewno nie chciała sugerować szefowi, że coś sobie ubzdurał.

– Więc myślisz, że niektóre z pudełek są w złym miejscu? Że ktoś je przestawił?

– Tak, na to mi wygląda. Ale dlaczego ktoś miałby to robić?

– Kto przeprowadza inwentaryzację?

– Ja.

– Jak często?

– Za każdym razem, gdy wypisuję receptę, loguję ją do komputera, a komputer mówi, że wszystko jest tutaj.

– Czy ktoś przechodzi od czasu do czasu, aby sprawdzić stan magazynowy lub sprawdzić daty ważności?

– Nie. To wszystko też jest robione w komputerze. A ja, Harry i ochrona jesteśmy jedynymi osobami, które mają klucz. Naprawdę mi przykro, że sprowadziłem cię tu na darmo.

– To żaden kłopot, Dellin – powiedziała, ale jej własna frustracja zaczynała ją drażnić. Profesjonalny dystans, który wiedziała, że musi utrzymać, wciąż pękał w niektórych miejscach. Tak było od dnia, w którym go poznała. *Boże!* W pewnym momencie zaczęła wbijać paznokcie w udo, próbując odwrócić wzrok. Nie mogła przestać się na niego gapić. Ulżyło jej, gdy mogła przerwać niezręczną ciszę mówiąc:

– Czekaj, jest jeszcze jedna rzecz, którą mogę sprawdzić. Nie pomyślałam o tym aż do teraz.

– Czyli?

– Licznik osób – odparła.

– Hę?

– Detektor ruchu. – Wskazała na malutkie urządzenie na ścianie. – Są one częścią systemu bezpieczeństwa i są w całym budynku.

– Nawet nie wiedziałem, że mamy czujniki ruchu – Dellin wyglądał na zdezorientowanego.

Zamknęła drzwi i zaprowadziła go z powrotem do biura ochrony. Rozbawiło ją jednak to, jak mało wiedział o systemie kliniki.

– Nie są pod alarmem, nie muszą być, bo wszystkie zewnętrzne wejścia są. Nazywamy to licznikiem osób, ponieważ daje nam znać, czy w budynku nikt nie został, gdy szykujemy się do zamknięcia.

– To dobrze, że wiesz, co robisz, bo ja na pewno nie.

– Chodź, pokażę ci. Udowodnię ci, że nikogo nie było w tym pokoju.

Wróciwszy do biura, Clare otworzyła odpowiedni program.

– To zajmie tylko chwilę.

– Dobrze, idę po wodę do automatu. Chcesz coś?

– Jasne, mrożoną kawę, jeśli to nie problem.

– Zaraz wracam.

Detektory ruchu rejestrowały jedynie ruch wielkości człowieka, nie tyle jako funkcję bezpieczeństwa, co po prostu jako środek ostrożności. Gdyby starszy pacjent zdezorientował się i zgubił, czujniki ruchu natychmiast by go odnalazły. Był to najlepszy sposób, by upewnić się, że wszyscy pracownicy medyczni i obsługa opuścili budynek, gdy nadszedł czas zamknięcia. Clare wpisała godzinę i wczorajszą datę. *Może kiedy zobaczy dowody na to, że nikt nie wszedł do składu leków, zrozumie, że był po*

prostu paranoikiem. Ale zanim Dellin wszedł ponownie z napojami, Clare wpatrywała się ze zdumieniem w ekran komputera.

– Myliłam się – powiedziała.

– Co masz na myśli?

Clare kliknęła na mapę budynku. W małym kwadracie, który przedstawiał depozyt farmaceutyczny, mignęła czerwona kropka.

– To jest naprawdę dziwne, Dellin.

– Nie nadążam za tobą. Co to jest ta czerwona kropka?

– Ktoś był w tym pokoju zeszłej nocy, tuż po pierwszej w nocy, dokładnie przez siedem minut i jedenaście sekund.

– Ale myślałem, że czujniki zewnętrzne wskazują, że nikt...

– Racja. Nikt nie wszedł do budynku przez żadne zewnętrzne okno czy drzwi.

– Ale to nie ma sensu...

Clare wstała i wyszła. Kiedy ponownie otworzyła drzwi pomieszczenia, pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było spojrzenie w dół.

– Czy to moja wyobraźnia, czy nie było tu tego dywanu, gdy po raz pierwszy pokazałeś mi ten pokój tamtego dnia?

– Masz rację! Nigdy nie było tu dywanu.

Wykonano bardzo prowizoryczny remont. Clare odsunęła dywan. Duży kawałek podłogi został wyrwany. Potem ktoś przyszedł, wbił go z powrotem na miejsce i przykrył tym dywanem.

– Niewiarygodne – powiedział Dellin.

– Dla mnie to ma sens, Dellin – Clare westchnęła. – Ktoś włamał się do kliniki przez podłogę, prosto do składu z prochami i wyszedł, nic nie zabierając.

– A potem ktoś inny to zatuszował – powiedział Dellin. – Ktoś z wewnątrz.

(II)

Dalsze badanie programu wykrywającego ruch wykazały, że ta część systemu została wyłączona zaraz po włamaniu. Więcej tuszowania. I Dellin miał rację; to wszystko musiał zrobić ktoś z wewnątrz, ktoś, kto celowo starał się ukryć ten fakt przed ochroną. *Po prostu zajebicie*, pomyślała Clare.

Dellin stał tuż za nią przy konsoli komputera.

– Jako szef ochrony – zaczął przygnębnym tonem – chyba wiem, o czym myślisz. Wykluczyłaś już Joyce i Ricka, bo byli z tobą w barze, gdy to się stało. Ale kto wyszedł z baru niecałą godzinę przed włamaniem?

– W porządku, Dellin, będę szczerą. Przez sekundę rozważałam, że to możesz być ty. Ale potem pomyślałam o wszystkich innych czynnikach i zdałam sobie sprawę, że to absurdalne. Dlaczego włamywałbyś się do własnej kliniki przez podłogę, niczego nie kradnąc? I dlaczego miałbyś to zatuszować po fakcie? I jak mógłbyś wyłączyć poszczególne sekcje programu alarmowego, skoro jest bardziej niż oczywiste, że wiesz o tym systemie mniej niż ja o operacji na otwartym sercu?

Zaśmiał się sam do siebie, a kiedy położył dłoń na jej ramieniu, Clare poczuła głęboki przebłysk czegoś zupełnie nierealnego, przebłysk pożądania, jakby ten dotyk był intymny. *Ale to nie jest intymne*, pomyślała równie szybko. Dotyk był przypadkowy, pragnęła tylko, by było go więcej. Jeszcze bardziej dokuczliwe było zderzenie percepcji, które się pojawiło, jej skryte pożądanie tego mężczyzny zderzające się z tak wieloma

przeszkodami. Jej uczucia nie pozwalały jej być obiektywną, co było ostateczną oznaką braku profesjonalizmu.

– Więc, Dellin, byłeś w wojsku, tak? W korpusie chemicznym czy coś takiego?

– Byłem w wojsku, tak. – Jego ton brzmiał jak przyznanie się do winy. – Ale nie w korpusie chemicznym. Byłem technikiem badawczym w Sekcji Broni Biologicznej w Fortcie Dietrich. I domyślał się, że powodem, dla którego pytasz jest to, że już wiesz, że zostałem oskarżony o przestępstwo. To Adam ci o tym powiedział, prawda?

– Tak – odpowiedziała.

– On nigdy mnie nie lubił i nie wiem, jak zdobył tę informację.

– To nie jest moja sprawa, Dellin. Po prostu poczułam się w obowiązku zapytać.

– Ależ to jest twoja sprawa, bo uważasz, że może mieć to związek z niektórymi problemami, które się tu pojawiły. I tak chciałem ci powiedzieć, żebyś zrozumiała. Czuję się okropnie, gdybyś pomyślała, że jestem jakimś przestępcą.

Zrobiło się niezręcznie. Clare wpatrywała się w ekran komputera, udając, że coś robi.

– Zezwoliłem na pozbycie się obojętnego produktu ubocznego z eksperymentu syntezy – kontynuował. – Niektórzy ludzie tam wierzyli, że materiał ten był niebezpiecznym, sklasyfikowanym komponentem broni.

– Co się stało potem? – wiedziała, że musi o to zapytać.

Instynktownie znowu zacisnęła dłoń na jej ramieniu, ale dla Clare ten dotyk okazał się pobudzającym odwróceniem uwagi.

– Miałem swój dzień w sądzie, udowodniłem, że materiał, o którym mowa, został błędnie oznaczony jako niebezpieczny, a potem JAG wycofał wszystkie zarzuty. Założyłem się, że Adam nie powiedział ci tej części, prawda?

Clare obróciła się na krześle, z trudem powstrzymując entuzjazm.

– Dellin, naprawdę, nigdy nie podejrzewałam cię o nic złego, to tylko moja praca, by ocenić wszystkie fakty. – Nie zdając sobie z tego sprawy, chwyciła jego dłoń. Nie odciągnął jej. – Niechęć Adama wobec mnie jest zbyt nonsensowna, by nawet zwracać sobie głowę jej wyjaśnianiem. Dokładnie to samo działo się, gdy była tu Grace Fletcher.

Co on chciał przez to powiedzieć? zastanowiła się. Adam podkochiwał się w Grace, ale był zazdrosny o Dellina? To pytanie było intrygujące i zupełnie nieestosowne. W środku tego dylematu nie było miejsca na telenowelę. *Muszę dotrzeć do sedna tej wpadki z ochroną*, przypomniała sobie. *Ktoś włamał się do tego budynku i muszę się dowiedzieć, kto i dlaczego.* Zabrała dłoń z czubków jego palców, próbując odzyskać profesjonalną postawę. Stanowiło dla niej zagadkę *kto i po co*.

– Dellin, nie chcę tego mówić, ale w tej chwili twój szef nie stoi w dobrym świetle.

– Wiem – przyznał z zaskakującą łatwością. – Chodź z mną do biura. Lepiej go zawałam, niech tu przyjdzie.

Clare poszła za nim. Stała obok, gdy otwierał spis telefonów na komputerze.

– Nie brzmi to dobrze, ale nic na to nie poradzę – powiedziała mu. – Harry jest szefem, dyrektorem całej kliniki, ale nigdy go nawet nie widziałam. To wydaje mi się naprawdę dziwne.

– To jest dziwne – powiedział Dellin. – I szczerze mówiąc, ostatnio dzieje się tu wiele dziwnych rzeczy. Jedynym sposobem, by dotrzeć do sedna sprawy, jest ściągnięcie go tutaj. Jestem pewien, że będzie w stanie to wszystko wyjaśnić, ale dopóki tego nie zrobi... jestem tak samo podejrzliwy jak ty.

Dellin wybrał numer, po czym wyszeptał pod nosem:

– Cholera! To jego automatyczna sekretarka. Harry, tu Dellin. Wczoraj w nocy ktoś włamał się do kliniki. Spakuj swoje kije golfowe i wynoś się stamtąd. – Rozłączył się, sfrustrowany.

Clare przyglądała mu się. Góra jego koszuli była rozpięta. Mogła dostrzec opaloną i dobrze zbudowaną klatkę piersiową. Kiedy odwróciła wzrok, zauważyła, że jego komputer był również wyposażony w dostęp do indeksów alarmowych i bezpieczeństwa.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała i pochyliła się nad nim. – Oto kolejna rzecz, której zapomniałam zrobić.

– Czyli?

Chwyliła myszkę i kliknęła na ikonę plików bezpieczeństwa, po czym ponownie otworzyła program wykrywacza ruchu, tak jak to robiła we własnym biurze.

– Kiedy pierwszy raz sprawdzałam program, sprawdziłam tylko część mapy, która obejmuje główny hol i skład apteki. – Wpisała ten sam przedział czasowy i kliknęła na opcję *CAŁA MAPA*.

– Co do... – zaczął Dellin.

– Tak – odpowiedziała Clare. Czerwone punkty namierzające, uruchomione przez czujniki ruchu, biegly po całej tylnej części budynku. – Zdecydowanie lepiej sprowadź tu Harry'ego. Może on nam powie, kogo gości w skrzydle B o pierwszej w nocy.

(III)

– Dzięki, że przyszedliście w dniu wolnym od pracy – powiedział Dellin. – Oboje dostaniecie podwójne wynagrodzenie. Jak widzicie, mamy problem.

Joyce i Rick ubrani w mundury wyglądali na nieco zdezorientowanych. Wszyscy stali wokół wielkiej dziury w podłodze.

– Ktoś włamał się do budynku zeszłej nocy, właśnie tędy – powiedziała Clare, wskazując na dziurę. – To był jedyny sposób na ominięcie alarmu.

– Ale nic nie zostało skradzione? – zapytała Joyce.

– Nie.

– Tyle towaru i żeby to tu zostawić? – Rick spojrzał na półki. – Włamali się do tego pokoju, a potem zawrócili i wyszli nie wynosząc nic? Dlaczego?

– Możliwe – zaczął Dellin – bo to nie była ta część budynku, do której próbowali się włamać.

– Jedyną rzeczą wartą więcej niż farmaceutyki jest zapas Interthiolate.

– Ale to wszystko jest przechowywane w skrzydle B – powiedziała Joyce.

– Tak, i detektory ruchu wykryły aktywność również tam – kontynuowała Clare. – Zaledwie kilka minut po tym, jak nastąpiło włamanie tutaj. Innymi słowy, włamali się, zobaczyli, że są w złym miejscu, a potem włamali się do skrzydła B. Przez podłogę.

– Jak oboje wiecie, tylko dyrektor kliniki miał kod dostępu do otwarcia drzwi – dodał Dellin. – Ja nie mam dostępu.

Rick się skrzywił.

– To wszystko jest mocno podejrzanе. – Spojrzał prosto na Dellina. – I to jest spawka kogoś stąd.

– To wydaje się prawdopodobne – powiedział Dellin z niechęcią.

– Więc w skrzydle B też jest dziura w podłodze? – zapytała Joyce.

– Nie możemy być pewni, dopóki tego nie sprawdzimy – odpowiedziała Clare. – Ale nie ma innego sposobu, by ktokolwiek mógł się tam dostać bez pozostawienia śladu wejścia w komputerze.

Joyce nadal nie dowierzała w to co się działo.

– Więc wszyscy będziemy tu stać jak banda debili i czekać, aż Harry się zjawi? Rick ma rację, to jest robota kogoś z wewnątrz i tyle.

– Powiem to za ciebie – wtrącił się Rick. – Harry jest jedynym facetem, który może za tym stać.

Dellin uniósł palec, po czym stwierdził:

– Być może. Ale poczekajmy, aż pojawią się wszystkie fakty, zanim wyciągniemy takie wnioski.

Clare zwróciła się do pozostałych.

– Musicie teraz sprawdzić najbliższy teren, powiedzmy w promieniu jednej czwartej mili, zaczynając od samego budynku. Po prostu standardowe przeczesanie. Ktokolwiek się tu włamał, dostał się pod klinikę przez jedną z kratki wentylacyjnych w podłożu. Zaczniście od tych punktów i działajcie dalej. Szukajcie śladów opon, odcisków stóp, czegoś w tym stylu.

– A co z blokiem B? To jest priorytet, prawda? Musimy się tam dostać i sprawdzić, czy Interthiolate nie został skradziony.

– Nie możemy otworzyć drzwi, dopóki Harry tu nie dotrze – powiedział Dellin.

– Niechętnie to mówię, Dellin, ale Harry prawdopodobnie w ogóle nie przyjedzie. – Rick wydawał się być bliski utraty panowania nad sobą. – Pewnie jest teraz w samolocie w połowie drogi do Europy i zamierza sprzedać próbki i formułę temu, kto da najwięcej. Nie sądzisz, że może tam być kilka firm farmaceutycznych, które mogłyby być zainteresowane najważniejszym przełomem w leczeniu raka w ciągu ostatnich dziesięciu lat?

– Rozumiem Rick – powiedział Dellin – ale myślę, że znam Harry’ego trochę lepiej. Naprawdę nie sądzę, by problem tutaj był aż tak ekstremalny. Bardziej prawdopodobne jest to, że ktoś z zewnątrz włamał się tu wczoraj wieczorem i może Harry próbował to zatuszować, żeby sponsor i ubezpieczyciele się nie dowiedzieli. Nie wiem. Ale przynajmniej dajmy mu kredyt zaufania.

– Dellin ma rację – powiedziała Clare. – Zróbmy to we właściwy sposób, przeszukajmy miejsce przestępstwa w poszukiwaniu wszelkich możliwych dowodów. Dotarcie teraz do skrzydła B jest niewykonalne. Ktoś musiałby zejść do tej dziury i przeczołgać się pod budynkiem, aż znalazłby tam wyrwę.

– Tak? – powiedział Rick. – To nie brzmi dla mnie zbyt skomplikowanie. Przeczolgam się pod tą cholerną podłogą i dotrę tam.

– Nie, Rick – rozkazała Clare. – Jest za gorąco.

– Chyba żartujesz, prawda? Czy my wszyscy jesteśmy małymi dzieciakami bojącymi się upału? – zadrwił. – Dajcie mi latarkę.

– Tam pod spodem jest pewnie 140 stopni, Rick, – ostrzegł Dellin. – Mało tlenu, duża wilgotność. Nie kwestionuję twojej odwagi, ale nawet najtwardszy facet nie wytrzymałby tam długo. Straciłbyś przytomność po pięciu czy dziesięciu minutach, a po kolejnych pięciu byłbyś martwy z powodu udaru cieplnego. Twoja równowaga elektrolitowa zostałaby zaburzona, a serce stanęło.

– Chodź, twardej. – Joyce popchnęła Ricka w stronę drzwi. – Zróbmy to, co nam powiedziano. Co powiesz na taki pomysł?

– Może Rick ma rację – powiedział Dellin. – Może Harry’ego już dawno nie ma, a ja jestem tylko naiwnym głupcem.

– Jeśli to prawda, to wszyscy wyjdziemy na idiotów, Dellin, nie tylko ty. Wszystko, co możemy teraz zrobić, to czekać. Jeśli Harry się nie pojawi, wtedy wszyscy razem pójdziemy do kolejki po zasiłek dla bezrobotnych. – Clare starała się zachować trochę optymizmu. – Ale wiesz, co ja teraz zrobię? Pójdę na małą pogawędkę z osobą, którą podejrzewam jeszcze bardziej niż Harry’ego.

– Czyli z kim?

– Z Adamem.

(IV)

– Myślę, że powinniśmy się rozdzielić – zasugerowała Joyce.

– Dobry pomysł. – Rick podążył za nią dookoła jednej strony budynku, aż dotarli do jednego z ekranów. – Ty zacznij od tego, ja zacznę od obszaru po drugiej stronie. – Po czym uśmiechnął się do siebie. – Ale pamiętaj, uważaj na te wielkie karaluchy. Pewnie cię pogryzą.

Joyce zatrzymała się i spojrzała na niego zaniepokojona.

– Cóż, po namyśle, może...

– Nie powinniśmy się rozdzielać?

– Mądrała.

Kiedy Joyce pochyliła się, by zbadać grunt prowadzący od osłony, Rick przejechał dłonią po jej pośladkach.

– Przestań! – podskoczyła.

Następnie przytulił ją do siebie.

– Chodź, są w środku. Co powiesz na małą popołudniową rozkosz?

– Jezu, Rick! – Wzdrygnęła się – Jesteś jak koza. Wszystko, czego chcesz, to jeść i pieprzyć.

– O czym ty mówisz? Wcale nie jestem głodny.

– Przestań się wygłupiać. Mamy robotę.

Rick rozejrzał się dookoła bez większego przekonania.

– Niczego tu nie znajdziemy, chodź.

– Idziemy zgodnie z planem, tak jak powiedziała Clare.

– Dobrze, ale i tak nie sądzę, by to coś dało. A Clare myśli racjonalnie.

– Co to ma znaczyć? – uśmiechnęła się – Co Sherlock próbuje teraz zasugerować?

Rick oparł się o palmę i zapalił papierosa.

– Daj spokój, Joyce. Clare jest fajna, ale ma takiego hopla na punkcie Dellina, że nie ocenia trafnie sytuacji.

Joyce wydała z siebie sfrustrowane westchnienie, podkraśla mu papierosa, zaciągnęła się mocno, po czym powiedziała z irytacją.

– To ty powiedziałaś, że to była robota kogoś z nas!

– Oczywiście, że tak, tak musi być. – Ale teraz Rick wydawał się niezbyt chętny by ciągnąć temat. Odszedł jeszcze kilka metrów od budynku.

– Dokąd idziesz? – zapytała Joyce.

– Szukam wskazówek – odparł. – To jest to, co powinniśmy robić, prawda? A co takiego próbujemy znaleźć? Ślady opon? Odciski stóp?

– Tak, młotku. I co chciałeś powiedzieć?

– Zapomnij o tym. Nieźle byś mi za to zmyła głowę. Hej, spójrz na to, Joyce...

– Nie zmieniaj tematu. Nienawidzę, gdy to robisz!

Rick odwrócił się, trzymając w górze plastikowe wiadro o pojemności pięciu galonów.

– Jeszcze jedno. Było za tą kłodą i jest pełne tej granulowanej substancji.

– Wygląda jak jakiś detergent albo materiał czyszczący.

– Tak, ale co to tutaj robi? Jest dokładnie takie samo jak wiadro, które znaleźliśmy poprzedniej nocy.

– Kiedy? – zapytała Joyce.

– No wiesz, tamtej nocy. Kiedy się kochaliśmy.

– Rick, kochamy się codziennie – przypomniała mu. – Mógłbyś być konkretniejszy?

– Tej nocy, kiedy byliśmy w samochodzie, na starej drodze do wyrębu lasu. Tej nocy, gdy karaluch wpadł do twojego buta.

– Ach, to prawda. Wspominałeś coś o wiadrze, kiedy szukałeś mojego buta.

– Racja, i powiedziałaś mi, żebym o tym zapomniał. Ale teraz to mnie zaciekawiło. Chodź – powiedział, po czym zaczął się oddalać. – Ta droga jest tylko kilkaset metrów stąd.

– Ale ja nie chcę tam wracać! – krzyknęła. – Tam może być więcej karaluchów!

– Jest biały dzień – zadrwił przez ramię. – Karaluchy grasują nocą, a chcę się przekonać, że to wiadro wciąż tam jest. Możesz tu zostać, będą za kilka minut.

– Cholera! – rzuciła, po czym ruszyła za nim. – Dlaczego po prostu nie weźmiemy tego wiadra, które właśnie znalazłeś i nie oddamy go Dellinowi?

– Nie – powiedział Rick stanowczo. – Nie mam teraz zbyt wysokiego mniemania o Dellinie.

– Dlaczego?

– Nie zamierzam nawet o tym mówić, bo się wkurzysz jak zawsze.

– Ja już jestem wkurzona! Więc zacznij mówić... i zwolnij bo nie nadążam!

– Ach, tu jest droga zrębowa. Uważaj na zapadliska.

Przeszedł przez kilka krzaków, a potem pomógł jej przejść. Ziemia była bardzo mokra. Wciąż mogli zobaczyć niewyraźne ślady opon z miejsca, w którym zaparkowali tu kilka nocy temu. Buty Ricka stuknęły o błotnistą ziemię.

– Wiedziałem. To pierwsze wiadro było właśnie tutaj. A teraz go nie ma. – zauważył.

– Rick, przestań mnie szarpać. Co chciałeś powiedzieć?

– Kochanie, spójrz. Wiadra już tu nie ma...

– Nie obchodzi mnie to cholerne wiadro! Co chciałeś powiedzieć?

Teraz pochylił się, badając ziemię.

– Nie spodoba ci się to, z tego samego powodu, dla którego nie spodobałoby się Clare, bo obie jesteście dziewczynami.

– Powinieneś już zauważyć, że nie jestem dziewczyną. Jestem kobietą. Więc jakie seksistowskie bzdury zamierzasz na mnie zwalić?

– Myślę, że Clare wie, co robi jako szefowa ochrony, ale po prostu nie widzi każdego kąta – zaczął, wciąż pochyłony, patrząc na coś. – Tak bardzo podkochuje się w Dellinie, że to przyćmiewa jej profesjonalny osąd. I ty też myślisz, że on jest najwspanialszym koleśkiem.

– Idioto, nie podkochuję się w Dellinie. Gdyby tak było, nie leżałabym co noc w łóżku z tobą! – powiedziała poirytowana.

– Nie chodzi mi o to, że jesteś na niego napalona, ale to jest ta sprawa z wami, laski. Dellin jest przystojnym jajogłowym. Za każdym razem, gdy facet wchodzi do pokoju, ty i Clare zachowujecie się, jakby to był pieprzony Mickey Rourke, który właśnie wszedł. Żadna z was nie widzi tego, co dzieje się poza wami, bo kieruje wami podnieta.

– Jeśli jeszcze raz powiesz „podnieta”, to ukręcę ci jaja.

– Bądź poważna, Joyce. Zarówno ty, jak i Clare uważacie, że Dellin jest tak fajny, że nie mógłby mieć z tym nic wspólnego. Czy mam rację?

– Myślę, że masz głowę w dupie, ale to nieistotne. A czy ja myślę, że Dellin zainscenizował włamanie do swojej kliniki? Nie. To niedorzeczne.

– Widzisz, właśnie udowodniłaś moją tezę. – Rick wzruszył ramionami. – Osobiście nie mam nic przeciwko Dellinowi i do dzisiaj myślałem, że jest zupełnie fajnym facetem. Ale po tym całym gównie, które się wydarzyło? On śmierdzi gorzej niż Harry i Adam razem wzięci.

Otworzyła usta, żeby dalej narzekać, po czym powiedziała tylko:

– Jest zbyt gorąco i parno, żeby zawracać sobie głowę słuchaniem tych insynuacji.

– Myśl sobie, co chcesz – powiedział, wciąż pochylony. – Wiem tylko tyle, że w przypadku niektórych wewnętrznych zadań, facet, który pierwszy dzwoni na policję, jest zazwyczaj tym, który za tym stoi. Gdybym miał zamiar wynieść Interthiolate z kliniki jako jej pracownik, zgłosiłbym to ochronie tak szybko, jak tylko bym mógł. Bo ten gest sprawia, że wyglądam bardziej niewinnie niż ktokolwiek inny. A kto wezwał ochronę w tej sprawie?

– Dellin. Ale my nawet nie wiemy, czy jakikolwiek Interthiolate został skradziony. Nie ma żadnych dowodów na to, że cokolwiek zostało skradzione.

– Mhmm, i nie dowiemy się tego, dopóki nie wejdziemy do skrzydła B. A kto nie chce nas tam wpuścić? Dellin. Nie mów mi, że uwierzyłaś w te bzdury o tym, że jest tam za gorąco. Jezu Chryste, byłem na obozie w Nellis w Nevadzie, w sierpniu. Ćwiczyli nasze tyłki po cztery godziny dziennie w 120 stopniach. Nie umarliśmy, kurwa. Nikt nie umiera od udaru cieplnego w ciągu dziesięciu minut – z wyjątkiem dziewięćdziesięcioletnich starców. Mógłbym przeczolgać się pod podłogą w ciągu kilku minut i Dellin o tym wiedział. Dlatego nie chciał mnie puścić.

Joyce już miała wystrzelić z kolejną krytyką... dopóki nie zaczęła rozważać jego słów. *Może on ma rację*, pomyślała.

– Na co się patrzysz? – zapytała.

– Powiedziałaś, że mamy przeszukać teren w poszukiwaniu śladów stóp. – Obejrzał się. – Cóż, tu jest cała linia świeżych śladów. I wygląda na to, że prowadzą prosto do jeziora.

Kiedy się nachyliła, zobaczyła, że ma rację.

– Chodź – powiedział. – My tu jesteśmy strażnikami, róbmy swoje.

– Dlaczego po prostu nie zgłosimy tego Clare?

– Och, wielka twarda Joycie boi się lasu? Hmm? – Uśmiechnął się po czym wydał dźwięki gdakania kurczaka.

– Mogą tam być kłusownicy i w ogóle – zaśmiała się.

Rick stuknął w swój pas z pistoletem z szyderczą pewnością siebie.

– Hej, czy to wielkolud, czy maluch, pułkownik Colt da radę.

– Kłusownicy też mają broń, łysolu.

– W takim razie będziemy uciekać. – Rick wzruszył ramionami. – Idziemy!

Poszła za nim, aczkolwiek niechętnie. Objął ją ramieniem, dla dodania pewności.

– Chyba naprawdę jestem tchórzem – przyznała.

– Nic się nie stanie – powiedział. – Jest biały dzień.

Linia śladów stóp, którą podążali, była słabo uformowana; na ziemi było zbyt dużo wody, by mogły one zachować jakiegokolwiek szczegóły swoich kształtów. W kilku miejscach, gdy ziemia stała się bardziej sucha, odciski prawie całkowicie zniknęły, ale Rickowi udało się utrzymać trop. W ciągu kolejnych dwudziestu minut dotarli do spokojnego brzegu jeziora Stephanie.

– Uwierzysz w to? – powiedział Rick. – Ślady idą aż do samego jeziora, zatrzymują się, a potem rozgałęziają.

– I jest tam więcej tego czegoś...

Niektóre z dziwnych, mydlanych granulek nie zostały zmyte.

– A więc to prawda – powiedział Rick. – Ktoś wyrzucił to coś prosto do jeziora.

– Ktoś z kliniki.

– Tak.

– Więc co? Nie powiemy Dellinowi, że znaleźliśmy wiadro i ślady?

– Nie ma mowy – mówiąc to Rick skanował resztę linii brzegowej. – Powiemy tylko Clare. Dlaczego nie pójdziesz zrobić tego teraz? Chcę zobaczyć, dokąd prowadzi reszta tych śladów.

– Jestem zbyt przerażona, by chodzić sama po lesie. – Złapała go za ramię.

– Te ślady rozgałęziają się wzdłuż bagna. Na bagnach często są węże. Węże mi nie przeszkadzają, ale... .

– Nie chcę się zbliżać do węży! – prawie krzyknęła.

– Wiem. – Rick przytulił ją do siebie. – Dlatego właśnie powinnaś wrócić do kliniki i powiedzieć Clare o wiadrach. Ja pójdę za tymi śladami wzdłuż bagna. Spotkamy się w klinice za godzinę.

– Dobrze – odparła – Jesteś moim wielkim odważnym ogierem.

– To fakt.

Pocałowała go i pozwoliła mu odejść. *Może naprawdę kocham tego tępaka*, uświadomiła sobie. Potem odwróciła się i wróciła do kliniki. Przedzierając się przez zarośla, musiała jednak ciągle sobie powtarzać: *Nic się nie stanie*, tak zapewniał Rick. *Jest przecież biały dzień...*

Tak, mruknęła do siebie. *Tylko błagam! Żadnych węży. I żadnych gigantycznych karaluchów.* W biały dzień czy nie, Joyce nie zaszła jednak zbyt daleko. Nie zdążyła nawet krzyknąć, zanim lepka, dwupalczysta ręka chwyciła ją od tyłu za gardło i pociągnęła w dół.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

(1)

– Przykro mi, ale dzisiaj go nie było – powiedziała Clare starsza, pogodna kobieta w recepcji Centrum Informacji Parku Fort Alachua. Kobieta spojrzała na zegarek. – I to jest właściwie... trochę dziwne, bo za godzinę zamykamy.

– Chodzi pani o to, że Adam Corey zwykle przychodzi w niedziele? – zapytała Clare.

– O, tak. Nawet tylko po to, by sprawdzić swoje wiadomości, wpada przynajmniej raz.

Świetnie, pomyślała.

– Czy to możliwe, że przyszedł dzisiaj, sprawdził wiadomości, a potem wyszedł, a pani go nie zauważyła?

– Przypuszczam, że jest to możliwe, ale nie sędzę.

Była już piąta po południu. Do tej pory dyrektor kliniki się nie pojawił ani nie oddzwonił, a teraz wyglądało na to, że to samo dzieje się z Adamem. W klinice zostawiła wiadomości na jego telefonie służbowym, na automatycznej sekretarce jego komórki i na numerze domowym. To Dellin zasugerował, by przysłała tutaj, do centrum informacyjnego. Ale jak na razie... *Szukaj wiatru w polu...*

– Tak się składa, że zostawiłam wiadomość Adamowi na jego automatycznej sekretarce – mówiła dalej Clare do kobiety przy biurku. – Naprawdę muszę wiedzieć, czy dostał tę wiadomość, a jest to raczej pilna sprawa.

– Cóż, widzę, że jest pani służbowo – powiedziała, zwracając uwagę na mundur i odznakę Clare. – Proszę wejść i sprawdzić. Jego biuro jest na końcu korytarza.

– Dzięki. – Clare pospiesznie ruszyła korytarzem, mijając biura administracji i portrety znanych postaci historycznych z Florydy. To było po prostu jakieś instynktowne przecucie, które czasem się w niej budziło, przecucie zawodowe, i Clare nie mogła się od niego uwolnić. Miała nadzieję, że nie jest uprzedzona i że skutecznie powstrzyma swoją osobistą niechęć do Adama od całkowitej oceny sytuacji. Wiedziała tylko tyle: w klinice coś się naprawdę spieszyło i dobrze wie, że on jest w to jakoś zamieszany. Może nie stoi za tym całkowicie, ale w jakiś sposób w tym siedzi. Tego była pewna.

Na automatycznej sekretarce w jego biurze nie mrugała żadna lampka z wiadomością. Co oznacza, że już odtworzył wiadomość, pomyślała. Albo wszedł tu niezauważony przez recepcjonistkę, albo odebrał ją telefonicznie. A to mogło oznaczać tylko tyle, że był w drodze do kliniki. Dużo biegania na darmo, ale przynajmniej na dłuższą metę mogło przynieść to efekty. *O ile Adam po otrzymaniu mojej wiadomości nie postanowił udać się na wzgórze, to GOTOWY jest iść prosto do mojego biura.* Jeśli wyjechałby z miasta, to wszyscy wiedzieliby, że jest winny, a jeśli nie, to będzie mogła się z nim skonfrontować, a Clare była bardzo ciekawa, jak strażnik odpowie na jej pytania. Natychmiast wróciła do samochodu i ruszyła w drogę. Ale gdy tylko przeszła przez bramkę bezpieczeństwa, *bip bip bip* – odezwał się jej pager.

Cały ten dzień staje się jednym wielkim chaosem, pomyślała. Jechała dalej w kierunku głównej odnogi wyspy, ostrożnie zsuwając pager z paska. Myślała, że to będzie albo Dellin, który zadzwonił, by powiedzieć jej, że Harry przyjechał, albo Rick lub Joyce, którzy powiedzą jej, że skończyli poszukiwania, albo Adam, który oddzwania.

Ale to nie była żadna z tych rzeczy. *To kod alarmowy!* Clare była zdumiona. Inną cechą systemu alarmowego był automatyczny dialer; jeśli na terenie obiektu włączył się alarm, mechanizm najpierw dzwonił do biura ochrony, a jeśli nikt nie odbierał, wybierał pager oficera dyżurnego i zostawiał kod.

Mały pasek LCD na pagerze głosił: *ALERT! @ PS-13. PS-13*, pomyślała że to jeden z posterunków na miejscu. Była w tej pracy tylko kilka dni – za krótko, by zapamiętać wszystkie numery stacji. W czasie jazdy jedną ręką grzebała w schowku, szukając instrukcji. Pewnie Joyce albo Rick przypadkiem włączyli jeden z alarmów obwodowych, pomyślała, ale gdy znalazła listę numerów posterunków, zobaczyła, że numer 13 to jeden z tych nad jeziorem.

– Cholera – powiedziała zmartwiona – Chyba lepiej najpierw tam pojadę, zobaczą, co się dzieje, zanim wrócę do kliniki.

Wszystko pociemniało, gdy ponownie weszła na teren, gałęzie z niezliczonych palm i sosen połączyły się nad głowami, zasłaniając większość słońca. Kiedy dotarła na skraj jeziora Stephanie, nie zobaczyła żadnych pojazdów ani ludzi. *To stacje kasujące*, pomyślała. Stacje kontrolne działały na podstawie klucza – głównego klucza każdego strażnika. Gdy klucz był przekręcany zgodnie z ruchem wskazówek zegara, czas był zapisywany w komputerze, dowodząc, że strażnik wykonał swój obchód. Ale w razie problemów klucz przekręcano w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, co uruchamiało system. *Nic tu nie ma*, pomyślała Clare, gdy przejeżdżała obok pierwszego posterunku. *Kto, do cholery, uruchomił czujnik?* Zatrzymała się i wpatrywała w drugi słupek. *Jezu, czy to...* Kiedy wysiadła i popędziła do kasownika, czyjs klucz główny i łańcuszek zwisały z włącznika. Klucz został przekręcony w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. I był cały we krwi.

Krew ściekała też z łańcuszka, a gdy Clare przyjrzała się bliżej, zauważyła coś w rodzaju śladów ciągnących się od podnóża słupka aż do brzegu jeziora. Prawie tak, jakby... Ktoś doczołgał się do niego... Gdy podążyła za śladami tuż przy krawędzi brzegu... żołądek jej się zacisnął na widok wielkiej plamy krwi. Dwie łuski leżące na ziemi odpowiedziały na resztę jej pytań. Klucz w kasowniku musi należeć do Joyce albo Ricka. A my mamy przy sobie tylko pistolety, nie strzelby.

Clare pobiegła z powrotem do samochodu i ruszyła rozbryzgując tylnymi kołami strugi błota. *Ktoś zastrzelił Ricka lub Joyce, prawdopodobnie kłusownik*, pomyślała. *Muszę zadzwonić na policję, muszę sprowadzić tu karetkę...* Była przerażona i skołowana jednocześnie. Panika tylko by jej przeszkodziła. Kiedy zadzwoniła do kliniki przez krótkofalówkę, nie było żadnej odpowiedzi. *Telefon*, pomyślała. *Gdzie jest najbliższy telefon?* Sama klinika była oddalona o dwa kilometry, a jej własny domek tylko o połowę tej odległości. W mgnieniu oka zatrzymała się przed domem. Ale kiedy weszła do swojej chaty i podniosła słuchawkę...

– Cholera! – Nie było sygnału. Gdy biegła z powrotem do Blazera, zobaczyła mercedesa Dellina zaparkowanego przed jego domkiem. Nie zastanawiała się, co on może tu robić; pomyślała tylko: *Może ma komórkę!* i pobiegła do niego.

– Dellin! – zawołała i weszła prosto do domku. Znalazła telefon za uchylonymi drzwiami i nie zdziwiła się, gdy odkryła, że jego on również był niesprawny.

– Potrzebuję twojej komórki! Myślę, że ktoś został postrzelony nad jeziorem! – Odpowiedziała jej tylko cisza. *Gdzie on, do cholery, jest?* Szybko przeszukała cały domek, ale go tam nie było. Chciała już wyjść, żeby pobiec i sprawdzić, czy jest u pani Grable, ale zatrzymała się nagle. Cisza tylko spotęgowała niepokój. W domku Dellina panował

ład i porządek, wszystko było na swoim miejscu. Wszystko oprócz jednej kasety wideo, która leżała na szczycie telewizora. Kiedy ją podniosła, odkryła, że to nie jest kasetka, tylko puste pudełko po kasecie. Na pudełku było napisane: *MAXELL, GX-SILVER*. Potem spojrziała w dół na magnetowid, zobaczyła taśmę w środku. Jeszcze zanim włączyła telewizor i ją wsunęła, wiedziała, że jest to trzecia taśma z trójpaku z jej domu.

Więcej seksu, pomyślała, z *Grace Fletcher i jej przyjaciółmi z ochrony*. Widziała już dwie pierwsze taśmy. Pytanie: *Co, do cholery, Dellin robi z tą taśmą?* Zastanawiała się, czy ta trzecia taśma ma w sobie coś wyjątkowego, ale zwątpiła w to, gdy ekran zamigotał. Grace, Donna i Rob bawili się nago na dużym łóżku, to było to samo, co zawsze. Ale za chwilę Grace usiadła, szeroko otwierając oczy.

– Co to było?

– Hmm? – odpowiedziała Donna i to było mniej więcej wszystko, co mogła powiedzieć, biorąc pod uwagę jej obecną aktywność. Ciężka erotyczna atmosfera została przerwana, gdy Rob wstał z orgiastycznej płataniny mówiąc:

– Ja też to słyszałem. Ktoś jest na zewnątrz – po czym założył swoje dzinsy i zniknął z ekranu. Joyce i Donna wstały, pospiesznie wciągając na siebie ubrania.

– Nic nie słyszałam – martwiła się Donna.

– Słyszałam jakby pęknięcie gałązki – powiedziała Grace.

– Rob, gdzie jesteś! – zapytała Donna trochę zbyt podekscytowana.

– Uspokój się – powiedziała Grace. – On sięga po swoją broń.

Teraz to Donna pospiesznie zeszła z ekranu, biegnąc za Robem. Zostawiła Grace samą w pokoju, a gwałtowność tej chwili sprawiła, że zapomniała, że kamera wideo wciąż działa. Grace wzięła swój pistolet z nocnej szafki i wybiegła z pokoju, wołając:

– Gdzie jesteście?

Niestety, kąt kamery pozwalał tylko na widok na łóżko i nie sięgał wyżej niż do pasa. Jedyną rzeczą, którą mogła zobaczyć, była szafka nocna i jedna trzecia okna. *O mój Boże*, pomyślała Clare. Okno się otwierało. Ktoś rozsuwał okno od zewnątrz, a potem wchodził do środka. Clare zamarła w miejscu, w którym siedziała, z oczami wbitymi w telewizor. Wszystko, co mogła zobaczyć, to buty intruza wchodzącego do środka w brudnym dzinsowym kombinezonie. W ciągu zaledwie kilku sekund był w środku, a chwilę później zniknął z kadru. W tej ostatniej chwili Clare udało się dostrzec, co wnosił do środka: dwulufową strzelbę. Kolejne kilka sekund upłynęło bez żadnego ruchu na ekranie, ale wtedy... *Co on robi?* Widziała, jak koniec lufy strzelby powoli wsuwa się z powrotem w kadr, napierając na lampę na nocnej szafce. W końcu lampa przewróciła się i upadła na podłogę.

– Co to kurwa było! – krzyknął Rob z drugiego pokoju.

Najgorsze było to, że to wszystko wydarzyło się w sypialni Clare. Szybko przypomniała sobie rozkład pomieszczeń i od razu zrozumiała, co robił intruz. Schował się w szafie i właśnie przewrócił lampę, by ściągnąć innych z powrotem do pokoju...

– Rob! Zaczekaj! – krzyżała Grace – Nie wchodzi tam!

Wszystko, co Clare widziała, to Rob od pasa w dół przemierzający sypialnię, kiedy...

– O kur... – po czym rozległ się strzał. Wszystko po tym było szaleństwem. Strzał w bebechy odrzucił Roba do tyłu, na łóżko, gdzie wył przez kilka chwil, próbując włożyć swoje wnętrzności z powrotem do brzucha. Wielkie białe łóżko niemal natychmiast stało się czerwone. Rob dostał krótkich drgawek, a potem znieruchomiał. Z drugiego pokoju dało się słyszeć głośne kroki, tłuczone szkło i krzyki, ale wszystko to ucichło bardzo szybko. Clare zbliżyła się do ekranu telewizora, przerażona. Teraz odgłosy

zamilkły. Gorączkowo chwyciła za pilota i zwiększyła głośność. Do pokoju wrócił odgłos kroków. Krótki cień padł na postrzelone w brzuch ciało Roba na łóżku.

– Ka ... ka ... kamera.... – rozległ się głos. Obraz zaczął drgać. Najwyraźniej intruz zauważył kamerę i podnosił ją. Odwrócił kamerę i patrzył teraz prosto w obiektyw, aż nagle na ekranie telewizora pojawiła się jego twarz. Clare zamarła. To była twarz Stuarta Winstera. Ta zniekształcona twarz szczyrzyła się, ukazując mokre, ślinitące się usta i krzywe zęby. Dwupalczastą dłonią machał do obiektywu.

* * *

Shock wywołany tym, co zobaczyła na taśmie, sprawił, że przez kilka minut nie mogła się ruszyć. Była bliska hiperwentylacji, a serce kołatało.

Stuart Winster. Jej gwałcieł. Był tutaj. Ten obłąkany kaleka był odpowiedzialny za wszystko, co działo się w tym miejscu. Wszystkie zaginięcia były najwyraźniej jego sprawką. Clare musiała jeszcze chwilę posiedzieć w bezruchu, zanim oswoiła się z tym czego właśnie się dowiedziała. Nurtowały ją dwa pytania: Dlaczego i jak? Jedna z odpowiedzi przyszła jej do głowy po rozejrzeniu się po pokoju. Jak ten łamiący prawo niedorozwój mógł mieć cokolwiek wspólnego z kliniką? Po drugiej stronie pokoju stało małe biurko, a nad nim, na ścianie, wisiało kilka oprawionych w ramki dyplomów medycznych Dellina. Jedna ramka nie zawierała jednak dyplomu. Clare wstała i podeszła do niej. Był to oprawiony w ramkę artykuł z gazety. St. Petersburg Times. Nagłówek brzmiał: *Emerytowany pracownik Sił Powietrznych i specjalista N.I.H. będzie kierował nową lokalną kliniką onkologiczną*. Artykułowi towarzyszyło małe zdjęcie: dwóch mężczyzn stojących przed kliniką, obaj w białych fartuchach laboratoryjnych, obaj uśmiechnięci.

Jeden z nich to Dellin, drugi to pułkownik Harold Winster.

– Harry – wykrztusiła Clare. – To Harold Winster. Jej były dowódca w Siłach Powietrznych i ojciec jej gwałcieł. Od tego momentu ogarnął ją raczej stan obłądu, w którym logika zeszała na dalszy plan na rzecz najmroczniejszych emocji. Pójście prosto na policję było najmądrzejszą rzeczą, jaką można było zrobić, ale Clare już wiedziała w głębi serca, że tego nie zrobi. Zamierzała znaleźć Winsterów, a może nawet ich zabić. Jednego była pewna. Winster i jego syn byli zamieszani w jakiś niewytłumaczalny spisek, w którym zabijali ludzi. Takie było jej rozumowanie i przyszło jej też do głowy – gdy sprawdzała cylinder swojego rewolweru – że wstrząsające odkrycia ostatnich kilku minut mogły równie dobrze wypełnić ją solidną dawką chwilowego szaleństwa, ale o tej możliwości po prostu pomyślała: *Nie obchodzi mnie to*.

Biegła już z powrotem do Blazera, gdy zauważyła domek po drugiej stronie, domek pani Grable. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież, co wydawało się dziwne. Wtedy usłyszała, dźwięk roztrzaskanego przedmiotu. Przez otwarte drzwi zdawało jej się, że widzi coś poruszającego się po podłodze. Ponownie wyciągnęła broń i podeszła bliżej. Jeszcze zanim weszła na ganek, mogła stwierdzić, że salon jest w rozsypce. Clare wskoczyła do środka i sprawdzając pokój, obejmowała wzrokiem każdy kąt. Na podłodze leżał mężczyzna w średnim wieku. To był mąż pani Grable; Clare pamiętała, że widziała go w oknie poprzedniej nocy. Pochyliła się nad nim, sprawdziła jego puls i nie zdziwiła się, że go nie znalazła. Dziwny kąt jego szyi nie pozostawiał wątpliwości, miał złamany kark. I w jednej chwili wiedziała, że to nie on jest odpowiedzialny za siniaki, które zauważyła na pani Grable.

Nie był tym, który ją bił, uświadomiła sobie. Ten człowiek nie miał rąk. Rozczłonkowanie nie było niczym nowym; najwyraźniej uległ jakiemuś katastrofalnemu wypadkowi lata temu. Jeśli to nie on ją bił, to kto? Odpowiedź nie miała jednak większego znaczenia. On został zamordowany. A gdzie była pani Grable? Kolejne drzwi stały otworem; myślała, że to musi być inny pokój, dopóki nie zobaczyła prowadzących w dół schodów. Ten domek miał piwnicę.

Zaczęła schodzić po schodach z bijącym sercem. Na dole odkryła prowizoryczną sypialnię: łóżko, stolik, mały telewizor, starą kanapę, ale i ten pokój był w znacznym stopniu zniszczony. *Ktoś tu mieszka na dole i chyba wiem kto...* Pojedyncza żarówka nad głową dawała słabe światło, Clare ledwo widziała. Ruszyła do przodu z wyciągniętą bronią.

– Padnij! – ktoś krzyknął. Ręce chwyciły ją od tyłu, pociągając w dół i wtedy rozległ się strzał... Pokój rozbłysnął na ułamek sekundy. Strzał zza kanapy rozerwał ścianę, w miejscu, które jeszcze przed chwilą zajmowała głowa Clare. Została wyrwana ze strefy strzału... przez Adama.

– Trzymaj nisko głowę – wyszeptał strażnik i odciągnął ją na bok, za jakieś skrzynie. Clare nie zastanawiała się nad tym, co się właśnie wydarzyło, poza tym, że Adam uratował jej życie.

– Usłyszałem krzyk tej kobiety – powiedział. – Więc wszedłem. Znalazłem jej martwego męża na górze. Jego głos się załamał, kciukiem wskazywał drugi koniec pokoju. – To coś to zrobiło.

To coś, pomyślała Clare. *On ma na myśli Stuarda*. Ale zanim zdążyła spróbować dowiedzieć się czegoś więcej... Drgnęła, gdy krzyk przedarł się przez pokój. Był to kobiecy krzyk, wysoki, mrozący krew w żyłach i szalony.

– Pani Grable jest tam z tyłu. Trzyma ją za kanapą.

– Oslaniaj mnie – szepnęła do Adama. – On ją zabije.

Adam przełknął ślinę, przytakując. Podniósł swój pistolet. Clare miała zamiar pobiec w róg pokoju, ale nie miała szans. Kolejny wystrzał wstrząsnął pokojem, przerywając krzyk pani Grable *JEZU!* Clare cofnęła się za skrzynię.

– Jesteśmy uziemieni – powiedział Adam. – Jedno z nas musi się stąd wydostać i sprowadzić jakieś wsparcie.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Clare przeniosła wzrok. Jedyną drogą ucieczki był powrót po schodach, ale to sprowadziłoby ją prosto na linię strzału. To samobójstwo, pomyślała.

– Będziemy musieli zaryzykować i go przepędzić. – Powiedziała

Napięta twarz Adama nie wyglądała na zbyt pewną siebie w związku z tą perspektywą.

Ale wtedy... usłyszeli szybkie kroki, niknące w oddali.

– Brzmi, jakby wyszedł – sapnął Adam.

– Ale dokąd? Piwnica jest malutka. Czy są tam jakieś drzwi?

– Cholera, nie wiem. Ale chyba musimy to zrobić? Jesteś gotowa?

Clare przytaknęła.

– Ty wezmiesz tę stronę, ja wezmę tę.

Adam ponownie przełknął ślinę. Potem wyszeptał:

– Idź!

Oboje podbiegli do góry. Clare oddała strzał osłaniający nad kanapą, podczas gdy Adam przeleciał nad łóżkiem.

- Nie ma go - powiedziała Clare. - Uciekł przez to.

- Co do diabła? - Ręka Adama z bronią wciąż drżała od wstrząsu. Razem z Clare przyjrzał się dokładnie. Ściana na końcu piwnicy nie była tak naprawdę ścianą, był to jakiś rodzaj odpływu. A w nim dziura. Clare zajrzała do środka, mierząc z pistoletu. Cuchnący odorem korytarz był prawie jej wysokości.

- Uciekł tędy. To jest jak tunel.

Adam usiadł na brzegu łóżka wyczerpany.

- To jest stary podziemny system odpływowy, założyli go w latach czterdziestych, na wypadek burz. - Mimowolnie zerknął w dół, po czym jęknął. - O, Jezu... - Spojrzał na ciało pani Grable. Clare skrzywiła się. Kobieta była naga i cała pogryziona. Potężna rana postrzałowa w klatkę piersiową wykończyła ją. Clare chwyciła prześcieradło z łóżka i przykryła zwłoki. Potem spojrzała na Adama i poczuła kolejny skok adrenaliny.

- Zostałeś postrzelony! - wykrzyknęła.

- Nie jest chyba tak źle - powiedział, wyciągając zza pasa małą apteczkę.

Clare pomogła mu przyłożyć gazę.

- Myślisz, że możesz prowadzić samochód?

- Hę?

- Wszystkie telefony są odcięte. - Była bliska wręczenia mu swoich kluczyków do Blazera. - Musisz dostać się do szpitala, ale będziesz musiał prowadzić. - Potem spojrzała na dziurę. - Muszę dostać tego faceta i jestem cholernie pewna, że ta rura odpływowa prowadzi prosto do kliniki po stronie skrzydła.

Adam wciąż wyglądał na wstrząśniętego.

- Nie rozumiesz. To nie był żaden facet, który to zrobił. To było coś naprawdę popierdolonego. Widziałem jego twarz, Clare, tylko przez sekundę, ale to wystarczyło, a potem widziałem jego rękę. Wszystkie te historie są prawdziwe. - Jego dolna warga zadrżała. - To jakiś rodzaj...

- To nie jest potwór, Adamie - powiedziała szorstko. - To człowiek, który nazywa się Stuart Winster. Jest zdeformowany i brzydki jak diabli, ale zapewniam cię, że jest człowiekiem.

- Stuart Win...

- Zgadza się. To samo nazwisko, co dyrektora kliniki. Stuart Winster jest synem Harry'ego. On i ja mamy za sobą długą przeszłość, która jest zbyt skomplikowana, by ją wyjaśnić. Mam duży rachunek do wyrównania z tymi dupkami i zamierzam to zrobić teraz. Jedź do szpitala.

Adam wziął długi oddech, po czym wstał. Wsadził sobie do ust zwitek tytoniu do żucia i zapalił papierosa.

- Czy masz pojęcie, jakie to jest obrzydliwe? - Clare zmarszczyła brwi.

Adam tylko wzruszył ramionami. Splunął w kąt.

- W tej chwili jestem bardziej przerażony niż kiedykolwiek w moim pieprzonym życiu... ale nie ma mowy, żebym pozwolił ci wejść tam samej.

- Zapomnij o tym. Jesteś ranny.

- Nadal mam sprawną rękę z bronią - powiedział i pomachał pistoletem. - Chodźmy to zrobić.

- Dzięki - powiedziała Clare. Chwyciła ze stołu latarkę i weszła do tunelu. Nie było w nim zbyt wiele wody, ale wzdłuż zaokrąglonych boków wyrastały wszelkiego rodzaju grzyby. Brnęli w mule.

– Naprawdę źle cię oceniałam, Adamie – powiedziała Clare. Była mu winna przeprosiny. – Przepraszam. Okazuje się, że cały czas miałeś rację co do Dellina. Nie jestem pewna, co dokładnie tu robią, ale są w tym razem.

– W czym?

– Używają kliniki jako przykrywkę dla jakiegoś eksperymentu, czegoś genetycznego, jak sądzę. Umieszczają w jeziorze coś, co powoduje te mutacje. Dellin ma wykształcenie medyczne w zakresie inżynierii genetycznej i pracował dla Sekcji Broni Biologicznej Armii. A Harold Winster był kiedyś dowódcą Korpusu Badań Klinicznych Sił Powietrznych. Byłam tam częścią sił bezpieczeństwa i jedyne, co słyszeliśmy, to to że większość badań dotyczyła genetyki. Nic więcej nie wiem i nie obchodzi mnie to. Ale dorwę ich dziś wieczorem. Tak czy inaczej, przepraszam za to, jak cię potraktowałam. Myślałam, że to ty stoisz za tym, co się tu dzieje.

– Przeprosiny przyjęte – powiedział Adam wzduszając ramionami. – To jest coś jak moja pieprzona karma, tak myślę. Po prostu coś we mnie sprawia, że każda pieprzona kobieta, którą kiedykolwiek spotkałem, myśli, że jestem gównem warty.

– Jesteś pewien, że to twoja karma, a nie twój język?

– Kurwa. Znowu to samo. Wybacz.

Podążali dalej. Z porostów i pleśni kapą im coś na głowę.

– Fuu, cholera! – krzyknął Adam.

Clare obróciła się z odbezpieczoną bronią.

– Co się dzieje?

Adam stał z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Karaluch wielkości buta skradał się po jego spodniach. Odrzucił go i zgniół butem. Owad wydał chrupiący dźwięk, prawie jakby ktoś nadepnął na puszkę z napojem. Piszczął, wyrzucając z głowy czarną ciecz.

– Świetnie. Te potwory są tutaj na dole – powiedziała Clare, równie zde gustowana. Lepiej, żeby nie próbowały się na mnie wczłogać!

– Tak – odpowiedział Adam. – A ja zastanawiam się, co jeszcze mają tu na dole.

Clare nie mogła zapomnieć o niedorzecznie wielkiej żabie z kłami, na którą się natknęli... Nagle oboje zamarli w miejscu, w którym stali. Przed nimi dało się słyszeć skrzypiący dźwięk, przypominający zepsute łożysko koła. I zbliżał się bardzo szybko, a wkrótce wraz z nim dało się słyszeć inny dźwięk: stukanie.

– O nie – mruknęła.

– Jest jedna rzecz, której spodziewałbym się bardziej w kanale niż karaluchów – powiedział Adam.

Clare doskonale wiedziała, o czym mówi, a miarowe piszczenie tylko wzmogło jej strach. Trzymała latarkę wycelowaną prosto przed siebie i broń w pogotowiu.

Coś co schodziło z rury, wyczuło ich obecność. Clare wysunęła się lekko do przodu, ale mimo intensywnego wpatrywania w przestrzeń nic nie widziała.

– Gdzie to do cholery jest? – zapytała.

– Gdyby się odwróciło i uciekło, to byśmy usłyszeli.

Ten komentarz miał sens, *może nie do końca*, pomyślała, po czym oświetliła sufit i krzyknęła.

– Co do kurwy nędzy... – krzyknął Adam. Oboje wystrzelili w sufit i wpadli jednocześnie w błoto, rozpryskując je dookoła. Tuż nad ich głowami szedł szczur do góry nogami, po suficie rury, zaledwie kilka centymetrów od ich twarzy. Gdy salwa kul powaliła go na ziemię, gryzoń wydał z siebie dźwięk przypominający szczekanie psa. Drgał dziko, a z ran trysnęła czarna krew. Zamiast zdechnąć zaczął się powoli

podnosić... Clare i Adam wystrzelili w niego cały magazynek, a odgłos strzałów prawie ich ogłuszył. Kiedy dym opadł, ścierwo leżało martwe.

– Nie zbliżaj się do tego! – krzyknął Adam.

Clare nie miała zamiaru się do tego zbliżać, ale musiała się temu przyjrzeć z bliska. Uklękła kilka metrów z tyłu, przesuając po nim światłem latarki. Zemdlilo ją na widok truchła gryzonia.

– Adam, to nie jest normalne! To coś jest ogromne! – skarżyła się.

– Tak, a my jesteśmy w jego domu. Pewnie jest ich więcej, dużo więcej.

Clare nie miała zbyt wiele czasu, ale musiała się temu dokładnie przyjrzeć. To coś miało ogólne rysy podobne do szczura, ale było całkowicie pozbawione sierści o pofałdowanej biało różowej skórze z ledwo widocznymi ciemnymi żyłkami pod spodem. Faktura skóry była luźna, bardziej przypominała świeżo wyskubaną skórę kurczaka.

– To coś jest tak duże jak dorosły Husky – jęknął Adam. – Chyba zaraz zwymiotuję.

Ale choć stwór był tak odpychający, Clare nie mogła oderwać od niego oczu. Głowa była zdecydowanie niepodobna do szczura. Nie była wydłużona i nie miała uszu. *Głowa mały? Kota? Próbowała wymyślić jakieś porównanie. Najbardziej jednak zmroziła ją symetria.*

– Spójrz, Adamie, jak równa jest głowa.

– Hę?

– Wszystkie linie są równe, a głowa w ogóle nie wygląda jak głowa gryzonia.

– To mutacja! – odparł Adam, wciąż czując mdłości. – To jest popieprzone, zdeformowane!

– Tak, jasne, ale zazwyczaj defekty genetyczne powodują mutacje, które są asymetryczne...

– Kogo to do cholery obchodzi? To jest pojebane!

– I spójrz na to tam, spójrz na czoło – kontynuowała zaintrygowana Clare.

– Wolalbym nie. Po prostu chodźmy.

Czoło istoty wydawało się lekko skośne. *Jakby próbowało wyhodować sobie rogi, pomyślała.*

* * *

W czasie wędrówki rurociągiem nie spotkały ich już żadne niespodzianki. Pokonanie pozostałej części drogi zajęło im kolejne piętnaście minut. Czekala na nich stalowa drabina, po której wchodzili do włazu.

– On będzie na nas czekał – wyszeptała Clare. – Prawdopodobnie w tej chwili ma wycelowaną strzelbę na szczycie tego włazu. Jakies sugestie, jak to zrobimy?

– Jest tylko jeden sposób, który przychodzi mi do głowy – powiedział Adam. – I jeśli chodzi o mnie, to im szybciej wydostaniemy się z tego przeklętego kanału, tym lepiej. – A potem po prostu wspiał się po drabinie, krzycząc ile pary w płucach i strzelając ze swojego pistoletu.

Kolejne wstrząsy przeszły uszy Clare, gdy patrzyła w górę i obserwowała, jak Adam wspina się po krawędzi włazu. *Ma jaja. Trzeba mu to przyznać, pomyślała.*

– Chodź na górę – powiedział. – Jest czysto.

Clare znalazła się w małym pustym pomieszczeniu, tuż za drzwiami zobaczyła długi, jasno oświetlony korytarz.

- To jest skrzydło B – powiedziała.

- Nigdy wcześniej tu nie byłem – dodał Adam, zerkając na zewnątrz.

- Myślę, że zaraz dowiemy się, dlaczego Winster i Dellin trzymają tę część poza zasięgiem wszystkich.

Clare już miała wyjść na korytarz, ale Adam ją powstrzymał.

- Co zrobimy z chłopakiem Winstera?

- Znajdziemy go i zabijemy – powiedziała Clare dosadnie.

- Cholera, a ja przez cały ten czas nie wiedziałem, że Winster w ogóle ma dziecko.

- Jestem pewna, że Harry musi trzymać swój sekret w ukryciu.

- Dlaczego?

- Bo to jedyny sposób, by uchronić go przed więzieniem lub oddziałem psychiatrycznym. Clare sprawdziła, czy ma wystarczającą ilość amunicji. – On już zabił panią Grable i jej męża, a do tego postrzelił ciebie i próbował zabić mnie. Myślę, że to daje nam prawo, by rozwalić mu łeb. To jest coś, co chciałam zrobić od ponad roku.

- Co dokładnie zrobił dzieciak Winstera? – zaczął Adam, ale po chwili zorientował się i nie kontynuował pytania.

- Dzięki – powiedziała Clare.

Sprawdzili każde pomieszczenie na korytarzu, które było albo biurem, albo laboratorium, albo salą egzaminacyjną. Stuart Winster zapadł się pod ziemię. *Może opuścić budynek, odnalazł swojego ojca i udał się w góry*, rozważała, ale wątpiła w to i miała wielką nadzieję, że tak się nie stało. Ci dwaj zniszczyli jej życie – nie spocznie, dopóki nie dojdzie do ostatecznej konfrontacji. To było w stylu pułkownika Winstera-Harry’ego, by tak się z nią bawić: kazać Dellinowi zwerbować ją do tej pracy, wybrać strażników z systemu opieki zastępczej – a więc bez rodzin, które mogłyby ich szukać po „zniknięciu”. Wiedziała, że ma dla niej w zanadrzu to samo.

- Ja pierdołę... – powiedział Adam, gdy weszli do następnego pomieszczenia. Ściany ze szklanymi zbiornikami jasno wskazywały, że jest to pomieszczenie, w którym znajdują się jakieś okazy, a Adam patrzył właśnie na jeden z nich, gdy wygłosił swoją uwagę.

- Co to jest, wielkie akwarium?

Clare też zajrzała do środka.

- O kurwa – powiedziała.

Zbiornik rozciągał się na pół długości pokoju. Z filtrów po obu stronach unosiły się bąbelki, a jego górna część była przykryta szklanymi śrubami.

W zbiorniku znajdowały się okazy, które przypominały węgorze, ale te węgorze były długie na metr, a w miejscach, gdzie powinny być ich płetwy piersiowe, znajdowały się narośla, które wyglądały bardziej jak... Ręce, uświadomiła sobie Clare. Małe dłonie... Węgorze wpadły w szal, gdy zobaczyły Adama i Clare zagląających do środka. Długie szczęki wypełnione podobnymi do wilczych kłami próbowały przegryźć się przez szybę; Clare i Adam odruchowo cofnęli się o krok. Wtedy Clare zwróciła uwagę na głowy. Podobnie jak to szurze coś, co widzieli w kanale, te stworzenia wydawały się mieć podobne wypukłości nad oczami...

Wszystkie pozostałe zbiorniki zawierały coraz więcej mutacji: węże, owady, ryby, całą gamę płazów, ryjówki wielkości świnek morskich, komary wielkości nietoperzy, gąsienice wielkości kijów bejsbolowych, wszystkie okaleczone, wszystkie unikalnie zmutowane i wszystkie z dziwnymi kanciastymi wypukłościami nad brwiami.

– Co to do cholery jest? – zapytał Adam, otwierając szafę po drugiej stronie pokoju. W środku stał pojemnik, mniej więcej takich samych rozmiarów jak beczka mogąca zmieścić dziesięć galonów, ale wyłożony i zwieńczony śrubami. Z jakiegoś panelu z przełącznikami świeciły się małe lampki kontrolne. Po jednej stronie znajdował się otwór przypominający okno, oświetlony od wewnątrz, a gdy Clare zajrzała do środka, zobaczyła stojak z dziwnymi, wąskimi probówkami. Na stojaku widniała wydrukowana etykieta z napisem:

11 CZERWCA 95
PRÓBKA GŁÓWNA
GRID #: S27-0078

Jakiś rodzaj próbki genetycznej? Domyśliła się Clare.

– Zgaduję, że to jedna z tych wielkich zamrażarek – stwierdził Adam.

– Kriolizacja – powiedziała Clare.

– Jeśli nie ma w tym butelki piwa, chodźmy stąd – zasugerował, drapiąc się po brzuchu. – Te rzeczy w tych wszystkich zbiornikach sprawiają, że robi mi się niedobrze.

Opuścili pokój z próbkami. Clare otworzyła kolejne drzwi i weszła do środka.

– Czekaliśmy na ciebie, Clare. Proszę, wejdź!

Po drugiej stronie pokoju, stał uśmiechnięty pułkownik Harold T. Winster ubrany w czysty biały fartuch laboratoryjny, a obok jego wyrośnięty syn, Stuart.

– Cze-cze-cze-cześć, Clare! – jękał się Stuart, machając do niej dwupalczastą ręką.

Niewiele myśląc, Clare podniosła pistolet i wycelowała prosto w wypaczoną twarz Stuarta.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

(1)

To może być takie proste?

Jej pistolet był odbezpieczony, a palec na spuście. *Zabić ich obu?* pytała samą siebie i wyglądało na to, że odpowiedź brzmi: tak. Samoobrona i usprawiedliwione zabójstwo prawdopodobnie przeszłyby w sądzie, gdyby tylko trochę skłamała. Ale prawdziwy stróż prawa w niej wiedział, że to technicznie rzecz biorąc było morderstwo. *Naprawdę powinnam ich zakuć w kajdanki, niech policja się tym zajmie.* Ale wtedy to wszystko mogłoby się skończyć jak ostatnio.

Sekundę później nie miało to już jednak znaczenia. Rozpromieniona twarz Harolda Winstera pozostała tam, gdzie była, uśmiechając się do jej celownika. Adam odbezpieczył swój własny pistolet i przyłożył do skroni Clare.

– Nie zmuszaj mnie, bym opróżnił tę twoją śliczną główkę, kochanie.

– Ty kłamliwy, podstępny skurwielu!

Adam odebrał jej pistolet i wsadził za pasek. – To było trochę irytujące, podlizywać się Dellinowi, ale wyraz twojej twarzy jest bezcenny. Było warto. Domyślam się, że kobieca intuicja jest taka sama, co? Jest do bani. – Obrócił ją i trzasnął o ścianę.

– Dobra robota, Adam – powiedział Winster.

Syn Winstera podszedł do niej z rozpromienioną twarzą. W jednej chwili jego nieprzyjemny oddech znalazł się na twarzy Clare, którą zaczął pieścić dwupalczystą dłonią.

– Uh-uh-uh-mogę ją ugryźć tatusiu? Tylko raz, proszę, tatusiu?

– Jeśli to zrobisz – zaczęła Clare i już miała chwycić go za gardło, gdy broń Adama znów znalazła się przy jej skroni.

– Jeśli to zrobi, po prostu zostaniesz ugryziona, cukiereczku, a ja naprawdę chciałbym to zobaczyć.

– Uh-uh-uh-lubię gryźć dziewczynki, zwłaszcza Clare. – Powiedział Stuart po czym zaczął lizać jej twarz, umieszczając krzywe zęby na policzku, by zaraz ugryźć.

– Synu, synu, nic z tego – rozkazał Winster. – Będziesz miał swoją zabawkę w odpowiednim czasie. I Clare i naszego nowego, ładnego przyjaciela.

Stuart wycofał się, a Clare odetchnęła z ulgą. Ale wiedziała, że ta ulga nie potrwa długo. Za Winsterem znajdowało się kilka zasłoniętych boksów, jak w sali szpitalnej.

– Chodź, chodź – poprosił. – Musisz zobaczyć całą moją operację.

Adam szturchnął ją pistoletem, by szła. Gdy Winster odsunął jedną zasłonę, Clare zamarła. Na stole leżała Joyce, przywiązana pasami. Leżała albo nieprzytomna, albo martwa.

– Proszę się nie martwić pani porucznik – powiedział Winster. – Ona wciąż jest wśród żywych i jest dla nas bardzo ważna. Została dobrze przygotowana, tak jak i ty.

Clare nie wiedziała, o co mu chodzi, nie chciała wiedzieć.

– Teraz jesteśmy gotowi, by zacząć na poważnie. Och, tak, początkowe próby były obarczone wieloma błędami, ale spodziewaliśmy się tego. Po prostu wygłupialiśmy się, można powiedzieć, z takimi obiektami jak ten, aby dopracować odpowiednie dawki w zależności od wagi ciała, ilości krwi, etc.

Mówiąc to odsunął kolejną zasłonę. Na metalowym stole leżała mocno wychudzona naga kobieta z ciemnymi włosami. Stół miał kółka na blacie i system szyn.

– Obawiam się, że miejscowi nie mieli z czego wybierać – ubolewał Winster. – Złe odżywianie i spustoszenie spowodowane nadużywaniem narkotyków i alkoholu zmniejszyły ich płodność. Ale mimo to dobrze służyły wyznaczonym celom. – Winster skinął na swojego obłąkanego syna, który nacisnął na udo dziewczyny, przez co jej ciało powoli zsunęło się po przewodnicach stołu. Dziewczyna wtoczyła się do dużego okrągłego otworu tuż za stołem, ale w trakcie toczenia się, Clare widziała, że jej palce poruszają się lekko, a głowa obraca się w przód i w tył.

Nadal żyje, pomyślała Clare.

Stuart zamknął duży okienny właz nad zsysem. Natychmiast w oknie pojawiła się pomarańczowa poświata, a dziewczyna zaczęła szaleńczo miotać się w środku, wyjąc.

– Dobry Boże – szepnęła Clare.

– To najnowocześniejsze urządzenie do utylizacji odpadów organicznych, Clare – mówił dalej Winster swoim pompatycznym tonem. – Przemysłowy ekcykator na suche ciepło. Czy wiesz, że konwencjonalna kremacja ciała zajmuje od sześciu do dwunastu godzin? A do tego dochodzi jeszcze cały ten dym, który towarzyszy temu procesowi. Nie możemy mieć dymiących kominów widocznych na terenie federalnego rezerwatu siedlisk. Ten proces wymaga tylko trzydziestu minut, aby całkowicie wysuszyć człowieka, oddając całą wilgoć, każdą cząsteczkę wody. Młynek redukuje to, co pozostaje, do małej, łatwej do opanowania kupki granulowanego środka osuszającego, podobnego do piasku. – Podniósł palec, zachwycony swoimi strasznymi wyjaśnieniami. – Ostatnio zaczęliśmy wyrzucać to do lokalnych zbiorników wodnych tylko po to, by zobaczyć, co się stanie. Rezultaty są imponujące.

– Widzieliśmy te rezultaty, Winster – odezwała się Clare. – To mutuje wszystko, co żyje w jeziorze.

– Faktycznie.

– I to mnie przeraża – wyznał Adam. – Trzeba było widzieć tego pieprzonego szczura, który był dziś w rurze.

– Tak, od tej pory będziemy musieli ograniczyć się do bardziej kontrolowanych warunków – przytakiwał Winster.

– I właśnie widziałem kilka twoich „okazów” w pokoju ze szklanymi zbiornikami – dodał Adam. – Nie miałem pojęcia, że osiągasz już takie rezultaty.

– Wspaniale, prawda?

– Nie, kiedy muszę chodzić po lesie z tym całym gównem! – skarżył się leśniczy. – To miejsce zamienia się w gabinet osobliwości, Harry. Prędzej czy później ludzie z zewnątrz dowiedzą się, co tu się dzieje.

– Nie martw się Adamie, naprawdę musisz zostawić to nam.

– Jak do cholery wysuszone szczątki człowieka mogą stworzyć rzeczy, które już tu widziałam? – powiedziała Clare.

– Spostrzegawcze pytanie – odparł Winster – a odpowiedź jest następująca: suszyliśmy tu więcej niż tylko ludzkie istoty.

Clare wpatrywała się w niego. Winster cieszył się tym, chodząc po pokoju w swoim fartuchu laboratoryjnym jak profesor medycyny przed klasą pełną studentów.

– W przeciwieństwie do kremacji, która utlenia materiał, ekcykacja pozostawia pewne atrybuty komórkowe w odpadach nienaruszone. Na przykład markery genowe. I mówimy tu o absolutnie unikalnym markerze genowym.

– Próbką główna – wydedukowała, po tym jak przypomniała sobie to, co widziała w drugim pokoju: kriolizator.

– Doskonale, tak! – Winster był pod wrażeniem. – Próbką główna. Widzisz, Clare, ta próbka jest tym, po co tak naprawdę istnieje ta cała klinika. I zawiera właściwości wcześniej nieznanie genetyce. Pewne ogniwa łańcucha chromosomalnego próbki głównej zostały wplecione w geny reprodukcyjne obiektu, czegokolwiek zapagniemy – gryzonia, płaza, dowolnego owada...

– Albo człowieka – wtrąciła Clare.

– Ostatecznie tak – powiedział Winster z dumą. – Ale to była najłatwiejsza część. Osiągnięcie sukcesu reprodukcyjnego było najtrudniejszą częścią. I udało nam się to. – Po tych słowach Winster odsunął jeszcze jedną zasłonę, odsłaniając typowe szpitalne łóżko, ale nie było w nim zupełnie nic typowego. Leżała na nim naga, ciężarna kobieta, z nadgarstkami i klatką piersiową przywiązanymi do poręczy. Kostki w strzemiączkach ginekologicznych również miała przymocowane pasami mocującymi. Jej nienaturalnie nabrzmiały brzuch kompulsywnie drgał. Miała głowę przekreśloną na bok, a puste oczy zwrócone w stronę Clare. Z ust zwiślał bezwładnie język.

To Grace Fletcher, pomyślała Clare, która od razu ją rozpoznała. Winster wskazał na kilka dużych urządzeń z białymi dyszami, które wisiały na zawiasach nad łóżkiem Joyce, urządzenie, które Clare rozpoznała teraz jako zaginioną maszynę IRMT. Następnie poklepał Grace Fletcher po głowie.

– Oczywiście najpierw robię im wszystkim lobotomię, to humanitarna rzecz. Sprawia, że są łatwiejsze do opanowania. Za kilka chwil przeprowadzę lobotomię twojej przyjaciółki Joyce i bardzo się cieszę, że będziesz mogła na to patrzeć.

Clare zamarła.

– Wszystko, co tu robimy, obraca się wokół jednego procesu, procesu zwanego transfekcją. – mówiąc to Winster klepał Grace Fletcher po brzuchu. Clare pamiętała to słowo; Dellin wyjaśnił je, gdy byli w barze. Splatanie genów na skalę molekularną, splatanie selektywnych części genów do innej komórki, po czym komórka docelowa nabiera nowych właściwości.

– Grace radziła sobie z tym całkiem dobrze, podobnie jak Donna przez pewien czas – kontynuował Winster. – Transfekcja zadziałała na nie cudownie. Donna urodziła dwa prawie idealne płody, a Grace trzy.

– To znaczy, że... – Clare mogła mieć tylko nadzieję, że źle go zrozumiała.

– Transfekowaliśmy marker genu reprodukcyjnego z próbki głównej do ich jajeczek, zapłodniliśmy je in vitro, a następnie wszczepiliśmy je do macic. W dzisiejszych czasach jest to bardzo prosty proces. Ponieważ jesteśmy jeszcze na etapie wstępnym, do zapłodnienia użyliśmy spermy Stuarta.

– I urodziły...

– Nazwijmy je „prototypy genetyczne”.

– Gdzie oni są! – krzyknęła Clare.

– Zniszczyliśmy je, oczywiście – Wskazał na eksykator, którego okno wypełniała teraz rozświetlona para. – Jak już mówiłem, w tym momencie jesteśmy dopiero na etapie wstępnym. Pełny zestaw inkubatorów zostanie zainstalowany dopiero w przyszłym miesiącu. Ale do tego czasu będziemy gotowi na etap drugi.

– Wkładacie do tego dzieci?! – krzyknęła Clare.

– Uwierz mi, Clare. Te rzeczy nie były niemowlętami. – Winster odparł z obrzydliwym uśmiechem.

To było szaleństwo. Musiała się wydostać, ale jak mogła to zrobić z bronią Adama przyłożoną do pleców? Muszę wykonać jakiś ruch, muszę coś wykombinować...

– I w to też możesz uwierzyć, Clare: w Departamencie Obrony są pewne wydziały, które są bardzo zadowolone z moich dotychczasowych wyników i zrobią wszystko, by mi dogodzić, wszystko, by mnie chronić. Wszystko, na czym im zależy, to wyniki.

Clare nie miała co do tego wątpliwości. Na co komu sprawiedliwość, gdy władze są tak samo złe jak sprawcy?

Winster odwrócił się, by sprawdzić parametry życiowe Grace, a w tym momencie Adam przyłożył pistolet do jej szyi i złapał ją za rękę.

– Wykorzystają cię do tego, kochanie – wyszeptał. – Ale zanim to zrobią, pobawimy się trochę i to nie po tym jego dziwnym dzieciaku. – Potem mocno potarł jej dłonią o swoje krocze. Zemdlilo ją, gdy uświadomiła sobie, co czuje: chyba z tuzin metalowych kolczyków w jego genitaliach. Clare myślała, że zwymiotuje.

Adam puścił jej rękę, gdy Winster ponownie zwrócił na nią uwagę.

– Grace i Donna zaginęły dopiero kilka miesięcy temu – rzuciła mu wyzwanie Clare. – Nie mogły niczego urodzić w tak krótkim czasie.

Winster wydawał się zadowolony z tego pytania.

– W normalnych warunkach reprodukcyjnych, nie, nie mogłyby. Ale tu właśnie, Clare, jest nasz sukces. Nie tylko transfekowaliśmy genetyczne składniki próbki głównej do jaja gospodarza, ale także w tym samym czasie transfekowaliśmy marker wzrostu, a za to możemy podziękować tylko jednemu człowiekowi, twojemu ukochanemu, Dellinowi.

– A tak w ogóle, to gdzie jest Dellin? Myślałam, że ten kutas będzie tu pękał z dumy razem z tobą.

– Z ulgą przyjmiesz wiadomość, że Dellin był trzymany w niewiedzy o naszym prawdziwym celu tutaj. Jest naukowcem zajmującym się namierzaniem molekularnym, i to genialnym. To właśnie jego umiejętności pozwoliły nam zidentyfikować konkretny marker genetyczny, który powoduje, że rak stromy rozprzestrzenia się tak szybko. Jest to najszybciej rosnący rak, jaki istnieje. Uniósł palec w górę. – Gdybyśmy tylko byli w stanie pobrać tę właściwość genetyczną z raka i transfekować ją w ludzkim genie reprodukcyjnym – to byłby nasz Święty Graal. I Dellin zdobył to dla nas, nigdy nie wiedząc, co tak naprawdę robimy. Jego techniki rozwiązały nasze najważniejsze problemy.

Clare przepełniła ulga po tych słowach. Teraz było to już dla niej oczywiste: Adam podłożył kasetę wideo w domku Dellina, dobrze wiedząc, że właśnie tam pójdzie po tym, jak znajdzie swój niesprawny telefon. Był niewinny przez cały czas. Ale...

– Gdzie on jest? – zapytała. – Zabijeś go?

– Szczerze mówiąc, nie jesteśmy do końca pewni. – Winster energicznie pogłaskał się po brodzie. – Jak wiesz, zeszłej nocy mieliśmy kilku gości, którzy przebili się przez podłogę. Nie obchodziło mnie, że włamali się do skarbca apteki, ale byli na tyle niegrzeczni, że zrobili to samo tutaj, w skrzydle B. Po twoim obchodzie, Dellin sam wczółgał się pod budynek i wyszedł przez wyłom w podłodze. Oczywiście wszystko odkrył, więc musieliśmy... poskromić jego ciekawość.

– Gdzie on jest!

Winster rzucił spojrzenie swojemu synowi, po czym wydał polecenie:

– Stuart, przyprowadź tu naszego dobrego przyjaciela Dellina, aby wszyscy mogli go zobaczyć. – Stuart pobiegł do drzwi z napisem MAGAZYN. Ale gdy był już poza

zasięgiem wzroku, Adam zwrócił się do Harry'ego:

– Harry, Jezu Chryste, musisz coś zrobić z tym swoim dzieciakiem; mówiłem ci milion razy, że to ułom, że nie ma rozumu. Trzeba było widzieć, jakie gówno dzisiaj wywinął.

– Co takiego, Adamie?

– Wpadł w szal! Zabił twoją siostrę i jej męża, zdemolował dom – Adam podniósł swoje zranione ramię. – A potem ten opóźniony mały pierdoła prawie mnie zabił!

– Wiesz, jaki on potrafi być wybuchowy, Adamie. Jesteś pewien, że nie zrobiłeś czegoś, co go wzburzyło?

– Oczywiście, że nie!

– Jesteś pewien? Czy jesteś pewien, że nie przyszedł do piwnicy i nie zastał cię gwałcącego moją siostrę, Adamie?

– Czy to właśnie ci powiedział? Będziesz wierzył jemu, a nie mnie? On ma popierdalone w głowie!

– Do tej pory, Adamie, jestem pewien, że wiesz, że jestem bardzo konkretnym człowiekiem – kontynuował Winster. – Nie obchodzą mnie przypadkowe wpadki ani przypadkowi ludzie, jeśli o to chodzi. Wykorzystanie mojej siostry, jako seksualnej pacyfikatorki Stuarta, powoli odchodziło w cień. Projekt jest ważniejszy od tego wszystkiego, a jakkolwiek bałagan spowodowałeś w domku, będziesz musiał po prostu posprzątać. Albo znajdę kogoś innego, kto to zrobi.

Przyłapany na własnym kłamstwie Adam tylko przełknął ślinę i przytaknął. Stuart w tym czasie otworzył szafę i wyciągnął z niej Dellina, z którego głowy ciekła krew. Nie ruszał się i nie było widać, by oddychał

– Zabiłeś go! – krzyknęła Clare.

– Kolba strzelby mojego dobrego syna szybko położyła kres węższeniu Dellina – Winster podszedł, pochylił się. – Co powiesz na to, że on jeszcze żyje? – powiedział po wycuciu pulsu. Znowu pogłaskał się po brodzie, teraz bardziej kontemplacyjnie, i spojrzał na eksykator. – Nie jestem jeszcze pewien, co chcę z nim zrobić. Zwykle wystarczyłby eksykator, ale... – Potrząsnął głową. – Zamknij go z powrotem w szafie, Stuart. Jego wiedza może nam się przydać na kolejnym etapie. – Potem uśmiechnął się do Clare. – Jestem pewien, że Dellin nadal będzie dla nas pracował pod odpowiednim przymusem.

Stuart wciągnął nieprzytomne ciało Dellina z powrotem do szafy. W tym czasie Winster podszedł do stołów i powiedział poważnym tonem:

– I nie chcę spojlerować, ale możesz zapomnieć o tym, że Rick wpadnie tu w ostatniej chwili i uratuje was wszystkich...

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, nawet nie przyszło to Clare do głowy. *Rick. Gdzie on jest?* Znalazła zakrwawiony klucz w kasowniku nad jeziorem, ale nigdy nie znalazła ciała.

– Mamy tu wspaniały system nadzoru, rząd nie szczędzi kosztów – kontynuował Winster włączając duży monitor bezpieczeństwa. – Taśma będzie jeszcze bardziej interesująca niż ta, którą Adam podłożył w domku Dellina – obiecał Winster.

Jeziro, pomyślała Clare, gdy spojrzała na ekran. Było to długie ujęcie z wysokiej kamery zamontowanej na jednej z palm. Nie było dźwięku, ale mogła zobaczyć wszystko, co było jej potrzebne. Rick gorączkowo przekreślał swój klucz w kasowniku, ale jakaś postać odciągnęła go od niego. Kiedy stanął prosto, sięgając po broń... *Nie!* pomyślała Clare, zaciskając zęby.

Rick został dosłownie poderwany z ziemi i przewrócony do tyłu, gdy druga postać opróżniła obie lufy strzelby w brzuch Ricka. Tą postacią był oczywiście Stuart, który spokojnie przerzucił Ricka przez ramię i poniósł go w stronę brzegu. Nie wszedł bardzo głęboko, może do kolan, po czym pozwolił ciału Ricka zanurzyć się w wodzie. Stuart szybko wrócił do brzegu, jakby obawiając się czegoś. I wtedy to coś się pojawiło. Nawet na monitorze Clare mogła zobaczyć, jak zbliżają się rozkołysane fale. Długie i wężopodobne coś wynurzyło się na powierzchnię i szybko owinięło swoje ciało wokół Ricka, a następnie wciągnęło go pod wodę. Mimo że widziała to tylko przez chwilę, Clare wiedziała, co to było. Jeden z tych zmutowanych węgorzy, jak w akwarium w innym pokoju... Tylko ten był o wiele większy, a z jego paszczy wyrastały krokodylowe zęby. Clare po prostu zamknęła oczy. Rick nie był w stanie nawet podjąć walki, gdy stwór porwał go głęboko pod wodę.

– To tyle, jeśli chodzi o niego – powiedział Winster.

– Ludzie tacy jak ty nie powinni mieć prawa istnieć – mruknęła Clare.

– Ale my istniejemy, Clare, a wiesz dlaczego? Świat nie ewoluuje sam z siebie, ewoluuje dzięki wysiłkom nielicznych, którzy ośmielają się łamać zasady i kwestionować konwencje.

– Ty tylko bawisz się genetyką, Winster. Nie robisz tu nic, co mogłoby zmienić świat.

– Och, ale ja to zrobię, Clare, i te tajne wydziały naszego rządu federalnego są tego aż nadto pewne. Bądź pewna, że będziesz w tym pomagać na swój własny mały sposób, przy okazji zapewniając mojemu dobremu synowi trochę zdrowej rozrywki w przerwach między ciężami. – mówiąc to lubieżnie się uśmiechał.

– Uwielbiam cię, Clare – wyszeptał Stewart gładząc jej twarz zdeformowaną dłonią. Winster patrzył na nią z dumą.

– Obawiam się, że Stuart zawsze bardzo cię lubił i jak wielu ojców, nie mogę mu pomóc, ale daję mu to, czego chce. Oczywiście, gdy już w pełni wejdziemy w drugi etap projektu, nie będziemy używać spermy Stuarta. Zaufaj mi Clare, twoje komórki jajowe zostaną zapłodnione dość starannie, najlepiej przebadanym materiałem genetycznym, jaki nauka może wyprodukować. Będę cię używał dla twojego łona, Clare, a Stuart będzie cię używał dla swojej osobistej przyjemności. Ale nie jest to tak ponure, jak ci się wydaje. – Winster wzruszył ramionami. – Zostaniesz poddana lobotomii, nigdy nic nie będziesz czuła, a przynajmniej prawdopodobnie nie będziesz.

Te chore dranie mówi poważnie, pomyślała z ledwością trzymając się na nogach. *Muszę zaryzykować...* Ale w tym czasie dłoń Stuarta, przypominająca szczypce, zsunęła się w dół, na jej klatkę piersiową, błędząc po piersiach, a potem powędrowała niżej.

– Odejdź ode mnie, ty popierdolony dziwolągu – wyszczała.

– Och, on tylko się wczuwa – powiedział Adam. – Lepiej się do tego przyzwyczajaj, wkrótce będzie robił o wiele więcej.

– Jesteś taka pi-pi-piękna, Clare. Będę cię często gryzł, a potem fuh-fuh-fuh.

– Synku, wystarczy – przywołał go Winster. – Nie mamy teraz na to czasu. Bądź cierpliwy. Ale pokażmy Clare, co ją jeszcze czeka w przyszłości. – Stał z boku stołu Joyce, która nadal leżała nieprzytomna, a Winster pociągnął w dół jedną z dysz IRMT. – Cienkie wiązki promieniowania o krótkich falach i wysokim natężeniu są manipulowane poprzez niezbędne ośrodki nerwowe mózgu. – Włączył przełącznik na panelu, wyregulował kilka pokręteł. Jeden przycisk świecił na czerwono, a nad nim Clare mogła przeczytać słowo EMISJA. – Zamierzamy ją trochę otumanic, to wszystko. Najlepiej będzie, jeśli przejdzie przez okres ciąży bez zdolności myślenia. Wynikający z

tego stres mógłby uczynić ją mniej podatną na replantację komórek jajowych, nawet pomimo terapii płodności.

– Terapia płodności? – zapytała Clare. – O czym ty mówisz?

– Och, ale przecież sama poddawałaś się tym samym terapiom, Clare. Ta pyszna mrożona kawa w pokoju socjalnym? Jest naładowana Bromacripiną, stymulantami oksycytynowymi, substancjami odżywczymi na bazie cytrynianów – wszystkie one wzmacniają zdrowie macicy i optymalną owulację. Są w nim także pewne hormonalne adiuwanty, aby uczynić dwadzieścia trzy chromosomy w waszych jajnikach bardziej podatnymi na nowe czynniki transfekcyjne z próbki głównej.

– Wpompowywałaś w nas te rzeczy, a my nawet o tym nie wiedzieliśmy?! – krzyknęła Clare.

– Dokładnie, i jest to bardzo skuteczny schemat. Na skutki uboczne nie można nic poradzić, a i tak nie są one bardzo osłabiające.

– Jakie... skutki uboczne? – zapytała Clare.

– Nadaktywność seksualna. – Winster rozłożył ręce. – Z pewnością sama to zauważyłaś. Czyż nie?

Wtedy wszystko zrozumiała. Strumień erotycznych myśli i fantazji w ciągu ostatnich kilku dni! Lubieżne sny i nagły wzrost popędu płciowego! A przez cały ten czas sekretne dodatki do napojów w pokoju socjalnym podkreślały jej potencjał rozrodczy. To tylko sprawiało, że było jej coraz bardziej niedobrze. Ale mimo to wiedziała, że musi zyskać na czasie, musi wymyślić coś, co da się zrobić, jakiś podstęp, jakiś ruch... Ale ciągle miała pustkę w głowie.

Winter przyłożył dyszę do czoła Joyce; wyciągnął rękę, by nacisnąć przycisk EMISJA.

– Zaczekaj! – powiedziała Clare.

Winster zatrzymał się, spojrzał na nią.

– Wiedziałaś, że twój syn zgwałcił mnie tamtej nocy w bazie, prawda?

– Oczywiście. Stuart czasami trochę wymyka się spod kontroli, jak każdy dorastający chłopiec.

– Więc to naprawdę ty sfałszowałaś proces. Falszywe wyniki badań wariografem, przekupni świadkowie. Ty to wszystko zrobiłaś.

– Tak. Nie mogłem po prostu siedzieć z założonymi rękami i pozwolić, by mój jedyny syn był ścigany. Nawet biorąc pod uwagę jego braki, nie mogłem pozwolić, by został zinstytucjonalizowany. Stuart jest moim synem, Clare. A ty? Jesteś tylko małą sierotką, małym trybikiem w mojej wielkiej machinie. Powinnaś czuć się zaszczycona, że pozwolę ci żyć.

– Nazywasz to życiem? Bezmózgi kawałek mięsa na stole? Łono do produkcji płodów dla ciebie?

– Nie jestem aż tak zły, Clare. – Winster skrzywił się. – Za kogo ty mnie bierzesz? – zaśmiał się zawadiacko. – Nie będziesz martwa, będziesz zmodyfikowana mózgowo.

– Ty i ta druga suka będziecie tu naprawdę samotne – wyszeptał Adam, ściskając jej pośladki. – Ale nie martw się. Będę się tu zakradał co jakiś czas, gdy nie będzie ich w pobliżu. – Potarł swoim krocem o jej biodro dodając – Dotrzymam ci towarzystwa.

Clare odłożyła na bok swój wstręt i ponownie krzyknęła:

– Czekaj! – dokładnie w momencie, gdy Winster miał nacisnąć przycisk.

Winster uniósł brwi.

– Jest świadek! – wykrzyknęła Clare. – Ona sprawi, że policja w mgnieniu oka rozpocznie śledztwo.

– To kłamliwa suka, Harry – powiedział Adam. – Nie ma żadnego świadka.

– Ta dziewczyna tamtej nocy, ta, którą znaleźliśmy w lesie. – Umysł Clare z trudem przypomniał sobie jej imię. – Kari Ann Wells! Ona nie umarła, Winster. Jej stan się poprawia i już niedługo policja będzie ją przesłuchiwać.

Winster naprężył się. Potem wykrzyknął:

– Ach, ten świadek – po czym on i Adam wybuchnęli śmiechem.

W tym momencie ręka Adama dotknęła jej piersi, Clare wzdrygnęła się, po czym szepnął jej do ucha.

– Jak myślisz, gdzie byłem dzisiaj wcześniej? Musiałem wpaść i odwiedzić tę biedną, małą dziewczynkę, wiesz? I dałem jej mały prezent od Harry'ego.

– Digoksyna... – zauważył Winster. – Zatrzymuje serce za każdym razem. Adam bardzo się tu przydaje.

– Już zaczynałam w to wierzyć – powiedziała ponuro do siebie Clare.

– W co, Clare, kochanie?

– Plotkę, że są tu potwory – powiedziała. Nawet Kari Ann Wells mówiła, że to potwór ją zaatakował. Ale nie było żadnego potwora. To był tylko twój dzieciak, Winster, który równie dobrze mógłby być potworem.

Teraz Winster rzucił kąśliwe spojrzenie, jakby właśnie przypomniał sobie o czymś. Ponownie zabrał rękę z przycisku.

– Przepraszam, Clare. Nie masz pojęcia, prawda? Wypada, abym wyjaśnił ci resztę zanim pozbawimy cię zdolności myślenia. – Wyciągnął coś z kieszeni, przyłożył do ust i zdawał się dmuchać.

Psi gwizdek? Pomyślała Clare.

– To jest mój syn, Clare. – Winster położył rękę na ramieniu Stuarta.

Na podłogę padł wielki cień.

– A to jest potwór – zakończył Winster, wskazując na cały pokój.

Clare omal nie zemdląła, gdy zobaczyła, co stało w drzwiach.

– Widzicie – mówił Winster – wiedza Dellina na temat różnych genetycznych mitoehtonologii, ukierunkowywania cząsteczek komórkowych i ogólnych protokołów transfekcji okazała się najcenniejszym wkładem do projektu, ale przez cały czas nigdy nie wiedział, do czego tak naprawdę używamy jego umiejętności. Jego techniki nie tylko z powodzeniem integrują segmenty DNA – one także znacznie przyspieszają to, co my w tej dziedzinie nazywamy punktami nasycenia węglem i tlenem. Dla laika? Oznacza to, że jego techniki znacznie zwiększają tempo wzrostu organicznego, a wszystko to razem – w połączeniu z tym, na co teraz patrzysz – pozwoli nam pewnego dnia sklonować bardzo szczególny rodzaj ludzi.

Miał co najmniej dwa metry wzrostu, a rozpiętość jego ramion sięgała prawie metra. Dziwaczne sieci mięśni i żył poruszały się pod skórą, która wydawała się pokryta śluzem. Skóra miała ten sam kolor purpurowej bieli, który zauważyła na ogromnym bezwłosym szczurze, którego zabili w przeszłości. Dwa otwory tworzące nos, dwa małe mięsiste guzki jako uszy. Oczy były szczelinami wypełnionymi lśniąca czernią, a usta... Wtedy otworzył usta, aby wziąć oddech, ukazując otchłań wypełnioną zębami bardziej podobnymi do wilczych niż ludzkich. Stał nieubrany i cuchnął. Ogromne genitalia zwisały w pachwinach, a całe to groteskowe ciało lekko się wzdrygało, gdy czarno-granatowe oczy wpatrywały się intensywniej w Clare.

– Spektakl stworzenia, czyż nie? – powiedział Winster, patrząc na nią zachwycony.

– Chyba zaraz zwymiotuję – wypaliła Clare.

– Niedoskonałe, tak, ale w miarę jak będziemy się uczyć coraz więcej i doskonalić nasze techniki, pomyśl tylko, co będziemy mogli tu stworzyć. A ty, Clare, będziesz tego częścią, na swój własny mały sposób.

– Więc ty...

– Stworzyłem to – warknął Winster. – Właśnie tutaj. I ma mniej niż rok. Tak jak powiedziałem ci wcześniej, to nie było do końca doskonałe. Był jeden zarażony płód, którego nie zniszczyliśmy, ten pierwszy. – Winster był w ekstazie. – Właśnie ten.

Clare z trudem mogła na niego patrzeć.

– Będziemy go doskonalić, kształcić, szkolić – kontynuował Winster. – Już słucha prostych komend, opanował podstawowe słowa, nauczył się wykonywać drobne zadania...

Przypomniała sobie szczura i niektóre z okazów w zbiornikach. *Ich głowy, ich czaszki*, pomyślała. Brwi zdawały się sugerować punkty, które nigdy się w pełni nie rozwinęły, prawie jak rogi. To coś, co stało przed nią, miało podobne cechy czaszki. Potem jej wzrok powędrował na ramiona... Przyglądała się jego potężnym mięśniom. Były tam grupy mięśni, o których istnieniu nawet nie wiedziała. Jej spojrzenie podążyło za ramieniem aż do samego dołu. Z końców mocnych palców wyrastały haczykowate paznokcie. Czy te palce miały dodatkowe knykcie? A potem... *Chwileczkę!* pomyślała. Spojrzała na drugą rękę. Podstawowa struktura pierwszej ręki wydawała się normalna, ale druga ręka miała tylko dwa palce: kciuk i palec wskazujący. Tak samo jak Stuart.

Winster zdawał się widzieć, że właśnie zauważyła ten fakt.

– Sklonowałem mojego syna, po uprzedniej transfekcji w pewne inne właściwości, aby zobaczyć, co się stanie. Sama transfekcja zakończyła się stuprocentowym sukcesem, podobnie jak ciąża. Niestety, było też kilka defektów Stuarta, które wniknęły do środka.

– Wziąłeś chromosomy własnego dziecka i zrobiłeś z nich mutanta – podsumowała wymownie Clare.

– Tak, ale wkrótce będziemy robić mutanty z twoich chromosomów – odparł.

Monstrualny mutant stał przed nimi. *Potwór*, pomyślała. Clare wiedziała, że czeka ją ten sam los.

– Więc teraz już wiesz – powiedział Winster. – Wybór kadry bez rodziny, bez rodzeństwa i bez prawdziwych korzeni w kraju był prosty, gdy miałem do dyspozycji wojskowe akta personalne. A szczególnie zależało mi na tobie, Clare. Dellin nawet nie wiedział o naszej przeszłości, gdy wysłałem go, by cię odnalazł. Inni też byli idealni. Joyce wydaje się szczególnie płodna... – Ponownie wycelował dyszę w jej głowę. – Tak, właśnie tam. Naprawdę zaczynam łapać w tym wprawę. – Wyglądało na to, że dopasowywał matrycę na jednym z ekranów komputera do skanu MRI mózgu Joyce. – Bruzda odpowiedzialna za motorykę i tylny-prawy kwadrant płata skroniowego są tym, co chcemy spalić. Proszę bardzo, to wygląda jak to...

Sięgnął po włącznik.

– Czekaj! – krzyknęła Clare. – Co to za zapach?

– Naprawdę, Clare. – Winster zerknął na nią z wyrzutem. – Już wystarczająco długo czekasz na swojego przyjaciela. Spodziewałbym się czegoś bardziej oryginalnego, niż to...

– Hej, Harry? – Adam powąchał powietrze. – Ja też coś czuję.

To nie była sztuczka. Jakiś niejasny, ostry zapach wypełnił powietrze. Clare zaczęły lekko piec oczy.

– Szafa – powiedział Adam. – Chcesz, żebym to sprawdził?

– Nie. – Winster spojrział na szafę. Potem bezpośrednio na potężny klon. Odezwał się do niego głośno, wskazując na drzwi.

– Dellin jest tam. Złap go. Zabij. – Następnie, do Stuarta:

– Otwórz drzwi swojemu bratu, synu.

Stuart podszedł do drzwi razem ze zmutowanym bratem podążającym tuż za nim. Gdy szedł, rozlegało się dudnienie na kafelkach podłogi. Stuart sięgał do przodu z kluczem, gdy... drzwi się otworzyły i uderzyły Stuarta prosto w twarz. Padł na ziemię, zawodząc. Pokój jakby zamarł. Wszystko działo się w ułamkach sekund. Jakiś głęboki flegmatyczny dźwięk wydobył się z gardła mutanta, gdy Dellin – z krwawą twarzą – wyskoczył z szafy i rzucił w jego pierwotną twarz zlewkę pełną jakiejś oleistej cieczy. Wtedy...

– Neeeeeeeeee – krzyknął Winster.

Ohydny klon stanął w płomieniach, czarny, gęsty dym wydobywał się z ognia. Wrzask agonii, który wydobył się z jego gardła, niemal ogłuszył Clare. Mimo że wszystko to wydarzyło się w ułamku sekundy, widziała dokładnie, co się stało. Dellin zapalił płyn za pomocą sprężynowego zapalnika krzesiwowego; Clare pamiętała, jak na zajęciach laboratoryjnych w college'u używano ich do zapalania palników Bunsena.

To coś wybiegło z pokoju, krzycząc i płonąc jeszcze mocniej. Wtedy rozpiętało się istne pandemonium.

Dellin rzucił się na Winstera, trzymając rękę na jego gardle.

– Powinieneś pamiętać, co trzymasz w swoich magazynach, Harry – powiedział, dusząc go. – Wypaliłem drewno wokół zamka kwasem siarkowym i właśnie podpaliłem twoje dzieło fenolem.

Clare złapała Adama za nadgarstek i nie mogła wymyślić nic lepszego niż ugryzienie go. Adam krzyknął. Upuścił pistolet, który poturlał się po podłodze. Drugą ręką sięgała po jego broń, ale wtedy złapał ją za gardło wielką dłonią i zaczął ścisnąć. Clare szokowała jego siła, momentalnie zdrętwiała z przerażenia. Palce zacisnięte jak imadła, odcinały dopływ krwi do mózgu. W ciągu zaledwie kilku sekund zaczęło ciemnieć jej w oczach. Przez umysł przetoczyła się myśl: *nie mogą pozwolić, by ten skurwiel mnie zabił, nie w ten sposób...* Ale zaczynała wiotczeć.

– Światła gasną, kochanie...

To był raczej impuls niż świadoma decyzja, kiedy Clare wsadziła kciuk w oko Adama. Teraz skulony zakrywał twarz rękoma.

– Ty suko! Wydłubałaś mi pieprzone oko!

– Clare! – krzyknął Dellin. – Wynoś się stąd, póki możesz!

Na podłodze zapaliło się więcej fenolu. Teraz płytki płonęły, a czarny dym unosił się w górę pomieszczenia. Clare pobiegła, nie po to, by uciec, ale by poszukać broni i pomóc Dellinowi. Wbiegła do następnego pokoju, ale zanim zdążyła rozpocząć żmudne poszukiwania...

Niech go szlag!

Usłyszała kroki Adama tuż za sobą. Pomieszczenie było kolejnym laboratorium; zauważyła stół, na którym stało kilka monitorów komputerowych. Wskoczyła więc pod niego.

– Nigdzie nie pójdziesz, ty mała blond suko – zadudnił głos Adama. – Zrobię ci taką krzywdę, że nawet diabeł byłby z niej dumny...

Clare przycisnęła się do ściany pod stołem. Widziała, jak Adam się zbliża, z jej pistoletem w dłoni.

Co za głupie posunięcie, uświadomiła sobie w jednej chwili ze zgrozą. Teraz jestem tu uwięziona. Wystarczyło, żeby się pochylił i spojrział w dół... Wymyśl coś! krzyczała do siebie. Widziała buty Adama. Szedł prosto na nią. Obiema rękami chwyciła za kabel zasilający jeden z monitorów tuż nad nią; szarpnęła kilka razy mocno w dół. Słyszała, jak monitor rozbija się o ścianę.

– Tu jesteś...

To ostatnie szarpnięcie zdołało wyrwać złącza kabla z monitora. Teraz trzymała kabel z odsłoniętymi końcami, a drugi koniec wciąż był podłączony do ściany.

– Wyjdź, wyjdź, gdziekolwiek jesteś...

Clare wysunęła się spod stołu, leżąc na plecach między nogami Adama. Spojrzął w dół, uśmiechnął się, wycelowal pistolet... A potem krzyknął przeraźliwie. Clare jedną ręką sięgnęła w górę, chwyciła go za pasek, a drugą wbiła mu w krocze gołe druty. Ładunek elektryczny wystrzelił; mogła zobaczyć biało-niebieskie łuki przeskakujące wokół jego krocza. Stał tam, krzycząc i drżąc, a wkrótce jego pachwina zaczęła dymić, siła ładunku bez wątplenia została skutecznie wzmocniona przez te wszystkie metalowe kolczyki w genitaliach.

W końcu Adam upadł. *Straszne*, pomyślała. Adam nie żył, został uśmiercony przez porażenie prądem, a kiedy upadł, broń wleciała się pod ciężkie regały praktycznie nie do odzyskania. Podniosła się, rzuciła mu ostatnie spojrzenie. Jego krocze dymilo. Jedno oko zwisało z oczodołu, drugie było czerwone od krwotoku.

– Pierdol się, Adamie – powiedziała do trupa. – I wybac mi moje słownictwo. – Pobiegła z powrotem do drugiego pokoju, gdzie Adam upuścił wcześniej broń, ale teraz ledwo widziała przez dym.

– Dellin! Gdzie jesteś?! – Nie było żadnej odpowiedzi, tylko trzask płomieni. Podeszła bliżej, zmrużyła oczy i wtedy ich zobaczyła.

Cholera! Joyce odzyskała przytomność, krzyczała o pomoc, leżąc przywiązana do stołu. Stuart Winster trzymał Dellina przypartego do ściany, z łomem pod gardłem. *On go zabija!* I znów instynkt pokierował Clare. Złapała Stuarta od tyłu za włosy i z całej siły szarpnęła nim w prawo. Jego głowa mocno uderzyła o żłobiony metalowy stół. Dellin rzucił się na pomoc i przygniótł mu ramiona. Tymczasem Clare wbiła mu dyszę prosto w czoło. Potem nacisnęła przycisk EMISJA.

Groteskowa dwupalczysta ręka sięgnęła w górę, chwyciła Clare za gardło i ścisnęła, ale Clare zacisnęła zęby i zignorowała to, podczas gdy Stuart zaczął drżeć na stole, kiedy urządzenie powoli kauteryzowało przypadkowe ośrodki nerwowe w jego mózgu. Podobna do szczypiec ręka zadrżała wokół jej szyi, po czym się z niej zsunęła.

– Myślę, że już po nim – powiedział Dellin.

– Jeszcze nie. Muszę mieć pewność, że ten chory sukinsyn jest martwy – powiedziała Clare. Stuart leżał śliniąc się, nieruchomy, ale wciąż całkiem żywy. Dellin otworzył kłapę eksykatora, a Clare lekko pociągnęła Stuarta i ten od razu wtoczył się do środka. Potem Dellin zamknął właz.

– Chodźmy, to miejsce zaraz się spali – powiedział.

Clare odpinała Joyce, pomagając jej zejść ze stołu.

– Masz, weź ją i wynoście się stąd!

– Dokąd idziesz?!

Clare podniosła z podłogi pistolet Adama, chwyciła latarkę.

– Idę po Harry'ego! – krzyknęła i zniknęła w dymie.

To albo intuicja, albo szczęście podpowiadały jej, w którą stronę poszedł Winster. Kiedy wyszła na korytarz, skierowała się w stronę drzwi wyjściowych, pomyślała o tym przez sekundę, po czym skręciła w przeciwnym kierunku i poszła w stronę drabiny, po której schodziła do wielkiej rury kanalizacyjnej. Natychmiast zobaczyła w mule ślady stóp, które prowadziły dalej. Nie traciła czasu. Pobiegła. Gdy dotarła do martwego gryzonia, przeskoczyła nad jego truchłem, nie zatrzymując się, by przyjrzeć się zbyt dokładnie mniejszym szkodnikom, które teraz na nim ucztowały. Pamiętała jednak, co powiedział Adam, gdy byli tu wcześniej: *Jesteśmy w jego domu. Pewnie jest ich więcej, dużo więcej.*

Clare miała nadzieję, że nie będzie miała okazji przekonać się, czy to prawda. Ślady Winstera szły cały czas prosto, gdy dotarła do kolejnej drabiny i wylotu tego, który wznosił się do piwnicy domku pani Grable. *Nie wszedł tam. Szedł cały czas prosto.* Tak też zrobiła Clare, choć właśnie dotarło do niej, że nie ma pojęcia, gdzie kończy się ta droga. Jej buty chłupotały w coraz głębszym błocie. Przeszła jeszcze sto jardów, ale tu na dole, w śmierdzącej ciemności, wydawało się, że to mila.

Wracaj, próbował uwieść ją głos w głowie. Wróć, znajdź Dellina i Joyce, uciekaj z tego miejsca.

Nie. Odpowiedziała sama sobie. Nie zamierzała się poddać. Nie mogła. Winster zszedł do tego tunelu, a ona nie zamierzała się poddać, dopóki go nie znajdzie. Ale już po kilku metrach coś zagroziło jej determinacji. *Cholera!* Tunel się rozgałęział. Teraz szła już w mule głębokim po kostki. Nie było śladów stóp.

W którą stronę mam iść? Po prostu zapomnij o tym. Wracaj! Wtedy inny głos podjął decyzję za nią.

– Jestem tutaj, Clare – powiedział Harold Winster.

W miejsce, gdzie tunel rozgałęział się w prawo, Clare wycelowała latarkę. Ledwie go widziała, jakieś dwa kilometry dalej.

– Żadne z nas nie może biec całą noc – rozbrzmiał jego głos. – A ty dobrze wiesz, jak niebezpieczny jest ten kanał. Podejmuję próbę, Clare, mając nadzieję, że jestem poza zasięgiem twojej broni.

Właściwie to był. Miała go teraz na oku, ale to był naprawdę daleki strzał.

– Zawrzyjmy małą umowę – powiedział Winster.

– Chyba sobie żartujesz! – prawie się roześmiała. Odbezpieczyła pistolet, przyłożyła muszkę do środka masy jego ciała – najbardziej praktycznego celu w warunkach strzelania w słabym świetle na dalekim dystansie.

– Zanim wystrzelisz we mnie salwę pocisków, proszę, wysłuchaj mnie.

Palec Clare już miał nacisnąć spust, ale się powstrzymała.

– Muszę ci się wydawać najbardziej złym człowiekiem na świecie – intonował.

– Tak.

– Ale jeśli mnie zabijesz, jedyne, czemu będziesz służyć, to raczej niemądrej pierwotnej emocji: zemście. Niech nie zabrzmi to banalnie, ale mówię ci, że jestem na skraju przelomu, który może zmienić nasze społeczeństwo na lepsze.

Czy naprawdę chcesz to usłyszeć? pomyślała.

– Gówno prawda, Winster. Jeśli cię zabiję, uczynię świat bezpieczniejszym miejscem.

– Możesz w to wierzyć. Ale pozwalasz, by nienawiść przesłoniła ci obiektywizm. Nawet się nie domyślasz, jakie dobro może wyniknąć z naszych badań...

Ale to była tylko retoryka i nagle ją olśniło.

Dlaczego on się zatrzymał? Dlaczego po prostu nie poszedł dalej? To nie miało sensu, że zatrzymałby się, aby się z nią skonfrontować, wiedząc, że jest uzbrojona. Wtedy przypomniała sobie, że kiedy byli w klinice, Clare szukała jakiegokolwiek sposobu, by odwrócić uwagę Winstera od przycisku wylądowania. *Teraz robi to samo ze mną. Gra na czas. Ale po co? By ktoś mógł się do mnie zakraść z...*

Clare obróciła się i krzyknęła. Zdążyła wystrzelić tylko jeden nabój w sam środek ogromnej, szponiastej ręki, która ją zaatakowała. Kula przeszła przez rękę, ale to, do czego należała, nie przejęło się tym w najmniejszym stopniu. Broń została wyrwana, a Clare została złapana za gardło i podniesiona do góry. Jej głowa uderzyła w górną część rury. Zupełnie zwiotczała została rzucona w błoto.

– Dobra robota! – świętował Winster.

Clare była teraz zbyt oszołomiona, by widzieć wyraźnie, ale nie musiała widzieć, by zdać sobie sprawę, że to będzie straszny koniec. Obrzydliwy odór ciała klona był o wiele gorszy teraz, gdy mieszał się ze smrodem spalonego ciała. Twarz, klatka piersiowa i ramiona były pokryte węglem, ale czarne oczy lśniły w oczodołach.

Boże wszechmogący...

Odzyskała zmysły w samą porę, by poczuć całą siłę tego potwornego gwałtu. To coś rozerwało jej bluzkę. Potem sięgnęło w dół, by rozerwać spodnie.

– Uważaj! – krzyknął Winster.

Clare, w okropnym oszołomieniu, nie rozumiała, dlaczego Winster nagle krzyknął. Ręce potwora zostawiły jej ciało; skośna, poczerniała twarz spojrzała w górę. Clare przyłożyła dłonie do uszu, krzycząc pod wpływem szoku, jaki wywołały w niej błyski i ogłuszające strzały. Klon eksplodował.

Ogromna głowa klona eksplodowała na jej oczach na kawałki. Z jednej strony wyleciała grudkowata masa mózgowa i rozbryzgnęła się o ścianę rurociągu. Clare naliczyła pięć wystrzałów.

– Chodź, wydostaniemy się z tej zasnanej nory – powiedział.

Życie Clare zostało właśnie w niewytłumaczalny sposób uratowane, ale jej emocje nie ostygły. Pozostawała jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Clare podniosła pistolet i chwyciła latarkę.

– Clare, zapomnij o tym – Rick próbował przemówić jej do rozsądku. – On jest za daleko...

Winster zawrócił, uciekał. Ledwo mogła go dostrzec w oddali. Wzięła wdech, wypuściła połowę i...

BAM!

Jeden strzał w kierunku Winstera.

– Jezu, trafiłaś go – powiedział Rick. – Możemy już iść?

Ale Clare biegła do przodu, głębiej w rurociąg. Musiała go wykończyć. Rick ciągnął ją do tyłu, gdy Winster zaczął krzyczeć. Byli jeszcze kilka metrów od miejsca, gdzie kula trafiła Winstera.

– Jasna cholera! – krzyknął Rick. – Spójrz na te rzeczy! Clare, musimy...

– ... wynosić się stąd! – dokończyła za niego, po czym oboje odwrócili się i pobiegli.

Krzyki Winstera podążały za nimi przez całą drogę aż do drabiny, a kiedy wspięli się do piwnicy zmarłej pani Grable, a potem wybiegli jak maniacy z domu, wskoczyli do Blazera i odjechali, Clare wydawało się, że wciąż je słyszy.

Spoglądając przelotnie w kanał ściekowy, zobaczyli kilka bezwłosych szczurów wielkości collie, które bardzo skrupulatnie zjadały żywcem pułkownika Harolda T.

Winstera.

* * *

Wyjeżdżali z terenu laboratorium. Rick siedział za kierownicą. Zgarnęli Dellina i Joyce na drodze tuż obok kliniki. W klinice wybuchło piekło. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Joyce siedziała z przodu. Clare siedziała z tyłu z Dellinem, obejmując ją.

– Rick? – zapytała. – Zapomniałam. Dzięki za uratowanie mi życia.

– Nie ma sprawy – to wszystko, co powiedział, Joyce przytuliła się do niego.

– Winstera pokazał nam taśmę z jednej z kamer bezpieczeństwa. Widzieliśmy, jak Stuart wypalił ci z dwóch luf w brzuch.

Rick podciągnął swoją koszulę, pokazując podziurawioną kamizelkę kuloodporną.

– Moja mama nie wychowała mnie na idiotę. Ale myślałem, że na pewno jestem trupem, gdy ten opóźniony dzieciak wrzucił mnie do jeziora. Ten węgorz, wąż czy cokolwiek to było, trzymał mnie za szyję i ciągnął w dół. Ale puścił dość szybko, gdy odstrzeliłem mu łeb.

Dzięki Bogu, pomyślała Clare.

Joyce wciąż była roztrzęsiona. Clare wiedziała, że powrót do normalności zajmie jej trochę czasu.

– Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co Winstera tam robił – powiedziała.

Clare przypomniała sobie smród tego czegoś i jego potężny ciężar na jej plecach w tunelu.

– Lepiej w to uwierz – szepnęła. – Co się teraz stanie?

– Nie mam pojęcia – powiedział Dellin. – I prawdę mówiąc, nawet nie chcę o tym teraz myśleć.

– Ale gdzie my pójdziemy? – zapytała Joyce.

– Znam świetne miejsce – odpowiedział Rick.

– Gdzie?

– Gdziekolwiek, kurwa, byle nie tutaj...

Gdy byli już z powrotem na głównej drodze, poza oficjalnym terenem parku Fort Alachua, mogli zobaczyć ogień szalejący w lesie. Z wyczerpania przyszła Clare do głowy jedna, ostatnia myśl:

Ciekawe, co to była za próbka główna. Winstera nigdy nie powiedział... Ale ta myśl przysła, a ona zasnęła w ramionach Dellina, gdy zmierzali w stronę mostu, prowadzącego na autostradę.

EPILOG

FEDERALNA SIEĆ ŁĄDOWA S27-0078
ŚRODKOWA FLORYDA
CZERWIEC 1995

– Profesorze?

Głos wydawał się odległy, ale twarz, z której pochodził, była tuż przed nim.

– Profesor Fredrick?

Oczy Fredricka były szeroko otwarte, skupione. Leżał gdzieś na wznak. *Gdzie jest słońce?* zastanawiał się, choć nie był do końca pewien, dlaczego.

Jakaś ręka delikatnie go szturchnęła.

– Profesorze Fredrick, proszę się nie niepokoić. Wszystko będzie dobrze...

Jego wzrok się wyostrzył. Spojrzał w dół i zobaczył, że leży na łóżku, a przed nim klęczy mężczyzna z białą opaską z czerwonym krzyżem na ramieniu.

Lekarz, pomyślał, albo sanitariusz.

Ten człowiek widział, że Fredrick jest teraz przytomny.

– Powiedziałem, że nic panu nie będzie, ale z przykrością muszę pana poinformować, że jest pan jedynym ocalałym. Obawiam się, że wszyscy inni zginęli.

Fredrick nie wiedział, o czym on mówi. Gdy się rozejrzał, zobaczył, że znajduje się w namiocie. Kilku innych techników medycznych kręciło się w milczeniu wokół niego, były tam też inne łóżka, ale ludzie, którzy na nich leżeli byli całkowicie przykryci białymi prześcieradłami.

– To cud, że udało nam się pana wyciągnąć.

Fredrick wydobył się z fali bólu i chwycił męczyzną szorstko za kołnierz.

– Co się stało, na Boga! Gdzie ja jestem?

– Sir, jest pan w połowym szpitalu ratunkowym – powiedziano mu. – Nic pan nie pamięta? Był pan na dole w tej jaskini, z innymi archeologami.

Jaskinia. Cenota. Znaleźliśmy oryginalną cenotę Indian Ponoye, i zmumifikowane ciała...

– Nastąpiło zawalenie się jaskini, sir. Zawaliła się przednia część pieczary.

Kiedy Fredrick przełknął, połknął starożytny pył.

– Dales, mój asystent...

– Obawiam się, że nie żyje, sir.

Łzy przesączyły się przez pył na jego twarzy.

– Miałem tam ze sobą sześciu studentów. Oni wszyscy...

– Wszyscy nie żyją, Profesorze. Przykro mi.

Fredrick wpatrywał się w sufit namiotu, płacząc. Niech będą przeklęte mumie. Nagle największe odkrycie archeologiczne w historii stanu Floryda nic nie znaczyło. Wszystko zostało zniszczone w jaskini, ale to nie miało teraz znaczenia. Jego uczniowie byli jak jego dzieci, a Dales był najbliższą osobą, jaką kiedykolwiek miał, prawdziwym synem.

Martwy, pomyślał. Martwy z powodu moich obsesji. Fredrick pragnął tylko, by mógł umrzeć razem z nimi. Nagłe uderzenie adrenaliny chwyciło go za serce, gdy na powierzchnię zaczęły wypływać wspomnienia. Byli w cenocie, obok dolmenu, na którym indiańska dziewczyna została złożona w ofierze jakiemuś bezimiennemu bogu.

Ale kapłani tego rytuału też zostali złożeni w ofierze – ręcznie rozczłonkowani. Scena sprzed 10 tysięcy lat była zbyt zagmatwana, ale Fredrick znał szczegóły tego rytuału. Pamiętał, że był to rytuał inkarnacji. A potem... Więcej wspomnień. Dales wpatrywał się w ekran odczytowy sprzętu do badania masy magnetycznej.

– Odbieram potrójne zero na półtora metra.

– Co?! – krzyknął Fredrick.

– To nie jest obryw skalny. Za tym jest inne pomieszczenie.

Inne pomieszczenie, przypomniał sobie teraz Fredrick. *Inna cenota*. Zmumifikowana ręka wyłaniająca się ze szczeliny rzeczywiście była podobna do szponów. *Demonopodobna*, pomyślał.

– Bądź ostrożny! – krzyknął do niego Dales, gdy zaczął przeciskać się przez szczelinę. I właśnie wtedy zobaczył, co jest po drugiej stronie.

– Profesor Fredrick? – zapytał lekarz w namiocie. – Czy może mi pan powiedzieć, co się stało? Pamięta pan coś? Cokolwiek?

Tak, ta myśl skrzypiała jak stare drewno. Zamknął oczy, skupił się, a potem zobaczył więcej. W ciągu kilku sekund przypomniał sobie wszystko.

– Cokolwiek, sir? Musimy wiedzieć.

Fredrick przyjrzał się uważniej mężczyźnie. Obok niego klęczał ktoś jeszcze, przypuszczał, że inny lekarz.

– Kim pan jest? – zapytał Fredrick.

– Jesteśmy powietrzno-mobilną jednostką ratownictwa medycznego, proszę pana – odpowiedział mu. – Kiedy doszło do zawalenia się jaskini, pańscy ludzie zawiadomili władze przez radio na federalnym paśmie alarmowym.

Fredrick mógł teraz usłyszeć w oddali helikoptery. *Jednostka medyczno-ewakuacyjna...*

– Z jakiego szpitala jesteście?

– Centrum Medyczne Sił Powietrznych LeMay – odpowiedział mężczyzna.

Siły Powietrzne? pomyślał Fredrick.

– Dostaliśmy wezwanie, bo mogliśmy się tu dostać szybciej niż ktokolwiek inny.

To było szczęście Fredricka, a przynajmniej tak mu się wydawało. Żył, miał zamiar żyć, ale... Coś tu nie grało...

Pierwszy mężczyzna nie przestawał:

– Wszedł pan do drugiej pieczary, prawda, profesorze? Co pan zobaczył?

Fredrick pamiętał, przypomniał sobie teraz wszystko.

– Nic – skłamał.

Kiedy prześlizgnął się przez szczelinę, rzeczywiście spodziewał się znaleźć drugą cenotę, ale to wcale nie było to. Stał tam w szoku, rozglądając się dookoła, nie wierząc, że to możliwe, i pamiętał, że pomyślał:

Kapłani na zewnątrz myśleli, że wcielają się w demona. Wpatrywał się w resztę doskonale zachowanego ciała na ziemi. *Oto, co dostali w zamian*. To nie była kolejna cenota, do której się wcisnął, ale coś w rodzaju obramowanych drzwi. Wewnątrz znajdował się ciasny owal pełen niezliczonych urządzeń, które już dawno straciły swoje światła. Stał wewnątrz jakiegoś statku... A ta mumia na podłodze? To nie był demon, ale też nie Indianin Ponoye.

Jego oczy powędrowały z powrotem do dwóch mężczyzn z Sił Powietrznych, którzy klęczeli przed łóżkiem.

– Nic nie widziałem – skłamał ponownie. – Nie pamiętam niczego o drugiej jaskini.

Udawał, że się krzywi.

– Boże, boli mnie głowa. Możecie mi coś podać?

– Może pan mieć wstrząs mózgu, profesorze, więc nie możemy jeszcze podać panu żadnych leków. Proszę postarać się zrelaksować, odpocząć.

Fredrick przytaknął, patrzył jak para pilotów wstaje i odchodzi. To właśnie ten drugi, starszy, od razu mu się nie spodobał. To dlatego skłamał. Po prostu było coś przerażającego w jego oczach... Nigdy też nie zapomniał plakietki z nazwiskiem tego człowieka. Dziwne nazwisko, takie, którego nigdy w życiu nie słyszał. Winster.

SPIS TREŚCI

PODZIĘKOWANIA

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

(I)

(II)

(III)

ROZDZIAŁ DRUGI

(I)

(II)

ROZDZIAŁ TRZECI

(I)

(II)

(III)

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ CZWARTY

(I)

(II)

ROZDZIAŁ PIĄTY

(I)

(II)

(III)

(IV)

ROZDZIAŁ SZÓSTY

(I)

(II)

(III)

ROZDZIAŁ SIÓDMY

(I)

(II)

(III)

(IV)

ROZDZIAŁ ÓSMY

(I)

(II)

(III)

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

(I)

(II)

(III)

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

(I)

(II)

(III)

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ JEDENASTY

(I)

ROZDZIAŁ DWUNASTY

(I)

(II)

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

(I)

(II)

(III)

(IV)

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

(I)

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

(I)

EPILOG